

H. P. Lovecraft

ZEW CTHULHU



Spis treści

Karta tytułowa

Nie jest wykluczone...

Chapter 1 Horror w glinie

Chapter 2 Opowieść inspektora Legrasse

Chapter 3 Szaleństwo na morzu

Widmo nad Innsmouth I

II

III

IV

V

Kolor z Przystworzy

Szepczący w ciemności I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

Duch ciemności

Koszmar w Dunwich

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

Muzyka Ericha Zanna

H.P. LOVECRAFT

ZEW CTHULHU

Przekład
Ryszarda Grzybowska



2004

"Nie jest wykluczone, że są pozostałości tych wielkich sił i istot... pozostałości bardzo odległego okresu, kiedy... świadomość wyrażała się, być może, w kształtach i formach dawno już zanikłych, jeszcze przed zalewem rozwijającej się ludzkości... formach, o których tylko poezja i legenda zachowały przelotne wspomnienie, zwąc je bogami, potworami, mitycznymi istotami wszelkiego gatunku i rodzaju... "

Algernon Blackwood

Chapter 1

Horror w glinie

Wydaje mi się, że największym dobrodziejstwem na tym świecie jest fakt, że umysł ludzki nie jest w stanie skorelować całej swej istoty. Żyjemy na spokojnej wyspie ignorancji pośród czarnych mórz nieskończoności i wcale nie jest powiedziane, że w swej podróży zawędrujemy daleko. Nauki - a każda z nich dąży we własnym kierunku - nie wyrządziły nam jak dotąd większej szkody; jednakże pewnego dnia, gdy połączymy rozproszoną wiedzę, otworzą się przed nami tak przerażające perspektywy rzeczywistości, a równocześnie naszej strasznej sytuacji, że albo oszalejemy z powodu tego odkrycia, albo uciekniemy od tego śmiernicznego światła przenosząc się w spokój i bezpieczeństwo nowego mrocznego wieku.

Teozofowie w swoich domniemaniach wskazują na niesamowity ogrom kosmicznego cyklu, w którym nasz świat i rasa ludzka to tylko wydarzenia przejściowe.

Napomykają o dziwnych pozostałościach stosując określenia, które zmroziły by krew w żyłach, gdyby nie zamaskowano ich łagodnym optymizmem. Ale to nie teozofowie przyczynili się do mego przelotnego zetknięcia się z zakazanymi eonami, które przeszywają mnie dreszczem, gdy o nich myślę, i przyprawiają niemal o szaleństwo, gdy o nich śnię. Zetknięcie się z nimi, tak jak i z wszystkimi przejawami straszliwej prawdy, nastąpiło w momencie przypadkowego łączenia całkiem różnych rzeczy - wiadomości z gazety i notatek zmarłego profesora. Mam nadzieję, że już nikt więcej nie będzie się tym zajmował; jedno jest pewne, że jeśli będę żył, nigdy świadomie nie dostarczę ogniwa do tego straszego łańcucha. Myślę, że profesor także zamierzał zachować milczenie odnośnie tej części, która była

mu znana, i że zniszczyłyby swoje notatki, gdyby nie zabrała go nagła śmierć.

Moja znajomość tej sprawy datuje się od przełomu 1926 i 1927 roku, a konkretnie od śmierci wujecznego dziadka, George'a Gammela Angella, emerytowanego profesora języków semickich w Brown University, Providence, Rhode Island. Profesor Angell był powszechnie cenionym autorytetem w dziedzinie starożytnych zapisów i często zasięgali jego opinii dyrektorzy najślawniejszych muzeów; tak więc jego odejście w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat upamiętniło się wielu znakomitym osobom. Jednakże tajemnicze okoliczności jego śmierci wzbudziły szerokie zainteresowanie wśród miejscowej ludności. Profesor zmarł wracając z Newport; nagle się przewrócił, jak powiadają świadkowie, potrącony przez Murzyna, wyglądającego na marynarza, który wyłonił się z jednego z tych dziwnych mrocznych zaułków na stromym zboczu wzgórza, przez które wiodła krótsza droga do domu zmarłego profesora na Williams Street. Lekarze nie znaleźli żadnych obrażeń, a po burzliwej naradzie doszli do wniosku, że przyczyną śmierci były dziwne zmiany patologiczne w sercu, spowodowane szybkim wejściem starszego człowieka na wzgórze. Wtedy nie widziałem powodu, by mieć odmienne zdanie, z czasem jednak zrodziła się we mnie wątpliwość, a nawet coś więcej niż wątpliwość. Jako spadkobierca i egzekutor mojego wujecznego dziadka - był bowiem bezdzietnym wdowcem - miałem obowiązek przejrzeć dokładnie wszystkie jego dokumenty. W tym celu przewiozłem cały komplet jego akt i skrzyneczek do mego domu w Bostonie. Duża część materiału, który połączyłem w jedną całość, zostanie później opublikowana przez Amerykańskie Stowarzyszenie Archeologiczne, oprócz zawartości jednej skrzyneczki, która wydała mi się niezwykle zagadkowa i której nie miałem ochoty ujawniać przed innymi. Była zamknięta i nie mogłem znaleźć kluczyka, aż wpadłem na pomysł, by obejrzyć dokładnie pierścień, który profesor nosił zawsze w kieszeni. Udało mi się ją otworzyć, ale wtedy stanąłem przed jeszcze większą i jeszcze trudniejszą do pokonania przeszkodą. Bo i cóż miała znaczyć dziwna

płaskorzeźba w glinie, bezładne zapiski i jakieś wycinki? Czyżby mój wuj na starość stał się wyznawcą najbardziej wyrafinowanej szarlatanerii?

Postanowiłem odszukać ekscentrycznego rzeźbiarza, który był odpowiedzialny za to oczywiste zakłócenie spokoju umysłowego starego człowieka.

Płaskorzeźba była nierównym prostokątem o wymiarach pięć na sześć cali, a grubości około jednego cala; niewątpliwie nowoczesnie zaprojektowana, została jednak wykonana w sposób daleki od nowoczesnej techniki i koncepcji. Bo choć rozliczne i szaleńcze są fantazje futuryzmu i kubizmu, nieczęsto odtwarzają one tajemniczą regularność, jaka się kryje w prehistorycznych zapisach. A z pewnością ta rzeźba kryła w sobie jakieś zapisy; jednakże moja pamięć, chociaż posiadałem wnikliwą znajomość dokumentów i zbiorów mego wuja, zawodziła mnie i w żaden sposób nie mogłem zidentyfikować tego szczególnego przypadku ani nawet domyślać się jego odległej przynależności.

Oprócz zupełnie oczywistych hieroglifów, była tam też figura niewątpliwie obrazkowa w zamierzeniu, choć jej impresjonistyczne wykonanie uniemożliwiało odczytanie jakiejkolwiek koncepcji. Zdawała się być jakimś potworem albo symbolem przedstawiającym potwora, o kształcie, który tylko schorzała wyobraźnia mogła wymyślić. Jeżeli powiem, że moja cokolwiek ekstrawagancka wyobraźnia podsuwała mi jednocześnie obrazy ośmiornicy, smoka i karykatury człowieka, nie będę niewierny duchowi tej płaskorzeźby. Gąbczasta, zakończona mackami głowa wieńczyła groteskową i pokrytą łuskami figurkę ze szczątkami skrzydeł, ale najbardziej szokujący i przerażający był jej ogólny zarys. Tło tej figurki przypominało cyklopową architekturę.

Pismo towarzyszące tej osobliwości, poza stosem wycinków gazetowych, wyszło spod ręki profesora Angella i to w ostatnich czasach, nie miało ambicji stylu literackiego. Zasadniczy dokument nosił nagłówek "KULT CTHULHU", starannie wypisany drukowanymi literami, żeby uniknąć

błédnego odczytania niespotykanego sowa. Manuskrypt zosta podzielony na dwa dziay, z których pierwszy by zatytuowany "1925 - Sen i rozprawa na temat snu H. A. Wilcoxa, Thomas St. 7 Providence, R.I.", a drugi "Opowie inspektora Johna R. Legrasse, Bienville St. 121, Nowy Orlean, La., w 1908 roku A. A. S. Mtg. - Notatki na temat Same i prof. Webba sprawozdanie". Jedne rekopisy byy krotkie i pobieżne, inne zawieray opowieci dziwnych snw rnych osb, jeszcze inne znw cytaty z teozoficznych ksig i czasopism (zwłaszcza z Atlantis i Lost Lemuria), a pozostae zawieray komentarze na temat dugotrwaych sekretnych stowarzysze i tajemnych kultw, z odniesieniem do fragmentw mitologicznych i antropologicznych ksigk Źródowych, takich jak "Zota ga" Frazera oraz "Kult wiedm w Zachodniej Europie" Miss Murray. Wycinki odnosiy si gwnie do outr, schorze umysowych i objaww szalestwa lub manii przeladowczych z okresu wiosny 1925.



Pierwsza cz gwnego manuskryptu zawieraa szczeglnie niezwyk opowie. Okazuje si, Źe 1 marca 1925 roku szczupy, ciemnowsy mdzieniec o neurotycznych cechach, ogromnie podniecony, zoy profesorowi Angellowi wizyt przynoszc z sob osobliw paskorzeb w glinie, ktra wtedy bya jeszcze mokra, Źwieo wykonana. Okaza wizytwk z nadrukiem Henry Anthony Wilcox i wuj rozpozna w nim najmodszeo syna znanej mu szacownej rodziny, studiujcego rzeb w Szkole Modelarskiej w Rhode Island, a mieszkajcego samotnie w budynku Fleur-de-Lys w pobliu uczelni. Wilcox by mdziecem niezwykm, uwaanym za geniusza, ale troch ekscentrycznym i od dziecistwa zwraca na siebie uwag opowiadaniem dziwnych historii i do osobliwych snw. Sam

określał siebie jako "psychicznie nadwrażliwego", ale stateczni mieszkańcy starego handlowego miasta powiadali, że jest po prostu "dziwny". Nigdy nie włączał się w życie otoczenia, aż w końcu stopniowo przestano go w ogóle dostrzegać i znany był tylko nielicznej grupie estetów z innych miast. Nawet Klub Artystyczny w Providence, usiłujący za wszelką cenę zachować swój konserwatyzm, uznał go za przypadek całkiem beznadziejny.

Z okazji tej wizyty, jak podawał manuskrypt profesora, rzeźbiarz zwrócił się z bezceremonialną prośbą do gospodarza, jako znawcy archeologii, o zidentyfikowanie hieroglifów na płaskorzeźbie. Mówił w jakiś senny, sztuczny sposób, w którym czuło się pozę i odpychającą układność; mój wuj odpowiadając zareagował dość ostro, bo wyraźna świeżość rzeźby mogła świadczyć o pokrewieństwie ze wszystkim, tylko nie z archeologią. Odpowiedź młodego Wilcoxa, która wywarła takie wrażenie na wuju, że zapamiętał ją i zapisał dosłownie, była wprost fantastyczna i poetycka, co zapewne cechowało też całą z nim rozmowę, a co ja uznałem za wielce dla niego charakterystyczne. Powiedział: "Bo rzeczywiście jest nowa, jako że wykonałem ją wczoraj w nocy śniąc o dziwnych miastach, a sny są starsze niż zadumany Tyr, pogrążony w kontemplacji Sfinks czy opasany ogrodami Babilon".

I wtedy to rozpoczął tę zawiłą opowieść, która nagle zbudziła uśpioną pamięć i gorączkowe zainteresowanie wuja. Ubiegłej nocy miało miejsce lekkie trzęsienie ziemi, najbardziej odczuwalne w Nowej Anglii na przestrzeni kilku lat, co żywo pobudziło wyobraźnię Wilcoxa. Odpoczywając zapadł w przedziwny sen o wielkich miastach Cyklopów zbudowanych z bloków Tytana i sięgających nieba monolitów, które ociekały zielonym szlamem i ziały grozą tajemniczego horroru. Wszystkie ściany i kolumny pokryte były hieroglifami, a z jakiegoś nieokreślonego miejsca na dole dobywał się głos, który nie był głosem; chaotyczne doznanie, które tylko fantazja mogła przetworzyć w dźwięk, a które on usiłował przekazać za pomocą prawie nie do wymówienia galimatiasu liter: "Cthulhu fhtagn".



Ten werbalny galimatias stał się kluczem do wspomnienia fascynującego i niepokojącego dla profesora Angella. Wypytał rzeźbiarza o wszystko z naukową dokładnością i w wielkim skupieniu przyjrzał się płaskorzeźbie, którą Wilcox wykonał podczas snu, zziębnięty, tylko w piżamie, i nad którą obudził się w kompletnym oszołomieniu. Wuj składał winę na swój wiek - Wilcox potem zeznał - za to, że tak powoli rozpoznał zarówno hieroglify, jak i obrazkowy wzór. Wiele jego pytań wydało się gościowi zupełnie bez związku, zwłaszcza te, w których usiłował powiązać wzór z kultami albo społecznościami; Wilcox nie mógł też zrozumieć coraz to powtarzających się obietnic milczenia, jakie mu składał profesor w zamian za przyjęcie na członka jakiegoś rozpowszechnionego mistycznego czy pogańskiego stowarzyszenia religijnego. Kiedy profesor Angell przekonał się, że rzeźbiarz naprawdę nie ma pojęcia o kultach ani systemach tajemnej wiedzy, zwrócił się do niego z prośbą, aby zdawał mu relacje ze wszystkich swych snów. To zaowocowało, bo w manuskrypcie są opisy codziennych wizyt młodego człowieka, podczas których snuł zdumiewające opowieści o swoich nocnych wizjach. Dominował w nich straszny widok ciemnych, ociekających szlamem kamieni, oraz podziemny głos albo jakaś informacja przekazywana monotonnie w sposób zagadkowy i pozbawiony sensu, dający się określić tylko jako bełkot. Dwa dźwięki powtarzane najczęściej można oddać za pomocą tych liter: "Cthulhu" i "R'lyeh". 23 marca, jak było dalej w manuskrypcie, Wilcox się nie zjawił; po przeprowadzeniu wywiadu w miejscu zamieszkania okazało się, że zapadł na jakąś dziwną gorączkę i rodzina zabrała go do domu na Waterman Street. Krzyczał przez całą noc, budząc wszystkich w tym budynku, na przemian to tracąc świadomość, to popadając w delirium. Wuj natychmiast zatelefonował do rodziny i bacznie

od tej pory obserwował ten przypadek; odwiedzał też często doktora Tobeya na Thayer Street, który opiekował się pacjentem. Rozgorączkowany umysł Wilcoxa krążył wokół jakichś dziwnych spraw, a doktor mówiąc o tym aż się wzdrygał. Były więc opowieści o jego dawnych snach, ale i o jakiejś przedziwnej wielkiej rzeczy na "milowych wysokościach", która tam chodzi albo się snuje dookoła. Nigdy nie określił wyraźnie tego obiektu, ale szalone słowa, jakie wypowiadał od czasu do czasu, powtórzone przez doktora Tobeya, przekonały profesora, że jest on identyczny jak owo nieokreślone monstrum, które chciał odtworzyć w rzeźbie podczas snu. Wzmianki o tym obiekcie, wedle doktora, były zawsze wstępem do letargu, w jaki popadał młody człowiek. Dziwna rzecz, ale jego temperatura niewiele przekraczała granice normy, natomiast stan ogólny świadczył raczej o autentycznej gorączce niż o jakimkolwiek zakłóceniu umysłowym. 2 kwietnia, około trzeciej po południu, ustąpiły wszelkie symptomy choroby Wilcoxa. Usiadł prosto na łóżku, zdziwił się swoją obecnością w domu, nieświadom zupełnie tego, co zdarzyło się we śnie czy na jawie od 22 marca. Lekarz orzekł, że stan jego zdrowia jest już dobry i Wilcox wrócił po trzech dniach do swojego mieszkania; ale też i przestał być pomocny profesorowi Angellowi. Wraz z powrotem do zdrowia zniknęły wszelkie ślady dziwnych snów i mój wuj przestał prowadzić notatki z jego nocnych wizji po tygodniu bezcelowych i nie związanych z tematem sprawozdań z najzupełniej normalnych snów.

Tu się kończyła pierwsza część manuskryptu, lecz wzmianki odnoszące się do pewnych rozproszonych zapisków dostarczyły mi dużo materiału do myślenia - w gruncie rzeczy tak dużo, że tylko wrodzony sceptycyzm, kształtujący wtedy moją filozofię, może być odpowiedzialny za ciągłą nieufność w stosunku do artysty.



Wspomniane notatki były opisem snów rozmaitych osób z tego samego okresu, w którym młody Wilcox składał tak dziwne wizyty. Mój wuj, wydaje się, szybko rozwinął ogromny, na szeroką skalę zakrojony wywiad pośród niemal wszystkich przyjaciół, do których mógł bez posądzenia o zuchwalstwo zwrócić się z prośbą o relacje z ich snów z podaniem daty co ciekawszych sennych wizji z przeszłości.

Na prośbę tę reagowano w różny sposób, jednakże spotkał się ze znacznie większym odzewem niż każdy przeciętny człowiek posiadający do pomocy sekretarkę.

Korespondencja w wersji oryginalnej nie zachowała się, ale jego notatki były dokładnym i naprawdę wiele znaczącym sprawozdaniem. Relacje przeciętnych ludzi ze sfer towarzyskich i biznesu - stanowiących tradycyjną "sól ziemi" Nowej Anglii - okazały się prawie zupełnym fiaskiem, jednak pojedyncze przypadki niespokojnych, acz nie sprecyzowanych impresji nocnych pojawiają się tu i ówdzie, zawsze między 23 marca a 2 kwietnia - w okresie delirium młodego Wilcoxa. Naukowcy byli trochę pod ich większym wpływem, choć dość niejasny opis czterech przypadków nasuwa przelotne obrazy dziwnych krajobrazów, a jeden wspomina o lęku przed czymś wykraczającym poza przyjęte granice wyobraźni.

To od artystów i poetów nadeszły owe trafne odpowiedzi i jestem przekonany, że rozpętałyby się panika, gdyby byli w stanie porównać zanotowane uwagi. W tej jednak sytuacji, z powodu braku oryginalnych listów, uznałem, że kompilator musiał zadawać wiodące pytania albo też sam zredagował listy będące świadectwem tego, co skrycie postanowił zobaczyć. Dlatego też wciąż czułem, że Wilcox w pewnym stopniu świadom wszystkich danych będących od dawna w posiadaniu mego wuja, okpiwał starego naukowca. Odpowiedzi estetyków stanowiły bulwersującą opowieść. Między 28 lutego a 2 kwietnia ogromna większość z nich śniła o dziwnych rzeczach, a nasilenie tych snów znacznie narastało w okresie delirium rzeźbiarza. Ponad jedna czwarta spośród tych, którzy cokolwiek donosili,

opisywała sceny i dźwięki niewiele odbiegające od tych, które podawał Wilcox, a poniekąd zwracali się z przeszywającego ich lęku przed ogromną i jakąś niesłychaną rzeczą widzianą pod koniec snu. Jeden przypadek, szczególnie podkreślany w tym opisie, był bardzo smutny. Jego obiekt, powszechnie znany architekt skłaniający się ku teozofii i okultyzmowi, uległ gwałtownemu napadowi szaleństwa w okresie delirium Wilcoxa i po kilku miesiącach wyzionął ducha wołając bez ustanku, aby go ocalono przed jakimś zbiegłym z piekieł stworem.

Gdyby wuj opatrywał owe przypadki imieniem, zamiast posługiwać się tylko cyfrą, podjąłbym osobiście badania w celu potwierdzenia ich wiarygodności; w tej jednakże sytuacji udało mi się natrafić na ślad ledwie kilku przypadków. Ale te były dokładnie opisane. Często zastanawiałem się, czy wszystkie osoby, które profesor wypytywał, były równie zaskoczone, jak te tu opisane. Dobrze się składa, że żadne wyjaśnienie do nich nie dotrze.

Wycinki prasowe, jak już wspomniałem, wskazywały na przypadki paniki, obłądzenia i ekscentryczności w danym okresie. Profesor Angell zatrudnił chyba całe biuro wycinków prasowych, bo liczba notatek była wprost niesamowita, a źródła rozproszone po całej kuli ziemskiej. Tu oto było samobójstwo nocą w Londynie, człowiek śpiący samotnie, krzyknąwszy przeraźliwie, wyskoczył przez okno. Inny wycinek cytował zaskakujący list do wydawcy gazety w Południowej Ameryce, w którym jakiś fanatyk przepowiada straszną przyszłość na podstawie makabrycznej wizji sennej. Przesłane wycinki z Kalifornii opisują kolonię teozofów odzianych en masse w białe szaty, dla jakiegoś chwalebego spełnienia życzeń, które nigdy się nie ziszczą, podczas gdy wycinki z Indii mówią niejasno o niepokoju tamtejszych mieszkańców, jaki zauważono pod koniec marca. Na Haiti nasilają się orgie czarnoksiężników, zaś afrykańska forpoczta donosi o złowieszczych rozruchach. Amerykańscy inspektorzy na Filipinach stwierdzają, że pewne plemiona sprawiają im kłopoty w tym czasie, a nocą z 22 na 23 marca nowojorską policję atakują rozhisteryzowani Lewantyńscy.

W zachodniej części Irlandii występują zamieszki i krążą różne legendy, natomiast pełen fantazji malarz, Ardois-Bonnot, wystawia bluźnierczy obraz "Pejzaż ze snu" na paryskim wiosennym wernisażu 1926 roku. A tak liczne kłopoty zanotowano w zakładach dla psychicznie chorych, że chyba tylko cudem lekarska korporacja nie dostrzegła dziwnego paralelizmu i nie wyciągnęła mistycznych wniosków. Ogromny stos wycinków; a ja w tym czasie prawie nie dostrzegałem swego zimnego racjonalizmu, z jakim odkładałem je na bok. Byłem jednak wtedy przekonany, że Wilcox znaj już wcześniej sprawy, o jakich wspomina profesor.

Chapter 2

Opowieść inspektora Legrasse

Dawniejsze sprawy, z powodu których sen rzeźbiarza i jego płaskorzeźba stały się kwestią tak wielkiej wagi dla mego wuja, są tematem drugiej części obszernego manuskryptu. Okazuje się, że niegdyś profesor Angell ujrzał piekielne zarysy niesamowitego potwora, głowiąc się nad jakimiś nieznanymi hieroglifami, i usłyszał złowieszcze sylaby, które można było odtworzyć tylko jako "Cthulhu"; a wszystko w tak pełnym zamętu i strasznym powiązaniu, że trudno się dziwić, iż molestował młodego Wilcoxa pytaniami i domagał się szczegółowych danych.

To wcześniejsze zdarzenie miało miejsce w 1908 roku, siedemnaście lat temu, podczas dorocznego zebrania Stowarzyszenia Amerykańskich Archeologów w St.Louis. Profesor Angell, stosownie do swego autorytetu i osiągnięć naukowych, spełniał czołową rolę we wszystkich rozważaniach, był też jednym z pierwszych, do którego zgłosiło się kilka osób spoza stałego grona, jako do wybitnego przedstawiciela tego zebrania, z prośbą o prawidłową odpowiedź na ich pytania i fachowe rozwiązanie nurtujących ich problemów. Głównym przedstawicielem grona outsiderów, który zresztą wkrótce stał się centralnym obiektem zainteresowania całego zgromadzenia, był mężczyzna w średnim wieku, o dość pospolitym wyglądzie, który przyjechał aż z Nowego Orleanu, aby zdobyć pewne informacje, raczej szczególnej natury, nieosiągalne w żadnym z lokalnych źródeł. Nazywał się John Raymond Legrasse i był inspektorem policji. Przywiózł ze sobą przedmiot będący celem tej wizyty, groteskową, budzącą odrazę i niewątpliwie bardzo starą kamienną statuetkę, której pochodzenia nie był w stanie ustalić.

Trudno przypuszczać, aby inspektor Legrasse interesował się choćby w najmniejszym stopniu archeologią. Wręcz przeciwnie, jego pragnienie, aby wyjaśnić tę zagadkę, miało charakter czysto profesjonalny. Statuetka, bożek, fetysz, cokolwiek to było, została znaleziona kilka miesięcy temu w lasach rosnących na moczarach na południe od Nowego Orleanu podczas obławy na czarnoksiężników, którzy mieli odbywać tam swoje zgromadzenia; tak niezwykle i tak niesamowite były obrzędy związane z tą statuetką, że policja nie miała wątpliwości, iż natknęła się na jakiś tajemniczy kult, zupełnie nieznanany i o wiele bardziej szatański niż wszelkie znane dotąd, najbardziej mroczne kultury czarnoksiężników afrykańskich. O jej pochodzeniu, poza chaotycznymi i wprost niewiarygodnymi opowieściami, jakie z trudem wydobyto od schwytanych członków zgromadzenia, nie dowiedziano się absolutnie niczego; stąd usilne dążenie policji, aby nauka o starożytności pomogła zidentyfikować ten przerażający symbol i przyczynić się do wyśledzenia kultu aż po samo jego źródło. Inspektor Legrasse nie spodziewał się, że statuetka wywoła aż taką sensację. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby wszyscy zebrani tam ludzie nauki popadli w stan euforycznego podniecenia; stłoczyli się wokół niego, by przyjrzeć się maleńkiej statuetce, której niepojęta osobliwość i autentyczny powiew najbardziej odległej starożytności otwierały zupełnie nieznanne możliwości. Żadna ze sławnych szkół rzeźbiarskich nie potrafiła rzucić światła na ten niesamowity przedmiot, a jednak na jego zielonkawej powierzchni z nieznanego kamienia były wyryte ślady setek, a nawet tysięcy lat.

Figurka która zaczęła przechodzić z rąk do rąk dla dokładniejszych oględzin, miała około siedmiu a nawet ośmiu cali wysokości i została wykonana w sposób mistrzowski i wysoce artystyczny. Przedstawiała potwora o niewyraźnych antropoidalnych kształtach, głowie ośmiornicy i twarzy pełnej macek, tułowiu gąbczastym i pokrytym łuskami, ogromnych szponach na przednich i tylnych łapach i długich, wąskich skrzydłach z tyłu. Zdawała się zionąć przerażającą i jakąś nienaturalną złośliwością, była jakby

trochę wypukła i korpulentna i osadzona na kwadratowym bloku albo postumencie pokrytym nieczytelnymi znakami. Końce skrzydeł dotykały tylnego brzegu podstawy, podczas gdy długie, zakrzywione szpony skrzyżowanych i podkurczonych zadnich nóg obejmowały brzeg od przodu i sięgały jedną czwartą długości pod spód podstawy. Głowa wyrastająca jakby z nóg była pochylona do przodu, tak że koniuszki czulek na twarzy ocierały się o wielkie przednie szpony obejmujące podkurczone i uniesione kolana. Statuetka wyglądała jak żywa i tym bardziej budziła lęk, że jej pochodzenie było tak całkowicie nieznane. Nie ulegało wątpliwości, że jej wiek był nieogarniony; nawet w najdrobniejszym szczególe nie wykazywała związku z żadnym rodzajem sztuki przynależnym do młodej cywilizacji - a właściwie do żadnej cywilizacji znanej na tym świecie. W tej całkowitej odrębności i wyizolowaniu nawet tworzywo, z którego została wykonana, było tajemnicze, ponieważ miękki, zielonoczarny kamień ze złocistymi i opalizującymi cętkami i prążkami nie przypominał żadnego znanego w geologii czy mineralogii kamienia. Znaki na podstawie były również zaskakujące i nie do odczytania; nikt spośród obecnych, choć zgromadziła się reprezentacja ekspertów w tej dziedzinie z połowy świata, nie potrafił znaleźć choćby najmniejszego podobieństwa do jakichkolwiek znanych im nawet najstarszych języków. Znaki te, podobnie jak sama statuetka i materiał z którego została wykonana, przynależały do jakichś bardzo odległych czasów, nieznanymi rodzajowi ludzkiemu; sugerowały, napełniając grozą, ogromnie dawne i bezbożne życie, w którym nasz świat i nasze wyobrażenia nie mają żadnego udziału. A jednak, kiedy członkowie tego zgromadzenia potrząsali głowami jeden po drugim i przyznawali zgodnie, że nie potrafią rozwikłać problemu inspektora, znalazł się ktoś, komu wydawało się, że chyba wie co nieco o tej przerażającej statuetce i piśmie na postumencie, po czym z pewnym onieśmieleniem opowiedział dziwną historię. Był to William Channing Webb, profesor antropologii w Princeton University, badacz naukowy raczej mało znany.

Profesor Webb został zaangażowany czterdzieści osiem lat temu jako członek wyprawy badawczej do Grenlandii i Islandii w poszukiwaniu pewnych napisów runicznych, których jednak nie udało mu się znaleźć; a daleko na zachodnim brzegu Grenlandii natknął się na niezwykle plemię czy też kult zdegenerowanych Eskimosów, odprawiających dziwne obrzędy ku czci szatana, a już szczególnie zmroziła go ich pełna premedytacji i odrażająca żądza krwi. Była to religia, o której inni Eskimosi raczej mało wiedzieli, a na którą reagowali jedynie wzruszeniem ramion mówiąc, że pochodzi z okresu bardzo dawnych eonów, jeszcze przed stworzeniem świata. Oprócz potwornych obrzędów i ofiar składanych z ludzi odprawiali jakieś niesamowite, odziedziczone po przodkach rytuały, przeznaczone dla nadrzędnego, starszego diabła albo tornasuka; z tych rytuałów profesor Webb sporządził fonetyczny zapis słuchając wiekowego angekoka albo duchownego-czarownika, odtworzywszy te dźwięki za pomocą rzymskich liter w miarę możliwości jak najdokładniej. Teraz jednak największe znaczenie miał bożek, którego w tym kulcie otaczano czcią i wokół którego wykonywano tańce, gdy zorza polarna wznosiła się wysoko nad okryte lodem urwiska skalne. Była to, jak stwierdził profesor, bardzo prymitywnie wykonana kamienna płaskorzeźba, a na niej szkaradny obraz i jakieś tajemnicze pismo. Zgodnie z tym, co zapamiętał, przypominała w ogólnych zarysach tego właśnie leżącego teraz przed zebranymi potwora. Powyższe dane, przyjęte przez zebranych z największym zdumieniem i powątpiewaniem, wzbudziły jeszcze większe zainteresowanie inspektora Legrasse; zasypał profesora pytaniami. Mając zanotowany i przepisany tekst rytuału czarowników na moczarach, których jego ludzie aresztowali, zwrócił się z prośbą do profesora, aby przypomniiał sobie możliwie najdokładniej sylaby, jakie zapisał wśród diabolicznych Eskimosów. Nastąpiły teraz wyczerpujące porównania szczegółów, po czym zapanował moment naprawdę przerażającej ciszy, kiedy zarówno detektyw jak i naukowiec ustalili identyczną zgodność frazy obu diabelskich rytuałów odległych od

siebie o taki szmat świata. To, co w istocie zarówno eskimoscy czarownicy, jak i kapłani na moczarach w Luizjanie śpiewali małym bożkom, tak się mniej więcej przedstawiało - poszczególne słowa można było odgadnąć na podstawie przerw ustalonych tradycyjnym zwyczajem w śpiewanej frazie:

"Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagi fhtagn."

Legrasse miał w tym względzie przewagę nad profesorem Webbem, ponieważ kilku z jego więźniów przekazało mu znaczenie tej frazy, zgodnie z wyjaśnieniem, jakie otrzymali od starszych celebrantów. Tekst brzmiał mniej więcej tak:

"W tym domu w R'lyeh czeka w uśpieniu zmarły Cthulhu."

Teraz inspektor Legrasse na usilne nalegania zebranych zaczął opowiadać możliwie najdokładniej swoją przeprawę z czcicielami bożka na moczarach; była to opowieść, do której mój wuj, jak się zdołałem zorientować, przywiązywał szczególną wagę. Graniczyła ona z najdziwniejszymi mrzonkami mitomana i teozofa i ujawniała zadziwiający stopień kosmicznej wyobraźni pośród takich mieszańców krwi i pariasów, po których najmniej można się było tego spodziewać. 1 listopada 1907 roku nowoorleańska policja otrzymała pilne wezwanie na tereny moczarów i lagun, znajdujące się na południu. Tamtejsi osadnicy, w większości prymitywni, ale prostoduszni potomkowie Lafitte'ów, żyli w panicznym lęku przed czymś nieznanym, co zakradało się do nich nocą. Były to niewątpliwie praktyki czarnoksiężskie, ale z takim okropieństwem jeszcze się dotychczas nie spotkali; kilka ich kobiet i kilkoro dzieci zniknęło w momencie, gdy rozległo się złowieszcze bicie bębna w głębi mrocznych, nawiedzonych lasów do których nie zaglądał żaden z okolicznych mieszkańców. Dochodziły stamtąd oszalałe krzyki, jęki udręczonych i zawrota mrozące krew w żyłach, pojawiały się też roztańczone, diabelskie płomienie; zastraszony posłaniec powiedział, że przekracza to już wytrzymałość miejscowej ludności.

Tak więc grupa dwudziestu policjantów w dwóch wozach i samochodzie wyruszyła późnym popołudniem z roztrzęsionym posłańcem jako

przewodnikiem. Na końcu drogi wysiedli i dalej brnęli pieszo pokonując całe mile w milczeniu pośród przerażających cyprysowych lasów, do których dzień nigdy nie zaglądał. Paskudne korzenie i zwisające złowieszczo pętle hiszpańskiego mchu zagradzały im przejście, a co pewien czas zwalisko wilgotnych kamieni albo szczątki zmurszałego muru będące przypomnieniem, jak schorzałe jest to miejsce, potęgowały nastrój grozy, którą budziło każde zniekształcone drzewo i każda kępa porośla grzybami. W końcu wyłoniło się przed nimi osiedle bezładnie rozproszonych ubogich chat; rozhisteryzowani mieszkańcy wybiegli i zgromadzili się wokół migocących latarek. Gdzieś daleko rozlegało się ledwo słyszalne stłumione bicie w bębny; co pewien czas, wraz z powiewem wiatru, dobiegał ścinający krew w żyłach krzyk. Poprzez jasne poszycie, spoza bezkresnych ścieżek lesistej nocy zdawało się przenikać czerwone światło. Mieszkańcy tej osady drżeli na myśl, że muszą sami pozostać, i każdy z nich, zląkniony, kategorycznie odmawiał aby zbliżyć się choćby na krok w stronę tego diabelskiego miejsca obrzędów, wobec tego inspektor Legrasse wraz z dziewiętnastoma kolegami zapuścił się bez przewodnika w czarne arkana koszmaru, z jakim jeszcze się w życiu żaden z nich nie zetknął.



Teren, na który wkroczyła policja, miał z dawna ustaloną złą reputację, był absolutnie nieznany, bo nie dotknęła go stopa białego człowieka. Krążyły legendy o tajemniczym jeziorze, którego nie ujrzał jeszcze żaden śmiertelnik, a w którym mieszka ogromny, bezkształtny, biały, polipowaty stwór, o błyszczących ślepiach; tubylcy szeptali, że czarty o skrzydłach nietoperza wylatują z jam w głębi ziemi, aby oddawać mu cześć o północy. Powiadali, że przebywał tam jeszcze przed d'Iberville, przed La Sallem, przed

Indianami, nawet jeszcze wtedy, kiedy w lasach nie było ani zwierząt, ani ptaków. Była to zmora nocna, a zobaczyć ją - znaczyło umrzeć. Prześladowała jednak ludzi w snach, wiedzieli więc o niej wystarczająco dużo, aby się trzymać z daleka. Orgia czarowników odbywała się teraz na samym brzegu tego odrażającego terenu, co było już wystarczająco okropne; miejsce odprawiania czarów przerażało tubylców bardziej niż wstrząsające odgłosy i same wydarzenia.

Tylko poezja albo obłąd mogły usprawiedliwić wrzaski, jakie docierały do Legrasse'a, kiedy brnęli poprzez czarne grzęzawisko w kierunku czerwonego blasku i przytłumionego bicia w bębny. Istnieją odgłosy właściwe ludziom i właściwe zwierzętom; straszne jednak są one wtedy, gdy słyszymy głosy ludzkie, a zdają się je wydawać dzikie bestie. Zwierzęca furia i wyuzdana orgia wzbijały się do demonicznych wyżyn, przecinane wyciem i skrzeczącym wrzaskiem najwyższej ekstazy, która rozdzierała i wibrowała w tym spowitym nocą lesie niczym złowroga burza dobywająca się z piekielnych głębi. Od czasu do czasu słabiej sterowane zawodzenie cichło i to, co zdawało się być dobrze wyćwiczonym chórem ochrypłych głosów, przeradzało się w przyśpiewkę, w której rozbrzmiewała ta ohydna fraza czy też rytuał:

"Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagi fhtagn."

Kiedy dotarli do miejsca, w którym drzewa się przerzedzały, natknęli się na prawdziwe widowisko. Czterech spośród ludzi Legrasse'a cofnęło się, jeden zemdlał, a dwaj pod wpływem doznanego wstrząsu, wydali z siebie przeraźliwy krzyk, który na szczęście zagłuszyła rozszalała kakofonia orgii. Legrasse chlusnął bagnistą wodą w twarz omdlałego policjanta, po czym wszyscy stanęli dygocąc, niemal zahipnotyzowani straszonym widowiskiem. W naturalnej przesiece, jaką było bagnisko, widniała porośla trawą wyspa wielkości około akra, bez drzew i w miarę sucha. Na niej właśnie podskakiwała i wiła się horda ludzkich potworów, jeszcze bardziej niesamowita niż na obrazach Sime'a Angaroli. Naga gromada hybrydów

ryczała, wyła i spazmatycznie wyginała się wokół ogromnego ognia w kształcie pierścienia; gdy rozchyłała się zasłona dymu, ukazywał się stojący w samym środku ogniska wielki granitowy monolit, wysoki na jakieś osiem stóp; na jego wierzchołku spoczywała absurdalnie mała i dziwacznie wyrzeźbiona statuetka. Z szerokiego kręgu dziesięciu platform rozstawionych w regularnych odstępach wokół spowitego ogniem monolitu zwisały głową w dół ciała owych mieszkańców osady, którzy zniknęli. Pośrodku tego właśnie kręgu stojący kołem wierni skakali i ryczeli, przesuając się w prawo w bezustannych bachanaliach pomiędzy kręgiem ciał i płonącym ogniskiem. Może zadziałała tu wyobraźnia, a może rozbrzmiewające echo, ale jeden z członków wyprawy, Hiszpan, ogromnie podekscytowany, twierdził, że słyszał w dali, w głębi nie objętego blaskiem ognia lasu starych legend i koszmaru, odzew na odprawiany obrzęd. Z człowiekiem tym, który nazywał się Joseph D. Galvez, spotkałem się i rozmawiałem; okazał się roztargniony i skłonny do bujnej fantazji. W swoich rozważaniach sięgał nawet tak daleko, że wspominał coś o cichym trzepocie wielkich skrzydeł, o błyszczących oczach i ogromnej białej masie prześwitującej spoza odległych drzew - myślę jednak, że nasłuchiwał się zbyt wielu tubylczych zabobonów. Chwila przerażającego milczenia, jakie ogarnęło ludzi Legrasse'a, nie trwała jednak długo. Pobudził ich obowiązek; choć w tym tłumie celebrantów było około stu mieszkańców krwi, policjanci zaopatrzeni w broń rzucili się bez wahania na to budzące wstręt zgromadzenie. Przez pięć minut trwał zgiełk i chaos nie do opisania. Padały oszalałe ciosy, strzały, tłum rozproszył się na wszystkie strony; w końcu jednak Legrasse zdołał się doliczyć około czterdziestu siedmiu ponurych jeńców, którym natychmiast kazał się ubrać i ustawić w szeregu pomiędzy dwoma rzędami policjantów. Pięciu spośród wyznawców tego obrzędu zostało zabitych, dwóch ciężko rannych ich współtowarzysze odnieśli na zaimprovizowanych noszach. Legrasse ostrożnie zdjął z monolitu rzeźbę i zabrał ją ze sobą.

Po bardzo forsownej i nużącej podróży jeńcy zostali przesłuchani na

komendzie i okazało się, że wszyscy są ogromnie prymitywnymi mieszkańcami krwi i objawiają zaburzenia umysłowe. W większości byli to marynarze, Murzyni i Mulaci, głównie z Indii Zachodnich albo portugalskiej Brava z wysp Cape Verde; wykonywali czarnoksiężskie praktyki oddając się heterogenicznemu kultowi. Jednakże już po zadaniu im kilku pytań stało się oczywiste, że zachodzi tu zjawisko o wiele głębsze i starsze niż murzyński fetyszym. Choć tak zwyrodniali i ignorancy, obstawali ze zdumiewającą konsekwencją przy przewodniej idei swojej szkaradnej wiary. Czčili, jak sami powiadali, Wielkie Dawne Bóstwa, które żyły przed wiekami, kiedy to jeszcze nie było ludzi, a które przybyły do tego młodego świata prosto z nieba. Teraz już ich tutaj nie ma, są głęboko pod ziemią i pod dnem oceanów; ale ich ciała zwierzyły swoje tajemnice pierwszemu człowiekowi podczas snu i on to właśnie stworzył kult, który nigdy nie zaniknie. To właśnie ich kult, który, jak twierdzili jeńcy, zawsze istniał i zawsze będzie istniał, skrywany na dalekich pustkowiach i w mrocznych zakątkach świata, dopóki wielki Cthulhu nie powstanie ze swego spowitego mrokiem domu w potężnym mieście R'lyeh znajdującym się pod wodą i nie obejmie znowu władzy nad światem. Pewnego dnia, kiedy gwiazdy będą gotowe, rozlegnie się jego wołanie, a tajemniczy kult będzie trwał w oczekiwaniu na jego wyzwolenie. Do tego czasu nic więcej nie wolno mówić. Jest to tajemnica, której nie zdołają wyjawić żadne tortury. Ludzkość nie jest sama pośród wszystkich rzeczy na ziemi, których jesteśmy świadomi, bowiem z ciemności przybywają cienie i nawiedzają swoich wiernych. Nie są to jednak Wielkie Bóstwa. Człowiek ich jeszcze nie widział. Wyrzeźbione bóstwo to wielki Cthulhu, ale nikt nie potrafiłby powiedzieć, czy tak właśnie owe bóstwa wyglądają. Nikt też nie potrafiłby teraz odczytać starego napisu, ale słowa te zostały kiedyś wypowiedziane. Słowa nucone podczas obrzędu nie są tajemnicą - nigdy jednak nie mówi się ich głośno, tylko szeptem. A znaczą:

"W tym domu w R'lyeh czeka w uśpieniu zmarły Cthulhu".

Tylko dwaj jeńcy okazali się na tyle zdrowi na umyśle, aby ich można

było powiesić, pozostałych przekazano do różnych zakładów psychiatrycznych. Wszyscy wyparli się udziału w morderstwie podczas obrzędów i twierdzili, że ludzie ci zostali zabici przez Bóstwa o Czarnych Skrzydłach, które przybyły do nich ze swej siedziby pośród nawiedzonych lasów. Jednak żadnego sensownego zeznania nie udało się wydobyć od tajemniczych sprzymierzeńców. Jedynie od bardzo wiekowego Metysa nazwiskiem Castro policja zdołała nieco wyciągnąć, on zaś utrzymywał, że zawijał do różnych dziwnych portów i tam rozmawiał z nieśmiertelnymi wodzami kultu, żyjącymi pośród gór w Chinach. Stary Castro pamiętał fragmenty strasznych legend, które podważały teorie teozofów i dowodziły, że zarówno świat, jak i człowiek istnieją od niedawna i są rzeczywiście zjawiskiem przemijającym. Były eony, podczas których inne rzeczy panowały na ziemi i miały swoje wielkie miasta. Pozostałości tych Rzeczy - jak oświecili go nieśmiertelni Chińczycy - można jeszcze teraz spotkać w postaci gigantycznych skał na Pacyfiku. Zmarły one przed wieloma wiekami, nim jeszcze nastał człowiek, są jednak sposoby, za pomocą których można je przywrócić do życia, kiedy gwiazdy osiągną właściwe położenie w cyklu wieczności. Przybyły z gwiazd i sprowadziły ze sobą swoje wizerunki. Te Wielkie Stare Bóstwa, wyjaśniał dalej Castro, nie miały ciała ani krwi. Posiadały kształt - czyż nie świadczył o tym ten posążek ? - ale nie były zbudowane z materii. Kiedy gwiazdy ustawią się we właściwej pozycji, Bóstwa będą mogły wędrować poprzez niebo ze świata do świata; zaś póki gwiazdy nie mają odpowiedniej konfiguracji, Bóstwa nie mogą żyć. Ale chociaż teraz nie żyją, to naprawdę nie umierają nigdy. Spoczywają w kamiennych domach w swoim wielkim mieście R'lyeh, zabezpieczone czarami potężnego Cthulhu do czasu chwalebego zmartwychwstania, kiedy to gwiazdy i ziemia będą znowu gotowe na ich przyjęcie. Wtedy jednak jakaś siła z zewnątrz musi przyczynić się do ich uwolnienia. Czary, dzięki którym istnieją, jednocześnie powstrzymują je od poruszania się, więc mogą tylko leżeć rozbudzone w ciemności i rozmyślać całe miliony upływających lat.

Wiedzą o wszystkim, co się dzieje we wszechświecie, bowiem porozumiewają się za pomocą przekazywanych myśli. Nawet teraz rozmawiają w swoich grobowcach. Kiedy po nieprzeliczonych wiekach chaosu nastali pierwsi ludzie, Wielkie Stare Bóstwa przemówiły do najwrażliwszych spośród nich kształtując ich sny, bo tylko tą drogą ich język mógł osiągnąć cielesnych ssaków.

- Wtedy to właśnie - wyjawiał szeptem Castro - pierwsi ludzie stworzyli kult małych bożków, które pokazały im Wielkie Stare Bóstwa; bożki zostały sprowadzone na ziemię w tajemniczych wiekach wprost z mrocznych gwiazd. Ten kult nie zaniknie, dopóki gwiazdy nie zajmą właściwego miejsca, a tajemni kapłani nie wyzwolą wielkiego Cthulhu z grobu, aby przywrócił do życia swych podwładnych i objął panowanie na ziemi. Czas ten łatwo będzie rozpoznać, ponieważ ludzie staną się podobni do Wielkich Starych Bóstw; wolni i swobodni, poza zasięgiem dobra i zła, odrzucają wszelkie prawa i zasady moralne, będą krzyczeć, zabijać i pławić się w radości. Wyzwolone Stare Bóstwa nauczą ludzi, jak krzyczeć, jak zabijać, jak radować się i bawić, a cała ziemia rozgorzeje całopalną ofiarą ekstazy i wolności. Tymczasem jednak ich kult, wyrażany w odpowiednich obrzędach, musi ożywiać pamięć tych dawnych zwyczajów i duchów, zapowiadając ich powrót na ziemię.



Dawniej ludzie porozumiewali się w snach ze Starymi Bóstwami spoczywającymi w grobach, ale potem coś się stało. Wielkie kamienne miasto R'lyeh, wraz z monolitami i grobowcami, skryło się pod falami; głębokie wody, pełne pierwotnej tajemnicy, przez które nawet myśl nie może przeniknąć, odcięły wszelki z nimi kontakt. Jednakże pamięć nigdy nie ginie,

a wielcy kapłani twierdzą, że miasto znowu się wyłoni, gdy gwiazdy zajmą prawidłową pozycję. Wtedy wynurzą się z głębi ziemi czarne duchy, pokryte pleśnią i widmowe, pełne tajemnych wieści nagromadzonych w otchłaniach pod niedostępnym dnem oceanów. O nich jednak stary Castro nie miał odwagi mówić. Natychmiast przerwał swą opowieść i żadne perswazje ani też prośby nie zdołały go nakłonić do kontynuowania tego tematu. O rozmiarach Starych Bóstw nawet słowem nie chciał wspomnieć. Wyjawiał tylko, że główny ośrodek kultu znajduje się, jak przypuszczał, pośród nieprzebytych arabskich pustyni, gdzie Irem, miasto Pillarów, spoczywa ukryte i nietknięte. Kult ten nie ma żadnego związku z europejskim kultem czarownic i jest znany wyłącznie członkom tego ugrupowania. Żadna książka na świecie nawet o nim nie wspomina, choć nieśmiertelni Chińczycy twierdzą, że są dwie wzmianki w "Necronomicon" Szalonego Araba, Abdula Alhazreda, które wtajemniczeni mogli by odczytać dowolnie, zwłaszcza ten często dyskutowany kuplet:

" Nie jest umarłym ten, który może spoczywać wiekami, Nawet śmierć może umrzeć wraz z dziwnymi eonami. "

Legrasse, mocno poruszony i z lekka oszołomiony, na próżno wypytywał o historyczną przynależność tego kultu. Castro, oczywiście, wyznał prawdę, kiedy powiedział, że jest to głęboka tajemnica. Uczeni z Tulane University nie potrafili rzucić żadnego światła ani na kult, ani na ten posązek, wobec tego detektyw przybył do najwyższych autorytetów w kraju i usłyszał niewiele więcej poza grenlandzką opowieścią profesora Webba. Gorączkowe zainteresowanie, jakie wzbudziła wśród zebranych opowieść Legrasse'a, a także przywieziona przez niego statuetka, znalazło odbicie w korespondencji poszczególnych uczestników zebrania; natomiast w oficjalnej publikacji stowarzyszenia niewiele wzmiankowano na ten temat. Ostrożność zawsze cechuje tych, którym zdarza się zetknąć z szarlatanerią i czarami. Legrasse wypożyczył na pewien czas statuetkę profesorowi Webbowi, który jednak wkrótce zmarł. Została zwrócona Legrasse'owi i wciąż znajduje się w jego

posiadaniu, a niedawno miałem nawet możliwość ją sobie obejrzeć. Jest rzeczywiście potworna i bez wątpienia podobna do rzeźby młodego Wilcoxa. Nie dziwię się, że opowieść rzeźbiarza tak bardzo wzburzyła mego wuja, bo przecież znał już relację Legrasse'a. Można sobie wyobrazić, jakie myśli wzbudziło w nim to, co usłyszał od wrażliwego młodego człowieka, który ujrzał we śnie nie tylko samą figurkę i dokładny zapis hieroglificzny, jak na statuetce znalezionej na bagnach i na grenlandzkiej płaskorzeźbie, ale jeszcze na dodatek usłyszał co najmniej trzy słowa formuły wymówionej przez eskimoskich wyznawców czarnej magii, a także wyznawców kultu w Luizjanie. Wydaje się więc najzupełniej oczywiste, że profesor Angell z miejsca zainteresował się sprawą i chciał ją poznać jak najdokładniej; ja jednak w głębi ducha podejrzewałem, że młody Wilcox gdzieś usłyszał kiedyś o tym kulcie i po prostu zmyślał opowieści o swoich snach, aby kosztem mego wuja podtrzymać tę tajemnicę. Zgromadzone wycinki z gazet i opowieści o różnych snach były dość przekonującym świadectwem; jednakże mój racjonalny umysł i niezwykłość całej tej sprawy skłoniły mnie do wyciągnięcia wniosków, które wydawały mi się najrozsądniejsze. Tak więc, po dokładnym zapoznaniu się z manuskryptem i zestawieniu go z teozoficznymi i antropologicznymi notatkami, a także z opowieścią Legrasse'a, odbyłem podróż do Providence, żeby zobaczyć się z rzeźbiarzem i powiedzieć mu kilka słów prawdy co do tego, że tak bez ogródek okpił uczonego i starego człowieka.

Wilcox nadal mieszkał sam w budynku Fleur-de-Lys na Thomas Street, będącym szkaradną wiktoriańską imitacją siedemnastowiecznej bretońskiej architektury, który ozdobionym stiukami frontem puszył się wśród pięknych domów w stylu kolonialnym położonych na wzgórzu i zażywał cienia pod najwspanialszą w Ameryce georgiańską strzelistą wieżą. Zostałem go przy pracy i z miejsca zorientowałem się po rozrzuconych we wszystkich pokojach rzeźbach, że mam do czynienia z autentycznym i wybitnym talentem. Jestem przekonany, że kiedyś zyska rozgłos jako jeden z

największych dekadentów: teraz wyraża się w glinie, ale kiedyś w przyszłości ujawni w marmurze wszystkie te mary nocne i twory fantazji, które Arthur Machen pokazuje w swojej prozie, a Clark Ashton Smith w poezji i malarstwie. Ciemny, drobny, niedbale ubrany, ledwie obrócił się słysząc pukanie i spytał, czego sobie życzę, nawet nie wstając. Dowiedziawszy się kim jestem, okazał pewne zaciekawienie; mój wuj wzbudził w nim zainteresowanie wypytując tak dociekliwie o jego sny, ale nigdy nie wyjawiał mu przyczyny swojego zainteresowania. Ja również nie przyczyniłem się do wzbogacenia jego wiedzy w tym zakresie i starałem się, zachowując pozory, jak najwięcej z niego wyciągnąć. Szybko zorientowałem się, że opowieści o jego snach były naprawdę szczerze i nie budzące wątpliwości. To właśnie one i wciąż jeszcze żywe ich wspomnienia wywarły wpływ na całą jego dalszą twórczość; pokazał mi statuetkę będącą wytworem schorzałej wyobraźni, której zarysy, świadczące o sile ciemnych mocy, głęboko mną wstrząsnęły. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek przedtem widział taki przedmiot, znany mu był tylko ze snu, a jego ręce kształtowały go bezwiednie. Był to bez wątpienia potwór z jego majaczeń sennych. Nie ulegało wątpliwości, że nie miał najmniejszego pojęcia o kulcie, otoczonym tak ścisłą tajemnicą, może jedynie wuj uchylił rąbka tajemnicy surowo strzeżonej w jego katechizmie; znowu więc zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób zostały mu przekazane tak niesamowite wrażenia. Mówił o swoich snach dziwnie poetyckim stylem, ze straszliwą wyrazistością zobaczyłem ociekające wodą miasto Cyklopów zbudowane z oślizgłego zielonego kamienia - którego wymiary geometryczne, jak Wilcox dość osobliwie zaznaczył, były nieprawidłowe - i słyszałem w przerażającym oczekiwaniu nieustanne, półprzytomne wołanie z podziemi: "Cthulhu fhtagn, Cthulhu fhtagn". Słowa te stanowiły część straszego rytuału, który mówił o sennym czuwaniu zmarłego Cthulhu w kamiennej krypcie w mieście R'lyeh, co mną wstrząsnęło do głębi mimo tak racjonalnego stosunku do tej sprawy. Byłem przekonany, że musiał przypadkiem usłyszeć kiedyś o tym kulcie i

wkrótce zapomniał o tym, pogrążony w powodzi równie niesamowitej lektury i własnej wyobraźni. Potem, przy jego wzmożonej wrażliwości, znalazło to podświadomy odzew w snach, w płaskorzeźbie i w tej potwornej statuetce, którą trzymałem teraz w rękach; jeśli było to pewnego rodzaju oszukaństwo w stosunku do mego wuja, to najzupełniej niewinne. Ten młody człowiek, chwilami trochę afektowany, chwilami wskazujący brak dobrych manier, nie budził mojej sympatii; ale nie mogłem mu odmówić talentu, ani uczciwości.



Rozstałem się z nim przyjaźnie, życząc mu sukcesu, na jaki zasługiwał jego talent. Sprawa tego kultu wciąż mnie fascynowała i chwilami snuły się przede mną wizje mojej własnej sławy, związanej z badaniami źródeł jego pochodzenia i wszelkich z nim związków. Wybrałem się więc do Nowego Orleanu, rozmawiałem z Legrassem i innymi uczestnikami dawnej obławy na czarnoksiężników, zobaczyłem tę straszną statuetkę, a nawet miałem możliwość zadać kilka pytań schwytanym jeńcom przebywającym jeszcze w więzieniu. Stary Castro, niestety, zmarł przed kilkoma laty. Wszystko, co usłyszałem z pierwszej ręki, choć nie było w tym nic więcej ponad to, co mój wuj tak szczegółowo potwierdził w swoich zapisach, na nowo obudziło moje zainteresowanie; czułem, że odkryłem ślad prawdziwej, tajemnej i bardzo starej religii, dzięki czemu mogę stać się sławnym antropologiem. Stosunek mój miał w dalszym ciągu podłoże materialistyczne i pragnąłem, aby nadal taki pozostał, a zbieżność sprawozdań ze snów i wycinków zebranych przez doktora Angella przyjmowałem z niewytłumaczalną przekorą. Jak już wspomniałem, zacząłem podejrzewać, a teraz mogę już powiedzieć, że wiem na pewno, iż mój wuj nie zmarł śmiercią naturalną. Przewrócił się na wąskiej

dróżce prowadzącej przez wzgórze ze starej przystani wkrótce po przypadkowym zderzeniu się z jakimś murzyńskim marynarzem. Nie zapomniałem o obławie w Luizjanie na marynarzy, którzy byli wyznawcami tego kultu, i nie zdziwiłbym się, gdybym się dowiedział o ich skrytych metodach i zatrutych igłach, równie bezlitosnych i znanych od najdawniejszych czasów, jak wszystkie tajemnicze obrzędy i wierzenia. To prawda, że Legrasse'a i jego ludzi pozostawiono w spokoju, ale w Norwegii pewien marynarz, który dużo wiedział, nie żyje. Czyżby dogłębne badania prowadzone przez mego wuja, po zapoznaniu się z relacjami rzeźbiarza, dotarły do złowieszczych uszu? Wydaje mi się, że profesor Angell zmarł, ponieważ wiedział za dużo albo mógł się dowiedzieć za dużo. Czy mnie to również czeka, zobaczymy, bo niewątpliwie ja także niemało się dowiedziałem.

Chapter 3

Szaleństwo na morzu

Jeżeli niebo chciałoby mnie kiedykolwiek obdarzyć swymi łaskami, to pragnąłbym, aby rezultaty mego przypadkowego zetknięcia się z leżącym przygodnie skrawkiem papieru zostały na zawsze zatarte. Na pewno nie zwróciłbym nań uwagi w moim programie dnia, gdyż był to stary numer australijskiego dziennika "Sydney Bulletin", z 18 kwietnia 1925 r. Nawet biuro wycinków, które w czasie wydania tego dziennika pieczołowicie zbierało materiały do badań naukowych mego wuja, nie zainteresowało się tym numerem. Już prawie zaniechałem dociekliwych poszukiwań wszystkiego, co wiązało się z "Kultem Cthulhu", jak nazwał go profesor Angell, i wybrałem się do mego uczonego przyjaciela do Paterson w New Jersey; był kustoszem miejskiego muzeum i znanym mineralogiem. Oglądając pewnego dnia przechowywane okazy, poukładane niedbale na półkach w magazynie na tyłach muzeum, zwróciłem uwagę na dość dziwne zdjęcie w jednej ze starych gazet, na której rozłożone były kamienie. Był to "Sydney Bulletin", o którym wspomniałem, jako że mój przyjaciel miał szerokie koneksje we wszystkich stronach świata; na zdjęciu widniała niezbyt wyraźna rycina koszarnej kamiennej statuetki, niemal identycznej z tą, jaką znalazł na bagnach Legrasse. Czym prędzej wyciągnąłem gazetę spod drogocennego przedmiotu i starannie przeczytałem opis; rozczarowałem się jednak, bo nie był zbyt obszerny. Niemniej zawarte w nim wiadomości miały wielkie znaczenie dla coraz już rzadziej prowadzonych przeze mnie poszukiwań; ostrożnie wydarłem ten fragment zamierzając natychmiast przystąpić do akcji.

A oto, co zawierał:

Tajemniczy, bezpański statek znaleziony na morzu, "Viligant", przybywa z pozbawionym załogi nowozelandzkim jachtem na holu. Na pokładzie znajduje się jeden człowiek żywy i jeden trup. Opowieść o desperackiej walce i śmierci na morzu. Ocalony żeglarz odmawia jakiegokolwiek relacji z niezwyklej przygody. Znaleziono przy nim dziwnego bożka. Badania w toku. Należący do Spółki Morrison frachtowiec "Viligant", który wypłynął z Valparaiso, przybył dziś rano do portu w Darling holując pokonany i uszkodzony, ale dobrze uzbrojony parowy jacht "Alert" z Dunedin, N.Z., który został dostrzeżony 12 kwietnia na południowej szerokości geograficznej 34°21', a zachodniej długości geograficznej 152°17', z jednym człowiekiem żywym i drugim zmarłym na pokładzie. "Viligant" wypłynął z Valparaiso 25 marca, a 2 kwietnia zboczył z wytyczonego kursu z powodu niezwykle silnego sztormu i olbrzymich fal. 12 kwietnia dostrzeżono bezpański statek; choć wydawał się całkiem opustoszały, znaleziono jednak na pokładzie człowieka, ale był prawie nieprzytomny, zaś drugi nie żył już co najmniej od tygodnia. Żyjący człowiek ścisnął w rękę kamiennego bożka o przerażającym wyglądem, wysokości około jednej stopy, ale uczeni uniwersytetu w Sydney, Royal Society, a także muzeum na College Street nie znają jego pochodzenia, natomiast pozostały przy życiu człowiek twierdzi, że znalazł go w kabinie jachtu, w maleńkiej kapliczce rzeźbionej w dość pospolite wzory.

Po odzyskaniu przytomności opowiedział niezwykle i przedziwną historię piractwa i rzezi. Jest to Gustav Johansen, Norweg, człowiek inteligentny, drugi oficer na dwumasztowym szkunerze "Emma" z Auckland, który wypłynął 20 lutego do Callao wraz z załogą składającą się z jedenastu osób. "Emma" zboczyła z kursu daleko na południe z powodu strasznego sztormu, jaki zerwał się 1 marca, i 22 marca na południowej szerokości geograficznej 49°51', a zachodniej długości geograficznej 128°34' napotkała "Alert", pod dowództwem dziwnie i złowrogo wyglądającej załogi z Kanakas, składającej się głównie z mieszaińców krwi. Kapitan Collins otrzymał stanowczy rozkaz

odwrotu, ale odmówił; bez żadnego ostrzeżenia posypały się na szkuner strzały z mosiężnych dział armatnich, stanowiących część wyposażenia jachtu.

Załoga "Emmy", jak relacjonuje pozostały przy życiu oficer, podjęła walkę i choć szkuner zaczął tonąć z powodu uszkodzenia dna statku, udało im się dopłynąć do jachtu wroga i dostać na pokład. Zmuszeni byli zabić wszystkich, mimo ich pewnej przewagi liczebnej, ponieważ walczyli w sposób bezwzględny i wyjątkowo brutalny, ale też i dosyć niezdarny. Trzy osoby spośród załogi, łącznie z kapitanem Collinsem i pierwszym oficerem Greenem, poległy w walce; pozostałe osiem osób pod dowództwem drugiego oficera Johansena uruchomiło zdobyty jacht i wzięło kurs w stronę skąd przy płynął, aby przekonać się, z jakiej to przyczyny domagano się od nich odwrotu. Okazuje się, że następnego dnia ujrzeli małą wysepkę, przy której się zatrzymali, choć o jej istnieniu nie wspominają żadne źródła; tam właśnie na brzegu zmarło sześciu członków załogi, ale Johansen jest dziwnie powściągliwy w tej sprawie, napomyka za ledwie, że wpadli do jakiejś rozpadliny skalnej. Potem już tylko Johansen i jego współtowarzysz uruchomili jacht, usiłując dalej żeglować, lecz 2 kwietnia zmógł ich silny sztorm. Od tej chwili aż do momentu ocalenia 12 kwietnia Johansen pamięta niewiele, nawet nie przypomina sobie kiedy zmarł jego towarzysz, William Briden. Nie było żadnej konkretnej przyczyny śmierci Bridena - najprawdopodobniej nastąpiła wskutek silnych przeżyć i wyczerpania. Depesza z Dunedin donosi, że "Alert" był znany jako statek handlowy i miał złą reputację na wodach przybrzeżnych. Należał do grupy kolorowych marynarzy, których częste spotkania i nocne eskapady w lasy nie budziły większej ciekawości; wypłynął w wielkim pośpiechu tuż po sztormie i trzęsieniu ziemi, jakie miało miejsce 1 marca.

Nasz korespondent w Auckland przekazuje bardzo pochlebne informacje o "Emmie" i jej załodze, a samego Johansena określa jako mądrego i wartościowego człowieka. Admiralicja wszczyna jutro śledztwo w tej

sprawie i ma nadzieję, że skłoni Johansena do obszerniejszych relacji. I to już wszystko, jeszcze tylko zdjęcie diabolicznego posążku. Ale jakież myśli kłębiły się teraz w mojej głowie! Oto nowy skarbiec wiadomości o kulcie Cthulhu i świadectwo, że swoim zasięgiem obejmuje zarówno morze, jak i ląd. Z jakiego powodu załoga "Alertu" wydała "Emmie" rozkaz odwrotu krążąc po tych wodach ze swoim koszmarnym bożkiem? Cóż to za nieznaną wyspa, na której sześciu członków załogi "Emmy" zginęło, a Johansen tak niechętnie o tym mówi? Jakie są wyniki śledztwa wiceadmiralicji i co jest wiadome o tym szkodliwym kulcie w Dunedin? A co najbardziej zdumiewające, to niezwykle i wprost zaskakująca zbieżność dat, która nadawała złowieszcze, a teraz już niezaprzeczalne znaczenie, różnym wydarzeniom, tak skrętnie spisywanym przez mego wuja. 1 marca - u nas 18 lutego wedle czasu międzynarodowego - nastąpiło trzęsienie ziemi i zaczął się sztorm. "Alert", wraz ze swą hałaśliwą załogą, wypłynął w wielkim pośpiechu z Dunedin, jakby wezwany władczy rozkazem, zaś na drugiej półkuli poeci i artyści zaczęli śnić o dziwnym, ociekającym wodą mieście Cyklopów, natomiast młody rzeźbiarz stworzył podczas snu przerażający wizerunek Cthulhu. 23 marca załoga "Emmy" wylądowała na nieznanym wyspie, na której zginęło sześciu jej członków; w tym czasie sny co wrażliwszych ludzi charakteryzowały się wzmożoną wyobraźnią i pogrążyły się w mroku pełnym lęku przed strasznym pościgiem olbrzymiego potwora, natomiast architekt popadł w obłęd, a rzeźbiarz ni stąd, ni zowąd popadł w delirium! A jak to było ze sztormem, który się zerwał 2 kwietnia? Kiedy ustały sny o mieście Cyklopów, zaś Wilcoxa bez żadnego śladu opuściła wysoka gorączka? Co to wszystko miało znaczyć? A na dodatek jeszcze te aluzje starego Castro do zatopionych, a zrodzonych pośród gwiazd Starych Bóstw i ich ponownym przyjściu na świat; o ich niezniszczalnym kulcie i władzy nad snami. Czyżbym dreptał na krawędzi kosmicznego horroru, nie do zniesienia dla człowieka? Jeśli tak jest, musi to być horror w zasięgu pojęć wyłącznie umysłu, bo przecież 2 kwietnia położył kres temu, co zaczynało

stanowić jakieś potworne zagrożenie dla duszy ludzkiej.

Wieczorem, po całym dniu wypełnionym rozlicznymi depezbami i ustaleniami, pożegnałem mego przyjaciela i wyruszyłem pociągiem do San Francisco. Nim upłynął miesiąc byłem już w Dunedin; tam jednak okazało się, że niewiele wiedzą o wyznawcach tego dziwnego kultu, snujących się po starych nadmorskich tawernach. Szumowiny portowe były zbyt powszechnym zjawiskiem, aby miały przyciągać czyjąkolwiek uwagę; jednakże tu i ówdzie wspominano pewną wyprawę mieszańców w głąb lasu i widać było czerwony ogień w odległych górach. W Auckland dowiedziałem się, że jasnowłosy Johansen powrócił siwy po przeprowadzonym w Sydney śledztwie, które jednak nic nowego nie wniosło. Sprzedał dom na West Street i przeniósł się z żoną do swojej siedziby w Oslo. Nic więcej nie mówił przyjacielom o swoich emocjonujących przeżyciach, powtórzył to samo, co zeznał przedstawicielom admiralicji. Jedyne, co mogli dla mnie zrobić, to podać mi jego adres w Oslo. Pojechałem z kolei do Sydney i przeprowadziłem rozmowę z marynarzami i członkami wiceadmiralicji, ale nie dowiedziałem się niczego rewelacyjnego. W Circular Quay w Sydney zobaczyłem "Alert", który został sprzedany i pływał jako statek handlowy, ale to też nic mi nie dało. Przykucnięty bożek z głową sepii, tułowiem smoka, skrzydłami pokrytymi łuską i postumentem zapisanym hieroglifami, był przechowywany w muzeum w Hyde Parku; przyglądałem mu się długo i dokładnie - było to niezwykle precyzyjne bóstwo, równie tajemnicze, antyczne i wykonane z dziwnego, niespotykanego na ziemi materiału, jak statuetka Legrasse'a, tylko o mniejszych wymiarach. Dla geologów, jak poinformował mnie kustosz, okazało się to prawdziwą zagadką; twierdzili, że nie ma na świecie skały, z której został wykonany ten bożek. Wtedy to przypomniałem sobie ze zgrozą, co stary Castro powiedział Legrasse'owi o pierwotnych Wielkich Bóstwach: "Przybyły z gwiazd i sprowadziły ze sobą swoje posągi". Poruszony do głębi i z zamętem w głowie, jakiego nigdy dotychczas nie doświadczyłem, postanowiłem odwiedzić Johansena w Oslo.

Natychmiast wyruszyłem statkiem płynącym do stolicy Norwegii i pewnego dnia w jesiennej porze wysiadłem na starannie utrzymanym wybrzeżu w cieniu Egebergu.



Dowiedziałem się, że Johansen mieszka w Starym Mieście Króla Harolda Haardrada, które przez całe stulecia zachowało nazwę Oslo, podczas gdy największe miasto przyjęło nazwę Christiania. Pojechałem tam taksówką i z bijącym sercem zapukałem do drzwi schludnego starego domu, od frontu pokrytego tynkiem. Otworzyła mi kobieta w czerni, o smutnej twarzy; doznałem wielkiego rozczarowania, kiedy powiedziała mi słabą angielszczyzną, że Gustava Johansena już nie ma na tym świecie. Wkrótce po powrocie zmarł, ponieważ przeżył na morzu w 1925 roku, jak wyznała jego żona, złamały go. Nie powiedział jej nic więcej poza tym, co przekazał ogółowi, zostawił jednak manuskrypt - w "sprawach technicznych", jak to określił - w języku angielskim, najwyraźniej po to, żeby ustrzec ją przed ewentualnym przeczytaniem. Szedł wąską uliczką w pobliżu doków Gothenburga, gdy z okienka na poddaszu spadła mu na głowę sterta papierów. Dwaj hinduscy marynarze podbiegli natychmiast i pomogli mu wstać, ale nim przybył ambulans, już nie żył. Lekarze nie stwierdzili żadnej konkretnej przyczyny śmierci, poza ogólnym wyczerpaniem i osłabieniem serca. Czuję, że do szpiku kości przenika mnie groza i że nie opuści mnie, dopóki nie spocznę na zawsze - "przypadkowo" lub w jakiś inny sposób. Przekonawszy wdowę, że moje związki z jej mężem dotyczą właśnie owych "technicznych spraw", które upoważniają mnie do przeczytania tego manuskryptu, wypożyczyłem dokument i zabrałem się do czytania na statku płynącym do Londynu. Był to prosty, chaotyczny zapis - post facto pamiętnik

naiwnego marynarza, w którym starał się przypomnieć każdy dzień całej tej koszmarnej podróży. Nie potrafię dosłownie powtórzyć treści, gdyż jest ogromnie zawiła i rozwlekła, ale przekazanie samego jej sensu wystarczy, aby zrozumieć, dlaczego chlupot fal o burtę był dla mnie nie do zniesienia i musiałem sobie zatkać uszy watą. Johansen, dzięki Bogu, nie znał całej prawdy, mimo że widział miasto i tę Rzecz, ale ja już nie zaznam spokojnego snu mając świadomość tych wszystkich okropności które czają się nieustannie poza życiem w czasie i przestrzeni, i wszystkich tych bezbożnych bluźnierstw ze starszych gwiazd, które drzemią pod wodami mórz, a które są znane i czczone przez wyznawców koszmarnego kultu, zawsze gotowych do ich wyzwolenia i wydostania się na świat, gdy tylko trzęsienie ziemi wydobędzie ponownie to wielkie kamienne miasto ku słońcu i powietrzu.

Podróż Johansena rozpoczęła się tak, jak zeznał w wiceadmiralicji. "Emma" z ładunkiem wypłynęła z Auckland 20 lutego i znalazła się w zasięgu sztormu o straszliwej sile, spowodowanym przez trzęsienie ziemi, które musiało wyzwolić z dna morskiego koszmara nawiedzające w owym czasie sny rozmaitych ludzi. Statek, odzyskawszy równowagę, płynął swoim kursem, gdy 22 marca został zatrzymany przez "Alert"; czytając ten fragment, wyczuwałem żal Johansena, jaki ogarnął go na widok zbombardowanego i tonącego statku. O ciemnoskórych fanatykach kultu na "Alertcie" wspomina Johansen z wyraźnym lękiem. Przejawiali jakieś ohydne cechy, zagłada zdawała się być traktowana przez nich niemal jak obowiązek i Johansen wykazuje szczerze zdumienie, że podczas przesłuchania w sądzie jego załodze zarzucano bezwzględność postępowania. Potem, płynąc na zdobytym jachcie pod dowództwem Johansena, wiedzeni ciekawością, ujrzeli wielką kamienną kolumnę wyrastającą z morza, a na 47°09' południowej szerokości geograficznej i na 126°43' zachodniej długości geograficznej natknęli się na błotnisty, mulisty brzeg i na wyniosłe budownictwo Cyklopów, będące namacalnym dowodem najstraszliwszego postrachu ziemi - kosmaru miasta R'lyeh, zbudowanego w niezmiernych eonach, których

nie obejmuje historia, przez ogromne, odrażające poczwary przybyłe z mrocznych gwiazd. W tym mieście spoczywał wielki Cthulhu oraz jego horda skryta w zielonych, mulistych grobowcach, która przekazywała, po niezliczonych cyklach, swoje myśli; to one właśnie wywołały u wrażliwych ludzi sny pełne lęku i wzywały władcym głosem wiernych do wzięcia udziału w pielgrzymce wyzwolenia i odrodzenia. Tego wszystkiego Johansen nie podejrzewał, ale Bóg jeden wie, co wkrótce zobaczył. Przypuszczam, że tylko jeden szczyt góry, szkaradna twierdza-monolit, w której spoczywał wielki Cthulhu, wyłonił się z wody. Kiedy myślę o rozmiarach tego wszystkiego, co może się tam w dole znajdować, mam ochotę przestać istnieć.

Johansen i jego ludzie zostali porażeni strachem przez kosmiczny majestat ociekającego wodą Babilonu starszych demonów i z pewnością odgadli bez żadnych oświecających wskazówek, że to nie ma związku z tą ani też żadną inną znaną nam planetą. Lęk przed niewiarygodną wielkością tego zielonawego kamiennego bloku, przed zdumiewającym podobieństwem ogromnych posągów i płaskorzeźb do przedziwnej statuetki znalezionej w małej kapliczce na "Alercie", przebija wyraźnie z każdego słowa manuskryptu przerażonego marynarza. Nie mając najmniejszego pojęcia o futuryzmie Johansen prawie osiągnął tę wiedzę opisując miasto, bo zamiast mówić o jakiejś określonej jego strukturze czy budowli, rozwodzi się tylko nad niesamowitym wrażeniem, jakie robią olbrzymie kąty i kamienne powierzchnie - zbyt wielkie, aby podlegały prawom czy właściwościom tej ziemi, świętokradcze z powodu ohydnych wizerunków i hieroglifów. Wspomniałem o nich, ponieważ wiąże się to z czymś, o czym napomknął Wilcox opowiadając o swoich straszliwych snach. Powiedział, że geometria tego miejsca widzianego we śnie wykraczała poza granice normy, nie zgadzała się z prawem Euklidesa, a poza tym miejsce to wydzielało paskudną woń nieznaną pośród naszych sfer niebieskich i we wszechświecie. A teraz prosty marynarz odnosił te same wrażenia stojąc oko w oko z ową straszną

rzeczywistością. Johansen i jego ludzie podpłynęli do pochyłego, mulistego brzegu monstrualnego akropolu i ślizgając się zaczęli się wspinać na tytaniczne wilgotne bloki, które najprawdopodobniej nie były schodami przeznaczonymi dla zwykłych śmiertelników. Słońce na niebie zdawało się jakby wypaczone, kiedy się na nie patrzyło poprzez polaryzującą miazmę dobywającą się z tego perwersyjnego, nasiąkniętego morzem wnętrza, i jakaś niesamowita groza oraz niepewność czaiły się chytrze w tych zwariowanych, zwodnych wymiarach rzeźbionej skały, na której za pierwszym spojrzeniem widziało się wypukłość, za drugim wklęsłość.

Wszystkich odkrywców ogarnęła jakaś dziwna trwoga, jeszcze nim zdążyli dostrzec coś bardziej określonego niż skała, szlam i wodorosty. Każdy z nich najchętniej umknąłby natychmiast, gdyby nie obawa przed wzgardą pozostałych, i tylko dla pozorów rozglądali się - na próżno jak się okazało - za jakąś drobną pamiątką. Portugalczyk Rodriguez wspiął się aż do samego podnóża monolitu i wydał okrzyk na widok tego, co tam zobaczył. Wszyscy pozostali udali się więc za nim i spoglądali z wielkim zaciekawieniem na ogromne wyrzeźbione wrota wraz ze znaną już płaskorzeźbą w kształcie kałamarnicy-smoka. Przypominały, jak napisał Johansen, wielkie wrota stodoły; wszyscy byli przekonani, że są to drzwi, z powodu rzeźbionej belki, progu i framug, choć nie mogli się zdecydować, czy leżą one płasko jak drzwi zapadowe, czy pochyło jak zewnętrzne drzwi do piwnicy. Wedle słów Wilcoxa, wymiary geometryczne w tym miejscu były na opak. Trudno byłoby stwierdzić, czy morze i ziemia mają tutaj kształt horyzontalny, ponieważ pozycja wszystkiego wydawała się zupełnie niespotykana. Briden pchnął skałę w kilku miejscach, bez żadnego rezultatu. Donovan idąc wzdłuż brzegu delikatnie przesuwał po niej ręką i co pewien czas naciskał ją w różnych miejscach. Potem bezskutecznie usiłował się wspiąć po groteskowym kamiennym kształcie - a można by to nazwać wspinaczką, gdyby ów kształt nie był w gruncie rzeczy poziomy - i wszyscy nie mogli się nadziwić, że na tym świecie znajdują się aż tak ogromne wrota.

Natomiast na samym wierzchu płaszczyzna wielkości akra delikatnie i stopniowo stawała się wklęsła, po czym wszyscy ujrzeli, że jest dziwnie ruchoma.



Donovan prześlizgnął się albo też w jakiś sposób przeskoczył przez te ościeże, czy też obok nich, i dołączył do swoich towarzyszy, którzy obserwowali niezwykle zjawisko jakby cofania się szkaradnie rzeźbionego portalu. W całej tej fantazji pryzmatycznego zniekształcenia przesuwiał się ukośnie, w sposób zupełnie nieprawdopodobny, będący zaprzeczeniem wszelkich praw materii i perspektywy. Otwór zionął czernią niemal namacalną. Ten mrok był jednak zjawiskiem pozytywnym; przesłaniał bowiem część wewnętrznych ścian, które byłyby widoczne, a w tym momencie buchał ze swego uwięzienia trwającego całe eony lat niczym dym, zaciemniając nawet słońce, kiedy tak wymykał się chyłkiem na trzepoczących błoniastych skrzydłach wprost ku pomarszczonemu, wklęsłemu niebu. Woń dobywająca się z nowo otwartych głębi była wprost nie do zniesienia, a po chwili Hawkins, mający dobre ucho, posłyszał na samym dole nieprzyjemny, jakby bulgocący głos. Wszyscy zmienili się w słuch, stojąc w milczeniu, gdy nagle wysunęło się To, kapiące i oślizłe, po omacku precyzyjnie przez czarne wrota swoje galaretowato-zielone cielsko i wydostało się na powietrze miasta zatrutego szaleństwem. Pismo biednego Johansena, kiedy o tym wspomina, świadczy o zupełnym wyczerpaniu. Spośród sześciu mężczyzn, którzy nigdy nie dotarli do statku, dwóch zginęło na miejscu w tym przerażającym momencie, zabił ich strach jaki nimi zawładnął. Nie sposób opisać tej Rzeczy - nie ma słów dla takiej otchłani wrzasku i trwającego od niepamiętnych czasów oblędu, dla tak

niesamowitych zjawisk będących zaprzeczeniem materii, siły i porządku panującego w kosmosie.

Góra szła, a raczej człapała. Boże drogi! Czyż można się dziwić, że na drugim końcu świata architekt dostał obłądu, a biednego Wilcoxa trawiła gorączka w tym telepatycznym momencie? Ta Rzecz bożków, zielona, lepka ikra gwiazd, obudziła się, aby domagać się swoich praw. Gwiazdy znalazły się we właściwej pozycji i czego nie zdołał dokonać odwieczny kult i jego wytyczony program, tego dokonała gromada nieświadomych marynarzy. Po niezliczonych latach wielki Cthulhu był znowu wolny i spragniony uciechy. Nim ktokolwiek zdążył się zorientować, zwiotczałe szpony porwały trzech mężczyzn. Byli to Donovan, Guerrera i Angstrom. Parker poślizgnął się, gdy trzech pozostali mknęli jak szaleńcy po bezkresnym horyzoncie pokrytym zielonym osadem w kierunku statku i Johansen zaklina się, że pochłonał go kamienny kąt, który znalazł się tam zupełnie niespodziewanie; kąt, który był ostry, a sprawiał wrażenie rozwartego. Tak więc Briden i Johansen dotarli do łodzi i desperacko płynęli w stronę "Alertu", podczas gdy ten straszliwy potwór opadł na muliste kamienie i niezdecydowanie zaczął krążyć nad brzegiem wody. Parowiec nie ucierpiał na tyle, by pójść na dno, choć opuściła go cała załoga, trzeba tylko było przez parę minut gorączkowo uwijać się z góry na dół pomiędzy kotłami i maszynami, żeby go uruchomić. Powoli, powoli, pośród wynaturzonych koszmarów tej nieprawdopodobnej scenerii "Alert" zaczął burzyć śmiercionośną wodę, tymczasem na kamiennym brzegu-kostnicy, nie należącym do tego świata, tytaniczna Rzecz pochodząca z gwiazd ślinała się i mamrotała niczym Polifem rzucając przekleństwa na odpływający statek Odyseusza. Wtem, śmielej niż wspomniany cyklop, Wielki Cthulhu wślizgnął się pod wodę i rozpoczął pościg wzniesając olbrzymie fale o sile dotąd zupełnie niespotykanej. Briden, który się obejrzał, dostał obłądu i co chwila wybuchał śmiechem, a pewnej nocy, kiedy Johansen w gorączce wędrował po statku, znalazł go w kabynie już bez życia.

A jednak Johansen się nie poddał. Zdając sobie sprawę, że owa Rzecz z pewnością zawładnie "Alertem", jeśli statek nie rozwinie pełnej szybkości, zdecydował się na czyn desperacki; uruchomił najwyższe obroty silnika, poczym niby błyskawica pobiegł na pokład i odwrócił koło. Morze huczało wirując i pieniąc się, a kiedy statek wznosił się na coraz wyższych falach, dzielny Norweg skierował go wprost na ścigającą galaretę, która unosiła się nad wzburzoną wodą niczym ster diabelskiego galeonu. Ohydna głowa kałamarnicy z wijącymi się czułkami uniosła się prawie do bukszprytu niezłomnego statku, ale Johansen pruł przed siebie niczym nie zrażony. Rozległ się huk, jakby pękła dętka, rozlało się coś w rodzaju grząskiej, cuchnącej breji jakby z rozłupanego samogłowa, roztoczył się smród tysiąca otwartych grobów, a odgłosu, jaki temu towarzyszył, nie przelałby na papier żaden kronikarz. Przez chwilę cały statek został skażony gryzącą, oślepiającą zieloną chmurą, poczym już tylko na rufie wrzała jadowita kipiela; dalej zaś - o Boże! - rozproszona masa tej niesamowitej, pochodzącej z niebios ikry łączyła się znowu w galaretowate tworzywo przybierając swą ohydłą postać, a tymczasem odległość od niej zwiększała się z każdą sekundą, w miarę jak "Alert" nabierał coraz większej szybkości pod wpływem silnego działania pary. I to wszystko. Potem Johansen już tylko rozmyślał nad bożkiem umieszczonym w kabinie i wykonywał ledwie parę niezbędnych funkcji, takich jak przygotowanie jedzenia dla siebie i tego śmiejącego się, obłąkanego człowieka. Po tym pierwszym, bardzo odważnym zrywie przestał sterować statkiem; tak jakby stracił wtedy duszę. 2 kwietnia zerwał się sztorm, a jego świadomość pogrążyła się w mroku. Ma poczucie widmowego wirowania po nieznanym morzach nieskończoności, oszałamiającej jazdy na ogonie komety poprzez toczący się wszechświat, a także historycznego przerzucania się z piekła na księżyc i z księżyc do piekła, przy wtórze rozchichotanego chóru pokrętnych, wesółkowatych starszych bogów i zielonych, nietoperzoskrzydłych, szyderczych diabłów. Nadeszło wyzwolenie z tego snu - "Viligant", sąd wiceadmiralski, ulice Dunedin i

długa powrotna droga do domu w okolicy Egebergu. Nie mógł tego opowiedzieć nikomu, uznali by go za szaleńca. Postanowił to wszystko opisać jeszcze przed śmiercią, ale żona nie powinna się o tym dowiedzieć. | śmierć będzie dobrodziejstwem, jeśli tylko zdoła zatrzeć te wspomnienia.



Ten właśnie dokument przeczytałem i włożyłem do blaszanego pudełka koło płaskorzeźby i notatek profesora Angella. Tam też włożę mój własny opis, ten sprawdzian mojego stanu psychicznego, w którym zgromadzone jest wszystko to, co, mam nadzieję, po raz drugi już nigdy więcej nie będzie zgromadzone. Ujrzałem to wszystko, co jest koszmarem tego świata, ale od tej chwili zarówno wiosenne niebo, jak letnie kwiaty będą dla mnie zatrute. Tak jak odszedł wuj i biedny Johansen, tak i ja odejdę. Zbyt wiele wiem, a kult wciąż żyje. Cthulhu też wciąż żyje, jak sądzę, w kamiennej otchłani, która jest jego schronieniem od czasu, gdy słońce było jeszcze młodą planetą. Jego przeklęte miasto jest znowu zatopione w morzu, gdyż "Viligant" popłynął na to miejsce po kwietniowym sztormie; jednakże wyznawcy Cthulhu na ziemi wciąż ryczą i harują, i popełniają mordy wokół bożka ustawionego na monolicie w odludnych miejscach.

Cthulhu musiał niespodziewanie utonąć i zapaść się w swoją czarną otchłań, bo w przeciwnym razie świat rozbrzmiewałby teraz krzykiem przerażenia i obłądu. Kto wie, jaki będzie koniec? To, co się wynurzyło, może zatonać, a to, co zatoneło, może się wynurzyć. Potwór czeka i drzemie w głębinie, a rozkład rozprzestrzenia się wokół chylących się do upadku miast. Czas nadejdzie - ale nie wolno mi o tym myśleć, nie mogę! Błagam tylko aby wykonawcy mego testamentu zabezpieczyli ten manuskrypt, jeżeli mnie przetrwa, przed zuchwalstwem i dopilnowali, aby ludzkie oko na nim

nie spoczęło.

Widmo nad Innsmouth I

Zimą z 1927 na 1928 rok przedstawicielew rządu federalnego przeprowadzili dziwne i tajemnicze śledztwo w sprawie pewnych okoliczności, jakie miały miejsce w starym porcie Innsmouth w Massachusetts. Po raz pierwszy usłyszano o tym w lutym, kiedy dokonano całej serii obław i aresztowań, a następnie spalono i wysadzono dynamitem - przy zachowaniu odpowiednich środków ostrożności - ogromną ilość rozpadających się i zjedzonych przez korniki, najprawdopodobniej opustoszałych domów nad brzegiem morza, gdzie od dawna nikt nie zaglądał. Mniej dociekliwi potraktowali to jako jedną z większych akcji w walce z alkoholizmem.

Ci, którzy baczniej śledzili wszystkie nowiny, dziwili się tak olbrzymią ilością aresztowanych, tak wielką siłą zmobilizowaną do przeprowadzenia tej akcji i tajemnicą, jaką otoczono dalsze losy więźniów. Nie było żadnej rozprawy sądowej, żadnego sprecyzowanego oskarżenia; nie widziano też nikogo ze schwytanych w żadnym z lokalnych aresztów. Dochodziły jakieś mgliste wieści o chorobie i obozach koncentracyjnych, a potem, o osadzaniu tych więźniów w różnych obozach wojskowych, ale nic konkretnego. Innsmouth zostało prawie całkiem wyludnione i nawet jeszcze teraz niełatwo tam dostrzec ślady budzącego się życia. Ponieważ spotkało się to z protestem różnych liberalnych organizacji, po długich i tajemniczych dyskusjach zawieziono niektórych ich przedstawicieli do kilku obozów i więzień. W konsekwencji stowarzyszenia te stały się dziwnie bierne i powściągliwe. Dziennikarze zajmowali bardziej zdecydowane stanowisko, ale wszystko wskazywało na to, że większość z nich w końcu zaczęła współdziałać z rządem. Tylko jedno ilustrowane pismo, zawsze dyskredytowane z powodu

zamieszczania nierzetelnych informacji, wspomniało coś o łodzi podwodnej, która wystrzeliła torpedy w głąb rozpadliny morskiej tuż za Diabelską Rafą. Fakt ten, o którym przypadkowo usłyszano w marynarskiej spelunce, zdawała się raczej mało prawdopodobny, ponieważ ta niska, czarna rafa leży jakieś półtorej mili od portu Innsmouth. W całej okolicy i pobliskich miastach bezustannie szeptano na ten temat, ale nie dzielono się tymi uwagami z nikim z zewnątrz. Pewnie przez całe stulecia rozprawiano o zamierającym i opustoszałym Innsmouth i choćby wymyślono coś nowego, nie mogłoby to dorównać temu koszmarowi, o jakim napomykano i szeptano od lat. Wiele powodów przyczyniło się do skrytości tutejszych ludzi, toteż nie było sensu wywierać na nich presji. Poza tym, tak naprawdę to niewiele widzieli, gdyż rozległe, słone bagniska, puste i bezludne, odstraszały od Innsmouth okolicznych mieszkańców, tych od strony lądu. Wobec tego ja przełamie ów zakaz mówienia o tej sprawie. Wyniki - a jestem o tym głęboko przekonany - są tak niewątpliwe, że napomknięcie o tym, co zostało odkryte podczas strasznej obławy w Innsmouth, nie może przynieść żadnej szkody, może tylko wzbudzić potworną odrazę. A to, co zostało odkryte, różnie można interpretować. Nie mam pojęcia, jak dużo z tej opowieści zostało mi przekazane, ale wiele mam powodów ku temu, aby głębiej wnikać w tę sprawę. Zetknąłem się z nią znacznie bliżej, niż komukolwiek przypadło to w udziale, i wyniosłem wrażenia, które mogą mnie jeszcze doprowadzić do nieprzewidzianych sytuacji.

To właśnie ja uciekłem w popłochu z Innsmouth we wczesnych godzinach rannych 16 lipca 1927 roku i to właśnie moje prośby, skierowane do władz o przeprowadzenie śledztwa i aktywną działalność, wyłoniły na światło dzienne wspomniany epizod. Nie miałem nic przeciw temu, by milczeć, gdyż sprawa była świeża i niejasna; teraz jednak, kiedy należy już do przeszłości, kiedy wygasło zainteresowanie i ciekawość ludzi, zawładnęło mną dziwne pragnienie, aby mówić o tych strasznych godzinach w owym widmowym porcie śmierci i bluźnierczej niesamowitości. Samo mówienie o

tym pomaga mi odzyskać wiarę w moją sprawność umysłową; upewnić się, że nie jestem pierwszym, który uległ tej zaraźliwej, koszmarnej halucynacji. Pomaga mi też w podjęciu decyzji co do pewnego strasznego kroku, jaki mam zrobić w niedalekiej przyszłości. Nigdy nawet nie słyszałem o Innsmouth, aż do owego dnia, kiedy ujrzałem je po raz pierwszy i... jak dotąd... po raz ostatni. Postanowiłem uczcić moje dojście do pełnoletności wycieczką do Nowej Anglii - zwiedzanie o charakterze antykwarycznym i genealogicznym - zaplanowałem jechać prosto ze starego Newburyport do Arkham, skąd wywodziła się rodzina mojej matki. Nie miałem samochodu, podróżowałem więc pociągiem, trolejbusem i autobusem, starając się zawsze o jak najtańszy środek lokomocji. W Newburyport poinformowano mnie, że najlepiej jechać do Arkham pociągiem; i dopiero przy kasie biletowej na stacji, kiedy trochę się zastanowiłem nad wysoką ceną biletu, dowiedziałem się o Innsmouth. Postawny kasjer o bystrym wyrazie twarzy, którego akcent świadczył o tym, że pochodzi z innych stron, zdawał się rozumieć moje oszczędnościowe zabiegi i zaproponował mi coś, czego poprzednio żadna z osób, u których się informowałem, nie zrobiła.

- Mógłby pan, wydaje mi się, pojechać starym autobusem - powiedział z pewnym wahaniem - tylko że w tych stronach nikt go nie uznaje. Jedzie przez Innsmouth - pewnie pan coś o tym słyszał - dlatego ludzie nie lubią go. Ptowadzi go facet z Innsmouth - Joe Sargent - ale chyba nie ma tu wogóle pasażerów ani też w Arkham. Dziwne, że ten autobus jeszcze jeździ.

Wydaje mi się, że jest tani, ale nigdy nie widuje w nim więcej niż dwie, trzy osoby, wyłącznie ludzie z samego Innsmouth. Odjeżdża z rynku - sprzed drogerii Hammonda - o dziesiątej rano i o siudmej wieczorem, o ile się coś ostatnio nie zmieniło. Wygląda na strasznego gruchota, sa, nigdy jeszcze nim nie jechałem. Wtedy to właśnie po raz pierwszy usłyszałem o Innsmouth. Każda wzmianka o mieście, nie zaznaczonym na mapie ani też nie wspomnianym w ostatnich przewodnikach, wzbudziła by moje zainteresowanie, a dziwne aluzje kasjera naprawdę mnie zaciekały. Miasto,

które mogło rodzić taką niechęć okolicznych mieszkańców, musi być w jakiś sposób niezwykle i warte choćby zwrócenia nań uwagi turysty. Jeśli znajduje się po drodze do Arkham, to po prostu wcześniej wysiądę. Poprosiłem kasjera, żeby coś opowiedział o tym mieście. Zamyślił się, po czym zaczął mówić jakby z poczuciem pewnej wyższości:

- Innsmouth? No cóż, dziwne to miasto, położone przy ujściu rzeki Manuxet. Niegdyś było to całkiem duże miasto, a przed wojną, przed 1812 rokiem, miasto portowe, ale w ciągu stu lat rozpadło się. Nie jeździ tam teraz kolej... Główna linia nigdy tamtędy nie prowadziła, a boczna, z Rowley, została skasowana przed laty.

Jest tam więcej pustych domów niż ludzi, nic się tam nie robi poza łowieniem ryb i homarów. A sprzedają swoje połowy albo w Arkham, albo w Ipswich. Niegdyś było tam sporo fabryk, ale nic z nich nie zostało, jest tylko rafineria złota, pracująca na minimalnych obrotach. Kiedyś ta rafineria była ogromna, a jej właściciel, stary Marsh, musi być bogatszy niż Krezus. Podobno ma jakąś skurną chorobę albo też na stare lata coś go pokręciło i dlatego trzyma się z dala od ludzi. Jest wnukiem kapitana Obeda Marsha, założyciela rafinerii. Matka jego była cudzoziemką - powiadają, że pochodziła z wysp na Morzu Południowym - dlatego zrobił się straszny szum, kiedy pięćdziesiąt lat temu ożenił się z jakąś dziewczyną z Ipswich. Zawsze robi się taki szum, gdy chodzi o ludzi z Innsmouth, a w tych okolicach każdy, w którego żyłach płynie krew mieszkańca Innsmouth, stara się to ukryć. Jednak dzieci i wnuki Marsha wyglądają tak samo jak wszyscy. Kiedyś mi je pokazano, ale prawdę mówiąc starszych jego dzieci już ostatnio się tu nie spotyka. Starego nigdy jeszcze nie widziałem. Ale dlaczego wszyscy mają taką niechęć do Innsmouth? Radzę, młody człowieku, abyś nie zważał na to, co się tutaj opowiada. Trudno ludzi nakłonić, żeby coś mówili, ale jak już raz zaczną, nie ma końca. Opowiadają różne rzeczy o Innsmouth, najczęściej szeptem, i to od stu lat, a boją się, jak chyba niczego na świecie. Niektóre ich opowieści mogłyby pana ubawić - na przykład o kapitanie

Marshu, który wszedł w układy z diabłem i z samego piekła sprowadzał demony do Innsmouth, albo o oddawaniu czci samemu szatanowi i składaniu strasznych ofiar w jakimś miejscu koło portu, na które ludzie się natknęli podobno w 1845 roku czy mniej więcej w tym czasie - ale ja pochodzę z Paton, Vermont, i w tego rodzaju historie nie wierzę.



Powinien pan jednak posłuchać, co mówią ludzie, paniętający dawne czasy, o czarnej rafie przybrzeżnej - nazywają ją Diabelską Rafą. Od dawna sterczy nad powierzchnią wody i prawie nigdy się nie kryje, a mimo to trudno by ją nazwać wyspą. Krąży opowieść, że niekiedy widać na niej cały legion diabłów - wylegują się tam albo też wlatują do jakiś pieczar na jej szczycie i wylatują. Powierzchnia tej rafy jest nierówna i wyboista, a rozciąga się w morze dobrą milę. Kiedyś, jak jeszcze przyływały tu statki, marynarze nakładali kawał drogi, żeby ją tylko ominąć. Oczywiście marynarze nie pochodzący z Innsmouth. Mieli oni za złe kapitanowi Marshowi, że podobno w nocy cumował przy tej rafie, kiedy była odpowiednia fala. Chyba rzeczywiście tak robił, bo ukształtowanie tej skały jest ciekawe, no i szukał tam zapewne piratów, a być może nawet i znajdował. Mówiło się jednak o jego kontaktach z diabłami. W sumie, wydaje mi się, że to właśnie kapitan przyczynił się do tak złej reputacji rafy. Działo się to jeszcze przed wielką epidemią w 1845 roku, kiedy to wywieziono co najmniej połowę mieszkańców Innsmouth. Nie stwierdzono, co to była za choroba, prawdopodobnie przywleczono ją statkiem z innych krajów, może z Chin albo jeszcze z innych stron. Okropne to było - zupełne szaleństwo, wyczyniano tam takie rzeczy, że napewno nie wszystkie wieści o tamtejszych poczynaniach przedostały się poza miasto, które zostało w

strasznym stanie. Ci ludzie już nigdy nie wrócili, a teraz nie ma tam więcej niż trzystu albo czterystu mieszkańców. Ale najbardziej istotne jest to, że ludzie czują jakieś uprzedzenie rasowe - i wcale tego nie potępiam. Sam też nie cierpię ludzi z Innsmouth i nie mam ochoty nawet wybrać się do tego miasta. Myślę, że się pan orientuje - choć po pańskim akcencie wnioskuję, że pochodzi pan z Zachodu - jak częste kontakty miały nasze statki z Nowej Anglii z różnymi najdziwniejszymi portami w Afryce, Azji, na południowych morzach i w różnych innych częściach świata i jak dziwnych ludzi czasami stamtąd przywożono. Może słyszał pan o Salemie, który przywiózł sobie Chinę za żonę, a także i tym, że w okolicy Cape Cod wciąż jeszcze żyje cała gromada ludzi pochodzących z wysp Fidzi.

Mieszkańcy Innsmouth muszą mieć coś wspólnego z taką przeszłością. To miasto było zawsze odcięte od reszty okolicy z powodu otaczających go bagien i rzek, nie znamy więc wszystkich szczegółów tej sprawy. Jest jednak oczywiste, że stary kapitan Marsh przywiózł jakieś dziwne istoty, kiedy trzy jego statki powracały w latach dwudziestych i trzydziestych. Nie ulega wątpliwości, że nawet teraz jest coś dziwnego w ludziach mieszkających w Innsmouth... Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale po prostu skóra człowiekowi cierpnie. Przekona się pan po Sargencie, jeżeli pojedzie pan jego autobusem. Niektórzy mają dziwaczne, wąskie głowy, płaskie nosy i wyłupiaste oczy, które wydają się nigdy nie zamykać, a ich skóra też jest jakaś inna. Chropowa i pokryta parchami, szyja pomarszczona i pofałdowana. Bardzo wczesnie łysieją. Najgorzej wyglądają starzy, choć szczerze mówiąc nie zdażyło mi się spotkać naprawdę starego człowieka. Chyba umierają spojrzawszy w lustro! Zwierzęta ich nie znoszą, mieli straszne kłopoty z końmi, zanim nastały samochody. Nikt z tutejszych ludzi ani też z Arkham czy Ipswich nie chce mieć z nimi do czynienia, oni sami też zresztą stronią, kiedy też przybywają do miasta albo jeśli ktoś z zewnątrz próbuje łowić na ich terenach. Dziwne, że taka jest obfitość ryb wokół portu w Innsmouth, a prawie wcale ich nie ma w okolicznych wodach, ale niech pan spróbuje łowić u nich, to zobaczy pan,

jaką robią nagonkę na człowieka. Kiedyś przyjeżdżali tutaj pociągiem. Chodzili pieszo do Rowley i tam wsiadali do pociągu, kiedy skasowano boczną linię, ale teraz przyjeżdżają autobusem. Jest w Insmouth hotel, nazywa się Gilman House, ale nie wydaje mi się, aby był coś wart. Nie radziłabym się w nim zatrzymywać. Lepiej niech pan tutaj przenocuje i pojedzie sobie jutro rano autobusem o dziesiątej. Wieczorem o ósmej jest autobus powrotny do Arkham, Kilka lat temu zatrzymał się w tym hotelu pewien inspektor z fabryki i miał jakieś nieprzyjemne przeżycia. Zdaje się, że gromadzi się tam dziwny tłum, bo słyszał jakieś rozmowy w innych pokojach - choć większość była podobno pusta - co go strasznie przerażyło. Była to cudzoziemska mowa, tak mu się zdawało, ale najgorszy wydawał mu się jeden głos, który słychać było tylko od czasu do czasu. Brzmiał bardzo nienaturalnie - tak jakby się przelewał - a inspektor nie miał odwagi się rozebrać i pójść spać. Przeczekał do świtu i z samego rana umknął stamtąd. Rozmowa toczyła się przez całą noc.

Człowiek ten - nazywał się Casey - opowiadał potem, że mieszkańcy Insmouth bez przerwy go obserwowali, wydawało mu się, że nie spuszczały zeń oka ani na chwilę. Stwierdził, że rafineria Marsha to dziwne miejsce - stara budowla przy niższych wodospadach na rzece Manuxet. Wszystko, co mówił, zgadzało się z tym, co już przedtem słyszałem. Księgi handlowe zaniedbane, żadnych rachunków z przeprowadzonych transakcji. Zawsze otaczano tajemnicą źródło, z którego pochodzi złoto Marsha oczyszczane w tej rafinerii. Nie słychać było, żeby je sprzedawano, ale parę lat temu wywieźli gdzieś ogromną ilość sztab złota. Niegdyś mowiono, że marynarze i pracownicy rafinerii sprzedają po cichu jakieś nieznanne obce klejnoty, no i że parę razy widziano kobiety z rodziny Marsha w takich właśnie klejnotach. Ludzie powiadali, że pewien kapitan Obed skupował je w jakimś pogańskim porcie, zwłaszcza że zawsze zamawiał całe stosy szklanych paciorków i różnych świecidełek, takich samych, jakie zabierali zwykle marynarze na handel wymienny. Inni znów przypuszczli, i wciąż tak jeszcze uważają, że

znalazł ukryte skarby pirackie na Diabelskiej Rafie. Stary kapitan nie żyje już od sześćdziesięciu lat i nie pojawił się na tych wodach ani jeden większy statek od czasu Wojny Domowej, a jednak Marshowie wciąż skupują różne miejscowe ozdoby - głównie szklane i gumowe ozdóbki, tak słyszałem. Być może mieszkańcy Innsmouth lubią je nosić - są chyba tacy sami jak kanibale znad Południowego Morza albo dzikusy z Gwinei. To zaraza w czternastym szóstym roku zniszczyła chyba najlepszych ludzi w mieście. W każdym razie teraz wszyscy wyglądają podejrzanie, a Marshowie i inni bogacze najgorzej. Jak już wspomniałem, w całym mieście nie ma więcej niż czterysta osób, choć powiadają, że wszystkie ulice istnieją jak dawniej. Wydaje mi się, że na południu takich jak oni nazywa się "białą hołotą" - rozpustnicy, szczone lisy, robią jakieś potajemne interesy. Łowią mnóstwo ryb i homarów i wywożą ciężarówkami. Niepojęte, dlaczego akurat tam gromadzą się ryby, a nie gdzie indziej.

Nikt nie jest w stanie wyśledzić tych ludzi, a dla przedstawicieli szkolnictwa czy też urzędników skarbowych to zupełny koszmar. Mieszkańcy Innsmouth nie lubią, aby obcy wścibiali nos w ich życie. Słyszałem na własne uszy, że paru przedstawicieli rządowych i handlowców całkiem tam przepadło, krąży też wieść, że jeden dostał pomieszania zmysłów i teraz jest w Danvers. Musieli go czymś bardzo nastraszyć. Dlatego właśnie, na pana miejscu, nie wybierałbym się tam na noc. Nigdy tam nie byłem i nie mam na to ochoty, ale sądzę, że pobyt w tym mieście za dnia nie może panu zaszkodzić, choć tutejsi ludzie i tego będą panu odradzać. Jeżeli lubi pan zwiedzać i interesuje się pan przeszłością, to Innsmouth świetnie się do tego nadaje. Wobec tego spędziłem wieczór w bibliotece publicznej w Newburyport, żeby dowiedzieć się czegoś o Innsmouth. Kiedy próbowałem pytać miejscowych ludzi w sklepach, restauracjach, garażach i straży pożarnej, napotykałem na jeszcze większą niechęć, niż się spodziewałem, choć przecież uprzedzał mnie o tym kasjer na stacji kolejowej; uznałem, że nie mam czasu na to, żeby przełamywać tę ich instynktowną powściągliwość.

Objawiali jakąś dziwną nieufność, tak jakby każdy, kto się interesuje Innsmouth, budził w nich podejrzliwość. Zatrzymałem się w YMCA, a tamtejszy recepcjonista najwyraźniej nie radził mi wybierać do tego posepnepp, chylącego się do upadku miasta; a pracownicy biblioteki podzielili ten pogląd. W oczach ludzi wykształconych Innsmouth było po prostu jaskrawym przykładem zdegenerowanego miasta. Znajdujące się na półkach bibliotecznych kroniki historyczne, dotyczące okręgu Essex, nie objaśniały wiele. Wyczytałem, że miasto powstało w 1643 roku, przed Rewolucją słynęło z przemysłu okrętowego, na początku dziewiętnastego wieku było wspaniale prosperującym portem morskim, a potem ośrodkiem przemysłowym wykożystującym siłę wodną rzeki Manuxet. Epidemia i zamieszki w 1846 roku były potraktowane pobieżnie, tak jakby przynosiły ujmę temu okręgowi. Niewiele było zapisów odnośnie schyłku tego miasta, choć znaczenie końcowego rejestru było niedwuznaczne. Po Wojnie Domowej cały przemysł ograniczył się do rafinerii Marsha, a handel sztabami złota stanowił jedyną pozostałość wielkiego niegdyś ośrodka handlowego, no i oczywiście w dalszym ciągu zajmowano się rybołóstwem. Jednakże i rybołóstwo z czasem stało się mniej opłacalne z powodu spadku cen i konkurencju coraz liczniejszych korporacji, choć wciąż połowy wokół Innsmouth były obfite. Cudzoziemcy rzadko się tu osiedlali, istniał jrdnak dyskretnie zamaskowane świadectwo, że próbowało się tu osiedlić kilku Polaków i Portugalczyków, ale przepędzono ich w szczególnie drastyczny sposób.



Najbardziej jednak interesująca była pobieżna wzmianka na temat osobliwych klejnotów niejasno związanych z Innsmouth. W sposób

oczywisty wywarły one wpływ na całą okolicę, gdyż zaznaczono, że niektóre okazy znajdują się w Miskatonic University w Arkham i Sali Wystawowej Stowarzyszenia Historycznego w Newburyport. Fragmentaryczne opisy tych przedmiotów potraktowane były sucho i przezornie, ale dla mnie kryły w sobie jakąś niezaprzeczalną zagadkę. Było w nich coś tak dziwnego i prowokacyjnego, że nie mogłem przestać o nich myśleć i mimo stosunkowo późnej pory postanowiłem obejrzeć miejscowy eksponat - podobno duży, o dziwnych proporcjach, najwyraźniej przedstawiający tiarę - o ile, oczywiście, okaże się to możliwe. Bibliotekarz dał mi list polecający do kustosa wystawy, panny Anny Tilton, mieszkającej w pobliżu, i po krótkim wyjaśnieniu ta starsza, zacna kobieta zgodziła się wprowadzić mnie do zamkniętego już budynku, jako że godzina była jeszcze względnie przyzwoita. Zgromadzona tu kolekcja wyglądała rzeczywiście wspaniale, ale mnie interesował tylko ten dziwny przedmiot lśniący w rogu szafy oświetlanej elektryczną lampą. Nie trzeba było specjalnej wrażliwości na piękno, aby to fantastyczne, pełne nieziemskiego splendoru zjawisko, spoczywające na purpurowej aksamitnej poduszce, przykuło mój wzrok. Nawet teraz jeszcze nie potrafię opisać tego, co ujrzałem, choć miało to wyraźnie kształt tiary, zgodnie z opisem, jaki przeczytałem. Z przodu była dość wysoka, w obwodzie duża i dziwnie nieregularna, jakby przeznaczona dla głowy o osobliwym kształcie elipsy. Materiał, z jakiego została wykonana, wskazywał na złoto. choć nieziemski połysk mógł również świadczyć o jakimś przedziwnym stopie z domieszką różnie pięknego, ale zupełnie nieznanego metalu. Zachowana była w stanie niemal doskonałym i można by godzinami studiować wprost uderzająco niezwykle i zagadkowe wzory na jej powierzchni, geometryczne i związane z morzem - wykute albo odlane w postaci wypukłej płaskożeźby, a świadczące o niewiarygodnym, pełnym gracji mistrzostwie.

Im dłużej się wpatrywałem, tym bardziej mnie ta rzecz fascynowała, a do fascynacji dołączało się dziwne niepokojące uczucie, trudne do określenia

czy sklasyfikowania. Pomyślałem, że niepokój budzi we mnie jakaś osobliwość wykonania tej tiary, pochodzącej chyba z innego świata. Wszystkie dzieła sztuki, jakie dotychczas widziałem, charakteryzowały się przynależnością, albo do jakiegoś narodu, albo do jakiejś rasy, albo też były nowoczesnym przetworzeniem znanego kierunku. Ta tiara nie przypominała żadnego ze znanych okazów sztuki. Najwyraźniej przynależała do jakiejś ustalonej techniki charakteryzującej się nieprawdopodobną dojrzałością i perfekcją, ale zupełnie obcą zarówno dla sztuki Wschodu, jak i Zachodu, dla sztuki starożytnej, jak i nowoczesnej - nie widziałem jeszcze dotąd niczego w tym rodzaju ani o niczym podobnym nie słyszałem. Zdawał się to być przedmiot pochodzący z innej planety. Wkrótce jednak stwierdziłem, że mój niepokój miał jeszcze inne źródło, a były nim obrazkowe i matematyczne wzory na powierzchni tiary. Wszystkie inne sugerowały jakieś dawne tajemnice i niepojęte głębie czasu i przestrzeni, zaś monotonne, powiązane z morzem płaskorzeźby były w swej wymowie prawie złowróżebne. Pośród płaskorzeźb znajdowały się baśniowe potwory, odrażające, groteskowe i złośliwe - półryby, półżaby - które musiały chyba być powiązane z jakąś pseudopamięcią i zdawały się porzwoływać dziwne obrazy z głębokich komórek i tkanek, których trwałe funkcjonowanie należy do pierwotnych i straszliwie odległych czasów. Chwilami odnosiłem wrażenie, że każdy zarys tych bluźnierczych żaboryb przesycony jest kwintesencją nieznanego i nieludzkiego zła. Krótka i prozaiczna historia opowiedziana przez pannę Tilton dziwnie kontrastowała z ogólnym wrażeniem, jakie sprawiała tiara. W 1873 roku oddał ją do lombardu na State Street za śmieszłą sumę pewien pijany człowiek z Innsmouth, który wkrótce potem został zabity w jakiejś bójce. Stowarzyszenie nabyło ją wprost od właściciela lombardu i od razu umieszczona została na wystawie będącej godnym dla niej miejscem, wraz z informacją, że pochodzi prawdopodobnie z Indii Wschodnich albo Indochim, choć było to oparte wyłącznie na przypuszczeniach. Panna Tilton, porównując wszelkie możliwe hipotezy dotyczące jej pochodzenia i

obecności w Nowej Anglii, skłonna była wierzyć, że stanowiła część łupu pirackiego znalezionej przez kapitana Obeda Marsha. Poglądu tego nie podważały bynajmniej bezustanne oferty Marshów, którzy, z chwilą gdy się dowiedzieli o jej istnieniu, natychmiast chcieli ją kupić proponując wysoką cenę. I po dziś dzień powtarzają swoją ofertę mimo zdecydowanej odmowy stowarzyszenia. Kiedy wyszliśmy z budynku, zacna dama poinformowała mnie, że krąży w inteligentkich sferach tego regionu. Jeśli zaś chodzi o jej własny stosunek do upiornego Innsmouth - w którym zresztą jeszcze nigdy nie była - to czuje odrazę to tej społeczności, która wyzbyła się wszelkiej kultury, i zapewniała mnie, że pogłoski o otaczaniu czcią diabła są częściowo sprawiedliwione, bo rozpowszechnił się tam jakiś tajemniczy kult i pochłonął wszystkie ortodoksyjne kościoły.

Został nazwany, powiedziała "Ezoterycznym Porządkiem Dagona", i jest z pewnością wynaturzonym, quasi-pogańskim obrzędem zapożyczonym sto lat temu na Wschodzie, kiedy to łowiska rybne w Innsmouth zaczęły znikać. Trwałość tego kultu wśród prostych ludzi jest zjawiskiem naturalnym, jako że nagle wody przybrzeżne zapełniły się rybami i stan ten nadal się utrzymuje, a wkrótce kult rozprzestrzenił się w całym mieście, wypierając całkowicie wolnomularstwo, i obrał sobie na główną siedzibę starą Masońską Lożę na ulicy New Church Green. Wszystko to razem stanowiło dla pobożnej panny Tilton wystarczającą przyczynę, dla której unikała tego starego miasta, opustoszałego i ogarniętego rozkładem; dla mnie stało się to nowym bodźcem. Moje architektoniczne i historyczne zainteresowania zostały teraz wzbogacone o antropologiczne zagadki. Taki byłem podniecony, że prawie przez całą noc nie mogłem zmrużyć oka w moim małym pokoiku w YMCA.

II

Nazajutrz rano, tuż przed godziną dziesiątą, stałem z małą walizką pod drogerią Hammonda na Starym Rynku czekając na autobus do Innsmouth. Kiedy zbliżał się czas przyjazdu autobusu, zauważyłem, że snujący się tu ludzie szybko gdzieś umykają albo przechodzą na drugą stronę placu, koło gospodu Ideal Lunch. A więc kasjer na stacji kolejowej nie przesadzał mówiąc o niechęci miejscowych ludzi do Innsmouth i jego mieszkańców. Po chwili pojawił się na State Street mały rozklekotany wehikuł, ogromnie sfatygowany, brudnoszarego koloru, zakręcił i zatrzymał się tuż koło mnie przy krawężniku. Domyśliłem się, że to właśnie ten autobus, a wkrótce upewniłem się sprawdzivszy na ledwie czytelnej tablicy na przedniej szybie napis: Arkham - Innsmouth - Newburyport.

Było w nim tylko trzech pasażerów - ciemnowłosych, niechlujnych, o ponurych twarzach, wyglądających raczej na młodych ludzi - a kiedy autobus się zatrzymał, wysiedli niezdarnie i poszli ulicą w milczeniu, niemalże ukradkiem. Kierowca także wysiadł i udał się do drogerii, by zrobić tam zakupy. Domyślałam się, że jest to Joe Sargent, o którym wspominał kasjer; nim jeszcze zdołałem wniknąć w jakiegokolwiek szczegóły, ogarnęła mnie nagle awersja do tego człowieka, niczym właściwie nieuzasadniona. Zrozumiałem niechęć tutejszych ludzi do podróżowania autobusem, którego właścicielem i kierowcą jest ten człowiek, albo do odwieszania miasta, w którym żyje on i jemu podobni. Kiedy kierowca wyszedł ze sklepu, przypatrzyłem mu się uważnie, żeby wykryć źródło owego złego wrażenia, jakie na mnie wywarł. Był szczupły, przygarbiony, wzrostu około sześciu stóp, miał na sobie obskurne granatowe ubrania, a na głowie mocno zniszczoną golfową czapkę. Miał około trzydziestu pięciu lat, ale z powodu

głębokich bruzd po bokach szyi wyglądał na starszego, jeśli się nie patrzyło na jego ponurą, pozbawioną wyrazu twarz. Miał wąską głowę, wyłupiaste niebieskie oczy, niemal wodniste, które zdawały się nigdy nie mrugać, płaski nos, cofnięte czoło i podbródek oraz przedziwnie niezgrabne, jakby niewykształcone uszy. Miał duże, grube wargi i pokryte gęsto porami zszazałe policzki, prawie pozbawione zarostu, tylko gdzieś wyrastały z nich kępki rzadkich, jasnych włosów; miejscami skóra jego była dziwnie chropowata, tak jakby złuszczała się z powodu jakiejs choroby. Ręce miał duże, gęsto usiane żyłami, o dziwnym szaroniebieskim zabarwieniu. Palce jego były zaskakująco krótkie w stosunku do całej budowy ciała i najwyraźniej podkurczał je, żeby ukryć w ogromnej dłoni. Kiedy tak szedł w stronę autobusu, zauważyłem, że w jakiś szczególny sposób powłoczy nogami i że ma niespotykanej wielkości stopy. Nie mogłem się nadziwić, że zdołał kupić buty. Wszystko było na nim wytłuszczone, a to jeszcze bardziej potęgowało moją odrazę. Musiał chyba pracować albo bywać często w porcie, bo okropnie cuchnął rybami, ale jaka obca krew płynęła w jego żyłach, nie potrafiłem odgadnąć. Nie wyglądał na Azjatę, Pilinezyjczyka, Lewantyńczyka ani na typ negroidalny, ale rozumiałem, dlaczego ludzie uważali go za obcego. Ja jednak skłonny byłem uważać go raczej za biologicznego degenerata aniżeli obcego. Kiedy zorientowałem się, że będę jedynym pasażerem w tym autobusie, nie było mi przyjemnie. Nie odpowiadało mi podróżowanie wyłącznie w towarzystwie tego kierowcy.

Nadszedł jednak czas odjazdu, stłumiłem więc niechęć i wsiałem za tym człowiekiem wręczywszy mu banknot jednodolarowy i powiedziawszy tylko jedno słowo "Innsmouth". Spojrzał na mnie z zaciekawieniem wydając mi w milczeniu czterdzieści centów reszty. Usiałem po jego stronie, ale daleko, chciałem bowiem podczas jazdy patrzeć na morze. Wreszcie ów zramolały wehikół ruszył ze zgrzytem i piskiem i kłośno turkając mijał stare budynki z cegły na State Street w gęstej chmurze dymu dobywającego się z rury wydechowej. Zauważyłem, że przechodnie na ulicy starają się nie patrzeć na

autobus albo udają, że nie patrzą. Po chwili skręciliśmy w lewo na High Street, gdzie jezdnia była już gładsza; przemknęliśmy obok dostojnych starych rezydencji wczesnorepublikańskiego okresu i obok jeszcze starszych farm z okresu kolonialnego, minęliśmy Lowel Green i Parker River, po czym wjechaliśmy w długi, monotony pas rozległego nadmorskiego obszaru. Dzień był ciepły i słoneczny, jednakże piaszczysty teren, porośły turzycą i karłowatymi drzewami, stawał się coraz bardziej opustoszały. Z okna widziałem błękitną wodę i piaszczyste zarysy Plum Island, a wkrótce zjechaliśmy prawie na sam brzeg plaży, gdyż nasza wąska droga zbieżyła z głównej szosy prowadzącej do Rowley i Ipswich. Nie było tu już żadnych domów, a stan drogi świadczył o bardzo niewielkim ruchu kołowym. Niskie, zniszczone wiatrem i deszczem słupy telefoniczne miały tylko dwie linie, a co pewien czas przejeżdżaliśmy przez sfatygowane drzewiane mostki na małych rzeczkach, które wijąc się płynęły w głąb lądu i potęgowały jeszcze wrażenie pustki tego terenu. Gdzieś wyłaniały się przed moimi oczami nagle kikuty i rozpadające się resztki fundamentów ponad ruchomymi piaskami, świadczące o dawnej tradycji, o jakiej wspominał książce historii, którą czytałem, a mianowicie, że niegdyś była to żyzna gęsto zaludniona kraina. Zmiana nastąpiła w okresie epidemii w Innsmouth w 1846 roku, a wśród mieszkańców panuje przekonanie, że ma to związek z jakimiś tajemniczymi złymi mocami. Na spustoszenie tego terenu wpłynął też bezsensowny wyręb przybrzeżnych lasów, co pozbawiło ziemię tak potrzebnej ochrony drzew i dała wolną drogę falom i piaskom przenoszonym wiatrem. Posuwając się dalej straciliśmy z oczu Plum Island, a po lewej stronie rozroczył się przed nami widok na rozległy Atlantyk. Nasza wąska droga zaczęła się wspinać stromo, a mnie zaczął ogarniać dziwny niepokój, kiedy zobaczyłem przed sobą wysoką grań, na której nasza wyżłobiona droga sięgała nieba. Wydawało się, że autobus będzie się tak wspinać coraz wyżej, pozostawi za sobą normalną ziemię i wzniesie się w arkana wyższych warstw powietrza i tajemniczego nieba. Zapach morza był teraz prawie złowieszczy,

a pochylone mocne plecy milczącego kierowcy i jego wąska głowa z każdą chwilą stawały się dla mnie coraz bardziej nienawistne. Kiedy popatrzyłem uważniej, przekonałem się, że tył jego głowy jest prawie tak samo pozbawiony włosów jak i jego twarz, tylko parę złotych kępek wyrasta mu na szarej, szorstkiej skórze.

I tak wjechaliśmy na grań, skąd roztoczył się widok na rozległą dolinę, gdzie rzeka Manuxet łączyła się z morzem na północ od długiego łańcucha wzgórz najgęściej skupionych w Kingspot Head i skręcającym w stronę Cape Ann. Na dalekim zamglonym horyzoncie zdołałem zauważyć przyprawiający o zawrót głowy zarys góry, a na niej tajemniczy stary dom, o którym krążyło tak wiele legend; w tej chwili całą moją uwagę przykuwała bliższa panorama roztaczająca się w dole. Zorientowałem się, że przedemną jest już upiorne Innsmouth. Było to miasto rozległe i gęsto zabudowane, ale już z daleka znaminował je złowieszczy brak śladów życia. Z gęstego skupiska kominów tylko gdzieś unosił się kłębek dymu, a trzy wysokie wieże sterczały na tle morza nagie i nie pomalowane. Jedna z nich na szczycie się tozpadała, a tu i ówdzie widniały czarne czeluście, w których niegdyś były pewnie tarcze zegarów. Ogromną ilość obwisłych, spadzistych dachów o spiczastych kalenic najwyraźniej toczyło robactwo, a kiedy zjechaliśmy trochę niżej, okazało się, że większość dachów całkiem się zapadła. Było tam także kilka dużych kwadratowych domów w stylu gregoriańskim z kopertowymi dachami, kopułami i tarasami otoczonymi żelazną balustradą. Te znajdowały się z dala od morza i niektóre zachowały się jeszcze w całkiem niezłym stanie. Sramtąd ciągnęły się w stronę lądu nie używane teraz i zarosłe trawą szyny kolejowe z przechylonymi słupami telegraficznymi, pozbawionymi drutów, i na pół zatarte ślady starych dróg do Rowley i Ipswich. Największe zniszczenie dało się zauważyć tuż nad morzem, choć w samym środku wypatrzyłem białą wieżę całkiem dobrze zachowanej budowli z cegieł, która wyglądała jak mała fabryka. Przystań, z dawna zasypana piaskiem, otoczona była starym, kamiennym falochronem; na nim to zacząłem odróżniać małe

figórki siedzących rybaków, a na samym końcu fundamenty stojącej tu niegdyś latarni morskiej. Od wewnątrz falochronu utworzył się piaszczysty cypel, na nim zaś spostrzegłem kilka przysiadłych chat, płskodenne łodzie i porozrzucane wrzeczadze do łowienia homarów. Woda zdawała się być głęboka tylko tam, gdzie rzeka opływała fabrykę i skręcała na południe, by połączyć się z oceanem przy końcu falochronu.

Tu i ówdzie sterczały na brzegu ruiny przystani w zupełnym rozkładzie, który im dalej na południe, tym większy przybierał zasięg. A w głębi morza, mimo wysokiego przypływu, dostrzegłem długą czarną linię, nieznacznie unoszącą się nad powierzchnią wody, a kryjącą w sobie jakieś tajemne zło. Domyliłem się, że musi to być Diabelska Rafa. Kiedy tak na nią patrzyłem, doznawałem mieszanych uczuć; w swej ponurości była odpychająca, a jednocześnie w jakiś dziwny sposób zdawała się do siebie przyciągać. Zdumiewające, ale to drugie odczucie powodowało większy niepokój. Nie spotkaliśmy po drodze ani żywej duszy, teraz zaczęliśmy mijać opuszczone farmy będące w różnym stadium rozkładu. Potem zauważyłem kilka zamieszkałych domów o potłuczonych szybach zasłoniętych różnymi szmatami, a zaśmiecone podwórka pełne były muszli i śniętych ryb. Raz, a może dwa, dostrzegłem apatycznie wyglądających ludzi pracujących w pustych ogródkach albo wykopujących mięczaki na cuchnącej rybami plaży oraz grupki dzieci przypominających małpy, które bawiły się przy obrośniętych chwastami progach domów. Ci ludzie napawali większym niepokojem niż wszystkie ponure domostwa, bo prawie każdy spośród nich szokował albo wyrazem twarzy, albo sposobem poruszania się, co instynktownie budziło we mnie niechęć, choć nie potrafiłbym określić przyczyny takiego stosunku. Przez moment zdawało mi się, że charakterystyczna budowa ich ciała przypomina mi jakąś ilustrację z książki oglądanej w chwili przerażenia albo melancholii; ale to pseudospomnienie minęło bardzo szybko. W miarę jak autobus zjeżdżał coraz niżej, wśród nienaturalnej ciszy zaczął mnie dochodzić monotony szum wodospadu. Po

obu stronach drogi pojawiły się coraz gęstsze skupiska pochylonych, nie pomalowanych domów, bardziej przypominających miejską zabudowę. Panorama przed nami ograniczała się już teraz tylko do ulicznej scenerii, co pewien czas pojawiały się ślady dawnych chodników wykładanych kostką lub cegłą. Oczywiście wszystkie domy ziały pustką, a od czasu do czasu pojawiały się wyrwy, w których tylko rozpadające się kominy albo na wpół zawałone piwnice świadczyły o tym, że niegdyś stały tu budynki. Wszędzie natomiast dominował mdły zapach ryb, wprost nie do opisania.

Wkrótce zaczęliśmy mijać poprzednie ulice skrzyżowania; ulice po lewej stronie prowadziły ku morzu, były niebrukowane i obskurne, natomiast biegnące w prawo nosiły ślady minionej świetności. Jak dotąd jeszcze nie widziałem ani jednego człowieka w tym mieście, ale zaczęły się już pojawiać pojedyncze oznaki życia - gdzieniegdzie zasłonięte okna albo stojące na rogu mocno sfatygowane samochody. Bruk uliczny i chodniki wyłaniały się coraz wyraźniej, a większość domów, choć była stara - połączenie cegły i drzewa z początku dziewiętnastego wieku - nadawało się jeszcze do zamieszkania. Z amatorstwa interesowałem się wszystkim, co stare, i w tym bogactwie minionej, ale dobrze jeszcze zachowanej przeszłości prawie przestałem reagować na obrzydliwy zapach ryb, opuściło mnie też poczucie zagrożenia i odrazy. Nie było mi jednak sądzone dotrzeć do celu bez dojmująco przykrego doznania. Autobus podjechał do jakiegoś skrzyżowania albo ronda otoczonego z dwóch stron kościołami, pośrodku którego znajdowały się błotniste resztki trawnika, przede mną zaś, z prawej strony skrzyżowania, wyłonił się ogromny gmach z kolumnami. Niegdyś pomalowany na biało, teraz był szary i obdrapany, a czarnozłote litery na frontonie tak wyblakły, że z trudem zdołałem odczytać napis "Ezoteryczny Porządek Dagona". A więc był to dawny budynek wolnomularzy, przejęty teraz przez wyznawców nikczemnego kultu. Kiedy wyteżyłem wzrok, żeby odczytać napis, uwagę moją zwróciły jakieś ochryple tony dzwonu, szybko więc odwróciłem się, by wyrzeć przez okno, przy którym siedziałem. Dźwięk dochodził z

kamiennego kościoła z przysadziłą wieżą, pochodzącego ze znacznie późniejszego okresu niż większość okolicznych domów, a zbudowanego w ciężkim gotyckim stylu z nieproporcjonalnie wysoką kryptą z okiennicami. Choć zegar od tej strony, na którą patrzyłem, pozbawiony był wskazówek, wiedziałem, że te ostre uderzenia dzwonu obwieszczają godzinę jedenastą. Nagle jednak wszelkie poczucie czasu zostało wymazane przez niesłychanie intensywnie napierający obraz, który wywołał we mnie paniczny lęk, nim jeszcze zdołałem pojąć, co oznacza. Drzwi do krypty kościoła były otwarte i ukazywały czarne, kwadratowe wnętrza. Wtem przesuwała się tam, albo tak mi się tylko zdawało, jakaś postać; w głowie zaświtała mi straszna myśl o zmorze nocnej, co było bulwersujące, bo przecież pozbawione wszelkiego sensu.

Był to obiekt żywy - pierwszy poza kierowcą, jaki napotkałem od chwili, gdy wjechaliśmy w gęsto zabudowaną część miasta - i gdybym był w spokojniejszym stanie umysłu, nie wydałoby mi się to tak przerażające. Jak sobie po chwili uświadomiłem, musiał to być niewątpliwie kapłan; ubrany w jakieś niezwykle szaty, wprowadzone przez Porządek Dagona, który zmodyfikował wszystkie miejscowe kościoły. To, co najprawdopodobniej podświadomie uderzyło mnie już w pierwszej chwili i napełniło takim lękiem, to była wysoka tiara na jego głowie; identyczna jak ta, którą pokazała mi panna Tilton poprzedniego wieczora. To zapewne ona podziałała na moją wyobraźnię i nadała tak złowieszcze cechy niewyraźnej twarzy i odzianej w dziwne szaty, powłóczącej nogami postaci. Wkrótce uznałem, że nie ma sensu aby jakieś rzekome wspomnienie zła wywołało we mnie aż taki wstrząs. Czyż nie było to naturalne, że wyznawcy miejscowego tajemniczego kultu przejęli wśród różnych symboli to niezwykle nakrycie głowy, dobrze znane tutejszej społeczności... może jako trofeum znalezionego skarbu?

Teraz co pewien czas zaczęli się pojawiać na ulicy młodzi ludzie o odrażającym wyglądzie - pojedynczo albo też w milczących grupkach po dwie, trzy osoby. Na parterze poniekórych zniszczonych domów znajdowały

się małe sklepiki i zamazanych szyldach, tu i ówdzie dostrzegłem zapakowane ciężarówki. Szum wodospadu dobiegał coraz wyraźniej, wkrótce dostrzegłem dość głębokie koryto rzeki, a nad nią szeroki, żelazny most, wychodzący na duży, kwadratowy plac. Kiedy przejeżdżaliśmy z łoskotem przez most, rozejrzałem się na wszystkie strony i dostrzegłem budynki fabryczne na porośłym trawą stromym brzegu rzeki. Poziom wody był bardzo wysoki, po prawej stronie, w górze rzeki, znajdowały się dwa wartkie wodospady i conajmniej jeden z lewej, w dolnym biegu. Tutaj szum był ogłuszający. Potoczyłem się na zaokrąglony plac na drugim brzegu i podjechaliśmy z prawej strony przed wysoki, uwieńczony kopułą budynek z resztkami żółtej farby i pozacieranym napisem "Gilman House".



Z przyjemnością wysiadłem i natychmiast udałem się do obskurnego hotelu, aby zostawić tam walizkę. W hallu był tylko jeden pracownik - starszy mężczyzna, nie posiadający wyglądu "człowieka z Innsmouth" - któremu postanowiłem nie zadawać żadnych pytań na interesujące mnie tematy, pamiętałem, że w tym właśnie hotelu działy się dziwne rzeczy, wedle relacji kasjera ze stacji kolejowej. Wszedłem zaraz na plac, z którego autobus już zdążył odjechać, i przyglądałem się wszystkiemu dokładnie i wnikliwie. Z jednej strony tego placu wyłożonego kocimi łbami ciągnęła się w prostej linii rzeka; z drugiej znajdowało się półkole budynków z cegły o spadzistych dachach, zbudowanych najprawdopodobniej około tysiąc osiemsetnego roku, skąd rozchodziło się promieniście kilka ulic na południowy wschód, południe i południowy zachód. Z rzadka stojące latarnie były raczej niskie, o słabym świetle. Rad więc byłem, że zaplanowałem odjazd przed zmrokiem, mimo że zapowiadała się jasna, księżycowa noc.

Wszystkie budynki zachowały się w dobrym stanie i miały kilka funkcjonujących sklepów; jeden z nich, spożywczy, był filią znanej w całej Nowej Anglii firmy, poza tym znajdowała się tam smętna restauracja, drogeria i biuro centrali rybnej; na wschodnim krańcu, przy samej rzece, mieściło się biuro jedyne go funkcjonującego przemysłu w mieście - Towarzystwa Rafineryjnego Marsha. Na ulicach spotkałem w sumie może dziesięciu przechodniów, poza tym w różnych miejscach stało kilka samochodów i ciężarówek. Nikt nie potrzebował mnie objaśniać, że to jest centrum Innsmouth. Od wschodniej strony prześwitywał niebieskimi barwami port, na tle którego wyrastały ruiny trzech, niegdyś pięknych wieżyc, w gregoriańskim stylu. A w kierunku brzegu, po drugiej stronie rzeki, wznosiła się biała wieża, która, jak wywnioskowałem, stanowiła część rafinerii Marsha. Trudno byłoby mi powiedzieć jakimi motywami się kierowałem, ale na pierwszy plan wybrałem sklep spożywczy, którego personel nie przypominał miejscowych ludzi, i tam postanowiłem się czegoś dowiedzieć. Zastałem tylko siedemnastoletniego chłopca, pracującego w charakterze subiekta, i przyjemnie mi się zrobiło na widok jego ożywienia i uprzejmości, które obiecywały pogodną gotowość informacji. Okazał się bardzo rozmowny i wkrótce się dowiedziałem, że nie posoba mu się to miejsce, ma dosyć ciągłego zapachu ryb i zagadkowych mieszkańców tego miasta. Rozmowa z każdym przybyszem była dla niego ulgą. Przyjechał tu z Arkham, zamieszkał u rodziny pochodzącej z Ipswich, a wyjeżdżał stąd zawsze, gdy tylko miał wolne. Rodzina jego niechętnie akceptowała tę pracę w Innsmouth, ale firma go tu skierowała i nie chciał stracić posady.

Powiedział, że nie ma tu żadnej biblioteki ani żadego biura podróży, ale zapewne poradzę sobie sam. Ulica, na której obecnie się znajduję, to Federal Street. Na zachód od niej znajdują się stare, elegantsze ulice - Brood, Washington, Lafayette i Adams - na wschód jest natomiast nadbrzeżna dzielnica slumsów. Tam właśnie, przy Main Street, spotkałem stare kościoły gregoriańskie, od dawna już nieczynne. Lepiej tam nie rzucać się zanadto w

oczy, zwłaszcza na północ od rzeki, bo ludzie są nastawieni wrogo i strasznie posępni. Zdażyło się nie raz, że obcy przybysz zniknął tam na zawsze. Pewne miejsca w tamtej okolicy są prawie zakazane o czym przekonał się na własnej skórze. Na przykład nie należy przechadzać się w pobliżu rafinerii Marsha ani koło czynnych kościołów czy też gmachu z filarami należącego do Porządku Dagona na New Church Green. Są to bardzo dziwne kościoły - wszystkie gwałtownie zdezurowane przez ich sekty posługujące się przedziwnym ceremoniałem i równie dziwnym strojem duchowieństwa. Jest to heretycka i jakaś tajemnicza wiara, charakteryzująca się dziwnymi przejawami cudownych przeobrażeń zmierzających do nieśmiertelności ciała - w pewnym stopniu - na ziemi. Pastor - dr Wallace z Ashbury M.E. Kościoła w Arkham - surowo przestrzegają tego młodego człowieka przed uczestnictwem w obrzędach któregośkolwiek kościoła w Innsmouth. Jeśli chodzi o samych mieszkańców Innsmouth, to właściwie nie wiedział, co o nich myśleć.

Rzadko i tylko ukradkiem pojawiali się na ulicach, niczym zwierzęta żyjące w norach, i nie miał pojęcia w jaki sposób spędzają czas, kiedy nie łowią ryb, a połowy też odbywały się i u nich bez żadnego planu. Sądząc po ilości przemycanego alkoholu, przez większą część dnia leżą pewnie w alkoholowym zamroczeniu. Wszyscy zdają się przynależać do jakiejś wspólnoty, rozumieją się nawzajem i pogardzają resztą świata, jak gdyby mieli dostęp do innych, znacznie wyższych sfer istnienia. Ich wygląd - zwłaszcza tych, którzy mają nieruchome i nigdy nie zamykające się oczy - jest już sam w sobie zaskakujący, a brzmienie ich głosu mocno odrażające. Okropne wrażenie robią ich śpiewy w kościołach podczas nocy, a zwłaszcza w ich główne święta przypadające dwa razy do roku, 30 kwietnia i 31 października.

Są miłośnikami wody, pływają bardzo często zarówno w rzece, jak i w morzu. Powszechne wśród nich są wyścigi pływackie do Diabelskiej Rafy i każdy, kogo tylko spotkamy na ulicy, wydaje się być zdolny do tego

wyczerpującego sportu. Jeśli się tak zastanowić, to właściwie tylko młodych ludzi dostrzega się na ulicy, a im starsi, tym ciemniejszą mają skórę. Zdarzają się wyjątki, kiedy nie dostrzega się odchyień od normy, jak na przykład ów starszy już pracownik hotelu. Zastanawiające, co dzieje się ze starymi ludźmi, a może "wygląd typowy dla Innsmouth" to objawy dziwnej i zdradzieckiej choroby, które potęgują się w miarę upływających lat?

Tylko jakaś rzadko spotykana choroba mogła spowodować równie wielkie i zaskakujące zmiany anatomiczne u poszczególnych dorosłych osobników - zmiany w układzie kostnym, tak podstawowe jak kształt czaski - ale znacznie bardziej zaskakujące i wprost niesłychane było piętno tej choroby zaznaczające się w ogólnym wyglądzie. Trudno byłoby wyciągnąć jakieś konkretne wnioski w tej sprawie, wyjaśnił młody sprzedawca, bo nie sposób poznać bliżej tych ludzi, choćby się nawet długo wśród nich mieszkało. Był przekonany, że ludzie o gorszym wyglądzie niż ci, których czasem spotyka się na ulicach, przebywają zamknięci w domach. Nieraz słyszał jakieś dziwne odgłosy. Rozpadające się nadbrzeżne rudery na północ od rzeki są podobno połączone ukrytymi lochami stanowiącymi istne siedlisko anormalnych zjawisk. Jaka obca krew - jeżeli tak jest istotnie - płynie w żyłach tych ludzi, trudno się rozeznaczyć. Kiedy przedstawiciele rządowi albo jacyś inni ludzie z zewnątrz przybywają do miasta, wtedy starannie ukrywają wszystkich, którzy wyglądają odrażająco. Nie ma sensu, objaśniał mnie sprzedawca, pytać tubylców o cokolwiek, co dotyczy miasta. Jedyne, który byłby tu skory do rozmowy, to sędziwy już człowiek o normalnym wyglądzie, mieszkający w ubogim domu na północnym skraju miasta. Można go spotkać przy remizie strażackiej, bo coagle się tam snuje. Ten starzec nazywa się Zadok Allen, ma dziewięćdziesiąt sześć lat i jest trochę stuknięty, a poza tym to największy w mieście pijak. Jest dziwny i zagadkowy, ciągle ogląda się przez ramię, jakby się czegoś obawiał, a kiedy jest trzeźwy, za nic nie można go nakłonić do rozmowy z obcymi. Nie potrafi się jednak oprzeć pokusie, jeśli ktoś mu zaproponuje jego ulubioną truciznę,

a pijany rozwija opowieść pełną zdumiewających wspomnień.

A jednak niewiele pożytecznych wiadomości można od niego uzyskać; we wszystkich jego opowieściach znać szaleństwo, są to niepowiązane wątki na temat nieprawdopodobnych cudów i strasznych wydarzeń, które zrodzić mogła tylko jego nieposkromiona fantazja. Nikt mu nigdy nie daje wiary, ale mieszkańcom Innsmouth nie podoba się, że stary tyle pije i rozmawia z obcymi; lepiej, żeby nie wiedzieli, że się z nim rozmawia. To od niego najprawdopodobniej wywodzą się wszystkie najbardziej niesamowite opowieści. Kilku nietutejszych nieraz donosiło o jakiś strasznych zjawach, które im się zdażyło tu zauważyć, ale trudno się dziwić, że opowieści starego Zadoka i widok zniekształconych tubylców wywołały takie iluzje. Nikt spośród niemiejscowych ludzi nie wychodzi na ulicę wieczorem, bo, jak się powszechnie uważa, byłoby to przejawem braku rozsądku. A poza tym wszystkie ulice spowija złowieszczy mrok. Ilość ryb jest tu wprost niewiarygodna, ale ludzie mają z tego coraz mniejsze korzyści. Ponadto ceny spadają, a konkurencja rośnie. Najlepiej prosperuje oczywiście rafineria, której przedstawicielstwo handlowe mieści się w pobliżu, na placu. Starego Marsha nigdy się nie widuje, czasami jednak jeździ do fabryki w zamkniętym samochodzie z zasłoniętymi oknami. O Wyglądzie Marsha krążą najrozmaitsze pogłoski. Dawniej był to wielki elegant i podobno jeszcze teraz nosi surdut z epoki edwardiańskiej, przystosowany do jego dziwnie zdwformowanego ciała. Przedtem jego synowie prowadzili biuro, ale od pewnego czasu nie pokazują się już publicznie i lwią część pracy przejęła młodsza generacja. Wygląd synów, a także ich sióstr stał się dziwny, zwłaszcza tych starszych, i podobno wszyscy jakoś zapadają na zdrowiu.

Jedna z córek Marsha jest odrażająco brzydka, przypomina jekiegoś gada, a nosi ogromną ilość przedziwnej biżuterii, podobnie egzotycznej jak widziana przezemnie tiara. Młody sprzedawca widział tiarę kilka razy i słyszał, że pochodzi z tajemnego łupu albo pirackiego albo diabelskiego. Księża, czy też kapłani - w gruncie rzeczy nie wiadomo, jak się ich tutaj zwie

- wszyscy noszą tego rodzaju ozdobę na głowie, ale niestety niełatwo ich zobaczyć. Innych egzemplarzy tej tiary młody człowiek nie widział, choć podobno, wedle krążących wieści, jest ich wiele w Innsmouth. Marshowie wraz z trzema innymi szlachtetnie urodzonymi rodzinami - Walte'ami, Gilmanami i Eliotami - nie muszą już pracować. Mieszkają w ogromnych domach na Washington Street i trzymają tam podobno w ukryciu swoich krewnych, którym ze względów osobistych nie wolno się pokazywać, ale wiadomość o ich śmierci ogłaszają oficjalnie. Wiele napisów z nazwami ulic zostało zdjętych, w związku z czym młody człowiek naszkicował mi szczegółowy plan najważniejszych obiektów w mieście. Stwierdziłem, że będzie mi ogromnie pomocny, i wśród serdecznych podziękowań schowałem go do kieszeni. Obskurna restauracja, którą po drodze widziałem, nie wydała mi się zachęcająca, wobec tego kupiłem sobie na obiad serowe krakersy i imbirowe wafle. Postanowiłem obejrzeć główne ulice, porozmawiać z ludźmi przybyłymi do tego miasta, jeżeli takich po drodze napotkam, i wrócić autobusem do Arkham o ósmej wieczorem. Całe miasto było naznaczone rozkładem i ruiną; nie miałem zainteresowań socjologicznych, postanowiłem więc skupić się na zagadnieniach z zakresu architektury.

I tak rozpocząłem moją dokładną, ale jakże kłopotliwą wędrówkę po Innsmouth, wąskimi, dość mrocznymi uliczkami. Minąłem most i skręciłem w stronę szumiącego wodospadu w dolnym biegu rzeki, przeszedłem koło rafinerii Marsha, z której, dziwna rzecz, ale nie dochodziły odgłosy odbywającej się tam pracy. Stała na krawędzi stromego brzegu rzeki koło mostu, a skrzyżowanie ulic, będące dawniej centrum miasta, zostało po Rewolucji zastąpione placem miejskim istniejącym do dzisiaj. Minąwszy wąwóz przy moście na Main Street natknąłem się na dzielnicę tak wymarłą, że przeszył mnie dreszcz przerażenia. Skupisko zapadłych i rozsypujących się dachów tworzyło fantazyjną, poszarpaną linię horyzontalną na tle nieba, a ponad nią wyrastała upiorna, ścięta u góry wiża starego kościoła. W kilku domach za Main Street ktoś chyba mieszkał, ale większość była szczelnie

zabita deskami. Na bocznych, pozbawionych chodników ulicach ujrzałem czarne czeluście wybitych okien w pustych ruderach, z których wiele przechyliło się groźnie na osuniętych fundamentach. Okna te wyglądały tak upiornie, że trzeba było nie lada odwagi, aby iść dalej, w stronę parku. Strach, jaki budzą opustoszałe domy, potęguje się taczej w postępie geometrycznym niż arytmetycznym, jako, że domy mnożą się i tworzą opustoszałe miasto. Na widok nieskończone długich ulic świecących pustką i śmiercią i na myśl o ciągnących się bezkresnie, spowitych mrokiem mieszkaniach, które wypełniały tylko pajęczyny i wspomnienia i nad którymi zawładnęło teraz robactwo, ogarniał człowieka lęk i odraza, i chyba nawet najwytrzymalsza filozofia nie byłaby w stanie się im oprzeć. Fish Street była równie opustoszała jak Main Street, różniła się jednak tym, że zbudowane z cegły i kamienia magazyny zachowały się w doskonałym stanie. Water Street była podobna, z tą tylko różnicą, że w tych miejscach, gdzie znajdowały się kiedyś zabudowania portowe, teraz były puste dziury. Nigdzie nie spotkałem żywej duszy, tylko na kalekim falochronie siedziało paru rybaków, nie słyszałem też żadnych odgłosów życia poza chlupaniem fal w przystani i szumem wodospadu na rzece Manuxet. To miasto zaczynało mi coraz bardziej działać na nerwy, co chwila oglądałem się ukradkiem na most na Water Street. Most na Fish Street, zgodnie z naszkicowanym planem, był w ruinie. Na północ od rzeki znać było ślady nędznego życia - czynne pakowanie ryb na Water Street, tu i ówdzie dymiące kominy i połatanie dachy, jakieś nieokreślone odgłosy, a gdzieniegdzie na ponurych niebrukowanych uliczkach powłóczący nogami ludzie. Mimo to wydało mi się tu jeszcze bardziej ponuro niż w południowej, wymarłej dzielnicy miasta. Może dlatego, że ludzie tutaj byli jeszcze bardziej tajemniczy i nienormalni niż w centrum miasta; parokrotnie doznałem jakiś zupełnie fantastycznych skojarzeń, których nie potrafiłem umiejscowić. Wydawało się, że ci ludzie mają większą domieszkę obcej krwi aniżeli mieszkańcy śródmieścia - chyba że wygląd "ludzi z Innsmouth" miał rzeczywiście podłoże chorobowe, a nie

był tylko przejawem obcej krwi; w takim razie w tej dzielnicy choroba była bardziej zaawansowana niż gdzie indziej.



Szczególnie zaniepokoiły mnie ledwo słyszalne odgłosy niewiadomego pochodzenia. Powinny dobywać się z zamieszkałych domów, a tymczasem najwyraźniej dochodziły z domów, których fasady były zabite deskami. Tam rozlegało się jakieś skrzypienie, bezładne przemykanie i chrobotanie; mimo woli pomyślałem o ukrytych tunelach, o których wspominał młody sprzedawca. Nagle zacząłem się zastanawiać, jakie brzmienie ma głos tutejszych mieszkańców. Do tej pory nie słyszałem jeszcze rozmowy tych ludzi, ale w końcu stwierdziłem, że nie mam na to najmniejszej ochoty. Zatrzymałem się trochę dłużej na Main Street i Church Street, żeby popatrzeć na dwa dość ładne, stare, zniszczone kościoły i szybko opóściłem tę dzielnicę nędznych slumsów nad brzegiem rzeki. Następne kroki powinienem był skierować na ulicę New Church Green, ale jakoś nie miałem ochoty się znaleźć po raz drugi w pobliżu kościoła, w którego krypcie dostrzegłem tę przerażającą postać księdza czy też pastora z dziwnym diademem na głowie. Poza tym chłopiec ze spożywczego sklepu przestrzegał mnie, że w kościołach, a także w budynku Porządku Dagona, ludzie obcy nie są mile widziani. Wobec tego posuwałem się w kierunku północnym główną ulicą, po czym skręciłem w głąb lądu i znalazłem się w zniszczonej dzielnicy zamożnego mieszczaństwa północnej części ulicy Brood, Washington, Lafayette i Adams. Choć te wspaniałe stare aleje miały złą nawierzchnię i były zaniedbane, nie opuściło ich jeszcze ocienione wieżami dostojęństwo. Rezydencje jedna za drugą przyciągały mój wzrok, większość z nich, pośród pustych dziedzińców, była zniszczona i zabita deskami, ale na każdej z tych

ulic, w jednej albo dwóch rezydencjach, widać było ślady życia. Na Washington Street stał rząd odremontowanych domów, ze starannie utrzymanymi trawnikami i ogrodami. Najbardziej okazały - z kwiatowymi tarasami schodzącymi w dół aż do Lafayette Street - przynależał zapewne do starego Marsha, chorego właściciela rafinerii.

Wszystkie te ulice zupełnie pozbawione były życia, a już najbardziej zdumiewał mnie brak kotów i psów w Innsmouth. Z pewnym też zdumieniem i niepokojem zauważyłem, że nawet w najlepiej utrzymanych rezydencjach wszystkie okna na drugich piętrach i facjatach były szczelnie zamknięte. Ukradkowość i tajemniczość władały tym milczącym, wymarłym miastem, a jednocześnie przez cały czas nie mogłem się pozbyć uczucia, że przebiegłe i nigdy nie zamykające się oczy śledzą mnie zewsząd i czyhają. Dreszcz mną wstrząsnął, kiedy zegar na wieży po lewej stronie wybił godzinę trzecią. Zbyt dobrze pamiętałem ten przysadzisty kościół, z którego dobiegały te dźwięki. Posuwając się Washington Street w stronę rzeki znalazłem się w innej zupełnie części dawnej dzielnicy przemysłowo-handlowej; były tam ruiny fabryki, a także stacji kolejowej oraz kryty wiadukt kolejowy nad wąwozem znajdującym się po prawej stronie od miejsca, w którym stałem. Udałem się w tę stronę, jednak wiadukt okazał się niepewny, zaopatrzony w znak ostrzegawczy, ale podjąłem ryzyko i przeszedłem na południowy brzeg rzeki, gdzie znowy odnalazłem ślady życia. Tajemnicze, pwlóczące nogami istoty spoglądały ukradkiem w moją stronę, natomiast ludzie o twarzach normalnych patrzyli na mnie zimno i z ciekawością. Innsmouth stało się już nie do zniesienia, udałem się więc Palne Street w stronę placu w nadziei, że znajdę tam jakiś pojazd, którym wrócę do Arkham, i nie będę już czekał na ten złowieszczy autobus, gdyż jego pora odjazdu wydała mi się zbyt odległa.

Wtedy to właśnie dostrzegłem chylącą się już ku ruinie remizę strażacką, a w jej pobliżu starego człowieka o czerwonej twarzy, zmierzwionej brodzie i załzawionych oczach, ubranego w łachmany, który siedział na ławce i

rozmawiał z dwoma strażakami, wyglądającymi co prawda normalnie, ale bardzo niechlujnie. Był to niewątpliwie Zadok Allen, ten zwariowany, zapijaczony dziwięćdziesięcio letni starzec, którego opowieści o Innsmouth u jego tajemniczych losach były tak niewiarygodne i koszarne.

III

Musiał to chyba sprawić jakiś przwrotny chochlik - albo jakieś sardoniczne przyciąganie niepojętych, tajemniczych sił - że zmieniłem plany. Postanowiłem przecież ograniczać swoje obserwacje wyłącznie do architektury i szedłem spiesznie w kierunku placu, aby znaleźć tam jakiś środek lokomocji i wydostać się z tego miasta rozkładu i śmierci, ale widok starego Zadoka Allena skierował moje myśli gdzie indziej i z pewnym wahaniem zwolniłem kroku.

Wiedziałem, że ten stary człowiek opowiada tylko tajemnicze, chaotyczne i niewiarygodne legendy, zostałem też ostrzeżony, że tutejsi ludzie nie lubią, aby z nimi rozmawiać, że jest to nawet niebezpieczne, ale to, że ten wiekowy świadek zaniku miasta, a pamiętający jeszcze najdawniejsze lata, kiedy przyplływały tu statki i pracowały fabryki, działał z tak przyciągającą siłą, mimo dużej dozy rozsądku nie mogłem się temu oprzeć. Przecież najdziwaczniejsze i najbardziej niewiarygodne mity są często symbolem lub alegorią opierającą się na prawdzie, a stary Zadok mógł widzieć to wszystko, co toczyło Innsmouth przez dziewięćdziesiąt lat. Ciekawość okazała się silniejsza niż ostrożność i w młodzieńczym egotyzmie wyobraziłem sobie, że dotrę do samego załączka historii dzięki bezładnej, niezwyklej opowieści, do jakiej pobudzę go za pomocą whiskey. Zdawałem sobie sprawę, że tam go zagadnąć nie mogę, bo strażacy natychmiast to zauważą i zaoponują. Postanowiłem więc zdobyć pochodzący z przemytu alkohol w miejscu wskazanym przez młodego sprzedawcę ze sklepu spożywczego; powiedział, że można go tam kupić w dowolnej ilości. Potem przejdę się koło remizy i niby przypadkowo natknę się na Zadoka, kiedy ten zacznie swoją wólcę. Woedziałem przecież, że Zadok jest bardzo

niepokojony, że często krąży przy remizie strażackiej przez parę godzin. Butelkę whiskey zdobyłem bez trudu, choć wcale nie tanio, na tyłach obskurnego wielobranżowego sklepu tuż koło placu na Elliot Street. Brudny facet, którego tam zastałem, nosił ślady "człowieka z Innsmouth", ale na swój sposób był uprzejmy; był pewnie przyzwyczajony do takiego obyczaju obcych przybyszów - kierowców ciężarówek, ludzi, którzy kupowali tu złoto, i temu podobnych - od czasu do czasu pojawiających się w mieście. Znalazszy się z powrotem na placu stwierdziłem, że szczęście mi dopisuje, ledwo bowiem wyszedłem za róg Gilman House, ujrzałem wysoką, chudą, obszarpaną postać Zadoka Allena. Zgodnie z powziętym planem przyciągnąłem jego uwagę wymachując dopiero co zakupioną butelką. Wkrótce przekonałem się, że podąży za mną, ja zaś skręciłem w Wolte Street, w stronę dzielnicy najbardziej ze wszystkich opustoszałej. Posługując się planem narysowanym przez chłopca zmierzałem w stronę bezludnego, południowego brzegu rzeki, który już przedtem zwiedziłem. Tylko na odległym falochronie widać było paru rybaków; a posunąwszy się jeszcze dalej na południe, mogłem już być poza zasięgiem ich wzroku, usiąść wraz z Zadokiem w pustej przystani i przez nikogo nie obsrwowany wypytywać go przez czas nieokreślony. Nim zdążyłem dojść do Main Street, dobiegło mnie z tyłu ciche i świszczące wołanie; - Hej, panie! - Pozwoliłem mu się zbliżyć do siebie i pociągnąć parę łyków z butelki. Kiedy tak szliśmy pośród wszechobecnego spustoszenia i zrujnowanych w obłądny sposób domówk, nastawiłem uszy, ale stary człowiek nie był jeszcze skory do rozmowy. Wreszcie pomiędzy rozpadającymi się murami z cegły ujrzałem ujrzałem rozległy plac porośnięty trawą, a ciągnący się w stronę morza, i długą, mocno zachwaszczoną przystań. Kamienne słupy nad wodą, porośnięte mchem, obiecywały wygodne miejsce do siedzenia, a dzięki ruinom magazynów, znajdujących się na północy, mogliśmy być niewidoczni. Tutaj, pomyślałem, będzie idealne miejsce na długą, sekretną pogawędkę; tak więc poprowadziłem mego współtowarzysza ścieżką w dół i wybrałem dogodnie

miejsce do siedzenie pośród omszałych kamieni. Powietrze, przesiąknięte śmiercią i spustoszeniem, było upiorne, a zapach ryb wprost nie do zniesienia; postanowiłem jednak, że nic mnie nie może odstraszyć.

Zostało mi około czterech godzin na rozmowę, bowiem autobus do Arkham odjeżdżał o ósmej. Zacząłem więc dozować alkohol staremu pijaczynie, a sam pochłaniać skromny posiłek. Starąłem się tak dozować, żeby nie przeciągnąć miary, nie chciałem bowiem, aby gadulstwo pod wpływem upojenia alkoholem przeszło w zamroczenie. Po upływie godziny nie był już tak milczący, ale ku memu rozczarowaniu wciąż jeszcze omijał moje pytania na temat Innsmouth i tajemnej przeszłości tego miasta. Mamrotał coś o obecnej sytuacji, wykazywał znajomość licznych gazet, zdradzał skłonność do filozofowania w wiejskim, moralizatorskim stylu. Pod koniec drugiej godziny zacząłem mieć wątpliwości, czy butelka whiskey wystarczy, i zastanawiałem się, czy nie zostawić na chwilę Zadoka i nie pójść po następną. Wtedy właśnie nadarzyła się okazja, której nie były w stanie stworzyć moje pytania; usłyszawszy charczącą, bezładną mowę starego człowieka pochyliłem się do przodu i zacząłem się wsłuchiwać z napiętą uwagą. Siedziałem tyłem do morza cuchnącego rybami, on zaś siedział frontem i nagle, ni stąd, ni zowąd, jego wzrok powędtował ku nisko położonej odległej linii Diabelskiej Rafy, wyłaniającej się wyraźnie i wprost fascynująco spośród fal. widok ten najwyraźniej mu się nie podobał, bo zaczął sypać przekleństwami, a następnie szeptać coś tajemniczym głosem i ukradkowo rozglądać się na wszystkie strony. Pochylił się ku mnie, chwycił gwałtownie za połę płaszcza i zaczął robić uwagi, nie budzące wątpliwości.

- Tam się to wszystko zaczęło... to przekłete miejsce, gdzie zaczyna się głęboka woda. Brama do piekieł... żadna linia sondy nie sięgnie. O, kapitan Obed to zrobił... to on znalazł więcej, niż trzeba, niż było dobre dla niego na wyspach Morza Południowego.

Wtedy wszystkim źle się działo. Handel upadł, fabryki przestały się opłacać... nawet te nowe... a najlepsi z naszych ludzi zginęli na statkach

korsarskich w wojnie 1812 roku albo zginęli na brygu "Elizy" i płaskodennej łodzi "Ranger" - własność Gillmana. Obed Marsh miał trzy pływające statki - brygantynę "Columby", bryg "Hetty" i barkę "Królowa Sumatry". On jeden prowadził handel z Indiami Wschodnimi i na Pacyfiku, choć barkentyna "Malajska Młoda Panna" Esdrasa Martina jeszcze w dwudziestym ósmym ryzykowała. Nie było drugiego takiego jak kapitan Obed - to diabelskie nasienie ! He, he ! Pamiętam różne rzeczy, mówił, że wszyscy ludzie, co chodzą do kościoła chrześcijańskiego są głupi, że znoszą trudy i są pokorni. Mówił, że powinni mieć innych bogów, jak ludzie w Indiach, takich bogów, co dają dużo ryb za ich ofiary i odpowiadają na modlitwy ludzi. Matt Eliot, jego pierwszy oficer, też mówił dużo, tylko że był przeciw ludziom, co robili pogańskie rzeczy. Opowiadał o wyspie na wschód od Othahelte, gdzie są kamienne ruiny, starsze niż wszystko na świecie, i że podobne są na Panape, na Karolinach, ale z wyrzeźbionymi twarzami, które wyglądają jak te wielkie postacie na Wschodniej Wyspie. Niedaleko była mała wulkaniczna wyspa, gdzie były inne ruiny - wszystkie tak zniszczone, jakby stały przedtem pod wodą, i z obrazkami strasznych potworów.

Tak panie, Matt mówił, że mieli tam dużo ryb do łapania i śmieszne bransolety i naramienniki, i pierścieni na głowie zrobione z dziwnego złota, pokryte obrazkami potworów takich jak na ruinach na małej wyspie - coś jakby ryby podobne do żab albo żaby podobne do ryb, a wszystkie narysowane w różnych pozach, jakby to byli ludzie. Nikt od nich nie mógł wydobyć, skąd to wzięli, a wszystkie inne ludy dziwiły się, jak oni potrafią łowić tyle ryb, kiedy wszędzie jest mało. Matt też się dziwił i kapitan Obed też. Obed jeszcze zauważył, że różni młodzi ludzie znikają tam co roku na zawsze. Zauważył też, że wszyscy tam wydają się dziwni nawet Kanakom. Udało się Obedowi wydostać prawdę od tych pogan. Nie wiem, jak to zrobił, ale zaczął kupować od nich te rzeczy jakby ze złota. Pytał, skąd je mają i czy mogą mieć więcej, aż w końcu dowiedział się wszystkiego od ich starego wodza - Walakea, tak go nazywali. Nikt, tylko Obed mógł uwierzyć staremu

diabłowi, ale kapitan mógł odczytywać tych ludzi, jakby z ksiązek. He, he! Nikt nie wierzy mi teraz, kiedy mówię, i pan też chyba nie wierzy, młody człowieku, choć jak się na pana popatrzy, ma pan takie same bystre oczy jak Obed.

- Tak, panie. Obed wiedział, że są rzeczy na ziemi, o jakich ludzie nigdy nie słyszeli i nie uwierzyliby, jakby usłyszeli. Zdaje się, że ci Kanakowie składali w ofierze uda młodych chłopców i dziewczyn jakimś bogom, co żyją pod morzem, i dostawali za to od nich wszystko, o co poprosili. Spotykali się z nimi na małej wyspie z dziwnymi ruinami i chyba te okropne obrazki z zaborybimi potworami były odbiciem tych bogów, jakich tam spotykali.

Były to chyba takie stwory, jak syteny, o których opowiadają. Mieli różne miasta na dnie morza, a ta wyspa stamtąd się wysunęła. Podobno były jeszcze jakieś żywe stwory w kamiennych budowlach, jak się wyspa wyłoniła na powierzchnię. Stąd Kanakowie wiedzą, że była przedtem na dnie. Rozmawiali na migi i od razu nawiązali z nimi interes. Te istoty lubią ofiary z ludzi. Już bardzo dawno je dostawały, ale potem straciły kontakt ze światem. Co robią z tymi ofiarami, tego to ja nie wiem i chyba Obed też nie miał odwagi spytać. Ale odpowiadało to poganom, bo przyły na nich ciężkie czasy i w rozpaczę szli na wszystko. Oddają pewną ilość młodych ludzi tym morskim potworom dwa razy do roku... w maju i na Wszystkich Świętych... regularnie. Te potwory zgodziły się dać za to dużo ryb... ściągają je z całego morza... i jeszcze jakieś rzeczy ze złota co jakiś czas.

Jak mówię, ludzie spotykali te potwory na małej wulkanicznej wyspie... popłynęli tam na łodziach ze swoimi ofiarami i przywieźli różne skarby niby ze złota. Z początku te potwory nigdy nie przybywały na główną wyspę, ale potem i tam się zjawiały. Chyba chciały się spotkać z ludźmi i w wielkie dni zaczęły się przyłączać do świętowania - w Święto Majowe i we Wszystkich Świętych. Bo wie pan, one mogą żyć w wodzie i na powietrzu... chyba to się nazywa amfibia. Kanakowie powiedzieli, że ludzie z innych wysp mogliby ich włapać jakby się o nich dowiedzieli, ale oni powiedzieli na to, że się nie

boją, bo oni by mogli zniszczyć wszystkich ludzi, gdyby chcieli... gdyby zastosowali takie znaki, jak dawne Stare Bóstwa, nie wiem jakie. Ale nie chcą i chowają się w wodzie, gdy ktoś pojawi się na wyspie. Jeśli chodzi o łączenie się z tymi żaborybami, to Kanakowie tego unikali, ale potem dowiedzieli się czegoś, co nadało temu inny sens. Wydaje się, że ludzie są jakoś pokrewni tym wodnym bestiom, że wszystko, co żywe, pochodzi spod wody i wystarczy tylko trochę coś zmienić, a mogą tam wrócić. Te potwory powiedziały Kanakom, że jak wymieszać krew, to dzieci z początku będą wyglądać całkiem jak ludzie, dopiero później się będą zmieniać jak one, aż w końcu przeniosą się do wody i przyłączą do nich tam w dole. A co ważne, młody człowieku, to jak już staną się rybą i pójdą w wodę, nigdy nie umierają. Bo te potwory nigdy nie umierają, chyba że je ktoś zabije. I tak, panie, jak Obed poznał tych wyspiarzy, mieli w sobie już dużo krwi tych potworów spod wody. Jak się starzeli i było to już widać, siedzieli w ukryciu, dopóki nie poczuli, że chcą iść do wody. Jedni zmieniali się szybciej a inni nigdy nie zmieniali się tak, żeby iść do wody, ale przeważnie się zmieniali, tak przynajmniej te potwory mówiły. Ci, co się rodzili bardziej do nich podobni, zmieniali się wcześniej, a ci, co bardziej byli podobni do ludzi, podobno żyli na wyspie więcej niż siedemdziesiąt lat, chociaż wypuszczali się głęboko w wodę, żeby spróbować. Ci, co już weszli pod wodę, zwykle przychodzą w odwiedziny, tak że człowiek może rozmawiać ze swoim praprapradziadkiem, co opuścił ziemię pięćset albo więcej lat temu.



Wszyscy oni już nie myślą wcale o śmierci - chyba że giną na łodziach w wojnie z innymi wyspiarzami albo jako ofiary dla bogów na dnie morza, albo od ukąszenia węża, plagi, albo jakiś nagłych dolegliwości czy czegoś innego,

nim zdążą skoczyć w wodę - tylko czekają na zmianę, co wcale nie wydaje im się straszne. Uważali, że to, co będzie potem, będzie tak samo dobre, jak to, co zostawią, i chyba Obed też tak pomyślał, jak się zastanowił nad tym, co Walakea mu opowiedział. Walakea jeko jeden z niewielu nie miał w sobie rybiej krwi, był z linii królów, którzy się łączyli tylko z rodzinami królów na innych wyspach. Walakea pokazał Obedowi różne obrzędy i śpiewy, jakie dokonywali razem ze stworami z morza, i pokazał mu niektórych ludzi we wsi, jak zmieniali ludzkie kształty. Tylko że nigdy nie pokazał tych, co wyszli prosto z morza. Na koniec dał mu coś, co było zrobione z ołowiu czy czegoś innego, i powiedział, że to ściąga ryby z każdego miejsca w wodzie, gdzie ryby się gnieźdzą. Trzeba to tylko wrzucić w wodę i odprawić odpowiednie modły. Walakea pozwolił, żeby to rozrzucić po całym świecie, tak żeby każdy mógł znaleźć ryby i łowić, jak będzie potrzebował. Mattowi to się nie podobało i mówił, żeby się Obed trzymał od wyspy z daleka. Ale Obed się tam wrywał, a jak się okazało, że te złote rzeczy są tanie, uznał, że opłaca mu się tym zająć. I tak trwało to przez parę lat, aż tyle nagromadził, że mógł założyć rafinerię w starym, zniszczonym młynie Walte'a. Nie Sprzedawał tego, bo nie chciał, żeby ludzie go wypytywali.

Jego cała załoga dostawała kawałki złota i mogła je sprzedawać, tylko wszyscy musieli obiecać, że będą milczeć. Pozwolił też swoim kobietom stroić się w złoto, takie, co bardziej pasowało do ludzi. Ale wróćmy do trzydziestego ósmego roku - miałem wtedy siedem lat - kiedy to Obed zobaczył, że wszyscy ludzie z wyspy wyginęli w wyprawach morskich. Chyba inni wyspiarze pojęli, co się dzieje, i wzięli wszystko w swoje ręce. Pewnie znali stare, magiczne znaki, a tych tylko te stwory wodne się bały, jak same mówiły. Co tym Kanakom przypadnie jeszcze, kiedy morze wyrzuci z siebie jakąś wyspę ze starymi ruinami, jeszcze sprzed potopu. Były to pobożne intencje - nie zostawili nic na wyspie ani na małej wulkanicznej wyspie, tylko te ruiny, zbyt potężne, żeby je zburzyć. W niektórych miejscach były rozrzucone małe kamienne - jak zabawki - a na nich coś, co

nazywacie chyba swastyką. Może to były znaki Starych Bóstw? Wszystko to wymazali, nie zostało ślady po złotych rzeczach, a żaden z Kanaków w okolicy nie piśnie o tym słowa. Nawet nie powiedzą, że na wyspie byli kiedyś jacyś ludzie. To, oczywiście, mocno dotknęło Obeda, bo urwał mu się taki wspaniały handel. Dotknęło całe Innsmouth, bo wtedy, co miał właściciel statku, miała i załoga. Większość ludzi w mieście przyjęła to potulnie jak owoce, ale było im ciężko, bo ryb było coraz mniej, a i fabryki upadały.

Wtedy Obed zaczął wyzywać ludzi, że są tępe barany, że się modlą do chrześcijańskiego nieba, a ono im wcale nie pomaga. Powiedział, że zna ludzi, którzy się modlą do bogów, co dają wszystko potrzebne ludziom, i powiedział, że jak grupa ludzi przy nim stanie, to może on wejdzie w kontakt z takimi mocami, że będą mieli dużo ryb i dużo złota. Ci, co służyli na "Królowej Sumatry" i widzieli wyspę, wiedzieli, o czym on mówi, i niespieszno im było zbliżać się do morskich stworów, ale ci, co o noczym nie wiedzieli, zaciekawili się, co Obed mówi, i zaczęli go pytać, jak mogą przejść na taką wiarę, co da im korzyści. W tym momencie stary człowiek przestał mówić, coś mamrotał i popadł w posępne, pełne lęku milczenie; coraz to oglądał się nerwowo za siebie, to znów wpatrywał się w odległą czarną rafę. Zagadnąłem go, ale nie odpowiedział, zrozumiałem więc, że muszę mu pozwolić opróżnić butelkę. Ta obłąkańcza opowieść zafascynowała mnie, bo zrozumiałem, że zawarta jest w niej surowa alegoria, oparta na dziwnym wyglądzie i zachowaniu ludzi z Innsmouth i wzbogaconą twórczą fantazją i egzotyczną legendą. Ani przez moment, nie wierzyłem, że opowieść ta może zawierać w sobie jakieś rzeczywiste, faktyczne elementy; jednakże to sprawozdanie nawiązywało do autentycznego koszmaru, choćby dlatego, że były w nim wzmianki o niezwykłych klejnotach pokrewnych tej niesamowitej tiarze, jaką wisiałem w Newburyport. Być może, że ozdoby te pochodzą z jakiejś dziwnej wyspy; możliwe też, że niesamowita opowieść jest wymysłem nieżyjącego już Obeda, a nie tego starego pijaka. Podałem

Zadokowi butelkę, wysączył ją do dna. Wprost zdumiewające, że mógł pochłonąć aż tyle whiskey, a jego głos nadal brzmiał piskliwie i świszcząco, a nie ochryple. Obliznął szyjkę butelki i wsunął ją do kieszeni, po czym zaczął się kiwać i coś szeptać cicho do siebie.

Pochyliłem się w jego stronę, żeby wyłowić jakieś nieartykułowane słowa, a wtedy wydało mi się, że pod brudnymi krzaczastymi wąsami czai się sardoniczny uśmiech. Tak, rzeczywiście wypowiadał jakieś słowa, a ja zaczynałem chwytać ich sens.

- Biedny Matt... on zawsze był przeciwny, próbował przeciągać ludzi na swoją stronę, długo rozmawiał z pastorami... na próżno... wypędzili z miasta pastora kościoła parafialnego kongregacjonalistów i metodystów, nigdy już więcej nie zobaczyłem wielebnego Babcocka, pastora metodystów... Gniewnego Jehowy - byłem wtedy mały, ale słyszałem to, co słyszałem i widziałem to co widziałem... Dagon i Ashtoreth... Belial i Belzebub... złoty cielec i bożki Canaan, i Filistyni... babilońska szkarada... Mene, mene tekell, upharsin...

Zamilkł znowu, a jego załamane niebieskie oczy wzbudziły we mnie obawę, że jest już jednak bliski załkowitzkiego zamroczenia. Ale kiedy go delikatnie potrząsnąłem za ramię, odwrócił się w moją stronę z zaskakującą czujnością i znowu wyrzucił z siebie jakieś tajemnicze słowa.

- Nie wierzysz mi, co? He, he, he... to powiedz mi, młody człowieku, po co kapitan Obed i jeszcze dwudziestu innych ludzi pływało ciemną nocą do Diabelskiej Rify i śpiewało tam coś tak głośno, że słyszać ich było w mieście, kiedy wiał w tę stronę wiatr? No powiedz, wiesz po co? A dlaczego Obed ciągle wrzucał coś w tę wodę po drugiej stronie rify, gdzie jest tak głęboko, że nie dosięgniesz tam sondą? Powiedz mi, co on zrobił z tą rzeczą z ołowiu, co mu dał Walakea? Co, chłopcze? I co oni tam wozili w majowy wieczór, a potem we Wszystkich Świętych? I dlaczego mają nowych kapłanów - ci sami faceci, co kiedyś byli marynarzami - o noszą te dziwne szaty, a głowy przykrywają tymi jakby ze złota rzeczami, co je przywiózł

Obed, he?

Załamione niebieskie oczy stały się teraz prawie dzikie i szklane, a brudna biała broda aż sięzajeżyła. Stary Zadok musiał zauważyć, że się trochę cofnąłem, i zachichotał złośliwie.

- He, he, he, he! A więc widzisz? Może chciałbyś być wtedy na moim miejscu, kiedy nocą patrzyłem daleko w morze ze strychu w moim domu? Mówię ci, dzieci dobrze słyszą, a ja łowiłwm wszystko, co tylko plotkowali i kapitanie Obedzie i tych ludziach na rafie! He, he, he! A co na to powiesz, jak kiedyś w nocy wziąłem lornetkę okrętową mojego ojca na strych i zobaczyłem rafę pełną jakiś postaci, co się szybko opóściły w wodę, jak tylko pokazał się księżyc? Obed i jego ludzie byli na łodzi, ale te stwory rzuciły się do głębokiej wody i już nie wyszły... Chciałbyś być wyrostkiem, co siedzi sam na strychu i widzi coś, co nie ma ludzkich kształtów, co?... he, he, he...

Starzec zaczynał wpadać w histerię, a mnie ogarnął dreszcz przerażenia. Położył mi na ramieniu swoje sękaty szpony, które zsawały się drzeć, bynajmniej nie z radości. A jakby tak kiedy zobaczył załadowaną łódź Obeda za rafą, a potem... już następnego dnia... dowiedział się, że jakiś młody człowiek zniknął z domu? Czy wiedział kto kiedu skórę albo włosy Hiram Gilmana, co? Albo Nicka Pierce'a, albo Luella Waite, Adonirama Southwicka czy Henry Garrisona? He, he, he, he... Te stwory mówiące na migi rękami... one miały prawdziwe ręce...

Obed wtedy znowu stanął na nogi. Ludzie widzieli, jak jego trzy córki zaczęły nosić na sobie złoto, a przedtem tego nie widzieli. No i z komina rafinerii wylatywał dym. Innym też zaczęło się powodzić. W przystani było teraz dużo ryb i tylko niebo wie, jakie ładunki wożono teraz statkami do Newburyport, Arkham i Bostonu. Wtedy Obed uruchomił starą bocznice kolejową przez miasto. Rybacy z Kingsport usłyszeli o połowach i przypłynęli słupami, ale wszyscy przepadli. Nikt ich już nigdy nie zobaczył. Wtedy to nasi ludzie zorganizowali Ezoteryczny Porządek Dagona i kupili budynek masonów... he, he, he! Matt Eliot był masonem i załatwiał sprzedaż,

ale potem zniknął na zawsze. Pamiętaj ja nie mówię, że Obed chciał zrobić wszystko tak, jak było na wyspie Kanaków. I chyba z początku nie chciał, żeby się mieszać ze stworami, ani chować młodych po to, żeby potem zamieniały się w ryby i wiecznie żyły. Chciał, żeby mieli złoto, chciał im dobrze płacić i wydaje mi się, że wszyscy z początku byli zadowoleni... Już w czterdziestym szóstym miasto przybrało inny wygląd imyślało inaczej. Za dużo ludzi brakowało... za dużo rozmów o tej rafie. Kiedyś powiedziałem radnemu Mowry, co widziałem ze strychu, i chyba się trochę przyczyniłem. Którejś nocy Obed i jego ludzie popłynęli do rafy i usłyszałem strzały. Nazajutrz Obed i trzydziestó dwóch ludzi byli w więzieniu, a każdy się zastanawiał, co się święci i o co ich oskarżają. Boże, gdyby ktoś przewidział... w parę tygodni później, kiedy nikt nic nie wrzucał do morza...

Zadok zaczął objawiać przerażenie i wyczerpanie, pozwoliłem mu więc milczeć przez chwilę, ale coraz to zerkałem z lękiem na zegarek. Zaczął się przypływać, słychać było łoskot fal. Zadowoliny byłem z tego, bo przy wysokiej wodzie może nie będą tak cuchnęły te ryby. Znowu wyteżyłem słuch, żeby zrozumieć coś z szeptu Zadoka.

- Ta straszna noc... widziałem je wtedy. Byłem na strychu... całą hordy... tłumy... na rafie i płynęły do przystani, a także do Manuxet... Boże, co się tej nocy działo na ulicach Innsmouth... dobijały się do naszych drzwi, ale ojciec nie otworzył... potem wyskoczył przez okno w kuchni ze swoim muskietem, chciał znaleźć radnego Mowry i dowiedzieć się, co on może zrobić. Całe stosy trupów i umierających... strzały i krzyki... wrzaski na Old Square i na Rown Square, i na New Church Green... więzienie otwarte... proklamacja... zdrada... nazwano to epidemią, jak zjawili się ludzie i zobaczyli, że brakuje połowy naszych mieszkańców... nikt nie został, tylko ci, co się przyłączyli do Obeda i tych stworów... milczenie... już nigdy więcej nie zobaczyłem mojego ojca.

Starzec sapał, pot się z niego lał strugami. Mocno ścisnął mnie za ramię. Wszystko się wyjaśniło rano... ale zostały ślady. Obed bierze wszystko w

swoje ręce i mówi, że trzeba dużo zmienić... one będą z nami w czasie zgromadzenie oddawać cześć bogom i niektóre domy muszą przyjąć ich jak gości... chcą się z nami mieszać jak z Kanakami, a on nie uważa, że trzeba ich przed tym powstrzymać. Zmienił się Obed... oszalał na tym punkcie. Mówi, że one nam sprowadzają ryby i skarby i powinny dostać to, czego żądają... Na zewnątrz nic się nie miało zmienić, tylko trzeba nam unikać obcych, o ile chcemy wiedzieć, co jest dla nas dobre. Wszyscy musieliśmy złożyć przysięgę Dagona, a potem jeszcze niektórzy drugą i trzecią przysięgę. Te przysięgi miały nam szczególnie pomóc, dać specjalne nagrody... złoto i inne rzeczy. Nie ma sensu się sprzeciwiać, bo tam głęboko są ich miliony. Raczej nie powstaną przeciw ludziom, żeby ich zniszczyć, ale jak będą zmuszone, mogą zrobić dużo. Nie znamy starych zaklęć, aby się ich pozbyć, jak to zrobili ludzie z Południowego Morza, a Kanakowie nigdy nie zdradzą swoich sekretów. Trzeba im składać ofiary i różne ozdoby dzikusów i dawać schronienie w mieście, jak będę chcieli, a wtedy zostawią nas w spokoju. Nie trzeba dopuścić, żeby obcy coś podpatrzyli i opowiedzieli na zewnątrz. Wszyscy wierni - Porządku Dagona - i dzieci nigdy nie umrą, tylko wrócą do Matki Hydry i Ojca Dagona, od których wszyscy pochodzimy... Ial Ial Cthulhu fhtagn ! Ph'nglul mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah-nagi fhtagn... Stary Zadok zaczął najwyraźniej bredzić; wstrzymałem oddech. Biedak ! Jakież żałosne halucynacje popodował alkohol, a także nienawiść do rozkładu, obcości i chorób w tym płodnym i skłonny do wyobraźni mózgu! Zaczął teraz jęczeć, a łzy spływały po głębokich bruzdach policzków aż na samą brodę.

- Boże, ja to wszystko widziałem, miałem piętnaście lat... Mene, mene, tekel, upharsin!... ludzi, co zniknęli, i tych, co zostali zabici... a tych, co opowiadali w Arkham albo Ipswich czy gdzie indziej, nazwali wariatami, jak i ty mnie teraz nazywasz... ale Boże, co ja widziałem... i mnie by zabili już dawno za to, co wiem, ale złożyłem pierwszą i drugą przysięgę Dagona, więc i one mnie chronią, chyba że ich sąd by dowiódł, że mówię o znanych mi

rzeczach świadomie... ale nie złożę trzeciej przysięgi... za nic w świecie...



A potem znowu w czasie Wojny Domowej, kiedy dzieci urodzone w czterdziestym szóstym zaczęły dorastać... to znaczy niektóre. Bałem się... nigdy już po tej strasznej nocy nie wyglądałem, nigdy już nie widziałem żadnego z tych stworów... z bliska. Nigdy... Poszedłem na wojnę i żebym miał trochę oleju w głowie, to bym nie wrócił i gdzieś się osiedlił. Ale moi pisali, że nie jest źle. Chyba to dlatego, że po sześćdziesiątym trzecim były w mieście oddziały rządowe. Po wojnie znowu zrobiło się źle. Ludzi było coraz mniej... fabryki i sklepy pozamykano... ataki nie przyływały i przystań stanęła... kolej nie chodziła... ale one... one nie przestały wpływać do rzeki i wypływać... z tej przeklętej rafy szatana... i coraz więcej okien na poddaszach zabijano deskami i coraz więcej hałasów było w domach, choć wydawało się, że nikogo tam nie ma... Ludzie w okolicy mówili o nas różne historie, pewnie słyszałeś ich dużo, skoro mnie pytasz... historie o tym, co czasem udało im się zobaczyć... I o tych dziwnych skarbach i klejnotach, co skądś się pojawiają i jeszcze nie są stopione... ale nikt nie wie nic konkretnego. Nikt w nic nie wierzy. Nazywają to złotem z łupu pirackiego o mówią, że ludzi z Innsmouth mają obcą krew albo są nienormalni czy coś w tym rodzaju. A ci, co tutaj żyją, zniechęcają obcych, jak mogą, nie trzeba być ciekawym, zwłaszcza nocą. Bestie niszczą ludzi - konie nie są mułami -ale jak się wynoszą, wtedy jest w porządku. W czterdziestym szóstym kapitan Obed wziął sobie drugą żonę, nikt jej przedtem w mieście nie widział. Niektórzy mówią, że nie chciał, ale został przez nich zmuszony, jak ich zaprosił - miał z nią troje dzieci - dwoje zniknęło wcześniej, a jedna dziewczyna, niepodobna do nikogo, uczyła się w Europie. Obed podstępem

wydał ją za mąż w Arkham za faceta, co niczego nie podejrzewał. Teraz to już nikt nie chce mieć do czynienia z nikim z Innsmouth. Barnabas Marsh, ten, co teraz prowadzi rafinerię, jest jego wnukiem po pierwszej żonie, syn Onesiphorusa, najstarszego syna Obeda, ale jego żona była jedną z nich i nigdy jej się nigdzie nie widziało.

Teraz Barnabas jest już zmieniony. Nie może zamknąć oczu i ma inny kształt. Mówią, że jeszcze nosi ubranie, ale niedługo pójdzie do wody. Może już nawet próbował... czasami idą w wodę na krótko, zanim pójda na dobre. Już go nikt nie oglądał jakieś dziewięć albo dziesięć lat. Nie wiem, co czuje jego biedna żona... ona jest z Ipswich, nie zlinczowali Barnabasa, jak się do niej zalecał pięćdziesiąt lat temu. Obed... on umarł w siedemdziesiątym ósmym i całe następne pokolenie już nie istnieje... dzieci z pierwszej żony nie żyją, a reszta... Bóg jeden wie... Odgłos przyływu stawał się coraz silniejszy, mijał płaczliwy nastrój starca, był coraz bardziej zalekziony i czujny. Co chwila przerywał opowieść i oglądał się nerwowo przez ramię w stronę rafy, a choć wszystko, co mówił, wydało mi się absurdalne, mimo to i ja zacząłem się czujnie rozglądać. Zadok drżał teraz i jakby starał się dodać sobie odwagi mówiąc głośno:

- Hej, ty, czemu nic nie mówisz? Jak by ci się podobało życie w tym mieście, gdzie wszystko gnije i umiera, a potwory czołgają się, becują, szczekają i podskakują w ciemnych piwnicach i na poddaszach, wszędzie, gdzie się obrócisz? No co? Podobałoby ci się, jakbyś tak co noc słyszał wycie w kościołach i w budynku Porządku Dagona i jakbyś wiedział, co oni tam robią? I jakbyś słuchał tego, co robią tam na rafie w maju i we Wszystkich Świętych?

Myślisz, że stary zwariował? No co, mój panie, powiem ci, że to jeszcze nie najgorsze. Zadok teraz już naprawdę krzyczał, a szaleństwo w jego głosie poruszyło mnie bardziej, niżbym sobie tego życzył.

- Nie wytrzeszczaj na mnie oczu... mówię ci, że Obed Marsh jest w piekle i musi już tam zostać! He, he... w piekle, mówię ci! Nie może mnie dopaść...

niczego nie zrobiłem ani nic nikomu nie powiedziałem...

Słuchaj, młody człowieku! Nawet jak nikomu nic nie powiedziałem, to teraz to zrobię. Siedź cicho i słuchaj... tego jeszcze nikomu nie powiedziałem... mówiłem, że już nigdy więcej nie podglądałem po tamtej nocy... ale ja widziałem wszystko, tak samo jak wtedy! Chcesz wiedzieć, co jest takie okropne? Najgorsze jest nie to, co te rybie diabły zrobiły, ale co zrobią. Przynoszą ze sobą do miasta różne rzeczy od lat, ale teraz już trochę mniej. Domy na północ od rzeki między morzem i Main Street są ich pełne - tych diabłów i tego, co ze sobą przynoszą - a jak już będą gotowe... mówię, jak już będą gotowe... słyszałeś kiedy o shoggoth? Hej, słyszysz mnie? Mówię ci, wiem, jakie one są... Widziałem je w nocy, kiedyś... eeh! ihaaa!...

O mało nie zemdlałem usłyszawszy krzyk starca pełen niehumanicznego strachu. Jego oczy wpatrywały się w cuchnące morze, a twarz stała się maską przerażenia godną tragedii greckiej. Szponiaste palce mocno wpił mi w ramię, ale nie poruszył się, kiedy odwróciłem głowę, żeby spojrzeć na to, co on widział. Niczego jednak nie zauważyłem, tylko większy przypływ i gwałtowniejsze falowanie w jednym miejscu, niezależnie od długich, rozproszonych fal przybrzeżnych. Wtem Zadok zaczął mnie szarpać, odwróciłem się więc w jego stronę, trzepotał w lęku powiekami i mamrotał coś niewyraźnie. Po chwili zacząłem łowić słowa wypowiedane drżącym szeptem:

- Uciekaj stąd! Uciekaj! Zobaczyły nas... uciekaj, jak ci życie miłe! Nie czekaj... one już wiedzą... Uciekaj... prędko... z tego miasta!

Następna ciężka fala uderzyła o kruche mury starej przystani, a szept starca znowu przerodził się w niehumaniczny, mrozący krew w żyłach krzyk: - Eeh! Ihaaa!... Nim zdążyłem pozbierać rozbiegane myśli, puścił moje ramię i rzucił się jak oszalały w stronę ulicy, kierując się na północ, obok ruin magazynu. Raz jeszcze spojrzałem na morze, ale nic tam nie zobaczyłem. A kiedy znalazłem się na Water Street, nie było już nawet ślady po Zadoku Allenie.

IV

Nie jestem w stanie opisać, jaki ogarnął mnie nastrój po tym wyczerpującym epizodzie... szalonym i żalonym, groteskowym i strasznym. Sprzedawca ze spożywczego sklepu przygotował mnie na to, a jednak rzeczywistość okazało się zbyt oszałamiająca, pozostawiła mi zamęt w głowie. Opowieść wydała mi się dziecinna, a mimo to chorobliwy niepokój i strach Zadoka udzielił się i mnie, łącząc się z wcześniejszą już odrazą do tego miasta i jego wyniszczającej wszystko, niepojętej tajemnicy. Postanowiłem później zagłębić się w tę opowieść i wyłowić jakieś źródło historycznej alegorii, teraz jednak chciałem o tym wszystkim zapomnieć. Zrobiło się już strasznie późno, na moim zegarku była 7.15, a autobus do Arkham odjeżdżał z Town Square o ósmej. Starłem się więc myśleć raczej o rzeczach praktycznych i obojętnych szybko maszerując przez puste ulice w stronę hotelu, w którym zostawiłem walizkę i w pobliżu którego był przystanek autobusowy. Choć złocisty blask późnego popołudnia przydawał starym dachom i rozpadającym się kominom uroku mistycznego piękna i spokoju, co chwila rozglądałem się na wszystko strony. Rad byłem, że się wkrótce wydostanę z tego cuchnącego i straszego Innsmouth, a jeszcze bardziej byłbym rad, gdybym mógł znaleźć jakiś inny środek lokomocji i nie musiał jechać z tym ponurym kierowcą Sargentem. A jednak nie pospieszyłem się, tak jak zamierzałem, bowiem w cichych zaułkach pełno było różnych ciekawych architektonicznych szczegółów, które warto było zobaczyć; i wydawało mi się, że bez trudu pokonam dalszą drogę w ciągu pół godziny. Spojrzawszy na plan, jaki miałem przy sobie, zdecydowałem się wracać inną drogą, wybrałem więc Marsh Street zamiast State Street. Na rogu Fall Street dostrzegłem grupki szepczących coś ukradkiem ludzi, a kiedy znalazłem się

na Town Square, okazało się, że już cały tłum zebrał się przy drzwiach Gilman House. Odniosłem wrażenie, że wszystkie wyłupiaste i nieruchome oczy wpatrują się w mnie, gdy odbierałem w hotelu walizkę.

Marzyłem skrycie, aby nikt z tych odpychających ludzi nie okazał się moim współpasażerem. Autobus z trzema pasażerami przytelepał się jeszcze przed ósmą, a stojący na chodniku osobnik o złym spojrzeniu zaczął coś szeptać niewyraźnie do kierowcy. Sargent wyjął worek z pocztą i plik gazet, po czym wszedł do hotelu; natomiast pasażerowie - ci sami, których widziałem rano, jak wysiedli w Newburyport - potoczyli się na chodnik i gardłowym głosem zaczęli rozmawiać z jakimś włóczęgą, przy czym na pewno nie był to język angielski. Wsiadłem do autobusu i zająłem to samo miejsce, co poprzednio, a wkrótce zjawił się Sargent mamrocząc coś swoim chrapliwym głosem w sposób szczególnie odrażający. Okazało się, że nie mam szczęścia. Coś się popsuło w silniku, mimo że przybył tak punktualnie z Newburyport, i nie będzie mógł odbyć podróży do Arkham. Nie było możliwości naprawy tego wieczora, nie było też żadnego innego środka lokomocji ani do Arkham, ani do nikąd. Sargent wyraził żal; niestety, muszę przenocować w hotelu. Koszt będzie na pewno niewielki, po prostu nie ma innej rady. Oszołomiony tą nagłą przeszkodą i przerażony myślą, że mam spędzić noc w tym zrujnowanym i nieoświetlonym mieście, wysiadłem z autobusu i wszedłem ponownie do hotelu, gdzie ponury i dziwnie wyglądający recepcjonista, pracujący na nocną zmianę, poinformował mnie, że mogę zająć pokój 428 na przedostatnim piętrze - duży, ale bez bieżącej wody - opłata wynosi jeden dolar.

Choć słyszałem już o tym hotelu w Newburyport, podpisałem się w rejestrze i zapłaciłem dolara. Ponury recepcjonista wziął moją walizkę i poprowadził mnie po trzeszczących schodach na trzecie piętro; wszystkie korytarze, które mijaliśmy, zdawały się całkowicie pozbawione życia. Mój pokój, mroczny, o dwóch oknach, umeblowany raczej prymitywnie, wychodził na posępne podwórko, otoczone niskimi, pustymi domami z cegły;

z okien roztaczał się też widok na zniszczone dachy ciągnące się w kierunku zachodnim, a dalej już na bagienny krajobraz. W końcu korytarza znajdowała się łazienka - niezbyt przyjemny relikw z starą, marmurową umywalką i cynową wanną, słabą elektryczną żarówką i zbutwiałą drewnianą boazerią na ścianach. Było jeszcze widno, wyszedłem więc na Town Square, żeby zjeść gdzieś obiad; zewsząd, jak zauważyłem obserwowali mnie przechodnie o chorobliwym wyglądem. Sklep spożywczy był już zamknięty, musiałem więc wstąpić do restauracji, od której przedtem stroniłem. Obsługiwał ją pochylony, wąskogłowy mężczyzna o nieruchomych oczach oraz dziewczyna z płaskim nosem i niewiarygodnie dużymi, szorstkimi rękami. Z ulgą stwierdziłem, że jedzenie, jakie tu podawano, przyrządzone było głównie z puszek i torebek. Zjadłem jarzynową zupę z krakersami, po czym wróciłem do mego posępnego pokoju w Gilman House, wzięwszy po drodze z rozklekotanego stojaka przy biurku recepcjonisty wieczorną gazetę i jakieś upstrzone muchami czasopismo. Zapadł zmrok, zapaliłem więc jedyną słabą żarówkę nad żelaznym łóżkiem i zabrałem się do czytania. Starłem się czymś zająć, bo nie chciałem rozmyślać nad wynaturzonymi osobliwościami tego starego, tajemniczego miasta, będąc w jego obrębie. Szalona opowieść pijanego Zadoka nie obiecywała przyjemnych snów, za wszelką cenę chciałem oddalić od siebie wspomnienie jego dziekich, łazwych oczu.

Nie powinienem też zbytnio zastanawiać się nad tym, co inspektor z fabryki opowiadał kasjerowi w Newburypost o Gilman House i słyszanych tu nocą odgłosach ani o tej twarzy przystrojonej tiarą we wrotach krypty mrocznego kościoła; twarz, której okropieństwa nie byłem w stanie zrozumieć. Pewnie łatwiej byłoby mi oderwać się od tych niepokojących myśli, gdyby w moim pokoju nie cuchnęło tak strasznie stęchlizną, która na dodatek mieszała się jeszcze z wszechobecnym rybim smrodem, a wszystko to razem nie pozwalało, niestety, zapomnieć o śmierci i rozkładzie. Poza tym zanipokoił mnie brak zasuw przy drzwiach. Były po niej ślady, najwyraźniej niedawno została zdjęta. Pewnie się popsuła, jak zresztą większość rzeczy w

tym razlatującym się budynku. Rozejrzałem się nerwowo i odkryłem zasuwę przy szafie, która wydawała mi się tej samej wielkości, co zasuwę odjętą od drzwi. Żeby się choć trochę wyzwolić od niepokoju, jaki mną zawładnął, postanowiłem przykręcić tę zasuwę do drzwi za pomocą podręcznego przyrządu spełniającego trzy funkcje, między innymi śrubokrętu, który zawsze nosiłem przy sobie wraz z kluczem na kółku. Zasuwa doskonale pasowała do drzwi, soznałem więc prawdziwej ulgi, że mogę się położyć w zamkniętym pokoju. Nawet nie dlatego, że się czegoś obawiałem, ale po prostu w takim otoczeniu każde zabezpieczenie byłoby mile widziane. Podobne zasuwę znajdowały się też na dwojgu bocznych drzwiach prowadzących do sąsiednich pokoi i te również natychmiast zaryglowałem. Nie rozebrałem się, postanowiłem bowiem czytać, dopóki nie ogarnie mnie senność, i wtedy dopiero się położyć, zdjawszy tylko marynarkę, kołnierzyk i buty. Wyjąłem z walizki latarkę i włożyłem do kieszeni spodni, żebym mógł spojrzeć na zegarek, jeżeli się w nocy przebudzę.

A jednak wcale nie byłem senny; pochłonięty różnymi myślami stwierdziłem z niepokoju, że bezwiednie czegoś nasłuchuję... czegoś, co napęnia mnie lękiem, a czego nie potrafiłbym określić. Opowieść inspektora chyba jednak bardziej podziałała na moją wyobraźnię, niżby się spodziewałem. Znowu usiłowałem czytać, ale bezskutecznie. Po pewnym czasie wydało mi się, że słyszę skrzypienie schodów i kroki na korytarzach i zacząłem się zastanawiać, czy oznacza to, że zajmowane są też następne pokoje. Nie dochodziły mnie jednak żadne inne głosy, natomiast uderzyło mnie, że skrzypienie jest jakoś bardzo ukradkowe. Nie spodobało mi się to, więc postanowiłem wcale się nie kłaść do łóżka. Dziwni ludzie mieszkali w tym mieście, no i podobno coraz to ktoś stąd znikał. Czyżby to była jedna z tych oberży, w których zabija się podróżnych dla zdobycia ich pieniędzy? Na pewno nie robiłem wrażenia człowieka majątnego. A może mieszkańcy tego miasta są aż tak wrogo nastawieni do ciekawskich turystów? Czyżby moje jawne zwiedzanie i częste spoglądanie na mapę wzbudziło ich niechęć?

Uświadomiłem sobie, że muszę być w strasznym napięciu nerwowym, skoro ledwo słyszalne skrzypienie schodów pobudziło mnie aż do takich rozważań, ale mimo to żałowałem, że nie mam przy sobie jakiejś broni.

Czując zmęczenie, które nie miało nic wspólnego z sennością, zamknąłem drzwi od korytarza, wyłączyłem światło i rzuciłem się na twarde, niewygodne łóżko... w marynarce, kołnierzyku, butach, we wszystkim, co miałem na sobie. W ciemności nawet najśłabszy odgłos nocy potęgował się wielokrotnie i ogarnął mnie jeszcze większy niepokój. Żałowałem, że zgasiałem światło, a jednocześnie byłem zbyt zmęczony, żeby podnieść się z łóżka i zapalić. Po dłuższej, przygnębiającej przerwie dobiegło mnie skrzypienie schodów, a następnie ciche, wyraźne odgłosy, zdające się być potwierdzeniem wszystkich moich obaw. Nie miałem już wątpliwości, że ktoś dobierał się do moich drzwi kluczem - ostrożnie, ukradkiem, dla próby. Przerazenie moje z powodu tak namacalnej grozy było zapewne trochę złagodzone lękiem, jakiemu już wcześniej uległem. Przez cały czas, właściwie bez określonej przyczyny, zachowywałem czujność, co okazało się korzystne w tej nowej i naprawdę krytycznej sytuacji, bez względu na to, jak się sprawy dalej potoczą. A jednak przejście od przecucia grozy do jej urzeczywistnienia było niemałym szokiem i spadło na mnie jak grom z nieba. Ani przez chwilę nie przypuszczałem, aby to gmeranie przy moich drzwiach mogło być tylko omyłką. Byłem głęboko przekonany o złych zamiarach intruza i z kamiennym spokojem czekałem na jego następne posunięcie. Wkrótce ustało to ukradkowe dobieranie się do moich drzwi, usłyszałem zaś, że ktoś otwiera wytrychem przyległy pokój od strony północnej. Następnie ten ktoś zaczął próbować zamek u drzwi łączących się z moim pokojem. Zasuwa jednak dobrze trzymała i po chwili usłyszałem skrzypienie podłogi, kiedy maruder opuszczał pokój. Znowu dobiegło mnie zgrzytanie zamka, nie budzące wątpliwości, że tym razem odbywa się w pokoju od południa. Znowu próba otwarcie drzwi łączących się z moim pokojem i skrzypienie podczas wychodzenia.

Teraz rozległo się trzeszczenie podłogi w hallu i na schodach prowadzących w dół, zrozumiałem więc, że maruder zniechęcił się pozamykanymi drzwiami i odłożył dalsze poczynania na lepsze lub gorsze czasu, zależnie od tego, co pokaże przyszłość. Gotowość do podjęcia działania dowodzi tylko, że podświadomie czegoś się lekałem i od paru godzin już rozważałem możliwość ucieczki. Od pierwszego momentu czułem, że to niewidoczne dla mnie gmeranie przy drzwiach stanowi niebezpieczeństwo, któremu nie powinienem stawić czoła, ale uciekać jak najszybciej. Pozostawało mi tylko jedno - wydostać się z tego hotelu natychmiast, i to nie frontowymi schodami i nie przez hall. Wstałem cicho z łóżka i zapaliwszy latarkę chciałem włączyć lampę nad łóżkiem, żeby powrzucać wszystkie swoje rzeczy do walizki. Okazało się jednak, że prąd został wyłączony.

Jakieś tajemnicze, złowieszcze odgłosy przybirały teraz na sile, ale nie mogłem się zorientować, co to być może. Kiedy tak stałem zastanawiając się i wciąż jeszcze trzymając rękę na nieczynnym kontakcie, usłyszałem jakieś skrzypnięcie podłogi o piętro niżej i wydało mi się, że wyraźnie dochodzi mnie echo rozmowy. Po chwili jednak nie byłem już pewien, czy jest to rzeczywiście rozmowa, bo jakieś chropawe poszczekiwanie i rehotliwe pojedyncze sylaby zupełnie nie przypominały ludzkiej mowy. Wtedy przypomniałem sobie to wszystko, co inspektor słyszał owej nocy w tym zatechłym i zapowietrzonym budynku. Wsunąwszy do kieszeni latarkę, nałożyłem kapelusz i na palcach podszedłem do okien, aby rozważyć możliwość ucieczki. Mimo wyraźnych zaleceń urzędowych odnośnie bezpieczeństwa, po tej stronie hotelu nie było żadnego zejścia na wypadek pożaru, nie pozostawało mi więc nic innego, jak tylko wyskoczyć z drugiego piętra wprost na wybrukowane podwórko. Z prawej i lewej strony przylegały do hotelu jakieś stare budynki z cegły, których pochyłe dachy zapewniały dogodną możliwość ucieczki. Aby ich osiągnąć, musiałbym się znaleźć o dwa pokoje dalej, w jedną albo w drugą stronę, więc zacząłem intensywniej

rozważać swoje możliwości.

Nie mogłem wyjść na korytarz, bo natychmiast posłyszano by moje kroki, nim bym zdołał otworzyć drzwi do pożądanego pokoju. Mogłem więc jedynie sforsować niezbyt solidne łączące się z moim pokojem i wyważyć je ramieniem jak taranem, gdyby zamki i zasuwki stawiały opór. Wydało mi się to możliwe do wykonania, jako że wszystko w tym budynku się rozpadało; ale zdawałem sobie sprawę, że nie zdołam tego zrobić bezszelestnie. Mogłem jedynie liczyć na to, że szybko się z tym uporam i że zdołam dobiec do okna, nim wrogie siły otworzą właściwie drzwi wytrychem. Drzwi na korytarz w moim pokoju zabarykadowałem biurkiem, starając się to robić jak najciszej. Zdawałem sobie sprawę, że moje szanse są niewielkie, i byłem właściwie przygotowany na klęskę. Nawet jeśli się przedostanę na dach, nie rozwiąże to jeszcze problemu, bo muszę przecież znaleźć się na ziemi i uciec z miasta. Stan opuszczenia i rujnacji przyległych budynków działał oczywiście na moją korzyść, a także spora ilość świetlików na dachach ziejących ciemnością. Wedle mojej mapy najdogodniejsza droga, którą mógłbym się wydostać z miasta, znajdowała się od południowej strony, wobec tego zerknąłem na drzwi pokoju od południa, ale, niestety, otwierały się w moją stronę, w związku z czym niełatwo byłoby je sforsować, jako że zasuwka była zamknięta i jeszcze dodatkowy zamek. Zrezygnowałem więc z tego kierunku i ostrożnie przysunąłem do drzwi łóżko, żeby zablokować ewentualny atak z tej strony. Drzwi do pokoju od północy otwierały się na zewnątrz i choć były zaryglowane od drugiej strony, wiedziałem, że tędy musi prowadzić moja droga. Jeśli zdołałbym dotrzeć na dachy na Paine Street i stamtąd spuścić się na ziemię, uciekłbym przez podwórko i przyległe albo znajdujące się po drugiej stronie budynku na Washington albo Bates Street, albo też wydostałbym się na Paine Street i stamtąd chyłkiem na Washington Street. W każdym razie starałbym się jak najszybciej wydostać z rejonu Town Square. Wolałbym uniknąć Paine Street ze względu na znajdującą się tam remizę strażacką, która może być czynna przez całą noc.

Tak rozmyślając spojrzałem na plugawe morze rozpadających się dachów oświetlonych teraz księżycem już wklęsłym po pełni. Na prawo przecinała panoramę czarna linia wąwozu, w którym płynęła rzeka. Przylegały doń niczym skorupiaki nieczynne fabryki i stacja kolejowa. Dalej zardzewiałe szyny kolejowe i droga do Rowley wiodły przez płaski, bagniste tereny oznaczone wysepkami bardziej suchej ziemi, porosłej karłowatymi zagajnikami. Po lewej stronie, bliżej mnie, krajobraz był oznaczony strumieniami, a droga po Ipswich lśniła biało w blasku księżyca. Z tej strony hotelu nie mogłem jednak dojrzeć drogi prowadzącej na południe, do Arkham, na którą się zdecydowałem. Rozważałem, niepewny, kiedy byłoby najlepiej zaatakować drzwi prowadzące w północnym kierunku i w jaki sposób mógłbym to zrobić jak najciszej, kiedy ustały te dziwne odgłosy na niższym piętrze, a rozległo się ciężkie stąpanie po schodach. Przez małe okienko nad drzwiami zamigotało światło, a po chwili dobiegło skrzypienie podłogi na korytarzu. Doszły mnie jakieś dźwięki, może to nawet były głosy, po czym rozległo się mocne pukanie do moich drzwi. Przez chwilę wstrzymałem oddech i czekałem. Zdawała się upływać wieczność, a mdlący zapach ryb tak się spotęgował, że prawie stał się namacalny. Pukanie powtórzyło się, tym razem dłużej i jeszcze silniejsze. Był już najwyższy czas, aby przystąpić do działania, najpierw odsunąłem zasuwę drzwi do sąsiedniego pokoju i przygotowałem się do ataku. Teraz już rozległo się potężne walenie do moich drzwi, miałem więc nadzieję, że hałas, jaki ja zrobię, zostanie przez nich samych zagłuszony. Zacząłem napierać lewym ramieniem z całych sił, nie czując ani bólu, ani strachu. Drzwi stawiały opór większy, niż przewidywałem, ale nie poddałem się. A tymczasem tarabanienie do moich wejściowych drzwi nie ustawało.

Nareszcie pokonałem przeszkodę, ale z takim hukiem, że w korytarzu na pewno musieli usłyszeć. Teraz już i oni zaczęli wyważać drzwi, a jednocześnie brzęczały złowieszczo klucze także i przy drzwiach od korytarza przyległych pokoi. Popędziłem natychmiast i zamknąłem zasuwę

od wewnątrz, nim jeszcze zdążyli otworzyć zamek. Jednakże usłyszałem już manewrowanie wytrychem w następnym pokoju, z którego miałem wyskoczyć przez okno na dach. Ogarnęła mnie rozpacz, bo znalazłem się w pułapce. Mój strach sięgał już prawie zenitu, nadając jakieś niepojęte znaczenie śladom kurzu widocznym w świetle przebłyskującym przez drzwi, do których ktoś się właśnie dobierał. Prawie że w bezwiednym odruchu, mimo poczucia beznadziejności, ruszyłem do następnych drzwi, by je siłą otworzyć - zakładając, że zewnętrzne drzwi tego trzeciego pokoju podobnie jak i w poprzednim są zamknięte - a następnie zamknąć zasuwę od wewnątrz, nim jeszcze ktoś zdoła przekręcić zamek. Szczęście mi dopisało, bo nie tylko że nie były zamknięte, ale nawet trochę uchylone. W mgnieniu oka znalazłem się przy drzwiach wejściowych tego pokoju blokując je ramieniem i kolaniem, bo ktoś na nie właśnie napierał. Drzwi się zatrzasnęły, a ja w mig przekręciłem zasuwę, która była w całkiem dobrym stanie. Odetchnąłem z ulgą, a wtedy stwierdziłem, że przestano dobijać się do dwojga sąsiednich drzwi, natomiast rozlega się łoskot przy wewnętrznych drzwiach zabarykadowanych łóżkiem. A więc gromada moich napastników wtargnęła do pokoju od południa i rozpoczęła atak od wewnątrz. Po chwili wytrych zazgrzytał w następnych drzwiach od strony północnej, co uprzytomniło mi, że niebezpieczeństwo jest już bardzo blisko.

Wewnętrzne drzwi do następnego pokoju były otwarte na oścież, nie miałem jednak czasu na zabezpieczenie drzwi na korytarz. Mogłem jedynie zamknąć wewnętrzne drzwi na zasuwę, a także wewnętrzne drzwi z drugiej strony, jedne zabarykadować łóżkiem, drugie biurkiem, a umywalką zablokować drzwi wejściowe. Musiałem zawierzyć takim prowizorycznym barykadom i wydostać się przez okna na dach domu przy Paine Street. W tym dramatycznym momencie strach, jaki mnie ogarnął, nie wypływał z tego, że nagle straciłem siły, by się bronić, ale z tego, że nikt spośród moich napastników nie wydał z siebie jak dotąd ludzkiego głosu, dochodziło mnie tylko koszarne dyszenie, kwiczenie i ciche poszczękiwanie w dziwnych

odstępach czasu. Przesunąłem meble i pomknąłem w stronę okna, a wtedy usłyszałem bezładną i szaleńczą gonitwę po korytarzu w stronę pokoju na północ ode mnie, co świadczyło o tym, że zrezygnowano z napaści od południa. Moi oponenti najwyraźniej skoncentrowali siły przy słabych wewnętrznych drzwiach otwierających się wprost na mnie. A na zewnątrz księżyc igrał na kalenicy domu znajdującego się poniżej okna. Stwierdziłem, że skok będzie wielce ryzykowny, bo dach jest bardzo spadzisty. Wybrałem okno bliższe południowej strony, planując wyskoczyć na dach, a stamtąd w jakieś najdogodniejsze miejsce. Znalazłszy się już w którymś z tych rozwalających się budynków z cegły muszę wziąć pod uwagę pościg. Miałem jednak nadzieję, że zanurzę się w jednym z licznych wokół podwórka i ziejących pustką drzwi i wymknę się na Washington Street, a potem już ucieknę z miasta kierując się na południe. Nagle rozległ się straszny łoskot u drzwi, które zaczęły puszczać w zawiasach. Moi prześladowcy posłużyli się widać jakimś ciężkim przedmiotem do wyważania. Barykada z łóżka jednak nawet nie drgnęła, miałem więc jeszcze jedną szansę, że zdążę wyskoczyć. Z boku okna wisały na grubym pręcie i mosiężnych kółkach ciężkie aksamitne zasłony, był też wystający uchwyt do zewnętrznych okiennic. Otworzyła się przede mną możliwość bezpiecznego skoku. Szybko ściągnąłem pręt ze wszystkim, zaczepiłem dwa kółka z zasłonami na wystającym uchwycie i sprawdzwszy, że wytrzymają mój ciężar, wyskoczyłem z okna i spuściłem się po zaimprovizowanej miękkiej drabinie pozostawiając za sobą na zawsze te zwyrodniałe, widmowe kontury Gilman House.



Wylądowałem bezpiecznie na obluzowanych łupkach spadzistego dachu i bez poślizgnięcia dotarłem do czarnego otworu świetlika. Spojrzałem na

okno, które pozostawiłem za sobą, ale było w nim jeszcze ciemno, tylko daleko na północy dostrzegłem pośród rozpadających się kominów złowieszczy odblask światła z budynku Porządku Bagona, kościoła baptystów i kongregacjonalistów, na wspomnienie którego dreszcze mnie przeszywał. Na podwórku było całkiem ciemno, nadarzała się więc szansa ucieczki, zanim powstanie alarm na dużą skalę. Poświeciłem latarką w głąb świetlika, ale nie było tam żadnych schodków. Nie wydawał się jednak zbyt głęboki, wskoczyłem więc do środka na zapyloną podłogę pełną porozrzucanych pudeł i beczek. Było to miejsce upiorne, ale nie poddawałem się już takim nastrojom, tylko ruszyłem z miejsca w stronę schodów, które odkryłem z pomocą latarki, zerknąwszy jednocześnie na zegarek - wskazywał godzinę drugą po północy. Schody zatrzeszczały, ale wydały mi się stosunkowo mocne. Pomknąłem na dół, minąłem pierwsze piętro, które przypominało raczej stodołę. Panowała tu kompletne pustka, rozlegało się tylko echo moich kroków. W jednym końcu korytarza na dole dostrzegłem trochę jaśniejszy prostokąt, przez który prowadziło wyjście na Paine Street. Skierowałem się w drugą stronę i znalazłem tam również otwarte drzwi; po pięciu kamiennych schodkach wybiegłem na wybrukowane podwórko poprzerastane trawą. Księżyc tutaj nie sięgał, ale wyraźnie widziałem przed sobą drogę i nie musiałem posługiwać się latarką. W niektórych oknach Gilman House paliło się słabe światło, wydawało mi się, że słyszę wewnątrz jakieś bezładne głosy. Posuwając się ostrożnie w stronę Washington Street dostrzegłem po drodze kilka otwartych drzwi. Wybrałem najbliższe w nadziei, że zdołam przejść na drugą stronę. Korytarz spowity był ciemnością, dotarłem jednak do drugiego końca, ale okazało się, że drzwi wychodzące na ulicę są mocna zaryglowane. Postanowiłem więc spróbować w następnym budynku, ale na chwilę przystanąłem.

Z otwartych drzwi Gilman House wynurzył się tłum jakichś postaci - z chybotającymi latarkami i pokrzykujący chrapliwie, ale na pewno nie w języku angielskim. Poruszali się niepewnie, najwyraźniej nie wiedzieli, gdzie

mnie szukać; mimo to skamieniałem z przerażenia. Nie widziałem ich wyraźnie, ale ich człapanie i szuranie było nad wyraz odrażające. Zdołałem jednak zauważyć, że jedna z tych postaci miała na sobie dziwaczne szaty, a na głowie, bez żadnych wątpliwości, wysoką, dobrze mi znaną tiarę. Rozproszyli się po całym dziedzińcu, a mnie ogarnął jeszcze większy strach. A jeżeli nie zdołam się wydostać z tego budynku na ulicę? Odór rybi spotęgował się, obawiałem się, że zemdleję. Znowu zacząłem wymacywać jakieś wyjście na ulicę i napotkałem drzwi, które otworzyły się do pustego pokoju z zamkniętymi okiennicami. Poświeciwszy latarką stwierdziłem, że zdołam je otworzyć, i po chwili wyskoczyłem na zewnątrz, zamknąwszy okiennice, by zatrzeć za sobą ślady. Znajdowałem się teraz na Washington Street; nie dostrzegłem żywej duszy ani żadnego światła, zaglądał tu jedynie księżyc. Z kilku stron, ale z pewnej odległości, dochodziły mnie jednak chropawe głosy, kroki i jakiś tupot, który w niczym nie przypominał kroków. Nie miałem czasu do stracenia. Wskazówki kompasu prowadziły w kierunku, który obrałem, toteż zadowolony byłem, że wyłączono na ulicach światło, jak to się często podczas księżycowych nocy w biedniejszych okręgach wiejskich zdarza. Dochodziły też jakieś odgłosy od południa, ale mimo to nie zrezygnowałem z ucieczki w tym kierunku. Po drodze będzie na pewno niemało wejść do pustych domów, w których znajdę schronienie, jeśli tylko dojrzę ścigających mnie prześladowców. Posuwałem się szybko, bezszelestnie, wzdłuż zrujnowanych domów. Bez kapelusza, rozczochrany po uciążliwej ucieczce, nie mogłem przyciągać niczyjej uwagi. Nawet gdybym przypadkowo napotkał jakiegoś przechodnia, pewnie by mnie nie zauważył. Na Bates Street skryłem się w przepaścistym westybulu, gdyż pojawiły się przede mną dwie powłóczące nogami postacie, ale wkrótce szedłem już dalej zbliżając się do otwartej przestrzeni, gdzie Eliot Street przecinała ukośnie Washington Street na skrzyżowaniu. Choć przedtem nie widziałem tego miejsca, na mojej mapie wyglądało ono groźnie, księżyc z pewnością będzie miał tam swobodny dostęp. Nie było jednak sensu zbaczać

z drogi, bo musiałbym okrążyć narażając się, być może, na jeszcze większą widoczność, a poza tym to by tylko opóźniło moją ucieczkę. Postanowiłem więc śmiało i otwarcie przekroczyć plac naśladowując powłóczysty krok mieszkańców Innsmouth, w nadziei, że nikogo, a przynajmniej nikogo spośród moich prześladowców, nie spotkam po drodze.

Nie orientowałem się, jak szeroki zakres ma pościg ani też jaki mu przyświeca cel. Miasto zdawało się być niezwykle ożywione, ale byłem przekonany, że wieść o mojej ucieczce z Gilman House jeszcze się daleko nie rozniosła. Wkrótce muszę się przedostać z Washington Street na jakąś inną ulicę prowadzącą na południe, gdyż tajemnicza gromada z hotelu bez wątpienia posuwa się za mną. Zostawiłem na pewno ślady na zakurzonej podłodze w ostatnim budynku, odkryją więc, w jaki sposób wydostałem się na tę ulicę. Tak jak się spodziewałem, cały plac zalany był księżycem; pośrodku dostrzegłem coś w rodzaju skwerku ogrodzonego żelazną balustradą. Na szczęście nikogo w pobliżu nie było, ale od strony Town Square dochodziło jakieś dziwne buczenie czy też warkot. South Street była szeroka i lekko opadała ku morzu, które było stąd widoczne w całej swej rozciągłości. Miałem nadzieję, że nikt mnie nie obserwował, kiedy przechodziłem w pełnym blasku księżyca. Posuwałem się bez przeszkód, nie słysząc było, aby ktoś mnie szpiegował. Rozejrzawszy się, bezwiednie zwolniłem kroku na chwilę i zerknąłem w stronę morza, które, rozświetlone księżycem, wyglądało wspaniale. W dali, za falochronem, rysowała się niezbyt wyraźnie ciemna linia Diabelskiej Rify, która mimo woli przypominała mi straszne opowieści, jakie tu usłyszałem - opowieści, w których ta postrzępiona skała stanowiła prawdziwe wrota do królestwa niepojętej grozy i nienormalnych zjawisk. Nagle, zupełnie niespodziewanie, dostrzegłem na rafie migotanie światła. Nie myliłem się, nie było to złudzenie. Ogarnął mnie lęk, niepohamowany i straszny. Wszystkie mięśnie naprężyły się do ucieczki, powstrzymała mnie tylko podświadoma ostrożność i prawie że hipnotyczne zafascynowanie. Co gorsza, rozbłysło też światło z

wyniosłej kopuły Gilman House, skierowane na północny-wschód, cała seria analogicznych błysków, o innej częstotliwości, które mogły być tylko sygnałami porozumiewawczymi. Znowu zdałem sobie sprawę, jak bardzo jestem tutaj na widoku, ruszyłem więc szybszym krokiem pozorując powłóczenie nogami, ale nie spuszczać oka z tej diabelskiej, złowieszczej rafy, dopóki mogłem ją widzieć. Nie miałem pojęcia, co to wszystko oznacza, chyba że miało związek z dziwnymi obrzędami odbywającymi się na rafie albo też z jakimś statkiem, który tam przycumował i z którego wyszła grupa ludzi. Skręciłem w lewo obok zapuszczonego trawnika, wciąż jednak zerkałem w stronę oceanu lśniącego w letniej poświacie księżyca i obserwowałem tajemnicze błyski niezrozumiałych dla mnie światła ostrzegawczych.

Wtedy to właśnie zawładnęło mną chyba największe przerażenie, przestałem nad sobą panować i popędziłem jak oszalały na południe obok ziejących czernią drzwi i okien spoglądających jak rybie oczy na tej pustynnej, koszmarnej ulicy. Kiedy spojrzałem uważniej, okazało się, że morze pomiędzy rafą i brzegiem bynajmniej nie jest puste. Wypełniał je gęsty rój jakichś postaci płynących w stronę miasta; mimo duże odległości i bądź co bądź zaledwie przelotnego spojrzenia, zauważyłem, że podskakujące głowy i uderzające w wodę ramiona są mi dziwnie obce, o wynaturzonych kształtach, których nie potrafiłbym określić ani z całą świadomością do niczego zakwalifikować. Zwolniłem szaleńczy pęd, nim jeszcze znalazłem się przed jakimś budynkiem, ponieważ od lewej strony usłyszałem larum zorganizowanego pościgu. Na Federal Street rozległy się kroki i jakieś gardłowe głosy, dochodził też warkot motoru. W jednej chwili mój plan uległ całkowitej zmianie, bo jeżeli droga na południe została zablokowana, to muszę znaleźć jakiś inny sposób ucieczki z Innsmouth. Wsunąłem się w jakieś otwarte drzwi, zadowolony, że minąłem oświetloną księżycem otwartą przestrzeń, zanim moi prześladowcy nadciągnęli równoległą ulicą. Kolejne spostrzeżenie było mniej pocieszające. Pościg odbywał się następną ulicą; co

prawda nie podążali za mną bezpośrednio i jak dotąd mnie nie dostrzegli, ale zastosowali konsekwentny plan odcięcia mi drogi. Mogło to oznaczać, że na wszystkich drogach wyjściowych z miasta rozstawili patrole, nie wiedzieli bowiem, którą wybiorę. Wobec tego muszę uciekać z dala od wszystkich dróg, ale jak to zrobić, skoro cały okoliczny teren to bagna poprzecinane licznymi rzekami? Zmąciło mi się w głowie, zarówno od poczucia beznadziejności, jak i nagłego, spotęgowanego przyływu rybiego smrodu.

Przypomniałem sobie o nieczynnej linii kolejowej do Rowley, która miała mocne podkłady i zarośnięta była trawą, a prowadziła na północny zachód od zdewastowanej stacji nad brzegiem wąwozu, w którym płynęła rzeka. Istniała możliwość, że nie uwzględnię jej w swoim planie pościgu, gdyż opustoszały, pozarastany dziką różą teren wydawał się nie do przebycia i było najmniej prawdopodobne, aby go wybrał uciekinier. Wyraźnie widziałem ten teraz z okna hotelu i orientowałem się, gdzie się znajduje. Znaczna część linii kolejowej była niestety widoczna z drogi prowadzącej do Rowley, a także z wyżej położonych miejsc w samym mieście, ale mogę przecież skryć się wśród zarośli i czołgając się wydostać z tego miasta. W każdym bądź razie była to dla mnie jedyna szansa ucieczki i nie pozostawało mi nic innego, jak przystąpić do działania natychmiast. W głębi korytarza, w którym znalazłem schronienie, raz jeszcze przyjrzałem się mapie przy świetle latarki. Najpierw należało się przedostać do stacji kolejowej, co było nie lada problemem; uznałem, że najbezpieczniej będzie pójść na Babson Street, potem na zachód do Lafayette, dalej już drogą okrężną, a nie przecinać placu, tak jak to zrobiłem przed chwilą. Potem z kolei trzeba się skierować na północ i zachód krętą drogą przez ulice Lafayette, Bates, Adams i Bank - przy czym ta ostatnia ciągnęła się wzdłuż brzegu rzeki - i tak może zdołam dotrzeć do nieczynnej, prawie już w całkowitej ruinie stacji, którą widziałem z okna. Wybrałem prostą drogę do Babson Street, ponieważ nie miałem ochoty przemierzać otwartej przestrzeni ani też kierować się na zachód ulicą tak szeroką jak South Street. Rozejrzawszy się jeszcze raz uważnie,

przeszedłem na prawą stronę, aby dostać się do Babson Street przez nikogo nie zauważony. Na Federal Street wciąż było gwarno, a kiedy się obejrzałem, wydało mi się, że błysnęło światło tuż koło budynku, przez który się przedostałem. Chcąc jak najszybciej wydostać się z Washington Street ruszyłem biegiem w nadziei, że nikt mnie tu nie dostrzeże. Na następnym rogu Babson Street ku memu przerażeniu zobaczyłem, że jeden z domów jest zamieszkały, o czym świadczyły zasłony w oknach, ale w żadnym nie paliło się światło, udało mi się więc przejść obok spokojnie. Na Babson Street, krzyżującej się z Federal Street, prześladowcy mogli mnie łatwo zauważyć, posuwałem się więc tuż przy samym murze pochylonych i nierówno stojących budynków, dwukrotnie zatrzymując się w pustych drzwiach, gdy wydało mi się, że hałas się wzmaga.

Przede mną znowu otwierała się wolna przestrzeń oświetlona księżycem, ale nie musiałem jej przemierzać. Kiedy zatrzymałem się po raz drugi, zauważyłem, że odgłosy tym razem dochodzą z innego kierunku, i ujrzałem mknący przez otwartą przestrzeń motocykl wprost ku Eliot Street krzyżującej się z Babson i Lafayette. Kiedy tak patrzyłem dławiąc się nagłym i silnym powiewem rybiego smrodu, zobaczyłem gromadę dzikich skulonych postaci zmierzających wielkimi susami i powłóczącym krokiem w tym samym kierunku; było to więc grupa mająca pełnić straż przy drodze do Ipswich. będącej przedłużeniem Eliot Street. Dwie postacie miały na sobie luźne szaty, a na głowach diademy lśniące w poświacie księżyca. Chód tych postaci był tak dziwny, że aż zimny dreszcz mnie przeszedł, miałem nawet wrażenie, że nie idą, a podskakują. Ruszyłem dalej dopiero wtedy, gdy cała ta gromada zniknęła mi z pola widzenia. Skręciłem w Lafayette i minąłem szybko Eliot Street bacząc, czy jacyś spóźnieni prześladowcy nie zmierzają w tym kierunku. Od strony Town Square dochodziły rechoczące i gwarne głosy, ale na nikogo się nie natknąłem. Najbardziej się obawiałem przejścia przez szeroką i oświetloną księżycem South Street z widokiem na morze, musiałem jednak poddać się ciężkiej próbie. Tutaj mogli mnie łatwo wyśledzić, a nawet

ci, którzy pilnowali Eliot Street, też mogli mnie tu wypatrzeć. Postanowiłem zwolnić tempo i przejść powłócząc nogami jak tubylcy. Kiedy znowu roztoczył się przede mną widok na morze - tym razem z prawej strony - postanowiłem nie patrzeć w tym kierunku, ale nie mogłem się powstrzymać i zerknąłem w bok, nie zapominając o powłóczeniu nogami. Niestety, nie zobaczyłem statku, a łudziłem się, że przypłynął. Zauważyłem natomiast małą łódź wiosłową płynącą do opuszczonej przystani, a zapełnioną czymś, przykrytym brezentem. Wioślarze, choć z daleka niezbyt dokładnie widoczni, wyglądali jednak odrażająco. Dostrzegłem też paru pływaków; na dalekiej, czarnej rafie świeciło teraz słabe, ale jednostajne światło, już nie migające ostrzegawczo, a dość dziwnym kolorze, którego nie potrafiłbym określić. Ponad spadzistymi dachami, na prawo ode mnie jarzyła się wysoka kopuła Gilman House, poza tym jednak panowała kompletna ciemność. Zapach ryb, złagodzony na moment łaskawą bryzą, znowu uderzył mnie w nozdrza z całą siłą.

Nim zdążyłem przejść ulicę, usłyszałem gwar na Whashington Street od strony północnej. Dotarli właśnie do otwartej przestrzeni, skąd ujrzałem niepokojący obraz morza rozjarzonego księżycem. Znajdowali się już całkiem blisko, a widok ich zwierzęco wynaturzonych twarzy i pochylonych postaci posuwających się jakimś nieludzkim krokiem, a przypominających gromadę psów, zupełnie mnie przeraził. Jeden z nich poruszał się zupełnie jak mała, dotykając długimi rękoma ziemi; jakiś inny - w luźnych szatach i z tiarą na głowie - zdawał się posuwać skokami. To właśnie tę gromadę widziałem wtedy na podwórzu Gilman House, byli najbliżsi mego tropu. Poniektórzy patrzyli w moją stronę, co mnie napełniło strasznym lękiem, jeszcze bardziej więc zacząłem udawać to ich powłóczenie nogami. Do dziś nie wiem, czy rzeczywiście mnie wtedy dostrzegli. Jeżeli tak było, to moja strategia ich zmyliła, bo nie zmienili swojego kursu, tylko posuwali się dalej, rehotliwie bełkocąc, a tak obrzydliwie, że nie mogłem się w tem rozeznąć. Znalazłszy się znów w mroku, zacząłem biec truchtem obok pochylonych

domów spoglądających pustki oknami w ciemną noc. Przeszedłem na drugą stronę ulicy, skręciłem na najbliższym rogu w Bates Street, kryjąc się w cieniu budynków od południowej strony. Minąłem dwa domy, w których znać było ślady życia, w jednym paliło się nawet światło w górnych oknach, ale nie natknąłem się na żadną przeszkodę. Kiedy skręciłem na Adams Street, poczułem się trochę bezpieczniej, ale wkrótce zamarłem, bo tuż przede mną wytoczył się z drzwi jakiś człowiek. Zbyt był jednak pijany, aby mógł stanowić dla mnie zagrożenie. I tak dotarłem bezpiecznie do magazynów składowych na Bank Street, będących w zupełnej ruinie. Na tej wymarłej ulicy ciągnącej się wzdłuż rzeki wszystko wydawało się zastygłe, a szum wodosпадów zagłuszał moje kroki. Do stacji musiałem przebiec jeszcze kawałek drogi, zaś mury wielkich magazynów wyglądały straszniej niż mieszkalne domy. Nareszcie ujrzałem przed sobą starą stację z arkadami - a właściwie jej nędzne resztki - i ruszyłem prosta w kierunku szyn zaczynających się na drugim jej końcu.

Były zardzewiałe, choć jeszcze w niezłym stanie, podkłady przegniły, ale nie wszystkie. Po takiej drodze ogromnie trudno było poruszać się swobodnie, a tym bardziej biec, ale jakoś sobie radziłem. Przez pewien czas szyny prowadziły przez długi, kryty most nad zawrotnej głębokości przepaścią. Moje dalsze kroki uzależnione było od stanu mostu. Jeżeli okaże się to możliwe, przejdę po nim, a jeśli będzie w bardzo złym stanie, muszę podjąć ryzyko dalszej wędrówki ulicą i przedostać się przez najbliższy, nieuszkodzony most przy autostradzie. Ten ogromny stary most, długi jak stodoła, jaśniał widmowo w blasku księżyca i stwierdziłem, że parę kroków dalej podkłady są całkiem solidne. Wszedłem przyświecając sobie latarką i omal nie zwała mnie z nóg chmara nietoperzy, która zerwała się z głośnym trzepotem. W połowie drogi znajdowała się groźna wyrwa między podkładami, na widok której zawahałem się, czy zdołam ją pokonać, jednakże zaryzykowałem, wykonałem desperacki skok, który na szczęście się udał. Z radością powitałem księżyc, kiedy wreszcie wydostałem się z tego

makabrycznego tunelu. Stare szyny przecinały River Street na przejeździe kolejowym i natychmiast skręcały w pole, na którym już coraz słabiej czuło się ten nieznośny zapach ryb. Gęste poszycie chwastów i dzikiej róży kryło mnie całkowicie, ale ubranie miałem w strzępach. Rad jednak byłem, że się tutaj znalazłem, bo w razie pogoni, miałem tu dobre schronienie. Byłem świadomy, że większa część trasy, którą przemierzałem, musiała być widoczna z drogi prowadzącej do Rowley. Wkrótce pojawiły się bagna, a przez nie wiodła jedna tylko ścieżka na niskim, trawiastym nasypie, ale zarośla nie były tu już tak gęste. Natknąłem się teraz na coś w rodzaju wyspy trochę wyżej położonej, którą szyny przecinały w płytkim, otwartym wykopie, zrosniętym krzakami i jeżynami. Bardzo się ucieszyłem, że przynajmniej tutaj mogę się skryć, bo wedle tego, co widziałem z okna hotelu, w tym miejscu szosa do Rowley biegła bardzo blisko. Na końcu wykopu szyny przecinały ścieżkę i zbaczały na bezpieczną odległość. Tymczasem jednak musiałem zachować daleko idącą ostrożność. Byłem pewien, że jak do tej pory szyny kolejowe nie zostały objęte patrolem.

Nim zanurzyłem się w wykop kolejowy, obejrzałem się ze siebie, ale nie dostrzegłem moich prześladowców. Stare wieżyce i dachy Innsmouth wspaniale i nieziemsko lśniły w magicznym żółtym świetle księżyca i mimo woli pomyślałem, jak pięknie musiały wyglądać w dawnych dniach, nim miasto zostało okryte mrokiem tajemnicy. Ale kiedy spojrzałem w głąb łądu, uwagę moją przykuło coś, co mnie zaniepokoiło, i przez chwilę zastygłem w bezruchu.

Zobaczyłem - a może tylko tak mi się zdawało - jakby jakieś dziwne falowanie daleko na południu; doszedłem do wniosku, że na poziomie drogi na Ipswich wyłania się z miasta jakaś ogromna horda. Odległość była duża, nie mogłem więc nic dojrzeć dokładnie, ale nie podobał mi się wygląd tej poruszającej się kolumny. Był to ruch zanadto rozfalowany, a odbłask zbyt jaskrawy w promieniach zachodzącego księżyca. Odnosiłem wrażenie, że słyszę też jakieś odgłosy - mimo że wiatr wiał w przeciwnym kierunku -

odgłosy zwierzęcego skrobania i wrzasków jeszcze gorszych niż te, które niedawno słyszałem. Przez głowę przemknęły mi najrozmaitsze domysły, niezbyt przyjemne. Mimo woli pomyślałem o tym najprzeróżniejszych typach ludzkich w Innsmouth, ukrytych podobno w rozpadających się już starych kanałach przy nadbrzeżu. Pomyślałem też o grupie pływaków, których dostrzegłem na morzu. Szacując tę gromadę widoczną z daleka, jak również wszystkie te, które pokrywały teraz okoliczne drogi, doszedłem do wniosku, że liczba ścigających mnie jest o wiele za duża jak na tak wyludnione miasto. Skąd wzięły się te wielkie tłumy? Czyżby stare, niezaplombowane kanały wypełnione były pokrętnym, nie przynależącym do żadnej kategorii i przez nikogo nie podejrzanym życiem? A może rzeczywiście jakiś niewidzialny statek przywiózł cały legion nieznanych przybyszów na tę piekielną rafę? Kim są wobec tego? Dlaczego się tutaj znaleźli? Jeżeli taka kolumna obcych przybyszów grasowała na drodze do Ipswich, to czy patrole na innych drogach też zostały wzmocnione?

Wszedłem w zarośla wykopu kolejowego i posuwałem się powolnym krokiem, gdy nagle znowu spowił mnie ciężki, odrażający zapach rym. Czyżby wiatr zmienił kierunek na wschodni, wiejąc wprost od morza w stronę miasta? Pewnie tak, bo teraz usłyszałem jakieś gardłowe pomruki z tamtej właśnie strony, dotąd zupełnie cichej. Dochodziły mnie jeszcze inne odgłosy - coś w rodzaju zbiorowego trzepotania i tupotu, które pobudzały wyobraźnię do granic wytrzymałości. Nie mogłem się pozbyć jakichś pozbawionych logiki myśli na temat tej nieprzyjemnie falującej kolumny na drodze do Ipswich. Po chwili smród i gwar nasiliły się jeszcze bardziej, więc zatrzymałem się drżąc na całym ciele, rad, że mam kryjówkę w wykopie. Przypomniałem sobie, że właśnie tutaj droga do Rowley podchodzi bardzo blisko do starej linii kolejowej, tuż przed skrzyżowaniem i zakrętem na zachód. Coś się poruszało wzdłuż tej drogi, położyłem się więc płasko, aż przejdzie i zniknie. Wdzięczny byłem niebiosom, że te kreatury nie mają ze sobą psów do tropienia - pewnie zresztą byłoby to niemożliwe na terenie tak

cuchnącym rybami. Przycupnąwszy pośród krzaków w piaszczystym dole czułem się raczej bezpieczny, choć wiedziałem, że moi prześladowcy będą przechodzić naprzeciwko mnie w odległości nie większej niż pięćdziesiąt metrów. Mogę ich zobaczyć, ale oni mnie nie zauważą, chyba że przez jakiś niefortunny przypadek. A jednak wzdragałem się przed ich widokiem. Widziałem przed sobą z bliska oświetlony księżycem teren, przez który będą przechodzić, i pomyślałem, że to miejsce może ulec bezpowrotnemu skażeniu. Są to, być może, najbardziej zwyrodniałe istoty miasta Innsmouth, których lepiej byłoby nie zachować w pamięci. Smród stał się nie do zniesienia, a hałas był nieprzerwanym harmiderem rechotu, ujadania i poszczekiwania, co wzięwszy razem bynajmniej nie przypominało ludzkiej mowy. Czyżby to rzeczywiście były głosy ścigających mnie prześladowców? A może jednak mają ze sobą psy?

Nie udało mi się zauważyć żadnych zwierząt w Innsmouth. Trzepot i szuranie niemal mnie ogłuszały, uznałem, że chyba nie zdołam spojrzeć na te zdegenerowane stwory. Postanowiłem przez cały czas trzymać oczy zamknięte, dopóki wszystkie te odgłosy nie oddalą się na zachód. Horda znajdowała się już w pobliżu - powietrze przesycone było ich ostrym warczeniem, a ziemia aż się trzęsła od kroków stawianych w niespotykanych rytmie. Dech mi prawie zapało i całą siłą woli nie otwierałem oczu. Nawet teraz nie mogę powiedzieć, czy to, co nastąpiło, było straszną rzeczywistością, czy też koszmarną halucynacją. Późniejsza działalność rządu - na skutek moich pełnych przerażenia próśb - potwierdza straszną prawdę. Ale czy halucynacja nie może się zdarzyć pod wpływem hipnotycznego czaru, jaki rzuca to stare, widmowe miasto? Miejsca takie mają dziwne właściwości, a spuścizna obłąkańczej legendy może działać na wyobraźnię nie tylko jednego człowieka, zwłaszcza pośród wymarłych, cuchnących ulic, zbutwiałych dachów i kruszących się wieżyc. Czyż nie jest to możliwe, że źródło obecnego, a tak zaraźliwego szaleństwa czai się w głębiach tego widma, jakie roztacza się nad Innsmouth? Któż może być

pewien rzeczywistości po wysłuchaniu opowieści starego Zadoka Allena? Funkcjonariusze rządowi nie znaleźli biednego Zadoka ani nawet żadnego po nim śladu. Gdzie kończy się szaleństwo, a zaczyna rzeczywistość? Czyż nie jest możliwe, że nawet ten mój ostatni strach i wizje były po prostu złudzeniem?



Muszę jednak opowiedzieć, co widziałem, jak mi się zdaje, owej nocy w blasku szyderczego księżyca na drodze do Rowley, tuż na wprost siebie, kiedy leżałem pośród krzaków dzikiej róży, w pustym wykopie kolejowym. Oczywiście nie dotrzymałem postanowienia, że nie otworzę oczu. Z góry było to skazane na niepowodzenie, bo kto by uleżał z zamkniętymi oczami, kiedy cały legion pochylonych, ujadających stworów nieznanego pochodzenia przesuwał się z rozgłośnym trzepotem zaledwie w odległości pięćdziesięciu metrów? Wydawało mi się, że jestem przygotowany na najgorsze, i rzeczywiście powinienem być, zważywszy na to, co już przedtem widziałem. Inni moi prześladowcy byli niesamowicie wynaturzeni, nie powinienem więc mieć oporów, aby zobaczyć również i te postacie, w których nie było nawet śladu normalności. Nie otworzyłem jednak oczy dopóki nie rozległ się ochryply jazgot na wprost mnie. Zdałem sobie sprawę, że długi sznur tych stworów musy być widoczny w miejscu, gdzie zbocze wykopu łączy się z drogą przecinającą trakt i wtedy już nie potrafiłem się oprzeć pokusie, bez względu na to, jaką potworność objawi mi łypiący pożądlivym okiem księżyc.

Był to koniec - koniec wszystkiego, co pozostało mi w życiu na tej ziemi, koniec spokoju i wiary w integralność przyrody z ludzkim umysłem. Wszystko, co mogłem sobie wyobrazić - nawet to, co zawdzięczam

obłąkańcze opowieści Zadoka w sensie dosłownym - nie dałoby się porównać z tą demoniczną, bluźnierczą wprost rzeczywistością, jaką ujrzałem, czy też wydawało mi się, że ujrzałem. Na razie tylko o tym wspominał, później muszę opisać już bez osłonek. Możliwe to, aby nasza planeta spłodziła coś takiego i aby ludzkie oko naprawdę oglądało to, co dotychczas znane było tylko rozgorączkowanej fantazji i nie mającej znaczenia legendzie?

A jednak widziałem ich, ciągnących niezliczonym strumieniem - wśród trzepotu, podskoków, rechotania i beczenia - przy widmowych księżycu w groteskowej, złośliwej sarabandzie niesamowitej nocnej mary. Niektórzy mieli na głowie wysokie tiary z tego nieznanego białozłotego metalu... inni jakieś dziwne szaty... a jeden, idący na czele, ubrany był w niesamowity, czarny płaszcz i spodnie w paski, miał też filcowy kapelusz zatknięty na czymś, co pozbawione było kształtu, a co miało być głową. Dominował wśród nich kolor szarozielony, choć brzuchy mieli białe. Ich ciała były lśniące i oślizgłe, na grzbietach mieli łuski. Nie wydaje mi się, aby mogli mieć cokolwiek wspólnego z antropologią, zaś ich głowy przypominały ryby, mieli też wielkie, wyłupiaste oczy, wiecznie otwarte. Po bokach szyi widniały ruchome skrzela, a ich długie szpony połączone były błoną pławną. Podskakiwali nieregularnie, czasem na dwóch kończynach, czasem na czterech. Zadowolony byłem, że nie moją ich więcej. Ich rechot i ujadanie, mające spełniać rolę artykułowanej mowy, robiły o wiele gorsze wrażenie, aniżeli pozbawione wyrazu twarze.

Choć były to straszliwe potwory, nie wydawały mi się obce. Zbyt dobrze wiedziałem, czym są... bo czyż pamięć o tej złowieszczej tiarze w Newburypost nie była jeszcze świeża? Kiedy zobaczyłem te bluźniercze żaboryby, ohydnie ukształtowane - żywe i straszne - zrozumiałem, co ten przygarbiony, z tiarą na głowie kapłan w mroczne krypcie kościoła mi przypominał. Ich liczebność było nieodgadniona. Wydawało mi się, że są ich całe tabuny, bo przecież moje przelotne spojrzenie mogło objąć tylko

niewielką ich część. Po chwili wszystko zniknęło mi z oczu, bo na szczęście, zemdlałem po raz pierwszy w życiu.

V

Lekki deszczyk przywrócił mnie do przytomności w zarośniętym gąszczem wykopie kolejowym. Nastął już dzień i kiedy chwiejnym krokiem wydostałem się na drogę, w bagnie nie znać już było żadnych śladów. Przyprawiający o mdłości zapach ryb zniknął, rozpadające się dachy Innsmouth i pochylone strzeliste wieże majaczyły szarością na południowo-wschodnim widnokrzęgu, ale na całym tym pustym słonobagnistym terenie nie wypatrzyłem żywej duszy. Mój zegarek jeszcze chodził; okazało się, że minęło już południe.

Cała ta koszmarna rzeczywistość, z którą się zetknąłem, wydawała mi się teraz niejasna, ale czułem, że u jej podłoża leży jakieś straszne zło. Postanowiłem uciekać od tego nieszczęsnego Innsmouth, uprzednio jednak sprawdziłem, czy przy tak nadwerężonych siłach jestem zdolny do dalszej wędrówki. Choć byłem słaby, głodny, przerażony i oszołomiony, stwierdziłem, że mogę jednak iść dalej; i tak ruszyłem błotnistą drogą do Rowley. Nim zapadł wieczór, dotarłem do wsi, w której mnie nakarmiono, a także godziwie odziano. Zdążyłem na wieczorny pociąg do Arkham i następnego dnia odbyłem długą i poważną rozmowę z urzędnikami państwowymi; potem powtórzyłem wszystko w Bostonie. Zasadnicze elementy rozmów znane są ogółowi, ja zaś, dla odzyskania równowagi, życzylibym sobie, aby już nic więcej nie było do powiedzenia. Jakieś szaleństwo chyba mnie ogarnia, a jednocześnie jeszcze większy lęk... może nawet coś jeszcze bardziej niepojętego. Nietrudno sobie wyobrazić, że zrezygnowałem z dalszej wytyczonej trasy podróży. A tak bardzo liczyłem na ciekawe doznania widokowe z dziedziny architektury i dawnej przeszłości. Nie miałem też już odwagi oglądać tego dziwnego klejnotu, jaki podobno

znajdował się w Miskatonic University Museum. Urozmaiciłem sobie jednak pobyt w Arkham zebraniem genealogicznych notatek, które od dawna mnie interesowały; były to, co prawda, bardzo pobieżne dane, ale mogły mi się przydać później, kiedy znajdę czas na ich zestawienie i skodyfikowanie. Opiekun Stowarzyszenia Historycznego - pan E. Lapman Peabody - uprzejmie służył mi pomocą i wyraził niezwykle zainteresowanie, kiedy powiedziałem mu, że jestem wnukiem Elizy Orne z Arkham, która urodziła się w 1867 roku i poślubiła Jamesa Williamsona z Ohio mając lat siedemnaście. Mój wuj, a brat mojej matki, był prawdopodobnie w Arkham wiele lat temu w tej samej sprawie co ja; a rodzina mojej babki była zdaje się przedmiotem miejscowego zainteresowania. Pan Peabody powiedział, że wiele mówiona na temat małżeństwa jej ojca, Benjamin Orne, tuż po Wojnie Domowej, ponieważ zdziwienie budzili przodkowie jego wybranki. Była podobno sierotą po Marshach z New Hampshire, a kuzynką Marshów z Essex Country, ale uczyła się we Francji i raczej nie znała swojej rodziny. Prawny opiekun ulokował jej pieniądze w bostońskim banku, które były przeznaczone na jej utrzymanie, a także francuskiej guwernantki. Nikt w Arkham nie znał nazwiska tego opiekuna, o którym z czasem ślad zaginął, i guwernantka przejęła jego rolę na zasadzie polubownej umowy.

Francuzka, nie żyjąca już od dawna, milczała na ten temat, a podobno wiedziała znacznie więcej, niż mówiła. Najbardziej jednak zdumiewał wszystkich fakt, że nie można było umiejscowić rodziców tej młodej dziewczyny - Enoch i Lydia (z domu Meserve) - wśród znanych rodzin w New Hampshire. Wielu przypuszczało, że była córką któregoś z tych głośnych Marshów, miała bowiem tak charakterystyczne dla nich oczy. Jeszcze większym zaskoczeniem była jej wczesna śmierć przy urodzeniu mojej babki - która była jej jedynym dzieckiem. Mając już ustalony, niezbyt przyjemny stosunek do samego nazwiska Marsh, niechętnie przyjąłem wiadomość, że przynależy ono do genealogicznego drzewa moich przodków. Nie sprawiło mi też przyjemności, kiedy pan Peabody napomknął, że i ja

mam oczy Marshów. Ale wdzięczny mu byłem za wszystkie informacje, które z pewnością okażą się dla mnie pożyteczne. Wziąłem też ze sobą swoje notatki, a także wykaz przepisanych z ksiąg danych odnośnie rodziny Orne'ów. Prosto z Bostonu pojechałem do domu, do Toledo, a potem spędziłem miesiąc w Maumee, żeby przyjść do siebie po tej strasznej przygodzie. We wrześniu pojechałem do Oberlin, na ostatni rok studiów, i aż do czerwca pochłonięty byłem nauką i różnymi innymi sprawami, tylko od czasu do czasu wizyty przedstawicieli rządowych w związku z kampanią, rozpoczętą na skutek mojego zeznania, przypominały mi o tym, co przeżyłem. Mniej więcej w połowie czerwca, a w rok po pobycie w Innsmouth, spędziłem tydzień u rodziny matki w Cleveland; tam sprawdziłem moje genealogiczne dane z różnymi notatkami, wiadomościami przekazanymi ustnie i tym, co pozostało w spadku, chcąc sporządzić dokładniejszy wykres. Nie było to zadanie przyjemne, gdyż atmosfera w domu Williamsonów zawsze mnie przytłaczała. Panowało tam jakieś niezdrowe napięcie i moja matka nigdy nie zachęcała mnie do odwiedzania jej rodziców, kiedy jeszcze byłem dzieckiem, natomiast chętnie widziała u nas w Toledo swojego ojca. Urodzona w Arkham babka wydawała mi się dziwna, prawie że mnie przerażała i wcale nie bolałem nad tym, kiedy całkiem zniknęła. Miałem wtedy osiem lat i mówiono, że zrozpaczona uciekła z domu po samobójstwie mojego wuja Douglasa, a jej najstarszego syna. Zastrzelił się po podróży do New England, tej właśnie podróży, o której wspomniano mi w Stowarzyszeniu Historycznym w Arkham.

Był podobny do babki i też go nie lubiłem. Mieli jakieś dziwne spojrzenie, nigdy nie mrużyli oczu i czułem się w ich obecności nieswojo. Moja matka i wuj Walter wyglądali inaczej. Przypominali ojca, ale już biedny kuzyn Lawrence - syn wuja Waltera - był niemal wiernym wizerunkiem babki; z powodu złego stanu zdrowia umieszczono go na stałe w zamkniętym sanatorium w Canton. Od czterech lat go nie widziałem, ale wuj wspominał kiedyś, że stan jego zdrowia i umysłu jest bardzo niedobry.

To zmartwienie stało się zapewne przyczyną śmierci jego matki przed dwoma laty. Tylko więc dziadek i jego owdowiały syn mieszkali teraz w Cleveland, ale wspomnienie przeszłości ciążyła nad ich domem. Wciąż nie lubiłem tego miejsca i starałem się jak najszybciej przeprowadzić tam mój wywiad. Różne dokumenty i to, co zostało przekazane ustnie, w dużej mierze uzupełniłem jeszcze opowiadaniem dziadek, ale jeśli chodzi o wieści na temat Orne'ów, musiałem głównie polegać na wuju Walterze, który przedstawił mi całe swoje zbiory w postaci notatek, listów, wycinków, fotografii i miniatur, wszystkiego, co otrzymał w spadku. Kiedy przeglądałem listy i zdjęcia, jakie pozostały po Orne'ach, przeraziłem się swoimi przodkami. Jak już wspomniałem, babka i wuj Douglas zawsze wywoływali we mnie jakiś niepokój, ale teraz, kiedy patrzyłem na ich fotografie, budziła się we mnie odraza, byli jacyś zupełnie inni. Z początku nie mogłem tego zrozumieć, ale stopniowo zacząłem podświadomie porównywać, choć za wszelką cenę starałem się odrzucić nawet najłżejsze przypuszczenie. Tak charakterystyczny wyraz ich twarzy miał teraz dla mnie zupełnie inna wymowę niż dawniej, a gdybym się głębiej nad tym zastanowił, na pewno napełniłoby to mnie panicznym lękiem.



Największego szoku doznałem jednak wtedy, kiedy wuj pokazał mi biżuterię Orne'ów, przechowywaną w depozycie w banku. Niektóre rzeczy były misternie i ciekawie wykonane, lecz w jednej szkatułce znajdowały się klejnoty mojej tajemniczej prababki, a wuj nie miał ochoty jej otwierać. Powiedział, że są dziwaczne i brzydkie i jak się orientuje, nikt ich nigdy nie nosił, choć babka lubiła na nie czasem popatrzeć. Wiązała się z nimi jakaś legenda, że przynoszą nieszczęście, a francuska guwernantka prababki

powiadała, że nie należy ich nosić w Nowej Anglii, bezpiecznie można je tylko zakładać w Europie. Odwijając te klejnoty powoli i niechętnie wuj ostrzegał mnie, że będę zaskoczony ich niespotykanym i odrażającym wyglądem. Artyści i archeologowie, którzy je widzieli ocenili wysoko ich mistrzowską robotę i niezwykły egzotyzm, ale nie potrafili określić, z jakiego materiały zostały wykonane, ani też zakwalifikować do jakiegokolwiek znanej na świecie tradycyjnej sztuki. Znajdowały się tam dwie bransoletki, tiara i coś w rodzaju broszy, na której wyryta była płaskorzeźba z motywami tak wymyślnymi, że trudno było na nie patrzeć. Przez cały czas trzymałem na wodzy uczucia, ale twarz zdradziła narastające we mnie przerażenie. Wuj zaniepokoił się moim wyglądem i przestał odwijać klejnoty. Na moją prośbę w końcu jednak odwinął je wszystkie, ale bardzo niechętnie. Spodziewał się, że okażę zdumienie na widok tiary, nie spodziewał się jednak mojej reakcji. Ja zresztą też nie, bo wydawało mi się, że jestem przygotowany na to, co zobaczę. Ja natomiast, nie powiedziawszy ni słowa, zemdlałem, podobnie jak rok temu w wykopie kolejowym, ukryty w gęstwinie dzikich róż. Od tego dnia życie moje stało się jedną wielką udręką, pełną lęku i nieustannych rozważań.

Już sam nie wiedziałem, ile w tym wszystkim jest szkaradnej prawdy, a ile szaleństwa. Moja prababka wywodziła się z Marshów nieznanego pochodzenia, zaś pradziadek mieszkał w Arkham... a czy to Zadok nie powiedział, że córka Obeda Marsha i jego żony-potwora została wydana podstępnie za mąż za młodego człowieka z Arkham? I co miała znaczyć uwaga starego pijaka o podobieństwie moich oczu do oczu kapitana Obeda? Także w Arkham kustosz Stowarzyszenia Historycznego powiedział, że mam oczy Marshów. Czyżby Obed Marsh był moim prapradziadkiem? Kim wobec tego było... albo czym... moja praprababka? Może to jednak jest jakieś szaleństwo? Te białozielone klejnoty mógł przecież kupić ojciec mojej prababki od jakiegoś marynarza z Innsmouth. A spojrzenie wytrzeszczonych oczu babki i wuja, który popełnił samobójstwo, mogło być tylko moją

fantazją... czystą fantazją, rozbudzoną pobyt w Innsmouth, który takim mrokiem spowił moją wyobraźnię. Ale dlaczego wuj popełnił samobójstwo prześlędziwszy losy naszych przodków w Nowej Anglii?

Przez ponad dwa lata walczyłem z tymi myślami i nawet z pewnym powodzeniem. Ojciec załatwił mi posadę w zakładzie ubezpieczeń i zatopiłem się w pracy biurowej bez reszty. Jednakże zimą 1930-1931 zaczęły mnie nawiedzać straszne sny. Z początku tylko co pewien czas i niezbyt wyraźnie, ale w miarę mijających tygodni zaczęły występować coraz częściej i coraz wyraziściej. Otwierały się przede mną ogromne połacie wody, a ja zdawałem się wędrować pośród zatopionych, tytanicznych portyków i labiryntów o pokrytych wodorostami cyklopowych murach, mając za współtowarzyszy jakieś groteskowe ryby. Potem zaczęły się pojawiać inne postacie, a ja budziłem się zdjęty niesamowitym lękiem. Podczas snu zupełnie się ich nie obawiałem - byłem jednym spośród nich; miałem ich nieczłowieczy wygląd, poruszałem się w wodzie na ich sposób i zanosłem modły w ich świątyniach na dnie morza. Działo się w tych snach o wiele więcej, niż zdołałem zapamiętać, ale byłoby to wystarczające, aby mnie uznać za obłąkanego albo geniusza, gdybym kiedykolwiek ośmielił się to opisać. Coś naprawdę strasznego usiłowało wyrzucić na mnie swój wpływ, czułem to, wyrwać mnie z normalnego życia i wciągnąć w niepojętą otchłań mroku i nieznanego świata. Miało to na mnie wręcz okropny wpływ. Coraz bardziej podupadałem na zdrowiu, co odbijało się też na moim wyglądzie, aż w końcu zmuszony byłem zrezygnować z pracy i żyć spokojnie, w odosobnieniu, jak inwalida. Na skutek wyczerpania nerwowego chwilami, jak zauważyłem, nie mogłem zamknąć oczu. Wtedy gorączkowo zacząłem się przeglądać w lustrze. Nie jest przyjemnie obserwować zmiany, jakie czyni choroba, ale w moim przypadku miało to podłoże o wiele bardziej skomplikowane. Zauważył to także mój ojciec, bo zaczął mi się coraz częściej przyglądać z wyrazem zdumienia i lęku na twarzy. Co się ze mną dzieje? Czyżbym zaczynał być podobny do babki i wuja Douglasa?

Którejś nocy śniło mi się, że spotkałem się z moją babką na dnie morza. Mieszkała w fosforyzującym pałacu o wielu tarasach, otoczonym ogrodem jakby zarażonych trądem koralowych krzewów i groteskowych wieloramiennych kryształowych kwiatów. Powitała mnie serdecznie, choć równie dobrze mógł to być uśmiech ironiczny. Zmieniła się - jak wszyscy w wodzie - i oznajmiła mi, że nigdy nie umarła. Wybrała się natomiast tam, gdzie syn jej wszystkiego się dowiedział, a potem przeniosła się do świata, którego cudami - przeznaczonymi także i dla niego - wzgardził, zabijając się z pistoletu. Ten świat przeznaczony jest także i dla mnie - nie zdołam przed nim uciec. Nigdy nie umrę, zawsze będę żył wśród tych, którzy żyli już wtedy, kiedy jeszcze człowieka nie było na ziemi. Spotkałem także jej babkę. Od osiemdziesięciu tysięcy lat Pth'thya-i'yi żyje w Y'ha-nthlei i tam właśnie udała się po śmierci Obeda Marsha. Y'ha-nthlei nie zostało zburzone przez ludzi żyjących na ziemi, choć strzelali siejąc w morzu śmierć. Zostało uszkodzone, ale nie uległo zniszczeniu. Jego mieszkańcy są niezniszczalni, choć czasem zdarza się, że paleogeniczne czary dawno zapomnianych starych Bóstw obejmują nad nimi władzę. Obecnie spoczywają, ale któregoś dnia, o ile nie zapomną, znowu powstaną, aby złożyć daninę Wielkiemu Cthulhu, jakiej żąda. Ich nowe miasto będzie większe niż Innsmouth. Zaplanowali, że się rozprzestrzenia, a na razie wybudowali sobie to miasto przejściowo, na drugie muszą jeszcze poczekać. Za śmierć ludzi na ziemi, do której się przyczyniłem, muszę ponieść karę, ale nie będzie ciężka. W tym śnie ujrzałem po raz pierwszy Shoggoth, ale w tym momencie obudziłem się z przeraźliwym krzykiem. Kiedy spojrzałem w lustro tego ranka, nie miałem już wątpliwości, że całkiem przybrałem wygląd mieszkańca Innsmouth.



Dotychczas nie odebrałem sobie życia jak wuj Douglas. Kupiłem pistolet automatyczny i nawet już się przymierzałem, ale nawiedzające mnie ostatnio sny powstrzymywały mnie od tego kroku. Moje napięcie nerwowe i lęk słabną powoli, czuję, jak nieznane głębie mórz przyciągają mnie do siebie, już się ich nie boję. Słyszę i wykonuję w snach dziwne rzeczy, a budzę się zachwycony, nie w lęku. Nie wierzę, abym musiał czekać na całkowitą przemianę jak inni. Jeślibym czekał, ojciec zamknąłby mnie pewnie w zakładzie, tak jak zamknięto biednego luzyna. Oszalamiające, niesłychane i wspaniałe rzeczy oczekują mnie tam, w głębinach, i wkrótce postaram się je odnaleźć. Iä - R'lyeh! Cthulhu fhagn! Iä Iä! Nie, ja się nie zabiję, nic mnie do tego nie skłoni! Zorganizuję ucieczkę mego kuzyna z tego domu szaleńców w Cantonie i obaj wybierzemy się do spowitego cudowną tajemnicą Innsmouth. Popłyniemy do rafy i zanurzymy się w czarną otchłań, dotrzemy do usianego kolumnami miasta Cyklopów Y'ha-nthlei i w tej siedzibie Morskich Istot będziemy mieszkać w chwale i wspaniałościach na wieki.

Kolor z Przeszłości

Na zachód od Arkham wznoszą się dzikie wzgórza, a doliny porastają głębokie lasy, których jeszcze nigdy nie tknęła siekiera. Są tam też mroczne, ciasne wąwozy, a w nich fantastycznie pochylone drzewa i sączące się wąskie strumyki, gdzie nigdy nie dociera słońce. Na łagodnie opadających zboczach przycupnęły farmy - stare, kamienne, omszałe chaty - i pod osłoną ogromnych występów skalnych dumają wieczyście nad prastarymi tajemnicami Nowej Anglii; wszystkie są teraz opustoszałe, szerokie kominy się kruszą, a wyłożone gontem ściany groźnie wypaczyły się pod niskimi dwuspadowymi dachami. Dawni mieszkańcy wynieśli się stąd, a nowi przybysze z innych stron nie mają ochoty się tutaj osiedlić. Próbowali już Kanadyjczycy francuskiego pochodzenia, próbowali Włosi, pojawili się też Polacy, ale odeszli. Dzieje się tak nie z powodu czegoś, co tu widać, słysząc czy też czego można dotknąć, ale z powodu czegoś, co mieści się tylko w sferze wyobraźni. Miejsce to właściwie nie pobudza wyobraźni, ale też nie zapewnia nocą spokojnych snów. Chyba to właśnie zraża przybyszów z obcych stron, bo stary Ammi Pierce nigdy jeszcze słowem nie wspomniał im o tym, co pamięta z tych dziwnych dni. Tylko Ammi, od lat już niezbyt sprawny umysłowo, wciąż tutaj mieszka i tylko on jeden mówi czasem o tamtych dziwnych dniach; a ma odwagę mówić, bo jego dom stoi w pobliżu otwartych pól i uczęszczanych dróg wokół Arkham.

Niegdyś droga wiodła przez wzgórza i doliny, tam gdzie teraz rozciąga się przeklęte wrzosowisko, jednakże ludzie przestali z niej korzystać i zbudowano nową, skręcającą daleko na południe. Nawet teraz można znaleźć ślady starej drogi pośród porastającego, tu na nowo gąszczu, a część z nich trwać jeszcze będzie wtedy, gdy połowę dolin pokryje zbiornik wodny.

Wtedy zostaną wycięte mroczne lasy, a przekłete wrzosowisko będzie drzemać głęboko pod błękitną, rozmigotaną taflą wody, w której przeglądać się będzie niebo. Tajemnice owych dziwnych dni zjednoczą się z tajemnicami głębi wodnych i z tajemną wiedzą starego oceanu oraz wszystkimi sekretami pierwotnego świata. Kiedy wybierałem się pomiędzy te wzgórza i doliny, żeby zbadać teren przeznaczony na nowy zbiornik wodny, powiedziano mi, że jest to wrogie miejsce. Powiedziano mi to w Arkham, a ponieważ jest to bardzo stare miasto, w którym krążą rozliczne legendy o czarownicach, uznałem, że owa złowrogość wiąże się z tym, co w ciągu stuleci opowiadały dzieciom babki. Określenie "przekłete wrzosowisko" wydało mi się bardzo dziwne i teatralne. Zastanawiałem się, w jaki sposób znalazło się w purytańskim folklorze. A potem zobaczyłem to mroczne, biegnące na zachód kłębowisko wąwozów i urwisk skalnych i przestałem się nad tym zastanawiać, pochłonięty jedynie jego starą tajemnicą. Był ranek, kiedy je ujrzałem, ale mrok zalegał tam zawsze. Drzewa rosły gęsto, a ich pnie były tak ogromne, że nie sposób by spotkać im podobne w zdrowych lasach Nowej Anglii.

W mrocznych prześwitach między drzewami panowała zbyt wielka cisza, a podłoże było zbyt grzaskie od wilgotnego mchu i nawarstwiającego się w przeciągu niezliczonych lat rozkładu. Na otwartych przestrzeniach, głównie wzdłuż starej drogi, widniały drobne farmy na zboczach wzgórza; były to albo skupiska kilku budynków, albo tylko jeden czy dwa, a bywało, że sterczał zaledwie samotny komin czy przysypana ziemią piwnica. Królowały tu chwasty i krzaki róży polnej, a w zaroślach rozlegał się szelest jakichś tajemniczych stworów. Wszystko dokoła spowijały opary niepokoju i smutku; wszystko wydawało się nierealne i groteskowe, tak jakby jakieś istotne ogniwo perspektywy czy światłocieni zostało skierowane na opak. Nie dziwiłem się, że przybysze z obcych stron nie chcieli się tu zatrzymywać, bo sen tutaj był prawie wykluczony. Aż nadto przypominało to scenerię Salvatora Rosi, groźny drzeworyt z opowieści niesamowitej. A jednak to

wszystko nie było jeszcze tak przerażające jak przekłete wrzosowisko. Przekonałem się o tym w tym momencie, kiedy znalazłem się w głębi rozległej doliny: żadne inne określenie nie pasowałoby do tego miejsca, tak jak żadne inne miejsce nie pasowałoby do tego określenia. Mogło się wydawać, że poeta stworzył ową frazę ujrawszy ten właśnie region. Rozejrzawszy się dokoła pomyślałem, że wszystko chyba tutaj strawił ogień; ale dlaczego nic nowego nie wyrosło na owych pięciu akrach szarego pustkowia rozciągającego się pod gołym niebem, które pośród tych lasów i pól wyglądało jak spalone jakimś kwasem? Sięgało ono daleko na północ wzdłuż dawnej drogi, ale wdzierało się też i na drugą jej stronę. Ogarnęła mnie dziwna niechęć na samą myśl, że mam tam pójść, ale przecież musiałem, bo tego wymagała moja misja. Na całej tej rozległej przestrzeni nie było żadnej roślinności, jedynie mialki szary pył czy popiół, którego chyba jeszcze nigdy nie tknął wiatr. Pobliskie drzewa były schorzone i karłowate, a wiele uschłych pni sterczało w górę albo leżało murszejąc na brzegu tego pustkowia. Kiedy przechodziłem obok nich w pośpiechu, zauważyłem po prawej stronie rumowisko cegieł i kamieni, pozostałość po starym kominie i piwnicy, a także ziejącą czernią otchłań porzuconej studni, z której unosiły się stęchłe opary, tworząc w promieniach słońca najdziwniejsze kształty.

Nawet długie, mroczne lesiste urwisko wznoszące się za tym pustkowiem wydawało się przez kontrast bardzo przyjemne; przestały mnie już teraz zdumiewać bojaźliwe szepty mieszkańców Arkham. W pobliżu nie było żadnego domostwa ani nawet ruin; i dawnymi czasy to miejsce chyba też musiało być bezludne i odosobnione. O zmierzchu, drżąc przed powtórny przemierzaniem tego złowieszczonego miejsca, wróciłem do miasta już okrężną drogą, skręcającą na południe. Marzyłem skrycie, aby na niebie pojawiły się chmury, gdyż dziwny lęk wdarł się do mej duszy z powodu rozciągającej się nade mną głębokiej" próżni nieba. Wieczorem pytałem różnych starych ludzi w Arkham o przekłete wrzosowisko, a także, co znaczy określenie "dziwne

dni", które tak wielu spośród nich niejasno wymieniało. Nie otrzymałem jednak jasnej odpowiedzi poza tym, że tajemnica wcale nie jest tak dawna, jak sobie wyobrażałem. Nie wiązało się to z Jakaś starą legendą, ale z czymś, co miało miejsce jeszcze za życia tych, z którymi rozmawiałem. Zdarzyło się to w latach osiemdziesiątych, kiedy to pewna rodzina zniknęła czy też została zamordowana. Ludzie, z którymi rozmawiałem, nie byli co do tego zgodni, a ponieważ wszyscy mi doradzali, abym nie zwracał uwagi na szalone opowieści starego Ammiego Piercea, odnalazłem go nazajutrz rano, dowiedziawszy się, że mieszka samotnie w wiekowej, rozpadającej się chacie, na skraju leśnej gęstwiny. Była to bardzo stara chata, z której zaczynała się już dobywać woń rozkładu, tak charakterystyczna dla zaniedbanych domów.

Tylko natarczywym pukaniem mogłem wyciągnąć z łóżka tego starca, a kiedy doczłapał się zalękniony do drzwi, najwyraźniej nie był ucieszony moją wizytą. Nie był tak słaby, jak myślałem, ale oczy dziwnie mu się zapadły, a niedbały ubiór i biała broda nadawały mu wygląd człowieka steranego życiem i posępnego. Nie wiedziałem, w jaki sposób najlepiej byłoby go nakłonić do rozmowy, stworzyłem więc pozory interesu; zwierzyłem mu się z mojej inspekcji terenu i zadałem mu kilka mało znaczących pytań odnośnie okolicy. Miał żywszy umysł i był o wiele bardziej inteligentny, niż przypuszczałem, a nim się spostrzegłem, pojawił się równie dużo, jak każdy człowiek, z którym zdarzyło mi się rozmawiać w Arkham. Był całkiem inny niż ci wszyscy wieśniacy, jakich poznałem na wydzielonych obszarach, przeznaczonych pod zbiornik wodny. Nie protestował z powodu zniszczenia wielu mil starych lasów i farm, choć zapewne protestowałby, gdyby jego dom znajdował się na terenie przyszłego jeziora. Znać po nim tylko było, że doznał ulgi; ulgi z powodu losu, jaki miał spotkać prastare mroczne doliny, po których wędrował przez całe życie. Wolał, żeby zalała je woda - żeby była zalała je zaraz po tych dziwnych dniach. Jego ochryply głos przycichł, pochylił się cały do przodu, a palcem

prawej ręki z drzeniem zaczął wskazywać kierunek, co robiło na jego rozmówcy wstrząsające wrażenie.

Wtedy właśnie usłyszałem tę opowieść, a kiedy snuł ją ochryplym, to znów ściszyłem do szeptu głosem, coraz to wstrząsał mną dreszcz, choć był to dzień w pełni lata. Często musiałem go przywoływać z tej chaotycznej plątaniny, dobierać naukowe zwroty, które zachował jeszcze w osłabionej już, papuziej pamięci z zasłyszanej rozmowy profesorów, wypełniać luki, w których przerywała się ciągłość i zatracił się sens logiczny. Kiedy skończył, przestałem się dziwić, że jego umysł uległ zachwianiu albo że ludzie z Arkham nie chcą wiele mówić o przeklętym wrzosowisku. Jeszcze przed zachodem słońca pośpieszyłem do hotelu, żeby nie widzieć rozbłyskujących nade mną gwiazd na pustym niebie: następnego dnia wróciłem do Bostonu, aby złożyć rezygnację z mojej posady. Nie mogłem już powrócić do tego mrocznego chaosu starego lasu i wzgórz ani spojrzeć raz jeszcze na spopielałe przekłete wrzosowisko, gdzie czarna studnia obok rumowiska cegieł i kamieni ziele otchłania. Wkrótce powstanie tam zbiornik wodny i wszystkie stare tajemnice zostaną ukryte na zawsze w jego głębinie. Ale nie sądzę, abym kiedykolwiek jeszcze miał ochotę odwiedzić to miejsce nocą, a już na pewno nie wtedy, gdy niebo będzie usiane złowieszczymi gwiazdami, i za nic w świecie nie napiłbym się wody w Arkham.

Wszystko zaczęło się, jak powiedział stary Ammi, od meteorytu. Dawniej, od czasu jak sądzono czarownice, nie opowiadano tu żadnych niesamowitych legend, ale nawet wtedy owe lasy nie budziły takiego lęku, jak maleńka wysepka w Miskatonic, gdzie diabeł miał swój dwór koło dziwnego kamiennego ołtarza pamiętającego dni jeszcze sprzed czasów Indian. Nie było tu lasów, w których straszło, a ich fantastyczny mrok nie przerażał nikogo, aż do owych dziwnych dni, kiedy to w południe pojawiła się na niebie biała chmura, rozległa się seria grzmotów, a z doliny, w głębi lasu, uniósł się kłęb dymu. Jeszcze przed nastaniem nocy całe Arkham usłyszało o wielkiej skale, która spadła z nieba i wbiła się w ziemię przy

studni Nahuma Gardnera. Dom jego położony był w miejscu, które miało się stać przeklętym wrzosowiskiem - schludny, biały dom Nahuma Gardnera pośród urodzajnych ogrodów i sadów.

Nahum wybrał się do miasta, by opowiedzieć ludziom o tym kamieniu, a po drodze wstąpił też do Ammiego Piercea. Ammi miał wtedy czterdzieści lat i wszystkie te niezwykle zdarzenia mocno mu się wryły w pamięci. Następnego dnia rano udał się z żoną i trzema profesorami z Uniwersytetu w Miskatonic, aby obejrzeć tego "nieziemskiego przybysza" z nieznanymi gwiazdnych przestworzy, i wszyscy się zdziwili, dlaczego Nahum mówił wczoraj, że jest tak ogromny. Skurczył się, wyjaśnił Nahum, wskazując na wielki brązowy kopiec sterczący nad rozwaloną ziemią i spaloną trawą, tuż przy starej studni z żurawiem na frontowym podwórku Nahuma; mądrzy profesorowie orzekli jednak, że kamienie się nie kurczą. Bez przerwy wydobywał się z niego żar, a Nahum dodał, że w nocy bił z niego blask. Profesorowie stuknęli w kamień geologicznym młotkiem i okazało się, że jest zdumiewająco miękki, tak jakby był z plastyku.

Wydrążyli raczej niż odłupali kawałek tego okazu, aby zabrać do collegeu dla celów badawczych. Włożyli go do starego wiadra pożyczonego od Nahuma, bo nawet ten mały kawałeczek wciąż był gorący. W powrotnej drodze zatrzymali się na krótki odpoczynek u Ammiego i byli niepomiernie zdziwieni, gdy pani Pierce doniosła im, że odłamek kamienia coraz bardziej się zmniejsza i wypala dno wiaderka. Rzeczywiście nie był duży, ale uznali, że musieli wziąć mniejszy, niż im się wydawało.

Następnego dnia - a działo się to w czerwcu roku 1882 - profesorowie wybrali się ponownie do Nahuma wielce zafascynowani. Po drodze znowu wstąpili do Ammiego i opowiedzieli mu o dziwnym zachowaniu tego okazu i o tym, że zniknął bez śladu, gdy włożyli go do szklanej probówki. Probówka też zresztą zniknęła i uczeni napomknęli coś o dziwnym pokrewieństwie tego kamienia z krzemem. Zachowywał się wprost niewiarygodnie w ich dobrze wyposażonym laboratorium; podgrzewany węglem drzewnym nie

wykazywał żadnej reakcji ani nie wydzielał gazów, dawał reakcję ujemną z boraksem, nie ulatniał się w żadnej możliwej do osiągnięcia temperaturze, nawet w tlenkowodorowej dmuchawce. Na kowadełku okazał się wysoce elastyczny, a w ciemności wyraźnie świecił. Nie było sposobu, aby go ochłodzić, co wprowadziło cały college w stan wielkiego zdumienia; natomiast przy podgrzewaniu pod spektroskopem roztaczał błyszczące kręgi o barwach zupełnie niespotykanych w normalnym spektrum. Wywołało to zapierające dech dyskusje o nowych elementach, dziwacznych optycznych właściwościach i wielu innych cechach, o których zaskoczeni ludzie nauki mają zwyczaj rozprawiać, kiedy się zetkną z nieznanym.

Choć wciąż był gorący, postanowili go jednak wypróbować w tyglu za pomocą różnych składników. Woda nie działała. Kwas solny też nie działał. Kwas azotowy i nawet woda królewska tylko rozpryskiwały się z sykiem w zetknięciu z tą rozżarzoną, odporną na wszystko masą. Ammi miał trudności z przypomnieniem sobie kolejnych składników, ale rozpoznawał wszystkie, w miarę jak je wymieniałem w odpowiedniej kolejności. Był więc amoniak i soda kaustyczna, alkohol i eter, przyprawiający o mdłości siarczek węgla i dziesiątki innych składników; mimo że w miarę upływu czasu odłamek kamienia coraz bardziej tracił na wadze, a jego żar zdawał się jakby trochę wygasać, wciąż nie widać było, aby którykolwiek ze stosowanych składników zadziałał choćby w najmniejszym stopniu. Był to bez wątpienia metal. Miał cechy magnetyczne, to też nie budziło wątpliwości; a po zanurzeniu w różnych roztworach kwasu pojawiły się jakby ledwie widoczne ślady figury Windmanstätten, spotykane na żelazie meteorytów. Kiedy stwierdzono już znaczne ochłodzenie, dokonano próby w szkle; tę resztkę, jaka pozostała z całego kawałka w toku przeprowadzanych doświadczeń, umieszczono w szklanej probówce. Rano, następnego dnia, okazało się, że wszystko, wraz z probówką, zniknęło bez śladu, pozostała tylko zwęglona plama na drewnianej półce w miejscu, gdzie stała probówka.

Opowiedzieli to Ammiemu profesorowie, kiedy zatrzymali się przed jego

drzwiami, i raz jeszcze wybrali się razem, żeby obejrzeć dokładniej tego kamiennego wysłańca z gwiazd. Tym razem żona Ammiego nie poszła z nimi. Meteoryt zmniejszył się bardzo wyraźnie, tak że nawet trzeźwo myślący profesorowie nie mogli poddać w wątpliwość tej oczywistej prawdy. Wokół skurczonej brązowej bryły koło studni widniało teraz puste miejsce, pozostała tylko wklęsła ziemia; poprzedniego dnia bryła miała w przekroju dobre siedem stóp, teraz zaledwie pięć. Wciąż była gorąca, a uczeni obserwowali jej powierzchnię z ogromnym zaciekawieniem, starając się oddzielić jednocześnie młotkiem i dłutem drugi, trochę większy kawałek. Tym razem zatopili dłuto głębiej, a wtedy przekonali się, że jądro tej bryły nie jest jednolite.

Odślonili coś, co zdawało się być boczną ścianą dużej kuli osadzonej wewnątrz masy. Jej kolor, przypominający kręgi w dziwnym spektrum meteorytu, był prawie nie do opisanego; i tylko przez analogię nazwali to kolorem. Zbudowana była z lśniącej materii, a przy dotyku okazała się krucha i pusta w środku. Jeden z profesorów mocniej uderzył młotkiem, a wtedy rozległo się jakby nerwowe, krótkie syknięcie. Nic się z jej wnętrza nie wydobyło, ale po rozłupaniu zniknęła bez śladu. Pozostało po niej jedynie puste okrągłe wgłębienie o średnicy około trzech cali i wszyscy mieli nadzieję, że odkryją teraz następne kule, skoro ta zniknęła.

Przypuszczenie okazało się mylne; zaczęli wiercić w bryle w poszukiwaniu następnych, ale bezowocnie, wobec tego odjechali z następnym kawałkiem, który w laboratorium okazał się równie zagadkowy, jak poprzedni. Miał także konsystencję plastyku, był gorący, wykazywał cechy magnetyczne, lekko polśniewał, w mocnych kwasach odrobinę się ochładzał, posiadał zupełnie nieznaną widmo spektrum, pod wpływem powietrza zmniejszał się, działał na związki krzemu niszcząco, ale i one też niszcząco nań działały, a mimo to nie sposób było zidentyfikować żadnych bliżej określonych cech; po zakończeniu wszelkich badań naukowcy musieli zgodnie stwierdzić, że nie są w stanie go nigdzie zaklasyfikować. Nie

przynależał do ziemi, był fragmentem czegoś z zewnątrz; miał cechy pozaziemskie i podlegał jakimś obcym prawom. Tej nocy szalała burza, a gdy nazajutrz profesorowie wybrali się do Nahuma, spotkało ich gorzkie rozczarowanie. Kamień, przy swoich właściwościach magnetycznych, musiał mieć jeszcze szczególne właściwości elektryczne, ponieważ, jak się wyraził Nahum, "przyciągał pioruny" ze szczególną częstotliwością. Farmer widział, że aż sześć razy w ciągu godziny pioruny uderzały w rozkopaną ziemię na frontowym podwórku, a kiedy burza minęła, pozostał tylko nierówny dół przy starej studni, do połowy zasypany ziemią. Kopanie okazało się bezowocne, naukowcy stwierdzili, że kamień zniknął bez śladu. Był to prawdziwy zawód; nie pozostało im nic innego, jak wrócić do laboratorium i jeszcze raz poddać badaniom znikający fragment zamknięty starannie w ołowianej kapsułce. Istniał on jeszcze przez tydzień, ale nie zdołano dokonać żadnego cennego odkrycia. Po jego zniknięciu nie pozostał nawet osad, w związku z czym u profesorów zbudziła się wątpliwość, czy rzeczywiście widzieli na własne oczy ten tajemniczy fragment nieogarnionych przestworzy, tego samotnego, pozaziemskiego zesańca z wszechświata i innych sfer materii, siły, istnienia.

Wszystkie gazety w mieście Arkham nadały oczywiście rozgłos temu wydarzeniu za poręczeniem kolegiaty uniwersyteckiej i wysłały swoich reporterów celem przeprowadzenia wywiadu z Nahumem i jego rodziną. Dziennik z Bostonu także wysłał swojego pracownika i Nahum wkrótce stał się prawie że miejscową sławą. Był szczupłym, jowialnym mężczyzną lat około pięćdziesięciu, miał żonę i trzech synów oraz dobrze zagospodarowaną farmę w dolinie. Nahum i Ammi często odwiedzali się nawzajem, tak samo ich żony; Ammi po latach nie mógł się nachwalić Nahuma. Był nawet dumny, że tyle uwagi poświęcano farmie przyjaciela, i on również w ciągu kilku następnych tygodni często mówił o meteorycie. Lipiec i sierpień tego roku były upalne, Nahum ciężko pracował przy zbiorze siana na dziesięcioakrowej łące nad Chapman's Brook; jego turkocący wóz żłobił

głębokie koleiny na cienistych drózkach. Praca ta męczyła go jakoś bardziej niż zwykle, czuł że wiek zaczyna na nim wyciskać swoje piętno.

Potem nadeszła pora owoców i zniw. Gruszki i jabłka dojrzywały powoli i Nahum twierdził, że jego sady rodzą w tym roku o wiele obficie niż we wszystkich minionych latach. Owoce były wprost fenomenalnych rozmiarów i o niezwykłym połysku, a obrodziły w takich ilościach, że trzeba było zamówić dodatkowe kosze, aby się mogły pomieścić. Ale w miarę jak dojrzywały, przyszło rozczarowanie, bo choć były dorodne i wspaniale soczyste, zupełnie nie nadawały się do jedzenia. Wkradła się w nie jakaś ohydna gorycz, a po nadgryzieniu najmniejszego kawałka długo nie można się było pozbyć nieprzyjemnego smaku. To samo stało się z melonami i pomidorami i Nahum ze smutkiem stwierdził, że cały zbiór jest zmarnowany. Szybko powiązał wszystkie te wydarzenia i doszedł do wniosku, że meteoryt zatrął mu ziemię, toteż dziękował Niebiosom, że resztę zbiorów miał na wzgórzu obok drogi.



Zima nastąpiła wcześniej i była bardzo mroźna. Ammi rzadziej teraz widywał Nahuma i zauważył, że sprawia on wrażenie bardzo zmęczonego. Tak samo wyglądała cała rodzina Nahuma, wszyscy stali się dziwnie milczący; nie chodzili już systematycznie do kościoła, o wiele rzadziej uczestniczyli w towarzyskich imprezach wsi. Trudno było znaleźć przyczynę ich rezerwy i melancholii, zwierzali się jednak, że są osłabieni i odczuwają jakiś dziwny lęk. Sam Nahum dawał temu konkretne świadectwo mówiąc, że zaniepokojony jest pewnymi śladami na śniegu. Były to, jak zwykle zimą, ślady rudych wiewiórek, białych królików i lisów, ale błędzący gdzieś myślami farmer twierdził, że to, co widział, nie odpowiada prawom natury i

jej ustalonymu porządkowi. Nie potrafił tego dokładnie określić, ale odnosił wrażenie, że ani pod względem anatomicznym, ani zachowania nie przypominają wiewiórek, królików czy lisów. Ammi słuchał tego bez większego zainteresowania, dopóki którejś nocy, wracając z Clark's Corner, nie musiał przejeżdżać saniami koło domu Nahuma. Na niebie świecił księżyc, aż nagle przez drogę przemknął królik tak długimi susami, że zaskoczyło to zarówno Ammiego, jak i jego konia, który rzucił się do ucieczki i Ammi z trudem go powstrzymał, mocno ściągając lejce. Od tej pory Ammi poważniej zaczął traktować opowieści Nahuma i tylko wciąż jeszcze zastanawiał się, dlaczego psy Nahuma są tak przerażone i tak drżą każdego ranka. Okazało się, że prawie straciły umiejętność szczekania.

W lutym chłopcy McGregora z Nteadow Hill wybrali się na polowanie na świstaki i w pobliżu domu Gardnera zabili niezwykle okaz świstaka. Był dziwnie nieproporcjonalny, a głowa miała kształt i wyraz zupełnie niespotykany wśród tych zwierząt. Chłopcy tak się przestraszyli, że natychmiast wyrzucili swoją zdobycz, tak więc tylko ich nieprawdopodobne opowieści dotarły do ludzi we wsi. Zaś fakt, że konie stają dęba koło domu Nahuma, stał się już powszechnie znany i szybko zaczęto szeptać na ten temat różne opowieści.

Ludzie z uporem twierdzili, że śnieg wokół domu Nahuma topnieje szybciej niż gdzie indziej, a na początku marca odbyła się pełna grozy rozmowa w sklepie Pottera w Clark's Corner. Stephen Rice przejeżdżając rano koło domu Gardnera zauważył, że w błotnistej ziemi koło lasu po drugiej stronie drogi rośnie dzika kapusta. Jeszcze nigdy nie widziano kapusty takich rozmiarów, a jej koloru nie oddałyby żadne słowa. Kształt miała wprost niesamowity, a koń aż parsknął od niebywałego smrodu, jakiego jeszcze nie wydawała żadna kapusta. Tego popołudnia parę osób przyjechało, żeby obejrzeć nienormalnie wyrosniętą kapustę i wszyscy zgodnie orzekli, że tego rodzaju warzywa nie mogłyby urosnąć w zdrowym świecie. Zaczęto mówić też o nieudanych owocach z ubiegłej jesieni i przekazywano z ust do

ust wieści, że ziemia Nahuma jest zatruta. Przyczyną, oczywiście, był meteoryt; a pamiętając, jak dziwny wydał się uczonym z college'u, kilku farmerów powiadomiło ich o obecnym wydarzeniu.

Pewnego więc dnia uczeni odwiedzili Nahuma; nie byli zwolennikami ludowych bajeń i folkloru, a w swoim orzeczeniu wykazali raczej ostrożność. Kapusta wydała im się rzeczywiście dziwna, ale dzika kapusta jest prawie zawsze dziwna, jeśli chodzi o kształt i kolor. Bardzo możliwe, że jakieś mineralne składniki z meteorytu przedostały się do ziemi, ale wkrótce wypłuczą je deszcze. A jeśli chodzi o ślady na śniegu i przestraszone konie - to po prostu wiejska gadanina, którą taki fenomen jak aerolit musiał rozbudzić. Trudno, aby poważni ludzie mieli się zajmować plotkami, bo przecież wieśniacy są przesądni, mówią i wierzą we wszystko, i tak przez cały okres tych dziwnych dni profesorowie trzymali się z daleka, okazując lekceważenie. Tylko jeden spośród nich, który otrzymał dwie fiolki ziemi do analizy na zlecenie funkcjonariusza policji w jakieś półtora roku później, przypomniał sobie, że dziwny kolor kapusty był bardzo podobny do anomalnych błyszczących kręgów widzianych pod spektroskopem w college'u i do kruchej kuli znajdującej się wewnątrz meteorytu. W tym przypadku analiza próbek wykazała te same dziwne kręgi, które jednak wkrótce zanikły.

Rosnące wokół domu Nahuma drzewa wypuściły pąki przedwcześnie, a nocą kołysały się złowieszczo na wietrze. Młodszy syn Nahuma, piętnastoletni Thaddeus, twierdził, że tak samo się kołyszą, kiedy wcale nie wieje wiatr; ale nawet plotkarze nie mogli temu dać wiary. Jedno tylko nie budziło wątpliwości, że w powietrzu był niepokój. W całej rodzinie Gardnera rozwinął się nawyk ciągłego nasłuchiwania, choć nie potrafiliby określić, czego nasłuchują. W rzeczywistości to nasłuchiwanie było efektem chwilowego zatarcia świadomości. Niestety, takie momenty narastały z tygodnia na tydzień, aż zaczęto powszechnie mówić, że coś jest nie w porządku z rodziną Nahuma. Kiedy zakwitła wczesna skalnica, jej barwy też

były dziwne; może niezupełnie takie same jak u dzikiej kapusty, ale podobne i raczej nikomu nie znane. Nahum zaniósł kilka kwiatków redaktorowi Gazette, ale ten dostojnik napisał tylko żartobliwy artykuł, w którym tajemnicze strachy wieśniaków zostały w grzeczny sposób ośmieszone. Nahum popełnił błąd opowiadawszy temu pozbawionemu wyobraźni mieszczuchowi, jak zachowują się w stosunku do skalnicy ogromne, niespotykanych rozmiarów motyle.

W kwietniu ludzi we wsi ogarnęło jakieś szaleństwo i przestali korzystać z drogi wiodącej obok domu Nahuma, tak że groziło jej całkowite zapomnienie. Przyczyniła się do tego roślinność. Wszystkie drzewa rozkwitły wcześniej w najprzeróżniejszych kolorach, a na kamienistym podwórku i przyległym pastwisku tak bujnie puściła się roślinność i w takiej różnorodności, że tylko botanik mógłby rozpoznać, czy jest to flora właściwa dla danego regionu. Jedynie trawa i listowie drzew zachowały jeszcze zdrowy wygląd; poza tym wszystko przybrało szaleńczy, prazmatyczny i schorzały wygląd, i to nadawało jakiś szczególny ton barwom zupełnie nieznanym na kuli ziemskiej. Ładniczki stały się obiektem złowieszczej grozy, a ich krwiste korzenie rosły zuchwale w swojej chromatycznej perwersji. Ammi i Gardner uważali, że większość spośród tych barw jest w jakiś sposób podobna aż do znudzenia i wszystkie przypominają ową kruchą kulę wewnątrz meteorytu. Nahum orał i zasiewał dziesięcioakrowe pole oraz ziemię na wzgórzu, nic natomiast nie robił wokół domu. Zdawał sobie sprawę, że byłby to próżny trud, i miał cichą nadzieję, że tak dziwnie obfite plony z tego lata wyciągną z ziemi truciznę. Teraz był już przygotowany na wszystko i nawet przywykł do ciągłego nasłuchiwania, w nadziei, że wkrótce coś blisko siebie usłyszy. Sąsiedzi wciąż unikali jego domu, co także wywarło na nim swoje piętno, ale znacznie większe na jego żonie. Chłopcy byli w lepszej sytuacji, bo chodzili codziennie do szkoły, ale krążące plotki ich także napełniały lękiem. Najdotkliwiej odczuwał to Ihaddeus, chłopiec o wyjątkowej wrażliwości.

W maju pojawiły się jakieś owady i cały teren wokół domu Nahuma

ogarnął koszmar bzyjących i pełzających po nocach stworów. Większość z nich miała niezwykle kształty i ruchy, a ich nocne obyczaje przeczyły wszystkim dotychczasowym doświadczeniom. Cała rodzina Gardnerów zaczęła czegoś po nocach wypatrywać, choć nikt nie potrafił określić, czego wypatruje. Wtedy właśnie pojęli, że Ihaddeus miał rację mówiąc o drzewach. Pani Gardner również to zauważyła patrząc przez okno na ciężkie gałęzie klonu na tle księżycowego nieba. Gałęzie najwyraźniej się kołysały, choć wcale nie było wiatru, to na pewno z powodu podziemnych soków. Wszystko, co rosło teraz, było dziwne. Następnego odkrycia dokonał ktoś spoza rodziny Nanuma. Oni byli już tak z tym zjawiskiem oswojeni, że przestali reagować. Bardzo to ich przygnębiało, a czego sami nie dostrzegli, zostało dostrzeżone przez bojaźliwego komiwojażera z Bostonu, który pewnej nocy przejeżdżał tamtędy nieświadom krążących po wsi plotek. To, co opowiedział w Arkham, zamieszczono w krótkim artykule w Gazette; wtedy właśnie wszyscy, wraz z samym Nahumem, ujrzeli to po raz pierwszy. Noc była ciemna, lampy u wozów świeciły słabo, ale wokoło farmy w dolinie, którą wszyscy rozpoznali jako farmę Nahuma, ciemność nie była tak gęsta. Przyćmiony, a jednak wyraźny blask zdawał się ogarniać roślinność, trawę, liście i kwiaty, a w pewnym momencie jakaś fosforyzująca zjawa zaczęła się przesuwając ukradkiem po podwórku, koło stodoły. Trawa, jak do tej pory, wydawała się nietknięta i krowy pasły się swobodnie na łące koło domu, ale pod koniec maja mleko stało się niesmaczne. Nahum popędził krowy na wzgórze i wtedy mleko odzyskało smak. Wkrótce potem trawa i liście zmieniły się w sposób dostrzegalny dla oka. Poszarzały, zaczęły wykazywać przedziwną kruchość. Ammi był teraz jedyną osobą, która odwiedzała tę farmę, ale jego wizyty zdarzały się coraz rzadziej. Kiedy skończyły się lekcje w szkole, Gardnerowie zostali praktycznie odcięci od świata i tylko od czasu do czasu prosili Ammiego o załatwienie im czegoś w mieście. Stan ich zdrowia został dziwnie zachwiany, tak pod względem fizycznym, jak i umysłowym, toteż nikt się nie zdziwił, kiedy rozniosła się

wieść, że pani Gardner postradała zmysły. Stało się to w czerwcu, w rok po spadnięciu meteorytu. Biedna kobieta zaczęła krzyczeć, że widzi coś w powietrzu, ale nie potrafiła określić, co to jest. W jej majakach nie było ani jednego rzeczownika, same czasowniki i zaimki. Wszystko się ruszało, zmieniało i drżało, a w uszach dzwoniło od jakichś impulsów, które nie były dźwiękami. Coś jej odebrano - została czegoś pozbawiona - coś ją opasywało, a nie powinno - ktoś powinien to zdjąć - noc już nie była spokojna - ściany i okna gdzieś się przesuwały. Nahum nie oddał jej do zakładu dla psychicznie chorych, pozwalał jej krążyć po domu, dopóki nie zaczęła zagrażać otoczeniu. Nawet kiedy zmienił się wyraz jej twarzy, też na to nie zareagował. Ale chłopcy zaczęli się jej bać, a kiedy Thaddeus omal nie zemdlał na widok grymasów, jakie zaczęła do niego robić, Nahum zamknął żonę na poddaszu. W lipcu przestała mówić i pełzała na czworakach, a pod koniec miesiąca Nahum zauważył rzecz zupełnie niesamowitą, że w mroku od jego żony emanuje blask, tak jak od całej otaczającej go roślinności, co widział teraz już wyraźnie.

Tuż przed tym wydarzeniem rozległ się tupot koni. Coś je rozbudziło w nocy, wierzgały kopytami w boksach i rżały przerażająco. Nie było sposobu, aby je uspokoić, a kiedy Nahum otworzył wrota stajni, wyrwały się jak przestraszone daniela z lasu. Tydzień trwało, nim natrafiono na ich ślad, a gdy je odnaleziono, były zupełnie bezużyteczne i nie do okiełznania. Jakaś klapka zamknęła się w ich mózgu i wszystkie po kolei trzeba było zastrzelić dla ich własnego dobra. Nahum na czas sianokosów pożyczył konia od Ammiego, lecz koń za nic nie chciał się zbliżyć do stodoły. Rzuczał się, opierał i rżał, aż w końcu Nahum musiał wprowadzić go na podwórko, a mężczyźni sami przyciągnęli wóz w pobliże szopy, gdzie było najwygodniej wrzucać siano. A tymczasem wszystko, co rosło, szarzało i kruszyło się. Nawet kwiaty o tak przedziwnych barwach teraz poszarzały, tak samo i owoce, które jednocześnie pomarszczyły się i straciły smak. Kwiaty astrów i złotych rozek były także szare i zniekształcone, a róże, cynie i malwy rosnące

przed domem wyglądały tak okropnie, że najstarszy syn Nahuma, Zenas, ściał wszystkie bez wahania. Owe dziwnie zuchwałe owady wyginęły już do tej pory, a pszczoły opuściły ule i przeniosły się do lasu. We wrześniu cała roślinność przemieniła się w szary pył. Nahum lękał się, że wszystkie drzewa uschną, nim trucizna zaniknie w ziemi, żona miała teraz okresy, kiedy przerażająco krzyczała, pozostali członkowie rodziny żyli w stanie ciągłego napięcia. Unikali ludzi, chłopcy nie chodzili do szkoły, choć nauka już się rozpoczęła. To Amml podczas którejś ze swych coraz rzadszych wizyt u Nahuma odkrył, że woda w studni jest niedobra. Była niesmaczna, cuchnąca i słona, poradził więc przyjacielowi, aby wykopał drugą studnię gdzieś wyżej i żeby stamtąd czerpał wodę do czasu, aż ziemia na niższym terenie będzie się nadawało do użytku. Nahum Jednak zlekceważył tę radę, zatracił już wrażliwość na wszystko, co dziwne i nieprzyjemne. Nadal czerpał wraz z chłopcami skażoną wodę, wszyscy pili ją w ciszy i machinalnie, podobnie jak spożywali skromne, byle jak przyrządzone posiłki i podobnie jak wykonywali niewdzięczne, monotonne zajęcia dzień po dniu w poczuciu ich bezsensowności. Wszystkich ogarnęła jakaś pełna otepienia rezygnacja, tak jakby wędrowali w innym świecie pomiędzy dwoma szpalerami bezimiennej straży ku nieuchwytnemu, lecz nieuniknionemu przeznaczeniu.

U Thaddeusa wystąpił obłęd we wrześniu, kiedy wracał od studni. Poszedł z wiaderkiem, a wrócił z pustymi rękoma, wymachując nimi i krzycząc, to znów chichocząc lub szepcząc o ruszających się kolorach tam w studni. Dwoje w rodzinie ogarnął obłęd, ale Nahum znosił to dzielnie. Pozwolił chłopcu biegać swobodnie przez tydzień, dopóki nie zaczął się potykać i rozbijać, a wtedy zamknął go w izbie na poddaszu naprzeciw matki. Ich krzyk spoza zamkniętych drzwi był przerażający, zwłaszcza dla małego Merwina, któremu wydawało się, że rozmawiają ze sobą jakimś straszliwym językiem nie z tego świata. U Merwina rozwinęła się chorobliwa wyobraźnia, a jego niepokoi jeszcze się spotęgował po zamknięciu brata, który był jego najbliższym kompanem.

Niemal w tym samym czasie zaczęły padać zwierzęta. Drób pokrył się szarymi piórami i wyzdychał, a mięso okazało się zupełnie suche i cuchnące. Świnie porosły do niespotykanych rozmiarów, po czym nagle zaczęły w nich zachodzić jakieś zmiany, które trudno byłoby określić. Ich mięso tak samo okazało się niejadalne i Nahum był już u kresu sił. Wiejski weterynarz za nic by się nie zbliżył do tego miejsca, a weterynarz z Arkham był najwyraźniej zaskoczony. Świnie również przybrały barwę popiołu i zaczęły się rozpadać na kawałki jeszcze przed zakończeniem żywota, a ich oczy i ryje uległy przedziwnym zmianom. Było to zupełnie niewytłumaczalne, bo przecież nigdy im nie podawano skażonego pokarmu. Z kolei zaczęło się źle dziać z krowami. Ich skóra w niektórych miejscach, a nawet na całej powierzchni, zaczęła się marszczyć i kurczyć, a następnie zapadać, po czym następował jej rozkład. W ostatnim stadium - a kończyło się to śmiercią - sierść krów popieląła i kruszyła się podobnie jak u świń. Nie mogło być mowy o zatruciu, bo wszystkie te przypadki zdarzyły się w zamkniętej szczelnie oborze. Nie wchodziła też w grę choroba wirusowa spowodowana ukąszeniem, bo jakaż żywa istota na tej ziemi może przeniknąć przez ścianę? Musiała więc to być po prostu choroba, ale Jakaż to choroba mogła wywołać aż takie objawy, tego niepodobieństwem było odgadnąć. Do żniw nie przetrwało ani jedno zwierzę, bydło i drób wyginęły, a psy uciekły. Którejś nocy wszystkie psy, a było ich trzy, zniknęły i słuch o nich zaginął. Pięć kotów wywędrowało jeszcze wcześniej, ale ich nieobecności prawie nie dostrzeżono, bo i myszy wyginęły, tylko pani Gardner kwiliła jak małe kocięta.

Dziewiętnastego października Nahum ledwie się słaniając na nogach przyszedł do Ammiego ze straszną wieścią. Thaddeus zmarł na poddaszu, a stało się to w sposób zupełnie nieprawdopodobny. Nahum wykopał grób na ogrodzonej ziemi za farmą i tam pochował to, co znalazł. Nic nie mogło się przedostać z zewnątrz, bo małe okratowane okienka i zamknięte drzwi były nietknięte; a stało się z nim to samo, co z bydłem w oborze. Ammi i jego

żona starali się jak tylko mogli pocieszyć złamanego człowieka, ale sami byli głęboko wstrząśnięci. Całą rodziną Gardnerów zawładnął paniczny lęk, wszystko, czego dotykali, sama obecność choćby jednego spośród nich w domu była jakby tchnieniem owych bezimiennych i nie wysłowionych regionów. Ammi, mimo wewnętrznych oporów, poszedł jednak z Nahumem do jego domu i starał się uspokoić spazmatycznie szlochającego małego Merwina. Zenasa nie trzeba było uspokajać. Ostatnio nic nie robił, tylko patrzył gdzieś w dal i posłusznie wykonywał polecenia ojca. Jego los wydał się Ammiemu szczególnie żałosny. Co pewien czas na krzyki Merwina rozlegał się jakby w odpowiedzi cichy jęk z poddasza. Nahum wyznał zaskoczonemu przyjacielowi, że jego żona coraz bardziej słabnie. Pod wieczór Ammi postanowił wrócić do domu, bo nawet uczucie przyjaźni nie mogło go zatrzymać w tym miejscu, gdzie cała roślinność zaczynała fosforyzować, a drzewa kołysać się mimo bezwietrznej nocy. Na szczęście Ammi nie miał zbyt bujnej wyobraźni. Mimo to umysł jego trochę ucierpiał, gdyby jednak potrafił powiązać i zgłębić te wszystkie niesamowitości, niewątpliwie postradałby zmysły już na całe życie. O zmierzchu pospieszył do domu, a krzyki obłąkanej kobiety i znerwicowanego dziecka przeraźliwie i nieustannie brzmiały mu w uszach. W trzy dni później wczesnym rankiem Nahum wpadł do kuchni Ammiego i znowu, tym razem pod nieobecność gospodarza, jękając się opowiedział rozpaczliwą historię, której pani Pierce wysłuchała z lękiem ściskającym jej serce. Chodziło o Merwina. Zniknął. Wyszedł późną nocą z latarką i wiadrem do wody i już nie wrócił. Przez całe dni snuł się osowiały i prawie nieświadom tego, co się wokół niego dzieje. Na wszystko reagował krzykiem. Tej nocy rozległ się przeraźliwy krzyk na podwórku, ale nim ojciec dopadł drzwi, chłopca już nie było. Nahum nie dostrzegł nigdzie światła latarki ani też śladu chłopca. Wtedy Nahum był przekonany, że latarka i wiadro zniknęły, ale o świcie, powróciwszy z całonocnych poszukiwań po pobliskich lasach i polach, natknął się na coś dziwnego koło studni. Leżała tam jakaś zgnieciona i stopiona masa żelaza,

zapewne pozostałość po latarce, pod czas gdy zakrzywiony pałak i poskręcane metalowe obręcze, lekko nadtopione, były zapewne pozostałością po wiadrze, i to wszystko. Nahum nie pojmował, co się stało, pani Pierce miała pustkę w głowie, a Ammi, który właśnie wrócił do domu i usłyszał całą opowieść, także nic z tego nie rozumiał. Merwin zniknął i nie było sensu mówić o tym okolicznym ludziom, bo wszyscy stronili teraz od Gardnerów. Ludzi w Arkham nie należało o tym powiadamiać, bo wszystko wyśmiewali. Thad zniknął, a teraz znów Merwin. Coś pełzało i pełzało, i tylko czekało, aby ktoś je dojrzał i usłyszał. Nahum obawiał się, że i jego to spotka, prosił więc Ammiego, aby zaopiekował się jego żoną i Zenasem, gdyby go przetrwali. Jest to zapewne kara, ale nie wiedział, za co go spotyka, bo przecież wydawało mu się, że zawsze starał się postępować zgodnie z wolą Bożą.

Ponad dwa tygodnie Ammi nie widział Nahuma, aż w końcu, zaniepokojony, przemógł lęk i wybrał się do Gardnerów. Z wielkiego komina nie unosił się dym i przez moment Ammi spodziewał się najgorszego. Cała farma wyglądała szokująco - trawa spopieliała i uschła, zwiędłe liście leżały rozsypane po ziemi, kruche resztki winorośli zwisały ze starych murów i szczytów, a wielkie nagie drzewa wspinały się w listopadowe niebo z rozmyślną wrogością, która, jakby się zdawało, brała się z pewnej drobnej zmiany w pochyleniu gałęzi. Jednakże Nahum mimo wszystko żył. Był słaby, leżał na łóżku w nisko sklepionej kuchni, lecz w pełni świadom wszystkiego, mógł jeszcze nawet wydawać proste dyspozycje Zenasowi. W domu było wprost lodowato; widząc, że Ammi aż się wstrząsnął z zimna, gospodarz zawołał szybko na Zenasa, aby przyniósł więcej drzewa. Doprawdy, drzewo było tu potrzebne, bo przepastny piec świecił pustką, nikt w nim nie rozniecił ognia i tylko kłęby sadzy fruwały, rozwiewane przez wiatr huczący w kominie. Nahum spytał przyjaciela, czy zadowoli go ta dodatkowa naręcz drzewa, i wtedy dopiero Ammi zauważył, co się stało. W końcu ten najmocniejszy pień też został złamany i nieszczęśliwy farmer był już nieczuły na wszystkie kolejne uderzenia.



Ammi, zadając ostrożne pytania, nie dowiedział się jednak dokładnie, kiedy zniknął Zenas. - W studni... żyje w studni... - tyle tylko był w stanie powiedzieć otępiały ojciec. Nagle Ammiemu przyszła na myśl obłąkana żona gospodarza. - Nabby? Przecież jest tutaj i - padła pełna zdumienia odpowiedź i Ammi zrozumiał, że sam musi ją odnaleźć. Pozostawiwszy bezradnego, bełkocącego człowieka na łóżku, zdjął klucze wiszące na gwoździu przy drzwiach i po skrzypiących schodach wszedł na poddasze. Panował tam cuchnący zaduch, ale znikąd nie dochodziły żadne odgłosy. Spośród czterech drzwi tylko jedne były zamknięte, zaczął więc dopasowywać po kolei wszystkie klucze wsunięte na kółko. Trzeci wydał się właściwy i po paru nieudanych próbach wreszcie otworzył niskie białe drzwi.

Wewnątrz panował kompletny mrok, gdyż okienko było małe i zabezpieczone kratą z żerdzi; Ammi nic nie mógł dostrzec na podłodze z szerokich desek. Zaduch był nie do zniesienia, a żeby móc wejść głębiej, Ammi musiał cofnąć się na chwilę do drugiej izby i odetchnąć świeżym powietrzem. Kiedy wszedł po raz drugi, zauważył coś ciemnego w kącie, a przyjrawszy się dokładniej, krzyknął. W tym momencie chmura przesłoniła okno, a po chwili poczuł, że owionęły go jakieś lepkie opary. Przed oczami wirowały mu najdziwniejsze kolory; gdyby nie poraził go paniczny lęk, skojarzyłyby to z kulą w meteorycie, którą rozbił geologiczny młotek, i ze schorzałymi roślinami wybujającymi wiosną. W obecnym jednak stanie potrafił tylko myśleć o tej bluźnierczej potworności, z jaką się zetknął i która bez wątpienia stała się udziałem nieznanego losu Thaddeusa i całego dobytku. W tym okropieństwie najstraszniejsze było to, że owa rzecz, choć się stopniowo rozpadała, była jednak przez cały czas w powolnym i nieustannym ruchu.

Ammi nie podał mi żadnych innych szczegółów tej sceny, ale kształt

leżący w kącie izby już się nie pojawił w jego opowieści jako poruszający się przedmiot. Są sprawy, których nie można wspominać, a to, co się czasem dokonuje wśród prostych ludzi, bywa nieraz surowo osądzane przez prawo. Zrozumiałem, że nic, co by się poruszało, nie zostało w izbie na poddaszu i że pozostawienie czegokolwiek, zdolnego do poruszania, byłoby czynem równie okrutnym, jak skazanie jakiegokolwiek istoty na wieczne tortury. Tylko twardy farmer mógł temu stawić czoło, ktoś inny albo by zemdłał, albo postradał zmysły, Ammi jednak całkiem przytomnie wyszedł przez niskie drzwi i zamknął za sobą przekłętą tajemnicę. Postanowił się teraz zająć Nahumem; trzeba go odżywić, zaopiekować się nim i przenieść w takie miejsce, żeby go można było doglądać. Ammi zaczął właśnie schodzić po stopniach, gdy dobiegł go z dołu jakiś głuchy łoskot. Wydało mu się, że usłyszał krzyk nagle stłumiony, i nerwowo przypomniał sobie lepkie opary, które jakby go omiotły w tej strasznej izbie na górze. Co znowu się tu dostało i skąd ten krzyk? Przystanął dziwnie przerażony i usłyszał na dole jakiś hałas. Jakby coś ciężkiego wleczono po ziemi; dochodził też najobrzydliwszy, jaki tylko można sobie wyobrazić, lepki odgłos szatańskiego i plugawego ssania. W ogromnym napięciu skojarzył to w sposób niewytłumaczalny z tym, co widział na górze. Dobry Boże! Cóż to za okropny światmara? Gdzież się zabłąkał? Nie miał odwagi zrobić kroku ani do przodu, ani do tyłu, tylko stał drżąc na spowitym mrokiem podeście schodów. Najmniejszy szczegół tej sceny płonął mu w mózgu. Odgłosy, świadomość koszmarnego oczekiwania, ciemność, strome, wąskie schody i... o Łaskawe Nieba! - słaby, ale niezaprzeczalny blask emanujący z wszystkiego, co było drzewem w tym domu: schody, ściany, sterczące listwy i belki.

Wtem rozległo się przeraźliwe rzenie konia Ammiego, potem tupot kopyt i turkot kół, co świadczyło o ucieczce w panicznym lęku. Po chwili ani konia, ani wozu nie było już słyhać, a przerażony Ammi stał na ciemnych schodach próbując odgadnąć, co się dzieje. Nie miał jednak pojęcia. Dały się słyszeć jakieś inne odgłosy z zewnątrz. Jakiś plusk wody... zapewne w

studni. Pozostawił tam swojego konia, Hero, nie uwiązanego, a koło od wozu musiało zapewne otrzeć się o przykrycie studni i uderzyć w ocembrowanie. A to obmierzłe stare drewno wciąż fosforyzowało w całym domu. Boże! Jakże wiekowy był ten dom! Zbudowano go jeszcze przed 1670 rokiem, a dwuspadowy dach nie później niż w 1730.

Ciche szuranie po podłodze na dole rozbrzmiewało teraz wyraźnie i Ammi mocniej zacisnął rękę na grubym kiju, który wziął z poddasza nie wiedząc właściwie, w jakim celu. Zebrawszy powoli odwagę zszedł po schodach i ruszył śmiało do kuchni. Nie musiał wchodzić do środka, bo tego, czego szukał, już tam nie było. Wyszło mu na spotkanie, wciąż jeszcze żywe. Czy się przyczołgało, czy zostało wywleczone przez jakieś nieziemskie siły, na to Ammi nie potrafiłby odpowiedzieć; ale była w tym śmierć. Wszystko stało się w przeciągu pół godziny, ale rozpad, szarość i zanik wykazywały już zaawansowane stadium. Było to tak straszliwie kruche, że suche kawałki odpadały jeden po drugim. Ammi nie mógł się przemóc, aby tego dotknąć, tylko wpatrywał się przerażony w zniekształconą parodię czegoś, co było niegdyś twarzą. - Co się stało... Nahum... co się stało? - szepnął, a rozpadłe, bełkoczące wargi zdołały jeszcze wydobyć skrzeczącym głosem ostatnie słowa:

Nic... nic... kolor... pali... zimny i mokry, pali... był w studni... Widziałem... coś jakby dym... jak kwiaty tej wiosny... studnia świeciła nocą...

Thad i Merwin, i Zenas... wszystko, co żywe... wysysa życie z wszystkiego... w tym kamieniu... to musiało przybyć z tym kamieniem... zatrulo całe miejsce... nie wiem, czego chce... ta okrągła rzecz, którą ludzie z college'u wydobyli z kamienia... rozbili... to był ten sam kolor... taki sam jak kwiaty i rośliny... musiało ich być więcej... nasiona... nasiona... rosły... zobaczyłem pierwszy raz w tym tygodniu... musiało mocno podzielać ną Zenas... był to duży chłopak, pełen życia... mąci umysł, a potem chwytą wszystko... spala... w studni... miałeś rację, że to zła woda... Zenas już nigdy nie wróci od studni... nie może uciec... wciąga... wiadomo, że coś nadchodzi,

ale nie ma rady... widziałem to parę razy, jak zabrało Zenasa... gdzie Nabby, Ammi?... z moją głową jest źle... nie wiem, kiedy dałem jej jeść... dopadnie i ją, jak nie zadbamy... tylko kolor... jej twarz dostaje tego koloru pod wieczór... to pali i wysysa... pochodzi skądś, gdzie wszystko jest inne niż tutaj... jeden z profesorów tak mówił... miał rację... uważaj, Ammi, to jeszcze nie koniec... wysysa życie...

Ale to już było wszystko. To coś nie mogło już więcej mówić, ponieważ się rozpadło. Ammi położył obrus w czerwoną kratę na tym, co pozostało, i wycofał się tylnymi drzwiami. Po stoku wzgórza wszedł na dziesięcioakrowe pastwisko i potykając się dotarł do domu drogą przez lasy. Nie potrafił przejść koło studni, od której uciekł jego koń. Popatrzył na nią przez okno i przekonał się, że nie brakuje ani jednego kamienia w ocembrowaniu. A więc pozostawiony bezpańsko wóz nie naruszył studni - plusk był spowodowany czymś innym - czymś, co najpierw zrobiło to z Nahumem, a potem wpadło do studni...

Koń i wóz znalazły się w domu jeszcze przed powrotem Ammiego, a żona prawie umierała z niepokoju. Uspokoił ją bez żadnych wyjaśnień, po czym wyruszył raz jeszcze do Arkham, by zawiadomić władze, że rodzina Gardnerów przestała istnieć. Nie wdawał się w żadne szczegóły, ale po prostu powiadomił o śmierci Nahuma i Nabby, bo o Thaddeusie już wszyscy wiedzieli, i wspomniał tylko, że przyczyną wydaje się być ta sama choroba, jaka dotknęła cały dobytek Nahuma. Powiadomił też, że Merwin i Zenas zniknęli. Posypały się pytania ze strony policji i w rezultacie Ammi musiał pojechać do Gardnerów z trzema funkcjonariuszami, a także z koronerem, lekarzem i weterynarzem, który leczył u Nahuma zwierzęta. Pojechał niechętnie, bo zbliżało się już popołudnie, i lękał się, że zastanie ich wieczór w tym przeklętym miejscu, ale z taką liczną grupą ludzi było mu trochę różniej.

Sześciu mężczyzn wyruszyło dwukonnym wozem za wozem Ammiego i o czwartej przybyli do farmy dotkniętej zarazą. Choć funkcjonariusze

przywykli do najokropniejszych widoków, wszystkich głęboko poruszyło to, co znaleźli na poddaszu i pod obrusem w czerwoną kratę na podłodze w kuchni... Cała farma i spopielałe pustkowie dokoła przedstawiały opłakany widok, ale te dwa ciała w rozpadzie przekraczały wszelką wyobraźnię. Nikt nie mógł długo na nie patrzeć, nawet lekarz orzekł, że niewiele tu jest do zbadania. Uznał, że można, oczywiście, przeprowadzić analizę próbek, zajął się więc ich pobraniem. W laboratorium w college'u, gdzie zawieszono próbki, dokonano nieprawdopodobnego odkrycia. Pod spektroskopem obie próbki wykazały nieznane widmo, w którym większość zdumiewających kręgów była dokładnie taka sama, jakie objawił dziwny meteoryt w ubiegłym roku.

Właściwość emitowania takiego widma zaniknęła w ciągu miesiąca, a pozostały pyłek składał się głównie z alkalicznych fosforanów i węglanów.

Ammi nie wspomniałby nawet o studni, gdyby przewidział, że zechcą jeszcze coś zrobić. Słońce już zachodziło, nie mógł się doczekać powrotu do domu. Ale jednocześnie nie mógł się też powstrzymać, aby raz jeszcze nie zerknąć nerwowo na kamienne obramowanie studni przy wielkim żurawiu, a gdy detektyw zapytał go, dlaczego się ogląda, wyznał, że Nahum obawiał się czegoś w głębi studni - tak bardzo, że nawet nie chciał myśleć o poszukiwaniu Merwina i Zenasa. Po tym wyznaniu policjanci postanowili wypompować wodę ze studni i sprawdzić, co się w niej kryje. Tak więc Ammi drżąc musiał jednak czekać i patrzeć, jak wyciągają wiadro po wiadrze, a woda wsiąka w ziemię. Rozchodził się taki fetor, że musieli zatykać nosy. Nie trwało to aż tak długo, jak się obawiał, bo okazało się, że wody jest niezwykle mało. Nie ma sensu rozwodzić się dokładnie nad tym, co znaleźli, i Merwin, i Zenas tam się znajdowali, ale były to tylko szczątki szkieletów. Był tam również młody jeleni i duży pies, też w stanie szczątkowym, a także sporo kości różnych małych zwierząt. Muł i szlam na dnie były niesamowicie grzaskie i bulgocące, a człowiek, który spuścił się do studni z długim kijem, podtrzymywany pod rękę przez innych, stwierdził, że

kij grzęźnie w mule głęboko i w ogóle nie ma twardego gruntu.

Zapadł zmierzch, wyniesiono z domu latarki. Wkrótce jednak przekonano się, że już nic więcej nie dobędą ze studni, wobec czego wszyscy weszli do domu i w bawialni zatopili się w rozmowie, podczas gdy blask widmowego półksiężyca igrał co pewien czas na szarym dookólnym pustkowiu. Każdy był do głębi poruszony tym wydarzeniem, nikt nie potrafił odnaleźć jakiegoś wspólnego, a przekonującego ogniwa, które połączyłoby dziwny stan roślinności, nieznaną chorobę zwierząt i ludzi, niepojętą śmierć Merwina i Zenasa w skażonej studni. Słyszeli pogaduszki we wsi, to prawda; ale nie mogli uwierzyć, że zaistniało coś niezgodnego z prawami natury. Meteoryt bez żadnej wątpliwości zatrzał ziemię, ale choroba ludzi i zwierząt, którzy nie jedli niczego, co rosło na tej ziemi, stanowiła sprawą odrębną. Czyżby to była woda ze studni? Bardzo możliwe. Należałoby ją zbadać. Ale jakież to szaleństwo spowodowało, że dwaj chłopcy rzucili się do studni? Oba przypadki były tak podobne, a szczątki wskazywały, że obaj zmarli z powodu spopielanego rozkładu. Dlaczego wszystko tutaj było spopielane i kruche?

To właśnie koroner, siedzący przy oknie, pierwszy zauważył poświatę wokół studni. Zapadł już wieczór, a cały odrażający teren wokoło zdawał się być rozświetlony czymś więcej aniżeli blaskiem księżyca; ta nowa poświata była wyraźna i łatwa do sprecyzowania, dobywała się z czarnej otchłani studni, niczym słabe światło pochodni, i odbijała się też we wszystkich małych kałużach, jakie się potworzyły po wylaniu wody. Dziwny miała kolor, a kiedy wszyscy skupili się przy oknie, Ammi nagle drgnął. Odblask odrażającej miazmy był mu dobrze znany. Już widział ten kolor i drżał na samą myśl, co może oznaczać. Widział go w tej ohydnej kruchej kuli w aerolicie dwa lata temu, widział go wiosną w szaleńczo wybijającej roślinności i wydało mu się, że widział go też przez mgnienie oka owego ranka przy małym okratowanym okienku w tej strasznej izbie na poddaszu, gdzie zdarzyły się rzeczy zupełnie nieoczekiwane. Rozbłysnął na sekundę, a potem owionęła Ammiego jakaś lepka, ohydna mgła - i wtedy właśnie coś tego

koloru zniszczyło biednego Nahuma. Powiedział to na koniec - powiedział, że było to takie same jak kula i rośliny. Potem słychać było ucieczkę konia i plusk wody w studni - a teraz ze studni buchał w noc jasny zdradziecki płomień o tym samym demonicznym kolorze.

Można podziwiać przytomność Ammiego, który nawet w tak krytycznym momencie potrafił zastanawiać się nad sprawą tak ściśle naukową. Zastanawiał się nad tym, dlaczego opary, jakie widział za dnia na tle okna wychodzącego na poranne niebo, i nocny wyziew w postaci fosforyzującej mgły na tle czarnego, przekłętego krajobrazu budziły w nim te same skojarzenia. To nie w porządku... to wbrew naturze... i przypomniały mu się straszne słowa przerażonego przyjaciela: "Pochodzi skądś, gdzie wszystko jest inne niż tutaj... jeden z profesorów tak mówił..." Wszystkie trzy konie, uwiązane do dwóch uschniętych młodych drzewek przy drodze, zaczęły teraz rzeć przeraźliwie i wierzgać. Woźnica rzucił się do drzwi, żeby coś zaradzić, lecz Ammi położył mu drżącą rękę na ramieniu.

Nie wychodź - szepnął. - Nasza wiedza tego nie obejmuje. Nahum mówił, że w studni coś żyje, co wysysa życie z wszystkiego. Mówił, że musi to być coś, co wyrosło z kuli, takiej samej, jaką widzieliśmy w meteorycie, który spadł w zeszłym roku w czerwcu. Wysysa i spala, mówił, jest to obłok tego samego koloru, jak ten, co teraz tam błyszczący, a który ledwie dostrzegamy i nie potrafimy powiedzieć, co to jest. Nahum uważał, że to karmi się wszystkim, co żyje, i ciągle rośnie w siłę. Mówił, że widział to w zeszłym tygodniu. To musi być coś, co pochodzi z daleka, skądś z nieba, to samo mówili ludzie z college'u w zeszłym roku o meteorycie. Tak jest zbudowany i takie ma działanie, że nie może pochodzić z Boskiego świata. Musi być ze sfer pozaziemskich. Wszyscy więc stali w miejscu, zastanawiając się, co robić, a światło dobywające się ze studni coraz bardziej się nasilało, zaś konie wierzgały i rżały jak oszalałe. Były to naprawdę straszne chwile; sam dom, stary i nawiedzony, był przerażający, a do tego jeszcze cztery kupki szczątków ludzkich - dwie z domu i dwie ze studni - w drewnianej szopie, no

i ten snop niepojętego i opalizującego światła nie z tej ziemi dobywający się z mulistego dna studni przed domem. Ammi zatrzymał woźnicę pod wpływem impulsu, nie pamiętał w tym momencie, że jemu samemu przecież nic się nie stało wtedy na poddaszu, kiedy to owionęła go lepka kolorowa mgła, ale może właśnie dobrze, że tak się zachował. Nikt się nigdy nie dowie, co działo się wokoło domu tej nocy; bo chociaż to bluźnierstwo z innego świata jak dotąd nie wyrządziło szkody nikomu o niezachwianym umyśle, trudno przewidzieć, co jeszcze mogło zrobić w tej ostatniej chwili, zwłaszcza przy pomnożonej sile i wyraźnych oznakach jakiegoś zamierzonego celu, jaki miało wkrótce objawić pod lekko zachmurzonym, ale rozjaśnionym poświatą księżycą niebem.



Nagle jeden z detektywów, stojących przy oknie, stłumił okrzyk. Wszyscy spojrzeli na niego, a następnie w stronę miejsca, które tak nagle przykuło jego uwagę. Nie trzeba było słów. To, co rozpowiadano we wsi, nie budziło już teraz wątpliwości, a że potem każdy z uczestników tej wyprawy potwierdzał to cichym szeptem, przestano w ogóle wspominać w Arkham owe dziwne dni. Trzeba zaznaczyć, że o tej godzinie wieczornej w ogóle nie było wiatru. Potem dopiero zerwał się lekki wietrzyk, ale nie wtedy. Nawet nie drgnęły suche wierzchołki pozostałego jeszcze żywopłotu gorczycy, szare i wyblakłe, a także obramowanie daszku stojącego wozu dwukonnego. A jednak pośród pełnego napięcia, bezbożnego spokoju kołysały się wysokie, nagie gałęzie wszystkich drzew rosnących na podwórku. Wyginały się chorobliwie i spazmatycznie, wpinając się konwulsyjnie i epileptycznie w rozświetlone księżycowym blaskiem chmury. Bezsilnie drapały schorzałe powietrze, jakby szarpane jedną wspólną i niewidzialną nicią, a jakies

podziemne makabryczne stwory wiły się i walczyły pod czarnymi korzeniami.

Przez chwilę wszyscy wstrzymali oddech. A wtedy chmura ciemna i głęboka przesłoniła księżyc i natychmiast zatarły się zarysy szponiastych gałęzi. Wszyscy krzyknęli; wszyscy wydali z siebie stłumiony grozą, ochrypli i prawie identyczny okrzyk. Lęk nie opuścił nikogo, choć szponiaste, wspinające się w niebo gałęzie przestały być widoczne, a w gęstej, pełnej grozy ciemności ujrzeli na wysokości wierzchołków drzew tysiące wijących się maleńkich punkcików bladej i bezbożnej poświaty, która obejmowała wszystkie gałęzie niczym ognie św. Elma albo blask spływający na głowy apostołów podczas Zielonych Świątek. Była to monstrualna konstelacja nieziemskiego światła, przypominająca wielki rój robaczek świętojańskich, tańczących piekielną sarabandę ponad przeklętym bagniskiem; ich kolor przypominał tego niepojętego intruza, na którego Ammi już się natknął i przed którym drżał. A tymczasem snop fosforescencji dobywający się ze studni coraz bardziej jaśniał i napełniał skupionych w gromadkę mężczyzn poczuciem zagłady i potworności, przerastających wszelkie wyobrażenie, do jakiego zdolne były ich umysły. Już nie tylko świecił, ale wytryskał światłem; a kiedy ten bezkształtny strumień nieprawdopodobnego koloru wydostał się ze studni, wszyscy odnieśli wrażenie, że uniósł się prosto w niebo.

Weterynarz zadrżał i podszedł do frontowych drzwi, aby je podeprzeć ciężkim drągiem. Ammi drżał wcale nie mniej i chcąc zwrócić uwagę wszystkich na coraz większą iluminację drzew, musiał się posługiwać gestami, gdyż nie mógł zapanować nad głosem. Konie wierzgały i rżały przeraźliwie, ale nikt, za żadną cenę, nie wysunąłby głowy z tego starego domostwa. Chwilami drzewa świeciły jeszcze mocniej, a ich niespokojne gałęzie zdawały się wyciągać coraz wyżej i wyżej. Żuraw przy studni też świecił, a jeden z policjantów wskazał na drewniane szopy i ule znajdujące się od zachodniej strony studni, i one zaczynały już świecić, ale przywiązane

wozy przybyłych tu mężczyzn były jeszcze nie tknięte. Wtem rozległ się szaleńczy tumult i stukot na drodze; Ammi przykręcił lampę, żeby lepiej było widać, co się dzieje na zewnątrz, i wtedy okazało się, że rozszalałe siwki złamały drzewko, do którego były uwiązane, i uciekły wraz z wozem. Szok rozwiązał języki, dały się słyszeć pełne zakłopotania szepty.

Rozciąga się to na wszystko, co żyje wokoło - dobył z siebie głos lekarz. Nikt na to nie zareagował, ale człowiek, który spuszczał się do studni, zauważył, że jego długi kij musiał chyba poruszyć coś zupełnie niepojętego. - To było okropne - dodał. - Zupełnie nie wyczuwało się dna. Tylko szlam i bąbelki, a głębiej jakby coś tkwiło przyczajone. - Koń Ammiego wciąż jeszcze wierzgał i rżał niesamowicie na drodze, prawie zagłuszając cichy, drżący głos swego pana, który bełkotał bezładnie wspomnienia: - To się bierze z kamienia... urosło tam głęboko... pochłania wszystko, co żyje... żywiło się nimi, umysłem i ciałem... Thad i Merwin, Zenas Nabby... Nahum był ostatni... oni wszyscy pili wodę... to ich zmogło... pochodzi spoza tego świata, gdzie wszystko jest inne niż tutaj... a teraz wraca do siebie...

W tym momencie, kiedy kolumna nieznanego na tym świecie koloru rozbłysła nagle z całą siłą i zaczęła przybierać najbardziej fantastyczne kształty, przekraczające wszelką wyobraźnię, a które później każdy opisywał inaczej, uwiązany Hero wydał taki odgłos, jakiego nikt spośród obecnych jeszcze w życiu nie słyszał u konia, ani przedtem, ani potem. Wszyscy siedzący w tej izbie o niskim pułapie zakryli uszy, zaś Ammi odwrócił się od okna, panicznie przerażony. Słowa nie byłyby zdolne przekazać tego widowiska - bo kiedy Ammi wyjrzał znowu przez okno, biedne zwierzę leżało bezwładnie na oświetlonej księżycem ziemi pomiędzy rozłożonymi dyszlami, i tak Hero pozostał, póki nie pogrzebali go następnego dnia. Teraz jednak nie było czasu na żale, bo detektyw zwrócił nagle uwagę, że coś potwornego zaczyna się dziać w tym domu. Z chwilą przygaszenia lampy fosforescencja zaczęła ogarniać całą izbę. Świeciły się szerokie deski w podłodze i leżący na niej chodnik, a także futryny okien z małymi szybkami.

Ten dziwny blask pełzał w górę i w dół po wystających belkach w rogach izby, skrzył się na półce i kominku, ogarniał wszystkie drzwi i meble. Z każdą minutą się wzmacniał, aż wreszcie stało się oczywiste, że zdrowe i żywe istoty muszą opuścić ten dom.

Ammi wskazał tylne drzwi i ścieżkę prowadzącą przez pole w kierunku dziesięcioakrowego pastwiska. Szli potykając się jak we śnie, nikt nie miał odwagi się obejrzeć, dopóki nie znaleźli się daleko na wzniesieniu. Ucieszyli się z tej ścieżki, bo nikt nie odważyłby się wyjść frontowymi drzwiami i przejść koło tej studni. Wystarczająco okropne było przejście obok stodoły i szop, obok świecących drzew owocowych, powykrzywianych w szatańskie kształty; Bogu dzięki, że najgorzej się wykrzywiały te rosnące wysoko gałęzie. Kiedy przechodzili przez drewniany mostek z nieociosanych belek nad Chapman's Brook, księżyc skrył się za czarnymi chmurami i zapanowała taka ciemność, że po omacku musieli sobie torować drogę na rozległą łąkę. Tam dopiero odwrócili się, żeby spojrzeć na dolinę i posiadłość Gardnera, a wtedy oczom ich ukazał się przerażający widok. Cała farma lśniła jakimś zupełnie nieprawdopodobnym kolorem; drzewa, zabudowania, nawet trawa i polne kwiaty, które jeszcze nie całkiem spopielwały i uschły. Wszystkie gałęzie wyciągały się ku niebu, a na ich czubkach migotały języki ohydnych płomieni; taki sam monstrualny ogień przesączał się, lizał i pełzał po deskach kalenicy domu, stodoły i wszystkich przybudówek.

Była to scena z widzenia Fuseliego, a wszystkim, co jeszcze tam istniało, zawładnęła orgia świetlnego amorfizmu, obca, bezwymiarowa tęcza tajemnej trucizny sączącej się ze studni - kipiąca, wyczuwalna, lepka, sięgająca wszystkiego, iskrząca się, pełznąca w górę i jadowicie bulgocąca w swym kosmicznym, zupełnie nieznanym chromatyzmie. Wtem, niespodziewanie, ta ohydna rzecz wystrzeliła w górę, prosto w niebo, niczym rakieta albo meteor, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu, i zniknęła w okrągłym i zadziwiająco kształtnym otworze w chmurach, nim ktokolwiek zdążył złapać dech albo wykrzyknąć. Kto to widział, nigdy nie zdoła tego zapomnieć.

Ammi wpatrywał się pustym wzrokiem w gwiazdy Cygnus i Deneb skrzące się powyżej innych gwiazd, gdzie nieznany kolor rozplynął się pośród Drogi Mlecznej. Jednakże jego wzrok musiał wkrótce powrócić znowu ku ziemi, gdyż w dolinie rozległ się trzask. Tak właśnie było. Tylko łomot i trzask drzewa, żadnej eksplozji, jak twierdzili członkowie tej wyprawy. W każdym razie rezultat był taki sam, bo w jednej przerażającej kalejdoskopowej chwili buchnął z tej skazanej na zagładę i przeklętej farmy roziskrzony erupcyjny kataklizm nienaturalnych iskier i jakiejś substancji; oślepił tych, którzy akurat patrzyli, a w górę, aż do zenitu, buchnęła taka chmara kolorowych, o niespotykanych kształtach szczątków, do jakich nasz wszechświat nie mógłby się przyznać. Pośród szybko zanikających oparów pomknęły za schorzałą zjawą, która uniosła się w przestworza, po czym i one zniknęły bez śladu, i na wzgórzu, i w dolinie rozlewała się tylko ciemność, do której nie mieli odwagi powrócić, wzmagął się wiatr, który zdawał się spływać czarnym, zimnym podmuchem z międzygwiazdnych przestworzy. Gwizdał i wył, i smagał pola i lasy z oszalałą, kosmiczną zaciekłością, a rozdygotani uczestnicy tej wyprawy zrozumieli, że nie ma sensu czekać na księżyc, by zobaczyć, co pozostało z domostwa Nahuma. Zbyt przerażonych, aby snuć jakiegokolwiek przypuszczenia, siedmiu rozdygotanych mężczyzn powlokło się w stronę Arkham północną drogą. Ammi był w gorszym stanie niż jego współtowarzysze, poprosił więc, aby wszyscy udali się do niego do domu, żeby nie szli prosto do miasta.



Nie miał ochoty przemierzać samotnie nieszczęsnych, miotanych wichrem lasów przy głównej drodze prowadzącej do jego domu. Doznał szoku, który wszystkim pozostałym został oszczędzony i z którego nigdy nie

zdołał się otrząsnąć. Przez wszystkie następne lata opanowany lękiem nie miał odwagi nawet wspomnieć o tym wydarzeniu. Wszyscy stojący na owym kotłującym się wzgórzu wpatrywali się otepiałym wzrokiem w rozciągającą się przed nimi drogę, natomiast Ammi obejrzał się raz jeszcze na mroczną dolinę zagłady, która tak niedawno była schronieniem jego nieszczęsnego przyjaciela. Tam, w tym nawiedzonym, odległym miejscu, dostrzegł, że coś się lekko uniosło, po czym opadło znowu w to samo miejsce, z którego wielka, bezkształtna smuga blasku wystrzeliła wprost w niebo. Był to tylko kolor - ale kolor niespotykany ani na tej ziemi, ani na niebie. A ponieważ Ammi rozpoznał go i wiedział, że ta ostatnia, ledwie widoczna resztką wciąż jeszcze czai się w studni, już nigdy nie odzyskał pełni władz umysłowych. I nigdy więcej nie zbliżył się do tego miejsca. Czterdzieści cztery lata minęły od czasu, gdy nastąpiło to przerażające zdarzenie, ale przez cały czas ani razu tam nawet nie zajrzał, i będzie rad, jeżeli nowy zbiornik wody zaleje to miejsce. Ja też będę rad, bo nie podobało mi się słońce, które tak zmieniło kolor nad tą opuszczoną studnią, gdy ją mijałem. Mam nadzieję, że woda będzie tam zawsze głęboka, ale mimo to, nie wezmę jej nigdy do ust. Nie sądzę, abym jeszcze kiedykolwiek chciał odwiedzić okolice Arkham. Trzech mężczyzn z grupy, w której uczestniczył Ammi, wróciło tam nazajutrz rano, aby obejrzeć ruiny za dnia, ale w gruncie rzeczy nie było tam żadnych ruin. Pozostało tylko parę cegieł z komina, kamienie, z których zbudowana była piwnica, jakiś minerał i kawałki metalu rozrzucone gdzieś tam oraz ocembrowanie studni. Poza martwym koniem Ammiego, którego odciągnęli dalej i zakopali, i wozem, który wkrótce mu zwrócili, wszystko, co żyło tu niegdyś, zniknęło bez śladu. Pozostało tylko pięć akrów przerażającej spopielalej pustyni, na której już nigdy nic nie wyrosło. Po dziś dzień leży pusta, jakby przeżarta kwasem pośród lasów i pól, a ci nieliczni, którzy ośmielili się spojrzeć na to miejsce, mimo krążących we wsi opowieści nazwał ją przeklętym wrzosowiskiem.

Dziwne są to opowieści. Byłyby jeszcze dziwniejsze, gdyby ludzie z

miasta i chemicy z college'u przejawili należyte zainteresowanie i przeprowadzili analizę wody i nieużywanej przez nikogo studni albo szarego pyłu, którego wiatr nawet nie rozwiewa. Botanicy również powinni zbadać skarłałą roślinność otaczającą to miejsce, bo wtedy może rzuciliby jakieś światło na domniemanie ludzi we wsi, że pustynia zagłady się rozprzestrzenia - powoli, może o cal w roku. Ludzie mówią, że okoliczna roślinność wiosną jest jakaś inna, że zwierzyna zostawia na śniegu dziwne ślady. Śnieg w tym miejscu nigdy nie zalega tak obficie jak na innych terenach. Konie - te nieliczne, jakie jeszcze pozostały w zmotoryzowanej epoce - płoszą się w cichej dolinie; a myśliwi nie mogą polegać na swoich psach zbliżywszy się do obszaru pokrytego szarym pyłem. Powiadają też, że to miejsce źle wpływa na umysł; wielu jakoś zdziwaczało w ciągu paru lat po śmierci Nahuma i wszystkim brakowało sił, żeby się stąd wynieść. Ci, co mieli mocniejszą głowę, opuścili te tereny i tylko obcy przybysze próbowali zamieszkać w rozpadających się starych domostwach. A jednak nie mogli tu długo pozostać; nieraz ten i ów zastanawia się, jaki wpływ, poza tym nieznanym, wywarły na nich przekazywane szeptem niesamowite, tajemne opowieści. Nocą ich sny, jak twierdzą, są koszmarne w owej groteskowej krainie; nie ulega wątpliwości, że sam wygląd tej mrocznej krainy wystarcza do pobudzenia chorobliwej wyobraźni. Żaden podróżnik nie zdołał uciec od dziwnego uczucia w tych głębokich wąwozach, zaś artyści drżą malując gęste lasy, których tajemniczość jest zarówno odczuciem wzrokowym, jak i duchowym. Ja sam jestem ciekaw, dlaczego byłem tak poruszony tą jedyną samotną przechadzką, jeszcze nim usłyszałem opowieść Ammiego. Gdy zapadł zmierzch, pragnąłem skrycie, aby chmury zgromadziły się na niebie, ba jakiś dziwny lęk zakradł się do mej duszy na widok głębokiej próżni na niebie.

Nie należy mnie pytać o opinię. Nie wiem - to wszystko. Nie miałem kogo spytać, tylko Ammiego, bo mieszkańcy Arkham nie mówią o tych dziwnych dniach, a trzech profesorowie, którzy widzieli aerolit i jego kolorową

kulę, już nie żyją. Były inne kule - to nie ulega wątpliwości. Jedna zapewne się wystarczająco pożywiła i znikła, a druga chyba nie zdążyła. Z pewnością jest jeszcze w studni - widziałem, że coś dziwnego działo się z blaskiem słońca ponad kruszącym się ocembrowaniem studni. Wieśniacy twierdzą, że zniszczenie rozprzestrzenia się co roku o cal, jest więc możliwe, że wciąż jeszcze kula rośnie albo syci się swoim pokarmem. Jakikolwiek demon się tam czai, niewątpliwie jest jedno, że musi być osaczony, bo inaczej szybko by się rozprzestrzenił. A może jest przymocowany do korzeni tych drzew, które szarpia powietrze? Jedna z aktualnie obiegających Arkham opowieści mówi o potężnych dębach, które, świecą i kołyszą się nocą w sposób niespotykany wśród drzew.

Dlaczego tak się dzieje, tylko Bóg jeden wie. W terminologii materii to, co przedstawił Ammi, można by nazwać zapewne gazem, jednakże ten gaz podlegał prawom nie istniejącym w naszym kosmosie. Nie był wytworem światów i słońc, które świecą w teleskopach i na fotograficznych płytach naszych obserwatoriów. Nie był to powiew niebios, których ruchy i wymiary nasi astronomowie obliczają albo też uważają, że są zbyt nieogarnione, aby je można było obliczyć. Był to po prostu kolor z przestworzy - niesamowity zesłaniec z nieogarnionych sfer nieskończoności, spoza zasięgu naszej Natury, ze sfer, których samo istnienie oszałamia umysł i poraża nas czarną ponad kosmiczną otchłanią, jaka otwiera się przed naszymi przerażonymi oczami. Wątpię, ażeby Ammi świadomie mnie okłamywał, nie sądzę też, aby jego opowieść była tylko fantazją szaleństwa, jak mnie uprzedzali ludzie z miasta. Coś strasznego objawiło się w górach i dolinach wraz z tym meteorem, coś strasznego - choć nie wiem, w jakich proporcjach - wciąż jeszcze tam istnieje. Ucieszę się, kiedy woda zakryje te tereny. Mam nadzieję, że do tego czasu nic złego nie przydarzy się Ammiemu. Tyle widział z tej rzeczy - a jej wpływ był tak zdradliwy. Dlaczego Ammi nie mógł się stąd ruszyć? Jakże jasno pamięta ostatnie słowa umierającego Nahuma: nie możesz się uwolnić... wciąga cię... wiesz, że coś przybywa, ale

to nie ma znaczenia... Ammi to poczciwy starzec... Kiedy ekipa rozpocznie prace przy tym zbiorniku wodnym, muszę napisać do głównego inżyniera, aby strzegł go czujnie. Nie zniósł bym myśli, że staje się spopielającym, powykręcany i kruszącym się monstrum, które trapi mnie ciągle we snach.

Szepczący w ciemności I

Proszę pamiętać, że w końcu nie widziałem nic strasznego. Jednakże stwierdzenie, że wstrząs umysłowy stał się przyczyną tego, co sugeruję - że był ostatnią kroplą, która przechyliła szalę i dlatego właśnie wypadłem z osamotnionej farmy Akeleya i zabranym samochodem pomknąłem przez dzikie kopulaste wzgórza w Vermont - to zignorowanie najbardziej oczywistych faktów mego ostatniego doznania. Choć widziałem i słyszałem te tajemnicze rzeczy, choć wciąż żywo odczuję to wrażenie, jakie na mnie wywarły, nawet teraz nie mogę udowodnić, czy moje wnioski są słuszne, czy nie. Bo przecież samo zniknięcie Akeleya jeszcze nic nie znaczy. Nie znaleziono w jego domu nic podejrzanego poza śladami kul wewnątrz i na zewnątrz domu. Wyglądało to tak, jakby wyszedł sobie na przechadzkę w góry i po prostu nie wrócił. Nie było nawet śladu, że jakiś gość mógł się tam pojawić albo że te straszne cylindry i aparaty znajdowały się kiedykolwiek w jego gabinecie. Że się bał śmiertelnie skupionych gęsto zielonych wzgórz i sączących się bez kresu potoków, pośród których się urodził i wychował, to też nic nie znaczy; taki lęk może być spowodowany tysiącem przyczyn. Ekscentryczność jest chyba najbardziej wiarygodnym wyjaśnieniem dla jego dziwnego zachowania i lęków.

A wszystko zaczęło się jeśli chodzi o mnie wraz z historyczną niespotykaną dotychczas powodzią w Vermont 3 listopada 1927 roku byłem wtedy, podobnie jak i teraz, wykładowcą literatury na Miscatonic University w Arkham, Massachusetts, i z amatorstwa pełnym entuzjazmu badaczem folkloru Nowej Anglii. Wkrótce po powodzi, pośród licznych artykułów w prasie na temat biedy, cierpienia i organizowanej pomocy, pojawiły się dziwne wzmianki o jakichś przedmiotach unoszących się na wezbranych

rzekach. Rozmaici moi przyjaciele, ogromnie zaciekawieni, prowadzili dyskusję na ten temat i w końcu zwrócili się do mnie z prośbą o wyjaśnienie tej sprawy. Pochlebiło mi, że tak poważnie traktują moje badania nad tutejszym folklorem i zrobiłem co mogłem aby zbagatelizować te szalone, tajemnicze opowieści, które zdawały się przerastać najstarsze wiejskie przesady. Ubawiło mnie że nawet kilka wykształconych osób twierdziło, iż u źródeł tych wieści muszą się kryć jakieś tajemnicze zniekształcone fakty. Opowieści, które zwracały moją uwagę, dotarły do mnie głównie przez prasę choć jedna historia została mi przekazana ustnie, a opowiedział mi ją przyjaciel, któremu matka mieszkająca w Hardwick, Vermont, opisała ją w liście. Dotyczyła właściwie tego samego wydarzenia, jakie opisywano w prasie, tylko że można w niej wyodrębnić jakby trzy etapy - jeden łączył się z Winooski River koło Montpelier, drugi z West River z okręgu Windham za Newtane, a trzeci miał miejsce w Passumpsic, okręg Koledonia nad Londonville. Było jeszcze wiele ubocznych wątków i etapów, ale po przeanalizowaniu wszystkie sprowadzały się do tych trzech etapów. W każdym z tych przypadków wiejscy ludzie donosili, że widzieli jakieś dziwne i niepokojące przedmioty na wezbranych rzekach płynących z niedostępnych gór i zaczęto je łączyć, z prostymi i prawie już zapomnianymi legendami, które teraz ożyły w opowiadaniach starych ludzi.

Wszyscy byli przekonani, że widzieli jakieś żywe istoty, których jeszcze nigdy nie spotkali. Oczywiście w tym strasznym okresie płynęło po rzekach wiele ciał ludzkich, ale te, które opisywali, nie należały do rodzaju ludzkiego, choć wielkością i ogólnym kształtem trochę nawet jakby przypominały ludzi. Nie mogły to być także, jak twierdzili naoczni świadkowie, zwierzęta znane w Vermont. Owe kształty miały kolor różowawy, a długość jakieś pięć stóp; całe ich ciało pokryte było skorupą, na grzbiecie znajdowały się dwie ogromne płetwy albo błoniaste skrzydła i cały szereg zginających się w stawach kończyn, atakrze coś w rodzaju zwiniętej elipsoidy, pokrytych niezliczoną ilością krótkich macek, w miejscu, gdzie powinna być głowa.

Najbardziej jednak zdumiewające było to, że doniesienia z różnych źródeł pokrywały się ze sobą. Zdumienie byłoby większe, gdyby nie było osłabione przez fakt, że wszystkie stare legendy, dotyczące właśnie gór, były żywo i wręcz chorobliwie obrazowe, mogły więc wywrzeć wpływ na wyobraźnię wszystkich świadków. Byłem skłonny przypuszczać, że owi świadkowie - a byli to wyłącznie prości, naiwni ludzie mieszkający w lasach - zobaczyli zmasakrowane gospodarskie zwierzęta płynące z wirującym prądem wody, a pod wpływem prawie już zapomnianych legend przydali tym biednym ciałom jakieś niezwykle atrybuty.

Ten stary folklor, dość mglisty i nieuchwytny, w dużej mierze zapomniany już w obecnym pokoleniu, miał charakter bardzo szczególny i znać w nim było znaczne wpływy jeszcze starszych indiańskich opowieści. Choć nigdy nie byłem w Vermont, znałem go dzięki monografii Eli Davenport, pracy raczej niezwyklej, a obejmującej materiał zebrany na podstawie ustnej relacji przed 1839 rokiem wśród starszych mieszkańców tego stanu. Co więcej, materiał ten zgadzał się z opowieściami, jakie sam słyszałem od starych wieśniaków w górach New Hampshire. Krótko mówiąc dotyczył nieznanej rasy potworów kryjących się gdzieś w górach i mrocznych dolinach, w których sączą się potoki wypływające z nieznanych źródeł. Stworyte rzadko się pokazywały, ale świadectwo o ich istnieniu składali ci, którym zdarzyło się zapuścić trochę dalej w góry albo w głębokie strome wąwozy, gdzie nawet wilki nie zaglądały. Widziano dziwne ślady stóp albo szponów z pazurami na błotnistych brzegach potoków i nagich przestrzeniach, a także kamienie poukładane wkoło i powyrywaną przy nich trawę, co nie mogło być dziełem natury. Na stokach gór znajdowały się grotty niezbadanej głębokości, do których wejście zasłaniały głazy, co nie mogło być dziełem przypadku, zaś w pobliżu rozliczne ślady prowadzące do wnętrza grot i na zewnątrz - choć ocena ich kierunku wydaje się dosyć wątpliwa. A co gorsza, żądni przygód podróżnicy widywali tam rzeczy niezwykle i zupełnie niespotykane, kiedy zapuszczali się o brzasku w

najodleglesze doliny i gęste, rosnące pionowo lasy na szczytach gór, niedostępne dla człowieka.



Byłoby to mniej niepokojące, gdyby wszystkie opowieści nie były tak do siebie podobne. Miały one kilka punktów wspólnych: twierdzono, że owe stwory są czymś w rodzaju wielkich, jasnoczerwonych krabów, że mają wiele par nóg i dwa ogromne jak u nietoperza skrzydła na grzbiecie. Poruszały się albo na wszystkich łapach albo tylko na ostatniej parze, używając pozostałych do przenoszenia wielkich, nieokreślonych przedmiotów. Pewnego razu zdołano je wytropić w większym zgrupowaniu, cały ich oddział poruszał się płytkim strumieniem pośród lasu, w formacji zdyscyplinowanej, trójka w szeregu. Kiedyś znów widziano, jak jeden taki stwór pofrunął. Odbił się nocą od nagiego szczytu samotnej góry, uniósł się w niebo - widziano nawet jego wielkie, trzepoczące skrzydła na tle pełni księżyca - i zniknął. Stwory te jednakże nie zakłócały ludziom spokoju, choć czasami obwiniano je za zniknięcie ryzykanckich osobników, zwłaszcza tych, co pobudowali się za blisko niektórych dolin albo zbyt wysoko na zboczach gór. Pewne tereny znane były z tego, że nie należy się tam osiedlać, i przestrzegano tego jeszcze długo potem, kiedy wszystkie te opowieści prawie poszły w zapomnienie. Spoglądano z lękiem na okoliczne przepaściste góry, choć nie pamiętano już, ilu z osiadłych tam ludzi przepadło, ile farm spłonęło i zamieniło się w popiół na zboczach tych srogich, zielonych strażników.

Zgodnie z wcześniejszymi legendami stwory te wyrządzały krzywdę tylko wtedy, gdy ktoś wkroczył na ich prywatny teren. Późniejsze legendy mówiły, że są one ciekawe ludzi i że potajemnie wystawiają swoje posterunki w ludzkim świecie. Krążyły opowieści o dziwnych śladach szponów

znajdywanych rano pod oknami domów i o znikaniu poszczególnych ludzi z terenów przyległych do nawiedzonych obszarów. A także o jakichś szeptach naśladowujących mowę ludzką, kiedy czyniono ponętne propozycje samotnym podróżnikom na drogach i jadących powozami przez las, o dzieciach, które odchodziły od zmysłów ze strachu, bo nagle coś zobaczyły lub usłyszały, tam gdzie pierwotny las sięgał ich domostwa. W późniejszych legendach - kiedy już zaczęły zanikać przesady, a ludzie zapuszczali się coraz bliżej tych przerażających obszarów - pojawiają się szokujące wieści o pustelnikach i samotnych farmerach, którzy w pewnym okresie życia ulegli jakimś odrażającym zmianom umysłowym, których wszyscy unikali mówiąc, że są to śmiertelnicy zaprzędani tym dziwnym istotom. Około 1800 roku, w jednym z północnowschodnich okręgów, stało się niemal modne oskarżenie ludzi ekscentrycznych i wiodących żywot pustelniczy - co było niezbyt mile widziane - o powiązaniach z tymi okropnymi stworami. Twierdzono nawet, że są to ich przedstawiciele. O stworach tych krążyły różne opinie. Powszechnie nazywano ich "oni" albo "ci dawni", choć były też inne jeszcze, lokalne i przemijające kreślenia. Najprawdopodobniej grupa purytańskich osadników zaliczyła ich bez żadnych ogródek do diabłów, które stały się podstawą do pełnych grozy teologicznych spekulacji. Natomiast celtyckie legendy - pochodzenia szkocko-irlandzkiego z New Hampshire, a także pokrewnych ludzi osiadłych w Vermont na kolonialnych terenach nadanych przez gubernatora Wentwortha - zaliczały ich do czarownic i "małych ludzików" żyjących na moczarach i w prehistorycznych twiedzach; chroniono się przed nimi za pomocą zaklęć przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Najbardziej jednak fantastyczne teorie snuli Indianie. Choć były różne w poszczególnych plemionach, wszystkie miały jedną wspólną cechę - uważano zgodnie, że owe stwory nie pochodzą z tej ziemi.

Mity Pennacooków, najbardziej trwale i obrazowe, głosiły, że Skrzydlate Stwory przybyły z Wielkiej Niedźwiedzicy i miały swoje kopalnie w górach, skąd pobierały kamienie, jakich nie było w ich świecie. Nie żyły tutaj na

ziemi, tylko miały swoje posterunki i odlatywały z ogromnym ładunkiem kamieni do swoich gwiazd w kierunku północnym. Czyniły krzywdę tylko tym ludziom, którzy się zanadto do nich zbliżali albo usiłowali ich śledzić. Zwierzęta wystrzegały się ich czując instynktowną niechęć, choć nie były przez nich napastowane. Nie zjadały zwierząt ani niczego pochodzącego z tego świata, sprowadzały sobie jedzenie ze swoich gwiazd. Nie należało się do nich zbliżać i dlatego młodzi myśliwi, którzy zapuszczali się w góry, nigdy już nie powracali. Nie wolno też było ich podsłuchiwać, kiedy nocą rozlegały się ich szepty w lasach podobne do brzęczących pszczół, co miało przypominać ludzką mowę. Znali mowę wszystkich ludzi - Pennacooków, Huronów, plemion Pięciu Narodów - nie posiadali jednak i nie odczuwalipotrzeby własnej mowy. Rozmawiali za pomocą swoich głów, które zmieniały barwę zależnie od tego, co chcieli sobie przekazać. Wszystkie te legendy, zarówno białych, jak i indian, zanikły w dziewiętnastym wieku, tylko czasami gdzieś występowały jako przejaw atawizmu. Życie mieszkańców Vermont ustabilizowało się; z chwilą gdy powstały osiedla i drogi wedle ustalonego planu, prawie już zapomniano, jakie obrazy leżały u jego podłoża i że kiedyś się czegoś obawiano i starano się unikać. Większość ludzi wiedziała, że pewne tereny górskie są niezdrowe, bezużyteczne, że są nieprzyjazne człowiekowi i lepiej się trzymać od nich jak najdalej. Z czasem całe życie gospodarcze skupiło się w pewnych ustalonych miejscach i nie było potrzeby wykraczać poza ich granice; nie zapuszczano się więc w niedostępne góry, może bardziej przez przypadek aniżeli dla jakiejś konkretnej przyczyny. W różnych miejscach wierzono w różne strach, ale tylko babcie lubujące się w opowieściach o niezwykłych zdarzeniach i chętnie nawracających do wspomnień dziewięćdziesięcioletni starszankowie szeptali o jakiś istotach mieszkających w górach; ale i nawet oni przyznawali, że nie trzeba się ich obawiać, bo przywykły już do obecności domów i osiedli, a wybrane przez nich obszary pozostawione są w spokoju, ludzie tam nie zaglądną.



Wszystko to znałe od dawna z książek i opowieści zasłyszanych w New Hampshir, toteż kiedy w okresie powodzi zaczęły krążyć różne pogłoski, domyśliłem się, co jest ich tłem i co pobudza wyobraźnię tych ludzi. Staralem się usilnie to wytłumaczyć to moim przyjaciołom, ale kilku co bardziej sworliwych twierdziło, że jednak może się zawierać w tym jakiś element prawdy, co mnie wielce ubawiło. Osoby te usiłowaly wykazać, że stare legendy szczególnie długo się ostały i wszystkie wykazywały pewną jednorodność, a poza tym przyroda gór w Vermont jest tak nieskalana, że nie sposób stwierdzić dogmatycznie, co tam jest naprawdę, lub czego nie ma; na nic się zdało moje zapewnienie, że wszystkie mity opierają się na dobrze znanym szablonie, typowym dla niemal wszystkich ludów, a wytyczonym przez dawne, zabarwione wyobraźnią doznania, które rodzą podobne złudzenia. Bezcelowe byłoby przekonywanie takich oponentów, że mity powszechne w Vermont nie odbiegały specjalnie od znanych na świecie legend personifikujących naturę, w których starożytny strach wypełniony był faunami, driadami i satyrami; przywozidyły na myśl kallikanuzarai współczesnej Grecji; wywarły także wpływ na walijskie i irlandzkie mity o dziwnych i strasznych troglodytach oraz o stworach kryjących się w głębokich jamach. Nie było też sensu wykazywać Im zdumiewającego podobieństwa do wiezeń górskich plemion w Nepalu, które lękają się Mi-Go czyli strasznych yeti, żyjących na pokrytych lodem skalistych szczytach Himalajów. Wszystkie argumenty jakie wysunąłem, moi oponenti obrócili przeciwko mnie twierząc, że musi istnieć jakaś rzeczywista podstawa historyczna dla tych starych opowieści; że to tylko potwierdza prawdziwość istnienia jakiejś starszej rasy na ziemi, która musiała się ukryć z chwilą nastania ludzkości i objęcia przez nią dominującej roli na ziemi, ale

najprawdopodobniej przetrwała w niewielkiej ilości jeszcze do niedawnych czasów - a może nawet trwa do dzisiaj.

Im bardziej śmiałem się z tych teorii, tym mocniej moi uparci przujaciele obstawali przy swoim, dodając, że nawet bez całego dziedzictwa legend ostatnie artykuły były aż nazbyt jasne, zwarte, szczegółowe i rozsadne w swej wymowie, aby można je było całkowicie zignorować. Kilku fanatycznych ekstremistów posunęło się aż tak daleko, że zaczęli traktować poważnie stare indiańskie opowieści, w których owe kryjące się przed ludźmi istoty miały pochodzenie pozaziemskie i cytowali bardzo dziwaczne książki Charlesa Forta, w których twierdzi on, że istoty z innych światów i przestrzeni często odwiedzają ziemię. Moi przeciwnicy w większości byli romantykami i dążyli do przeniesienia w życie rzeczywiste "małych ludzików", na temat których istniała cała fantastyczna dziedzina wiedzy spopularyzowana przez wspaniałą, a pełną koszmarów prozę Arthura Machena.

II

Trudno się dziwić że w takich okolicznościach te ostre debaty dostały się w końcu w formie listów do "Arkham Advertiser"; niektóre z nich zostały przedrukowane w miejscowej prasie w Vermont na terenach objętych powodzią. " Rutland Herald " umieścił długie fragmenty słów na dwóch szpaltach natomiast " Brattleboro Reformer " wydrukował w całości jedną z moich rozpraw historyczno-mitologicznych wraz z komentarzem w kolumnie rozważań naukowych Pendriftera, wspierającym i potwierdzającym moje sceptyczne wnioski. Nim jeszcze nastąpiła wiosna 1928 stałem się postacią znaną w Vermont, choć osobiście jeszcze nigdy nie byłem w tym stanie. Wtedy też zacząłem otrzymywać pełne sprzeciwu listy od Henry Akeley, które wywarły na mnie ogromne wrażenie i z powodu których po raz pierwszy i ostatni w życiu wybrałem się do wspaniałej krainy porośniętych zielenią gęstwiny przepaści i szemżących leśnych strumieni. Większość informacji o Henrym Wentworthie Akeleyu zdobyłem od sąsiadów, a także od jedyne go jego syna mieszkającego w Kalifornii, po małej bytności w opustoszałym domu Akeleya. Pochodził ze starej rodziny znanych prawników, urzędników państwowych i posiadaczy ziemskich, a był już ich ostatnim potomkiem na ziemi rodzinnej. Odszedł jednak od praktycznej działalności, jaką zajmowały się poprzednie pokolenia, a skupił się na działalności czysto naukowej; był wybitnym studentem matematyki, astronomii, biologii, antropologii i folkloru na uniwersytecie w Vermont. Nigdy o nim nie słyszałem, a w swoich pracach naukowych niewiele pokazywał danych autobiograficznych. Z miejsca się jednak zorientowałem, że jest to człowiek z charakterem, o dużej wiedzy naukowej i inteligencji, mimo iż wiecie życie samotnika i ma niewielki kontakt ze

światem.

Choć wszystko, przy czym obstawał, wydawało się niewiarygodne, nie mogłem tego zbagatelizować, tak jak bagatelizowałem poglądy moich oponentów. Po pierwsze, był blisko aktualnych zjawisk - świadkiem naocznym i namacalnym - na temat których tak absurdalnie rozprawiał, po drugie, co było zdumiewające, pozostawiał swoje wnioski do rozstrzygnięcia prawdziwym naukowcom. Osobiście, powiadał, nie ma możliwości dalszych badań, a kieruje się tylko tym, co jest oparte na niezaprzeczalnych dowodach. Zainteresowałem się tym, w głębi duszy przekonany że jednak Akley błądzi, ale nie mogłem mu odmówić nawet i w tym względzie inteligencji; a już w żadnym razie nie próbowałem naśladować niektórych z jego przyjaciół, którzy skłonni byli przypisywać jego pomysły i lęk przed niedostępnymi, porośniętymi zielenią górami, obłądowi. Byłem przekonany, że sprawa ta ma ogromne znaczenie dla tego człowieka i że wszystko, co opisuje, wywodzi się z jakiś dziwnych okoliczności wymagających zbadania, choćby to miało niewielki związek z fantastycznymi wydarzeniami, jakie przytacza. Wkrótce otrzymałem od niego jeszcze dokładniejszy materiał dowodowy, który nadał całej sprawie zupełnie inny aspekt, zadziwiający i oszołamiający.

Najlepiej będzie, jeśli przytoczę dokładnie, w miarę możliwości, długi list Akeleya, w którym mi się przedstawił, a który stał się punktem zwrotnym mojej intelektualnej działalności. Nie mam już tego listu, ale zachowałem dokładnie w pamięci niemal każde słowo z tych złowieszczych wiadomości. W dalszym ciągu potwierdzam moje głębokie przekonanie, że człowiek, który go napisał, był najzupełniej zdrowy na umyśle. A oto tekst list, jaki otrzymałem, napisany zwartym, niemal archaicznym pismem przez człowieka, który podczas spokojnego żywota wypełnionego dociekaniem naukowymi, niewiele miał z otaczającym go światem.

R.F.D. 2,

Townshen, Windham Co., Vermont 5 maja, 1928
Albert N. Wilmarth, Esq.
Saltonstall St.
Arkham, Mass.

Szanowny Panie,

Z prawdziwym zainteresowaniem przeczytałem w "Brattleboro Reformer" (23 kwietnia, 1928) przedruk Pańskiej pracy na temat krążących ostatnio opowieści o dziwnych ciałach unoszących się na wezbranych rzekach podczas jesiennej powodzi i na temat ich podobieństwa do dawnych ludowych opowieści. Nietrudno zrozumieć, dlaczego człowiek z zewnątrz zajmuje takie stanowisko i dlaczego nawet Pandrifter się z panem zgadza. Taki stosunek przejawiają zarówno wykształceni ludzie w Vermont, jak i poza tym stanem, taki stosunek miałem i ja w młodości (mam teraz 57 lat), dopuki moje badania tak w sensie ogólnym jak i po przeczytaniu książki Devenporta nie skłoniły mnie do wyprawy w okoliczne góry, rzadko przez człowieka odwiedzane.

A skłoniły mnie do tych badań dziwne dawne opowieści, które często słyszałem od starych farmerów, ludzi raczej prostych, ale teraz żałuję, że się wogóle do tego nie zabrałem. Nie chwalcąc się, mogę powiedzieć, że dziedzina antropologii i folkloru nie jest mi bynajmniej obca. Zajmowałem się tymi zagadnieniami dość wnikliwie w college'u i znane mi są takie autorytety jak Taylor, Lubbock, Frazer, Quatrefages, Murray, Osborn, Keith, Boule, G. Elliott Smith i im podobni. Nie jest dla mnie nowością, że opowieści o kryjących się przed ludźmi istotach są tak stare jak ludzkość. Czytałem wydrukowane Pańskie listy i Pańskich oponentów w "Rutland Herald" i wydaje mi się, że wiem, skąd się bierze Pańska kontrowersja.

Pragnę jednak poinformować, że Pańscy oponenti są bliżsi prawdy, choć słuszność zdaje się być po Pańskiej stronie. Są o wiele bliżej prawdy niż

zdają sobie z tego sprawę - bo ich rozważania oparte są na rozważaniach teoretycznych, nie mogą więc wiedzieć tego, co ja wiem. Gdybym posiadał równie skromną wiedzę, miał bym prawo wieżyć jak i oni. Wtedy byłbym całkowicie po Pańskiej stronie.

Jak pan widzi, niełatwo mi przejść do sedna sprawy, może dlatego, że brak mi odwagi; sedno sprawy jednak na tym polega, że mam pewne dowody, na to, iż te monstrualne stwory naprawdę żyją w lasach wśród wysokich gór, gdzie nikt nie dociera. Nie widziałem tych istot unoszących się na powierzchni rzek, jak donosi prasa, ale widziałem je w okolicznościach których nie mam odwagi opisać. Widziałem ślady ich stóp, a ostatnio widziałem je całkiem blisko mego domu (mieszkam w starym rodzinnym domu Akeleyów, na południu Townshend Village tuż przy Dark Mountain). Słyszałem też ich głosy w głębokim lesie, których nawet nie chcę próbować opisywać.

W pewnym miejscu było słychać je tak wyraźnie, że wziąłem ze sobą fonograf - z tubą i woskowym papierem - i postaram się, aby mógł pan posłuchać tego zapisu, jaki jest w moim posiadaniu. Nastawiałem fonograf różnym starym ludziom w mojej okolicy i jeden z tych głosów wprowadził ich w osłupienie, tak okazał się podobny do pewnego głosu (tego bzyczenia w lasach, o którym wspomina Devenport), o jakim opowiadały jeszcze ich babki i usiłowały go naśladować. Wiem co się mówi o człowieku, który "słyszał głosy", nim jednak wyciągnie Pan wnioski, proszę najpierw posłuchać tego zapisu i spytać starych ludzi, mieszkających przy lesie, co o tym sądzą. Jeśli uzna Pan to za coś normalnego, proszę bardzo. Ja jednak twierdzę, że coś w tym jest. Jak Pan wie, *Ex nihilo nihil fit*.

Piszę ten list nie po to, żeby toczyć z Panem spór, ale po to, żeby przekazać Panu informacje, które dla człowieka Pańskiego pokroju powinny się okazać wielce interesujące. To oczywiście prywatnie. Oficjalnie jestem po Pana stronie, gdyż na podstawie pewnych przesłanek, które są mi znane, uważam że lepiej żeby ludzie jak najmniej o tym wiedzieli. Badania, jakie ja

przeprowadziłem, są wyłącznie do mojego prywatnego użytku i nie mam zamiaru swoim wystąpieniem wzbudzać czyjegoś zainteresowania ani też spowodować, aby ludzie zaczęli odwiedzać tereny, które ja poznałem. Prawdą jest - straszną prawdą - że istnieją istoty nieludzkie, które przez cały czas nas obserwują i mają swoich szpiegów zbierających o nas wszystkie informacje. To właśnie od pewnego przerażającego człowieka zdobyłem klucz do tej wiedzy; jeżeli był normalny (a sądzę że był), musiał być jednym z owych szpiegów. Potem odebrał sobie życie, ale mam powody uważać, że na jego miejsce jest wielu następnych.

Te istoty pochodzą z innej planety, potrafią żyć w przestrzeni międzygwiazdnej, w której poruszają się za pomocą ohydnych, mocnych skrzydeł, posiadają zdolność pokonywania próżni; natomiast trudno im latać nad ziemią. Opowiem panu o tym później, o ile nie potraktuje mnie Pan z miejsca jak obłąkanego. Przybywają tutaj aby wydostać metal z kopalni, które znajdują się głęboko pod górami. I chyba wiem skąd przybywają. Nie wyżądzą nam krzywdy, jeżeli zostawimy je w spokoju, ale lepiej nie myśleć co się stanie, gdybyśmy zaczęli wykazywać zbytnią ciekawość. Dużo a armia ludzi mogłaby zniszczyć ich kopalniane kolonie. Tego się właśnie boją. Jeśliby się tak stało, przyleciało by ich znacznie więcej, niezliczona ilość. Bez trudu podbiły by ziemię; dotychczas tego nie zrobiły, bo nie miały takiej potrzeby. Wolą, aby tak było, jak jest to dla nich mniej kłopotliwe.

Wydaje mi się, że zamierzają się mnie pozbyć, bo za dużo wykryłem. W lasach na Round Hill, na wschód od mojej farmy znajdował się wielki czarny kamień z wyrytymi na nim, ale już mocno zatartymi hieroglifami; zabrałem go do domu a z tą chwilą wszystko przybrało inny obrót. Jeśli podejrzewają że wiem za dużo będą próbowały albo mnie zabić, albo zabrać tam skąd pochodzą. Od czasu do czasu lubią zabierać uczonych ludzi, żeby na bieżąco mieć informacje o ludzkim świecie.

Prowadzi mnie to do drugiego celu, który przyświeca temu listowi - prosiłbym o wyciszenie toczącej się dyskusji, nienadawanie jej większego

rozgłosu. Należy trzymać ludzi z dala od tych gór, dlatego też nie powinno się podsycać ich ciekawości. Już i tak istnieje niemałe zagrożenie z powodu właścicieli różnych firm, sprowadzają tu całe tłumy letników, zachęcając ich do penetrowania dzikich terenów i budowania tanich bungalowów na zboczach gór.

Chętnie będę kontynuował wymianę listów z Panem i postaram się przesłać mój zapis fonograficzny, a także czarny kamień, (który jest tak zniszczony, że na fotografiach niczego nie widać), pocztą ekspresową, o ile Pan sobie tego życzy. Mówię "postaram się", bo te stwory potrafią tutaj we wszystko ingerować. Na farmie, w pobliżu wsi, mieszka pewien ponury, tajemniczy człowiek, nazwiskiem Brown, który, jak sądzę, jest ich szpiegiem.

Stopniowo starają się mnie odciąć od ludzi, ponieważ zbyt wiele posiadam wiadomości o ich świecie.

W zdumiewający sposób potrafią wykryć wszystko, co robię. Możliwe, że wogóle Pan nie otrzyma tego listu. Wydaje mi się, że powinienem opuścić to miejsce i przenieść się do mojego syna w San Diego w Kalifornii, jeżeli sytuacja się pogorszy; niełatwo się jednak zdobyć na opuszczenie stron, w których się człowiek urodził, a jego rodzina żyła tu od sześciu pokoleń.

Nieśmiałybym też sprzedać tej farmy nikomu, wiedząc, że te istoty mają na nią oko. Wydaje mi się, że chcą za wszelką cenę zdobyć z powrotem czarny kamień i zniszczyć zapis fonograficzny, ale nie dopószczę do tego, póki mi sił starczy. Odstraszają ich moje wielkie psy policyjne, zresztą jak narazie niewiele jest tu jeszcze tych stworów i raczej niezręcznie się poruszają. Jak wspomniałem niezbyt dobrze mogą frówać nad ziemią. Bliski już jestem rozszyfrowania hieroglifów na tym kamieniu, a przy Pańskiej znajomości folkloru sądzę że mógłby mi Pan bardzo pomocny w uzupełnieniu brakujących powiązań. Wydaje mi się że zna pan wszystkie najstraszniejsze mity dotyczące tego okresu na ziemi, kiedy jeszcze nie było człowieka - z cyklu Yog-Sothoth i Cthulhu - a które wymienione są w "Necronomicon". Mam u siebie jeden egzemplarz, a słyszałem, że jest jeden w bibliotece college'u, głęboko

schowany.

Podsumowując, myślę, że moglibyśmy być sobie nawzajem pomocni i że nasza współpraca okazałaby się pożyteczna. Nie chciałbym Pana narazić na niebezpieczeństwo, dlatego uważam, że powinienem Pana ostrzec, iż posiadanie tego kamienia i zamisu może się wiązać z pewnym zagrożeniem. Myślę jednak, że gotów Pan będzie ponieść każde ryzyko dla dobra postępu wiedzy. Wybiorę się do Newfant albo brottleboro, aby z tamtąd wysłać to do czego Pan mnie upoważni, bo tamtejszym urzędem można lepiej zaufać. Muszę dodać, że mieszkam sam, nie mogę zatrudniać nikogo do pomocy. Nikt by nie chciał u mnie pracować, właśnie z powodu tych stworów, które nocą zakradają się w pobliże mego domu i z powodu bezustannego ujadania moich psów. Cieszę się, że nie włączyłem się w tę historię za życia mojej żony, bo pewnie nie wytrzymałaby tego nerwowo.

Wyrażając nadzieję, że nie sprawiam Panu zbyt wielkiego kłopotu i że zechce Pan łaskawie nawiązać ze mną kontakt, a nie wyżuci tego listu do kosza na sieci traktując go jako brednie obłąkanego człowieka.

Pozostaję z poważaniem

Henry W. Akeley

PS. Robię właśnie kilka dodatkowych odbitek zdjęć przezemnie wykonanych, które będą jak sądzę potwierdzeniem kilku zagadnień, jakie poruszyłem w tym liście. Starzy ludzie uważają że są one straszliwym świadectwem prawdy. Przyślę je wkrótce o ile będzie pan zainteresowany.

Trudno byłoby mi przekazać uczucia, jakie wzbudził we mnie ten list. Wedle wszelkich reguł powinien był mnie jeszcze bardziej rozśmieszyć niż wszystkie, o wiele spokojniejsze teorie, z jakimi się dotychczas spotkałem; jednakże ton tego listu wywołał we mnie paradoksalnie poważne uczucia. Nawet nie dlatego, abym uwierzył choćby na moment w istnienie ukrywającej się rasy stworów z gwiazd, o jakich wspomina autor tego listu,

ale prosto dlatego, że po wielu rozlicznych, a poważnych wątpliwościach nabrałem głębokiego przekonania, że jest to człowiek jak najbardziej zdrowy na umyśle i szczery i że musiał się zetknąć jakimś rzeczywistym, choć niezwykłym i odbiegającym od normy zjawiskiem, którego nie potrafi wyjaśnić inaczej jak za pomocą swojej wyobraźni. Nie może być tak, jak myśli, ale też napewno należy to poddać badaniom. Człowiek ten wydał mi się nadmiernie podniecony i czymś przerażony, trudno jednak nie uznać, że musi istnieć jakiś tego przyczyna. Jego tok myślenia był niezwykle logiczny, a pozatym cała opowieść niesłychanie współgrała z wieloma starymi mitami, nawet z najbardziej niesamowitymi legendami indian. Było najzupełniej możliwe, że rzeczywiście słyszał jakieś niepokojące głosy w górach i że znalazł czarny kamień, o którym wspomina, wątpliwe wydały mi się jednak wnioski, jakie wyciąga... wnioski, wysunięte najprawdopodobniej pod wpływem człowieka, który podawał się za szpiega tych stworów i który potem się zabił. Nietrudno wydedukować, że człowiek ten musiał być obłąkany, ale była to z jego strony perwersja, pozbawiona wszelkiej logiki, natomiast naiwny Akeley - pod wpływem przeprowadzanych folklorystycznych badań - we wszystko uwierzył. Jeśli zaś chodzi o dalszy rozwój wydarzeń... o to że nie mógł nikogo u siebie zatrudnić... to okazało się, że sąsiedzi Akeleya we wsi byli tak samo jak on przekonani, że dom jego nawiedzały nocą jakieś tajemnicze istoty, i psy rzeczywiście szczekały.

A następnie sprawa zapisu fonograficznego - nie mogłem wątpić że, uzyskał go w sposób, jak podawał. Coś to musi znaczyć; albo to głosy zwierząt złudnie przypominające ludzką mowę, albo mowa pewnych ukrywających się, a straszących nocą ludzi, tak wynaturzona że przypomina odgłosy zwierząt niższego gatunku, Myśl moja z kolei przeniosła się do czarnego, pokrytego hieroglifami kamienia i zacząłem rozważać co to może oznaczać. I wreszcie do fotografii, które Akeley obiecał mi przysłać, a które starym ludziom wydały się prawdziwe i straszne. Kiedy przeczytałem ponownie ten list, wydało mi się, jak jeszcze nigdy dotąd, że moi łatwowierni

oponenci mają rację. Mimo wszystko mogą przecież istnieć w tych niedostępnych górach, jacyś dziwni, obciążeni dziedzicznie odszczepieńcy, z których legendy stworzyły rasę potworów przybyłych z gwiazd. A jeżeli tak jest, wtedy obecność dziwnych ciał na wezbranych powodzią rzekach mogłaby się okazać wiarygodna. Czyż należy więc przypuszczać, że zarówno stare legendy, jak i ostatnie doniesienia zawierają w sobie elementy rzeczywistości? Kiedy tak głowiłem się nad tymi wątpliwościami, ogarnął mnie wstyd, że zlepek dziwactw w zwariowanym liście Akeleya wywarł na mnie taki wpływ. Odpisałem jednak Akeleyowi, przyjąwszy w liście ton przyjaznego zainteresowania, i poprosiłem o dalsze szczegóły. Jego odpowiedź przyszła odwrotną pocztą; zgodnie z obietnicą przysłał kilka wykonanych Kodakiem zdjęć różnych scen i przedmiotów ilustrujących to, co opisywał. Kiedy po wyjęciu z koperty spojżałem na nie, ogarnął mnie dziwny lęk, jakby były mi od dawna znajome; mimo pewnych niejasności, większość z nich odznacza się sugestywną, siłą zwłaszcza, że były to zdjęcia autentyczne - okrutna więź optyczna z tym, co przedstawiały, a jednocześnie produkt bezstronny pozbawiony przesądów, omyłek czy też zakłamań.

Im bardziej się przyglądałem tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że mój poważny stosunek do Akeleya i jego opowieści jest uzasadniony. Zdjęcia te bez wątpienia stanowiły świadectwo istnienia w górach Vermont, czegoś, co wykraczało poza zasięg naszej wiedzy i wiary. Najgorsze ze wszystkiego były ślady stóp - zdjęcia wykonane gdzieś na bezludnej wyżynie, na terenie błotnistym, kiedy świeciło słońce. Jedno spojrzenie wystarczyło, abym się przekonał, że nie są to sfałszowane zdjęcia; wyraźnie zaznaczone kamienie i źdźbła trawy w polu widzenia dawały jasny wykładnik skali i wykluczały możliwość zastosowania tricku podwójnej ekspozycji. Używałem określenia "ślady stóp", ale "ślady szponów" byłoby właściwszym określeniem. Nawet teraz niezbyt potrafię to opisać, może po prostu powiem, że były ohydne i przypominały kraby, a pozatym ich kierunek wydawał się zagadkowy. Nie były to ślady głębokie i wyraźne,

zdawały się być wielkości przeciętnej ludzkiej stopy. Od jej centralnej części rozchodziło się kilka par ostrych szponów wysuniętych w przeciwnych kierunkach, których funkcja była zagadkowa, o ile wogóle był to narząd poruszania.

Następna fotografia - wykonana bez wątpienia w gębokim mroku - ukazywała wejście do pieczary w lesie, zablokowane okrągłym głazem. Przed nią na nagim terenie można było zauważyć gęstą sieć dziwnych śladów, a przyjrzawszy się im przez szkło powiększające upewniłem się, że są podobne do śladów na poprzednim zdjęciu. Trzecie ukazywało na wierzchołku góry kamienie ustawione w pozycji stojącej w kształcie koła, na sposób druidów. Wokół tego tajemniczego koła trawa była mocno zdeptana i powyrywana, ale nie mogłem dostrzec tam żadnych śladów, nawet przez szkło powiększające. Było to miejsce bardzo odległe, świadczyło o tym istne morze niedostępnych gór znajdujących się w tle i ciągnących się w dal mglistego horyzontu. Im bardziej się przyglądałem, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że mój poważny stosunek do Akeleya i jego opowieści jest uzasadniony. Zdjęcia te bez wątpienia stanowiły świadectwo istnienia w górach Vermont, czegoś co wykraczało poza zasięg naszej wiedzy i wiary. Najgorsze ze wszystkiego były ślady stóp - zdjęcia wykonane gdzieś na bezludnej wyżynie, na terenie błotnistym, kiedy świeciło słońce. Jedno spojrzenie wystarczyło abym się przekonał, że nie są to sfalszowane zdjęcia; wyraźnie zaznaczone kamienie i źdźbła trawy w polu widzenia dawały jasny wykładnik skali i wykluczały możliwość zastosowania tricku podwójnej ekspozycji. Użyłem określenia "ślady stóp", ale "ślady szponów" byłyby właściwszym określeniem. Nawet teraz niezbyt to potrafię opisać, może po prostu powiem, że były ohydne i przypominały kraby, a poza tym ich kierunek wydawał się zagadkowy. Nie były to ślady głębokie i wyraźne, zdawały się być wielkości przeciętnej ludzkiej stopy. Od jej centralnej części rozchodziło się kilka par ostrych szponów wysuniętych w przeciwnych kierunkach, których funkcja była zagadkowa o ile to wogóle był narząd

poruszania.

Następna fotografia - wykonana bez wątpienia w głębokim mroku - ukazywała wejście do pieczary w lesie, zablokowane okrągłym głazem. Przed nią na nagim terenie można było zauważyć gęstą sieć dziwnych śladów, a przyjrzawszy się im przez szkło powiększające upewniłem się, że są podobne do śladów na poprzednim zdjęciu. Trzecie ukazywało na wieżchołku góry kamienie ustawione w pozycji stojącej w kształcie koła, na sposób druidów. Wokół tego tajemniczego koła trawa była mocno zdeptana i powyrywana, ale nie mogłem tam dostrzec żadnych śladów nawet przez szkło powiększające. Było to miejsce bardzo odległe, świadczyło o tym istne morze niedostępnych gór znajdujących się w tle i ciągnące się w dal mglistego horyzontu. Najbardziej niepokojące z tego wszystkiego wydawały się ślady stóp, ale najciekawszy był ogromny kamień znaleziony w lasach Round Hill. Akeley sfotografował go na swoim biurku, widać bowiem było na nim stos książek i w tle zbiorowe dzieła Milтона. Jak można się było zorientować, kamień był ustawiony frontem do kamery, w pozycji pionowej, powierzchnię miał nieregularną, a wymiary - jedną na dwie stopy. Nie sposób jednak dokładnie określić jego powierzchni ani też ogólnych zarysów, wzdryga się przed tym język. Nie potrafiłem odgadnąć jakie geometryczne reguły przyświecały nacięciom na jego powierzchni - były to bowiem nacięcia wykonane przez kogoś; a jeszcze chyba nigdy nie widziałem czegoś takiego, co by mi się wydawało aż tak dziwne i obce naszemu światu. Hieroglify na jego powierzchni nie bardzo były dla mnie czytelne, ale jeden albo dwa, które dojrzałem przyprawiły mnie niemal o wstrząs. Naturalnie że mogły być sfalszowane, bo przecierz jeszcze wielu oprócz mnie czytało to koszarne i odrażające "Necronomicon" szalonego Araba Abdula Alhazreda; nigdy jednak nie drżałem rozpoznając pewne ideogramy, których studiowanie nauczyło mnie rozpoznawać mrozące krew w żyłach i bluźniercze szeptu istot, żyjących jeszcze przed powstaniem ziemi i innych światów systemu słonecznego.

Z pięciu pozostałych zdjęć, na trzech znajdowały się błota i góry, noszące ślady kryjących się tam tajemniczych mieszkańców. Na czwartym były dziwne znaki na ziemi w pobliżu domu Akeleya, a jak pisał, wykonał je rano, po nocy, podczas której psy ujadły zązarciem niż zwykle. Znaki były niewyraźne, trudno było z tego wyciągnąć jakieś wnioski; wydawały się jednak szatańskie, podobnie jak ślady szponów na opustoszałej wyżynie. Na ostatnim zdjęciu znajdował się dom Akeleya - biały, schludny, jednopiętrowy z poddaszem, miał około studziesięciu lat, przed nim starannie utrzymany trawnik i ścieżka wyłożona kamyczkami a prowadząca do ładnie rzeźbionych dźwi w stylu gregoriańskim. Na trawniku znajdowało się kilka wielkich psów policyjnych w pobliżu mężczyzny o przyjemnej twarzy i siwej, krótko przyciętej brodzie, którego uznałem za Akeleya we własnej osobie i fotografa, co można było wywnioskować po lampie błyskowej trzymanej w prawym ręku. Obejrzawszy zdjęcia zabrałem się do czytania listu, napisanego dużym, zwartym pismem i na dobre trzy godziny popadłem w otchłań niewypowiedzianego przerażenia. Przedtem Akeley tylko napomknął o pewnych sprawach, teraz relacjonował wszystko szczegółowo, podał długi wykaz słów podsłuchanych nocą w lasach, długi opis wielki różowych kształtów wysledzonych o zmierzchu w gąszczu pokrywającym góry oraz straszną kosmiczną opowieść wywodzącą się z zastosowania poważnej i wszechstronnej wiedzy, oraz nie kończąca się, a należąca do przeszłości dysputę z szalonym, samozwańczym szpiegiem, który odebrał sobie życie. Napotkałem tu nazwy i określenia z którymi zetknąłem się już gdzie indziej, a powiązane z najstraszliwymi okolicznościami - Yuggoth, Wielki Cthulhu, Tsathoggua, Yog-Sothoth, R'lyeh, Nyarlathotep, Azathoth, Hastur, Yian, Lena, Jezioro Hali, Bathmoora, Żółty Znak, L'mur-Kathulos, Bran i Magnum Innominatum - z powodu których przeniosłem się poprzez nieznanne eony i niepojęte wymiary do świata istnień starszych i bardziej odległych, o jakich autor "Necronomiconu" zaledwie napomyka w niejasny sposób. Zostałem poinformowany o losach pierwotnego życia, o rzeczach,

które się z tamtąd sączyły i wreszcie o maleńkich strumykach wypływających z jednej z tych rzek, a wplątanych w losy naszej własnej ziemi.



W głowie mi wirowało; dotychczas usiłowałem wszystko wyjaśnić, teraz zacząłem wierzyć w najbardziej odchylone od normy i nieprawdopodobne dziwy. Zespół ewidentnych dowodów był ewidentnie rozległy i przytłaczający; a chłodne, naukowe podejście Akeleya - podejście balansujące pomiędzy fantazją a szaloną fanatyczną, histeryczną a nawet ekstrawagancką spekulacją - wywarło przemożny wpływ na moje myśli i sądy. Kiedy odłożyłem na bok ten straszny list, miałem pełne zrozumienie dla lęków, jakich doświadczał i byłem gotów zrobić wszystko, aby powstrzymać ludzi przed zbliżaniem się do tych dzikich, nawiedzonych gór. Nawet jeszcze teraz, kiedy czas przytępił wrażenia i prawie że poddawał w wątpliwość moje własne doznania, pozostawiając mi rozliczne niepewności, są sprawy w liście Akeleya, których za nic bym nie przytoczył ani też nie przelał słowami na papier. Prawie że cieszę się, iż nie ma już nagrań, listów, fotografii i wolałbym, z przyczyn, które wkrótce wyjawię, aby nie odkryto nowej planety znajdującej się poza Neptunem.

Po przeczytaniu tego listu zaniechałem całkowicie mojej publicznej debaty na temat przerażających wydarzeń w Vermont. Argumenty moich oponentów pozostały nie wyjaśnione i z czasem kwestie kontrowersyjne poszły w niepamięć. Pod koniec maja i przez cały czerwiec korespondowałem z Akeleyem; co jakiś czas listy ginęły musieliśmy więc odtwierać je i pracowicie przepisywać. Chcieliśmy po prostu porównać nasze dane odnośnie tajemniczej, mitologicznej wiedzy i wyjaśnić korelacje pomiędzy strasznymi zjawiskami w Vermont i pierwotnymi legendami

rozpowszechnionymi na świecie. Doszliśmy do wniosku, że wszystkie te okropieństwa i diaboliczny Mi-Go w Himalajach przynależą do tej samej grupy wcielonego koszmaru. Istniało też ciekawe zoologiczne domniemanie na którego temat chętnie porozmawiałbym profesorem Dexterem z mojego college'u, ale powstrzymało mnie kategoryczne życzenie Akeleya, aby nikomu nie wspominać o tej sprawie. Teraz już tego nie przestrzegam, ponieważ uważam, że na obecnym etapie ostrzeżenie przed odległymi górami w Vermont - a także szczytami Himalajów, na które odważni zdobywcy coraz częściej chcą się wspinać - jest bardziej pożyteczne dla ogólnego bezpieczeństwa aniżeli milczenie. Obaj dążyliśmy przede wszystkim do tego, aby odczytać hieroglify na tym niesławnym czarnym kamieniu, dzięki czemu moglibyśmy prawdopodobnie osiąść tajemnice o wiele głębsze i bardziej bulwersujące, niż wszystkie znane dotychczas człowiekowi.

III

Pod koniec czerwca otrzymałem zapis fonograficzny nadany w Brattleboro, ponieważ Akeley nie ufał środkom przekazu rozgałęzionej linii północnej. Poza tym narastało w nim przekonanie o nasileniu szpiegowskiej akcji, potwierdzone zaginięciem kilku naszych listów; często wspominał o podstępnych poczynaniach pewnych ludzi, których podejrzewał o działalność na rzecz owych tajemniczych istot. Najbardziej podejrzewał o to farmera Waltera Browna, który mieszkał samotnie na zboczu wzgórza przy samym lesie, a którego często widziano jak snuł się po zakamarkach Brattleboro, Bellows Falls, New Fane i South Londonderry bez uzasadnionego powodu. Głos Browna - Akeley był o tym przekonany - to jeden z tych głosów, które brały udział w podsłuchanej, a strasznej rozmowie; Akeley zauważył też ślady stóp czy też szponów koło domu Browna, a miało to złowieszczą wymowę. Co dziwniejsze owe ślady znajdowały się tuż przy śladach stóp samego Browna, skierowanych w ich stronę.

Nagranie więc zostało wysłane z Brattleboro, dokąd Akeley pojechał swoim ffordem bocznymi, pustymi drogami Vermont. W załączonym liście zwięźlił się, że tych dróg też się obawia i że wybiera się po zakupy do Townshend tylko w ciągu dnia. Wciąż powtarzał, że lepiej wiedzieć o tym wszystkim jak najmniej, chyba że ktoś mieszka daleko od owych cichych i jakże pełnych tajemnic gór. Postanowił wkrótce wybrać się do Kalifornii i zamieszkać z synem, ale niełatwo mu będzie opuścić miejsce, z którym wiąże się tyle wspomnień i rodzinnych uczuć. Nim zabrałem się do przesłuchania zapisu na fonografie wypożyczonym z budynku administracyjnego w college'u, starannie przeczytałem wszystkie informacje zawarte w liście Akeleya. Zapis ten został wykonany, wyjaśniał, o pierwszej w nocy 1 maja

1915 roku, tuż koło wejścia do groty, w miejscu gdzie wznosi się lesisty zachodni stok Dark Mountain przy bagiennym obszarze lea. Miejsce to zawsze wypełniały jakieś dziwne głosy, dlatego właśnie wziął ze sobą fonograf, dyktafon i oczekiwał na rezultaty. Na podstawie dotychczasowych doświadczeń spodziewał się, że ta noc na przełomie kwietnia i maja - koszmarne noc sabatu wedle tajemniczych europejskich legend - może być o wiele bardziej przerażająca niż wszystkie inne noce, i nie spotkało go rozczarowanie. Warto jednak zauważyć, że już nigdy potem, nie słyszał żadnych głosów w tym miejscu.

Ten zapis nie przypominał dotychczas podsłuchanych głosów w lesie; miał raczej charakter rytualny i zaznaczał się w nim wyraźnie ludzki głos, którego Akeley nie potrafił rozpoznać. Nie był to głos Browna, zdawał się przynależeć do człowieka o większej kulturze. Drugi głos stanowił natomiast prawdziwą zagadkę, gdyż było to właściwie ohydne bzyczenie, nie przypominające ludzkiego głosu, choć jednocześnie rozbrzmiewały słowa wypowiedziane w języku angielskim, gramatycznie i z akcentem człowieka uczonego. Fonograf i dyktafon stosowane razem, działały niezbyt sprawnie, a poza tym podsłuchiwanie obrzędów odbywało się dość daleko i nie było ich słychać wyraźnie; toteż utrwalone zostały poszczególne fragmenty. Akeley załączył na piśmie nagrane słowa, więc przed włączeniem fonografu przeczytałem je dokładnie. Załączony tekst był bardziej tajemniczy niż straszny, choć świadomość jego pochodzenia i okoliczności, w jakich został zdobyty, przydawały mu koszarnej aury, której żadnymi słowami nie da się wyrazić. Przedstawię tu teraz, tak jak zapamiętałem, a jestem przekonany, że pamiętałem dokładnie, nie tylko z załączonej kartki, ale i z zapisu, który parokrotnie przesłuchałem. Tego zresztą nie da się zapomnieć!

(Niewyraźne głosy)

(Męski głos o kulturalnym brzmieniu)

...jest Bóg lasu, nawet do... i dary ludzi z Leng... tak z otchłani nocy aż po przepastne przestworza i z przepastnych przestworzy po otchłanie nocy, wszędzie chwała wielkiego Cthulhu, Tsathoggua, i Tego, którego imienia się nie wymawia. Wszędzie ich chwała, a także obfitość dla Czarnej Kozy z lasów !a! Shub-Niggurath! Koza z Tysiącem Młodych!

(Bzyczące naśladownictwo ludzkiej mowy)

!a! Shub-Niggurath! Czarna Koza z Lasów z Tysiącem Młodych!

(Ludzki głos)

I zdarzyło się, że Bóg Lasów będący... siedem i dziewięć w dół onyksowych schodów...

(skła)da Mu daninę w Zatoce, Azathoth, On, dzięki któremu Ty nauczałeś nas cudów... na skrzydłach nocy poza przestworzami, poza... Tam, gdzie Yuggoth jest najmłodszym dzieckiem, unoszącym się samotnie po sklepieniu niebieskim...

(Bzyczący głos)

...wyjść między ludzi i znaleźć tam sposoby, które On w Zatoce może znać.

Nyarlatheptowi, Wielkiemu Pośłańcowi, wszystko musi być opowiedziane. A on upodobni się do ludzi, nałoży woskową maskę i szatę, która go osłoni i spłynie ze Świata Siedmiu Słonec, aby oszukać...

(Ludzki głos)

...(Nyarl)athotep, Wielki Poślaniec, przynoszący dziwną radość Yuggothowi, Ojcu Milionów Umiłowanych Bóstw, Myśliwemu pośród...

(Rozmowa przerwana, koniec zapisu)

Oto słowa, których miałem wysłuchać nastawiwszy fonograf. Z drzeniem i oporem przestawiłem membranę i usłyszałem skrzypienie głowicy z szafiru. Rad byłem, że pierwsze, słabe, urywkowe słowa były wypowiedziane ludzkim głosem... łagodnym kulturalnym głosem, najwyraźniej z bostońskim akcentem, który z pewnością nie przynależał do żadnego z mieszkańców gór w Vermont. Kiedy tak wsłuchiwałem się w to ledwie słyszalne nagranie,

okazało się, że wszystkie słowa brzmią identycznie, jak w starannie przygotowanym przez Akeleya tekście. Nucone były łagodnym, bostńskim głosem... !a! Shub-Niggurath! Koza z Tysiącem Młodych!... Potem usłyszałem inny głos. Jeszcze teraz przeszywa mnie dreszcz, kiedy to sobie przypomnę, jakie to na mnie zrobiło wrażenie, choć byłem przygotowany uprzednim sprawozdaniem Akeleya. Osoby, którym to potem eszystko opisywałem, dostrzegły w tym tylko zwykłą szarlatanerię albo też szaleństwo; gdyby jednak osobiście się zetknęli z tą piekielną rzeczą, albo gdyby sami przeczytali wszystkie list Akeleya (zwłaszcza ów drugi list, prawie encyklopedyczny), jestem przekonany, że myśleli by zupełnie inaczej. A jednak bardzo żałuję, że posłuchałem Akeleya i nie nastawiłem fonografu innym do posłuchania... wielka też szkoda, że wszystkie jego list zginęły. Dla mnie, który odebrałem bezpośrednio dźwięki i znałem ich tło, oraz towarzyszące im okoliczności, była to wielka sprawa. Dźwięki te nastąpiły tuż po ludzkim głosem w odpowiedzi na rytualne obrzędy, w mojej wyobraźni było to schorzałe echo torujące sobie drogę poprzez niewyobrażalne otchłanie piekieł z niepojętego świata. Już dwa lata minęły od czasu gdy nastawiłem ten bluźnierczy zapis fonograficzny, ale jeszcze w tej chwili, zresztą jak w każdym innym momencie, słyszę to słabe, niespotykane bzyczenie, tak samo jak wtedy, gdy usłyszałem je po raz pierwszy.

"!a! Shub-Niggurath! Czarna Koza z Lasów z Tysiącem Młodych!" Choć głos ten wciąż rozbrzmiewa mi w uszach, do tej pory jednak nie zanalizowałem go na tyle, by sporządzić zapis graficzny. Przypominał bzyczenie jakiegoś ohydneho, wielkiego owada jakiegoś nieznanego gatunku, przy czym jestem głęboko przekonany, że jego narządy głosowe w niczym nie były podobne do narządów mowy człowieka ani też żadnego ssaka. Pewne szczegóły w brzmieniu, układzie i wysokości tonów, umiejscawiały ten fenomen poza sferą ludzkości i ziemskiego życia. Nagłe zetknięcie się z tym głosem wprowadziło mnie w osłupienie i pozostałą część zapisu wysłuchałem w jakimś abstrakcyjnym oszołomieniu. Kiedy nastąpił dłuższy

fragment bzyczącej mowy, jeszcze bardziej nasiliło się we mnie poczucie bluźnierczej nieskończoności, którego już doświadczyłem podczas słuchania krótszych i wcześniejszych ustępów. Zapis skończył się nagle, w momencie, kiedy wyraźnie słychać było ludzką mowę o bostońskim akcencie; fonograf wyłączył się automatycznie, a ja długo jeszcze siedziałem zupełnie ogłupiały.

Nie potrzebuję chyba zapewniać, że nastawiałem ten wstrząsający zapis kilkakrotnie i że usilnie starałem się go przeanalizować i skomentować porównując z notatkami Akeleya. Byłoby to jednak bezużyteczne i zbyt kłopotliwe, aby powtarzać teraz wnioski jakie wyciągnęliśmy; mogę tylko zaznaczyć, że zgodnie ustaliliśmy, iż posiadliśmy klucz do źródła najbardziej odrażających odwiecznych zwyczajów, w tajemniczych prastarych regionach ludzkości. Stało się też dla mnie jasne, że istnieją dawne i bardzo przemyślnie związki pomiędzy tajemniczymi istotami z innego świata i pewnymi przedstawicielami rasy ludzkiej. Ale jak rozległe były te związki i jak one się przedstawiały w stosunku do dawnych wieków, tego nie byliśmy w stanie ustalić; w najlepszym razie mieliśmy szerokie pole do nieograniczonych i strasznych spekulacji myślowych. Wydawało nam się, że musi istnieć od niepamiętnych czasów przerażająca więź, w kilku określonych etapach, pomiędzy człowiekiem i nieznaną nam nieskończonością. Te bluźniercze istoty, jak napomykano, przybywały na ziemię z ciemnej planety Yuggoth, znajdującej się na krawędzi systemu słonecznego, ale był to tylko przystanek dla tej strasznej międzygwiazdnej rasy, zaś główne jej źródło musiało się znajdować daleko poza einsteinowską ciągłością czasu i przestrzeni, a nawet poza całym znanym ogromem kosmosu.

Tymczasem prowadziliśmy naradę na temat czarnego kamienia i sposobu jego przewiezienia do Arkham. Akeley odradzał, abym złożył wizytę w miejscu, w którym prowadził swoje koszarne badania. Z nie znanych mi przyczyn obawiał się też zawierzyć go zwykłym albo umówionym środkom lokomocji. W końcu wpadł na pomysł aby zawiść go do Bellows Falls i nadać na lini Boston i Maine poprzez Keene i Winchendon oraz Fitchburg,

mimo że musiał w tym celu jechać z nim rzadziej uczęszczanymi drogami i przez wzgórza porośnięte lasem, nie zaś autostradą Brattleboro. Kiedy wysłał zapis fonograficzny, zauważył jakiegoś człowieka, którego zachowanie i wygląd wzbudziły w nim nieufność. Zbyt gorliwie rozmawiał z urzędnikami i wsiadał do pociągu, którym został wysłany zapis fonograficzny. Akeley wyznał, że dopuki nie potwierdziłem odbioru, był niespokojny o los zapisu.

Mniej więcej w tym samym czasie - w drugim tygodniu lipca - jeszcze jeden mój list zaginął, jak wynikało z pełnej niepokoju korespondencji Akeleya. Potem już życzył sobie, abym nie wysłał więcej listów na adres w Townshend, tylko na pocztę główną w Brattleboro do jego rąk własnych; postanowił tam jeździć albo własnym samochodem, albo autobusem, który ostatnio wyparł wolniejszy środek lokomocji, jakim była boczna linia kolejowa. Dostrzegłem u Akeleya coraz większy niepokój, opisywał bowiem szczegółowo zajadłe szczekanie psów w bezksiężycowe noce, a także świeże ślady szponiastych łap, jakie co pewien czas odkrywał rano na drodze koło domu i na błotnistym terenie za farmą. W jednym z listów wspominał o całej armii tych śladów skierowanych wprost ku gęsto rozszanym i wyraźnym śladom psów, a na dowód przysłał mi budzące wstręt zdjęcie wykonane Kodakiem. Odkrył je po nocy, podczas której wycie i szczekanie psów przeszło wszelkie wyobrażenie.

W środę rano, 18 lipca, otrzymałem telegram nadany w Bellows Falls, w którym Akeley powiadamiał mnie o wysłaniu czarnego kamienia pociągiem pociągiem Nr 5508, odjeżdżającym planowo z Bellows Falls o 12:15 i że powinien być na Północnym Dworcu w Bostonie o 16:12. Do Arkham powinien więc dotrzeć nazajutrz około południa, a więc cały czwartkowy ranek spędziłem na oczekiwaniu w domu. Kiedy minęło południe i paczka nie nadeszła, zadzwoniłem do agencji wysyłkowej i dowiedziałem się, że nic do mnie nie przysłało. Ogromnie zaniepokojony zadzwoniłem do biura przesyłek na Północnym Dworcu w Bostonie; ku mojemu zdziwieniu dowiedziałem się, że tam również nie nadeszła do mnie żadna paczka. Pociąg

Nr. 5508 przybył wczoraj z trzydziestopięciominutowym opóźnieniem, ale nie było w nim zaadresowanej do mnie skrzynki. Urzędnik jednak obiecał mi, że rozpocznie poszukiwania; pod koniec dnia wysłałem list do Akeleya opisując mu całą sytuację.

Nazajutrz po południu urzędnik z Bostonu, natychmiast po zbadaniu faktów, złożył mi telefoniczne sprawozdanie. Okazuje się, że kolejarz ekspresu Nr 5508 przypomniał sobie zdarzenie, które może wyjaśnić okoliczności mojej zguby - a mianowicie rozmowę z mężczyzną o dziwnym głosie, szcupleym, jasnowłosym, wyglądającym na wieśniaka, kiedy pociąg stał w Keene, New Hampshire, tuż po pierwszej. Człowiek ten był podobno bardzo zainteresowany ciężką skrzynką, zdawał się na nią oczekiwać, ale nie było jej ani w pociągu, ani w księgach przesyłkowych. Podał, że się nazywa Stanley Adams, a miał tak dziwnie gruby i monotony głos że urzędnik kolejowy poczuł się jakoś nienormalnie senny i oszołomiony. Nie pamięta, jak zakończyła się rozmowa, ale przypomina sobie, że się ocknął dopiero wtedy, gdy pociąg ruszał. Urzędnik z Bostonu dodał, że młody pracownik kolejowy cieszy się nienaganną reputacją, jest prawdomówny i od dawna pracuje na tym stanowisku. Tego samego wieczora, po zdobyciu nazwiska i adresu owego urzędnika pojechałem do Bostonu, aby zobaczyć się z nim osobiście. Był to człowiek szczery o ujmującym sposobie bycia, ale okazało się, że nie potrafi już nic więcej dodać. Dziwne, ale był pewien, że mógłby rozpoznać człowieka, który go wypytywał o skrzynię. Przekonawszy się, że już niczego więcej się nie dowiem, wróciłem do Arkham i do samego rana pisałem listy: do Akeleya, do towarzystwa przesyłkowego, na posterunek policji i do zawiadowcy stacji w Keene. Czułem, że człowiek o dziwnym głosie, który wywarł taki wpływ na urzędnika kolejowego, pełni zasadniczą rolę w tej złowieszczej historii, i miałem nadzieję, że pracownicy na stacji w Keene oraz zapisy telegraficzne na poczcie mogą naprowadzić na jego ślad, a także wyjaśnić, w jaki sposób, kiedy i gdzie przeprowadził swój wywiad.



Muszę przyznać, że moje śledstwo nie dało żadnego rezultatu. Rzeczywiście zauważono mężczyznę o dziwnym głosie na dworcu w Keene wczesnym popołudniem 18 lipca, a jeden z przechodniów nawet jakby sobie przypominał, że widział kogoś z ciężką skrzynią; nikomu jednak nie był znany, nie widziano go nigdy przedtem ani nigdy potem. Nie był na poczcie, ani też nie został przysłany dla niego żaden przekaz, jak zdołano sprawdzić, nie miał również dokumentu, który by świadczył o obecności czarnego kamienia w pociągu Nr 5508, żadne biuro nikomu takiego dokumentu nie wydało. Akeley oczywiście włączył się do poszukiwań, nawet wybrał się osobiście do Keene, żeby przepytać ludzi mieszkających w pobliżu dworca; jego stosunek do tej sprawy był o wiele bardziej fatalistyczny niż mój. Uznał, że strata skrzynki była złowieszczym i groźnym spełnieniem nieuniknionego losu, i stracił nadzieję aby można ją było kiedykolwiek odzyskać. Twierdził, że te górskie stwory i ich agenci są obdarzeni telepatyczną i hipnotyczną siłą, a w jednym z listów napisał nawet, że nie wierzy, aby kamień znajdował się jeszcze na ziemi. Mnie ogarniała wściekłość, bo czułem, że zapszepaszczona została szansa poznania doniosłych i ciekawych zjawisk, jakie mogły dostarczyć stare, pozacierane hieroglify. Dręczyłbym się tym mocno, gdyby nie następne listy Akeleya, w których sprawa górskich okropnych stworów wkroczyła w jakąś nową fazę, co pochłonęło całą moją uwagę.

IV

Nieznane istoty, Akeley powiadał drżącym pismem, zaczęły napierać na niego z całą determinacją. Nocą, ilekroć chmury przesłaniały księżyc, psy szczekały coraz zajadlej, a i w dzień, kiedy musiał przemierzać nieuczęszczane drogi, także usiłowano go w różny sposób dręczyć. Drugiego sierpnia, kiedy jechał swoim samochodem do wsi na głównej drodze, na odcinku otoczonym niewielkim lasem, znalazł gruby pień drzewa położony w poprzek drogi; zaciekle szczekanie dwóch wielkich psów, które wzięło do samochodu, dobitnie świadczyło tym, że śledzą go zający gdzieś w pobliżu. Co by się stało, gdyby nie psy, nawet nie chciał sobie wyobrazić, ale nie wybierał się już teraz nigdzie bez swoich wiernych i silnych obrońców. Piątego i szóstego sierpnia zdarzyły się następne incydenty na drodze - za pierwszym razem kula drasnęła samochód, za drugim psy uprzedziły szczekaniem obecność tych ohydnych istot z gór. Piętnastego sierpnia otrzymałem list pisany w pełnym grozy nastroju, który wielce mnie zaniepokoił. Pragnąłem aby Akeley zrezygnował już ze swego samotnego działania i odosobnienia, żeby odwołał się do pomocy prawa. W nocy z dwunastego na trzynastego sierpnia nastąpiło straszne wydarzenie - wokół farmy świastały kule a trzy z dwunastu wielkich psów Akeleya leżały martwe. Na drodze widniało mnóstwo śladów szponiastych łap, a wśród nich ślady stóp człowieka - Waltera Browna. Akeley natychmiast chwycił za słuchawkę chcąc zatelefonować do Brattleboro, aby przysłano mu więcej psów, ale nim zdążył coś powiedzieć, telefon umilkł. Pojechał więc samochodem do Brattleboro i tam dowiedział się, że konserwatorzy stwierdzili przecięcie głównego kabla w górach na północ od Newfane. Wyruszył do domu z kilkoma skrzynkami amunicji do automatycznej

strzekby przeznaczonej na dużą zwierzynę i wzbogacony o cztery nowe, piękne psy. List został napisany w Brattleboro i dotarł do mnie bez żadnej zwłoki.

Przestałem przejawiać do tej sprawy stosunek naukowy, zacząłem wykazywać alarmująco osobiste zaangażowanie. Obawiałem się o Akeleya żyjącego samotnie w odosobnionej farmie, ale też zacząłem obawiać się o siebie, jako że bezpośrednio związałem się z wszystkim co dotyczy tych istot w górach. Sprawa przybierała coraz większy zasięg. Czy i mnie także wciągnie i pochłonie ? W odpowiedzi na list Akeleya nakłoniłem go do szukania pomocy i wspomniałem, że jeżeli on tego nie zrobi, to ja się tym zajmę. Napisałem też, że przyjadę do Vermont wbrew jego życzeniom i pomogę mu wytłumaczyć wszystko odpowiednim władzom. Otrzymałem na to telegram z Bellows Falls następującej treści:

Doceniam Pańskie stanowisko ale nic zrobić nie mogę proszę nie podejmować żadnych kroków bo to zaszkodzi nam obu i czekać na wyjaśnienie.

Henry Akeley

Sprawa jednak przybierała coraz gorszy obrót. W odpowiedzi na mój telegram otrzymałem wstrząsający list od Akeleya ze zdumiewającą wiadomością, że nie tylko nie wysyłał do mnie żadnego telegramu, ale nie otrzymał też listu ode mnie, na który odpowiedzią miał być telegram. Przeprowadził pospiesznie śledztwo w Bellows Falls i dowiedział się, że telegram został nadany przez jasnowłosego mężczyznę o grubym, monotonnym głosie, ale niczego więcej nie zdołał się dowiedzieć. Urzędnik pokazał mu oryginalny tekst wypełniony ołówkiem, lecz pismo było Akeleyowi nieznane. Zauważył tylko, że w podpisie był błąd - Akely, bez

drugiego "e". Nasuwały się nieuniknione przypuszczenia: świadczyło to o zbliżaniu się kryzysu, ale mimo to nie zaprzestał dociekliwych badań. Poinformował mnie, że znowu zostały zabite psy, i że kupił następne a strzały stały się nieodłącznym elementem bezksiężycowych nocy. Ślady Browna a także ślady innych stóp ludzkich w butach widniały teraz pośród śladów szponiastych łap na drodze i na tyłach farmy. Akeley przyznał, że źle sprawy stoją; planował więc, że wkrótce przeniesie się do Kalifornii, gdzie zamieszka z synem, bez względu na to czy zdoła sprzedać starą farmę, czy nie. Trudno jednak opuszczać to jedyne miejsce, które zawsze było domem. Sprubuje jeszcze trochę przeciągnąć swój pobyt, może odstraszy natrętów, zwłaszcza jeżeli zrezygnuje z dalszych poczynań w celu zgłębienia ich tajemnic.

Odpisałem natychmiast, raz jeszcze ponawiając chęć pomocy i przyjazdu do niego, abyśmy wspólnie powiadomili władze o zagrażającym mu niebezpieczeństwie. W kolejnym liście zdawał się już mniej sprzeciwiać wyjazdowi niż dotychczas, napisał jednak, że chciałby odłożyć te kroki na później, dopóki nie upoządkuje wszystkiego i nie pogodzi się z myślą, że opuszcza umiłowany dom rodzinny. Ludzie patrzą niechętnie na przeprowadzane przez niego badania i dociekliwe spekulacje, wolałyby więc wyjechać spokojnie i nie wywoływać zamieszania we wsi, w której mogłyby potem krążyć pogłoski o jego niepoczytalności. Przyznawał, że ma już tego dość, ale chce opuścić to miejsce w sposób godny. List otrzymałem 28 sierpnia i natychmiast wysłałem odpowiedź starając się mu dodać otuchy. Poskutkowało, bo w następnym liście nie opisywał już tych okropności. Nie był jednak optymistycznie nastawiony i wyrażał przekonanie, że jest stosunkowo spokojnie tylko dzięki pełni księżyca, która powstrzymuje te stwory od dalszej działalności. Miał nadzieję, że podczas najbliższych nocy niebo będzie bezchmurne i wspominał coś mgliście o tym, że kiedy księżyc zacznie ubywać wsiądzie na statek w Brattleboro. Znowu więc napisałem żeby, go podnieść na duchu, ale piątego września otrzymałem list od

Akeleya; nasze listy najwyraźniej się minęły. Tym razem nie stać mnie już było na słowa otuchy. Ze względu na wagę zawartych w tym liście wiadomości, podam go w pełnym brzmieniu - odtwarzam z pamięci tekst napisany drżącą ręką. A oto co następuje:

Poniedziałek

Drogi Wilmarthie,

Dość ponure PS do mojego ostatniego listu. Ubiegłej nocy niebo zakryły gęste chmury - choć nie padał deszcz - przez które nie przebijał nawet skrawek księżyca. Stwory przystąpiły do ostrego ataku i sądzę, że wbrew naszym nadziejom zbliża się koniec. Po północy coś wylądowało na dachu mego domu a psy natychmiast rzuciły się ku temu czemuś. Słyszałem jak szczekały i miały się zapamiętałe, po czym jednemu udało się skoczyć na dach z niskiej przybudówki. Rozpętała się zaciekle walka podczas której dobiegło mnie straszne i niezapomniane bzyczenie. Po chwili rozniósł się oszałamiający fetor. Jednocześnie posypały się przez okno kule, które omal mnie nie dosięgły. Myślę, że kiedy psy zajęte były toczącą się na dachu walką, całe stado tych stworów zbliżyło się do samego domu. Co się tam działo na dachu, nie mam pojęcia, ale obawiam się, że te istoty nauczyły się lepszego posługiwania się skrzydłami na ziemi. Zgasilem światło i z okien zrobiłem strzelnicę. Kierując strzelbę wysoko, żeby nie trafić w psy, sypałem kulami wokół domu. W ten sposób przetrwałem najazd ale rano znalazłem na podwórku wielkie kałuże krwi, tuż obok kałuży ohydnej zielonej cieczy, która zionęła smrodem, jakiego jeszcze wżyciu nie wachałem. Wspiąłem się na dach, gdzie również znalazłem ślady tej cuchnącej materii. Pięć psów zostało zabitych - jednego chyba ja sam trafiłem wycelowawszy zbyt nisko, bo trafiony był w grzbiet. Teraz wstawiam szyby, które zostały potłuczone i wybieram się do Brattleboro po więcej psów. Wydaje mi się, że ludzie w zakładzie dla psów uważają mnie za szaleńca. Wkrótce znowu napiszę. Sądzę,

że za jakiś tydzień albo dwa będę gotów wyrószyć do Kalifornii, choć sama myśl o tym dobija mnie.

Pisane w pośpiechu Akeley

Nie był to jedyny list Akeleya, który minął się z moim. Nazajutrz rano - szóstego września - otrzymałem następny; pisany był w tak strasznym pośpiechu, że po przeczytaniu straciłem całą odwagę i nie wiedziałem co powiedzieć ani też co zrobić. I znowu będzie chyba najlepiej, jeśli zacytuję go w całości, odtwarzając wszystko jak najwierniej z pamięci.

Wtorek

Chmury nie ustępują, księżyc wciąż nie świeci - i niechybnie pełni ubywa. Założyłbym elektryczność i zainstalował reflektor, ale wiem, że natychmiast przecięliby kabel, nie nadążyłbym z naprawą.

Wydadaj mi się, że popadam w obłąd. Bardzo możliwe, że wszystko, co dotychczas napisałem, to po prostu sen albo objaw szaleństwa. To, co się dotąd zdarzyło, było straszne, ale to co dzieje się teraz, jest nie do zniesienia. Ubiegłej nocy rozmawiali ze mną... tym wstrętnym bzyczącym głosem... nie śmiem powtórzyć tego co mi mówili. Słyszałem wyraźnie mimo szczekania psów, a nawet w pewnej chwili pomógł im ludzki głos. Trzymaj się od tego jak najdalej, Wilmarthie... to jest tak okropne, że przekracza Pańską i mijają wyobraźnię. Nie pozwolą mi przenieść się do kalifornii... chcą mnie zabrać żywego... albo w stanie, który teoretycznie i umyślowo oznacza "żywego"... nie tylko do Yuggoth, ale jeszcze dalej... poza galaktykę i prawdopodobnie poza ostatni zakrzywiony krąg przestrzeni kosmicznej. Oznajmiłem im, że nie wybiorę się tam, gdzie sobie życzą czy też proponują, że mnie w tak okropny sposób zabiorą, ale obawiam się, że mój opór jest bez znaczenia. Mój dom znajduje się w takim odosobnieniu, że równie dobrze mogą się zjawić za dnia,

jak i nocą. Znowu sześć psów zabitych, a kiedy jechałem dziś do Brattleboro, czułem ich obecność po obu stronach zalesionej drogi.

Popełniłem błąd wysyłając zapis fonograficzny i czarny kamień. Proszę zniszczyć ten zapis nim będzie za późno. Napiszę pare słów jutro, o ile tutaj jeszcze będę. Chciałbym przewieźć książki i inne rzeczy do Brattleboro. Gdybym mógł, uciekłbym bez niczego, ale coś mnie zatrzymuje. Mógłbym wymknąć się do Brattleboro, tam byłbym bezpieczny, ale czuję, że i tam będę takim samym więźniem, jak we własnym domu. I wydaje mi się, że nawet gdybym wszystko porzucił, nie zdołałbym uciec daleko. Jest to okropne... niech się Pan nie włącza w tą historię.

*Pozdrawiam
Akeley*

Po otrzymaniu tych strasznych wiadomości całą noc nie mogłem zasnąć, ogarnęło mnie też zwątpienie w zdrowy umysł Akeleya. Treść tego listu świadczyła raczej o jego niepoczytalności, ale sposób wyrażania - na tle wszystkiego, co się dotychczas wydarzyło - miał wymowę poważną i przekonującą. Nie odpowiedziałem na ten list, uznałem, że lepiej poczekać, aż Akeley odpisze na mój, niedawno wysłany. I rzeczywiście już następnego dnia otrzymałem list, ale zawarty w nim całkiem nowy materiał przesłonił całkowicie odpowiedź na poruszone przezemnie zagadnienia. Oto treść, którą również odtwarzam z pamięci; list był tak zabazgrany i pozamazywany, jakby autor pisał go w panicznym pośpiechu.

Środa

W...

List otrzymałem, ale już nie ma sensu omawiać niczego. Ogarnęła mnie rezygnacja.

Zastanawiam się, czy starczy mi sił, do walki z nimi. Nie mogę uciec, nawet gdybym chciał wszystko zostawić. Wszędzie mnie dosięgną.

Wczoraj dostałem od nich list, wręczył mi go jakiś człowiek z Brattleboro. Został napisany i wysłany w Bellows Falls. Informują co zamierzają ze mną zrobić... Nie mogę tego powtórzyć.

Proszę na siebie uwarzać ! Niech Pan zniszczy to nagranie. W nocy niebo jest wciąż przesłonięte chmurami, a księżyc ubywa. Chciałbym otrzymać pomoc - może odzyskałbym wtedy siłę woli - ale każdy, kto by się odważył tu przybyć, uznałby mnie za obłąkanego, chyba, że znalazły by się jakieś dowody. Nie mogę tak bez przyczyny zwracać się z prośbą o przybycie do mego domu... nie utrzymuję z nikim kontaktu od wielu lat.

Nie napisałem jeszcze tego, co najgorsze. Niech się Pan mocno trzyma, bo to będzie szokujące. A jest to prawda. Otórz... widziałem i dotknąłem jednego z tych stworów albo też jakiejś jego części. Boże, jakie to okropne ! Był oczywiście nieżywy. Któryś z psów go przechwyił, a znalazłem to dziś rano koło psiej budy. Chciałem schować w drewnitni, żeby mieć dowód, ale w ciągu paru godzin wszystko się ulotniło. Nic nie zostało. Jak Pan wie, wszystkie te stwory widziano na powierzchni rze pierwszego ranka po powodzi. A teraz następuje najgorsze. Chciałem to sfotografować dla Pana, ale kiedy wyciągnąłem aparat wszystko zniknęło, została tylko drewnitnia. Z czego więc te stwory są zbudowane ? Widziałem je, dotykałem, zostawiają też po sobie ślady. Składają się z jakiejś materii... ale z jakiej ?

Trudno opisać ich kształt, jest to wielki krab z niezliczoną ilością sterczących, mięsistych pierścieni, albo też węzłów z gęstej, lepkiej substancji pokrytej czułkami, tam, gdzie u człowieka powinna być głowa. Ta zielona substancja to ich krew albo soki. Z każdą minutą coraz ich więcej na ziemi.

Nie ma Waltera Browna - nie widać, żeby się snuł jak zwykle po zakamarkach okolicznych wsi. Musiałem go trafić kulą, a te stwory zwykle zabierają swoich zmarłych albo rannych.

Dotarłem dzisiaj do miasta bez żadnych przeszkód, ale wydaje mi się, że trzymają się z daleka tylko dlatego, że są już pewni, że mnie mają. Piszę ten

list na poczcie w Brattleboro. Może to już list pożegnalny... jeżeli tak, to proszę zawiadomic mojego syna, George'a Goodenough Akeleya, Pleasant Street 176, San Diego, Kalifornia, i tutaj nie przyjeżdżać. Proszę napisać do mego syna, jeżeli przez tydzień nie odszyma Pn ode mnie listu, no i radzę przeglądać gazety.

Zamierzam rozegrać moje ostatnie dwie karty... o ile jeszcze starczy mi sił. Chcę wypróbować na nich gazy trujące (zdobyłem odpowiednie chemikalia i uszykowałem maski ochronne dla siebie i psów), a jeżeli to nie poskutkuje powiadomię szeryfa. Mogą mnie zamknąć w zakładzie dla umysłowo chorych... i tak będzie to lepsze, aniżeli to, co planują w stosunku do mnie owe stwory. Może zdołam zwrócić uwagę na ślady wokół mego domu, są słabo widoczne, ale znajdujeje rano. Możliwe jednak iż policja uzna, że ja sam je zrobiłem; wszyscy uważają, że mam dziwny charakter.

Powinienem nakłonić policjanta, aby spędził u mnie noc i sam zobaczył, tylko, że jak się te stwory o tym dowiedzą będą się trzymać z daleka odcinając mi telefon, ilekroć usiłuję w nocy gdzieś zadzwonić - konserwatorzy dziwią się i wkrótce mogą dojść do wniosku, że ja sam to robię. Już od tygodnia nie zwracam się do nich z prośbą o naprawę.

Mógłbym sprowadzić kilku prostych ludzi, którzy by poświadczyli tę straszną rzeczywistość ale wszyscy się śmieją z tego, co ci ludzie powiadają, a poza tym to oni już od tak dawna trzymają się od mego domu, że nie znają ostatnich wydarzeń. A do tego chyba zaden z tych podupadłych już farmerów za nic by nie chciał się zbliżyć do mego domu na odległość jednej mili. Listonosz nieraz słyszy, co mówią i stroi sobie żarty. Mój Boże, gdybym mu powiedział, jak bardzo jest to prawdziwe. Sądzę jednak, że sprubuje mu pokazać te ślady, ale przyjeżdża po południu, a do tej pory już zwykle znikają. Gdybym zachował jakiś ślad, ochroniwszy go pudełkiem czy jakąś miską na pewno uznałby to za fałszerstwo albo żart.

Szkoda, że stałem się takim odludkiem i że nikt do mnie nie zagląda, jak dawniej bywało. Nie odważyłbym się pokazać czarnego kamienia ani zdjęć,

ani też nastawić mojego nagrania nikomu, chyba że tym prostym ludziom. Inni powiedzieli by, że to wszystko sobie wymyśliłem i tylko wzbudziłoby to ich śmiech. Ale mogę jeszcze pokazać im te zdjęcia. Widać na nich wyraźnie ślady szponiastych stóp, choć samych tych istot nie można sfotografować. Jaka szkoda, że nikt oprócz mnie nie widział dzisiaj tej rzeczy, zanim się ulotniła.

Sam już nie wiem czy mi na tym zależy. Po tym, co przeszedłem, zakład dla umysłowo chorych jest równie dobry jak inne. Lekarze mogą mi pomóc w podjęciu decyzji, aby opóścić ten dom, a przecież tylko taki krok może mnie ocalić.

Proszę napisać list do mojego syna, George'a, jeśli nie otrzyma pan wkrótce listu ode mnie.

Żegnam, proszę zniszczyć zapis i nie mieszać się do tej sprawy.

Pozdrawiam Akeley

List napełnił mnie przerażeniem. Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, napisałem więc parę bezładnych słów, żeby dodać mu odwagi i udzielić rady, po czym wysłałem jako list polecony. Przypominam sobie, że ponaglałem Akeleya, aby się natychmiast przeniósł do Brattleboro i przebywał tam pod opieką władz; dodałem też, że przyjadę do tego miasta z zapisem fonograficznym i przekonam wszystkich, że jest jak najbardziej zdrowy na umyśle. Nadszedł już czas, wydaje mi się, że tak napisałem, aby ostrzec ludzi przed tymi rzeczami, w których zasięgu żyją. W tej tak bardzo stresowej chwili głęboko wierzyłem we wszystko co Akeley mówił i przy czym obstawał, ale jednocześnie uważałem, że przyczyną nieudanej próby sfotografowania tego nieżywego potwora był nie jakiś kaprys natury, ale błąd popełniony przez samego Akeleya.

V

Potem, znów rozminąwszy się z moją, krótką, chaotyczną notatką, w sobotę po południu ósmego września nadszedł zupełnie inny niż dotychczas, ogromnie uspokajający i starannie napisany na nowej maszynie list; zawarte w nim było zapewnienie, że wszystko jest w porządku, a także zaproszenie dla mnie, co zupełnie zmieniało obraz tego koszmarnego dramatu w opustoszałych górach. Znowu zacytuję go z pamięci... i postaram się jak najwierniej zachować styl, w jakim był utrzymany. Został nadany w Bellows Falls, przy czym nie tylko cały tekst, ale i podpis był wybity na maszynie, co się często zdarza ludziom, którzy po raz pierwszy mają do czynienia z maszyną. Jak na nowicjusza został napisany bardzo porządnie, toterz uznałem, że Akeley musiał kiedyś często korzystać z maszyny... może w czasie studiów w college'u ? Gdybym miał powieedzieć, że list przyniósł mi ulgę, było by to tylko powierzchowne stwierdzenie, bo podświadomie czułem niepokój. Jeżeli Akeley był zdrowy na umyśle, kiedy żył w lęku, to czy również był zdrowy teraz wyzwolony od niego ? A ten " udoskonalony raport "... co miał właściwie oznaczać? Widać było wyraźnie, że Akeley zmienił diametralnie stosunek. Podaję więc cały tekst starannie odtwożony z pamięci, co napełnia mnie dumą.

*Townshend, Vermont,
Czwartek, 6 września, 1928*

Mój drogi Wilmarthie,

Z prawdziwą przyjemnością piszę ten list, gdyż mogę Pana uspokoić odnośnie wszystkich tych "głupot", jakie dotychczas wypisywałem. Używając określenia "głupoty" mam na myśli moje lęki, a nie opisy pewnych zjawisk. Owe zjawiska są rzeczywiste i dosyć ważne; błąd mój polegał na niewłaściwym do nich stosunku.

Wydaje mi się, że wspomniałem, iż moi dziwni goście zaczynają się ze mną kontaktować i starają się ze mną nawiązać łączność. Wczorajszej nocy nastąpiła między nami wymiana słów. W odpowiedzi na pewne sygnały zgodziłem się przyjąć u siebie w domu ich posłańca - nadmieniam spiesźnie, że człowieka. Wyjaśnił mi wiele spraw, jakich ani Pan, ani ja się nie domyślałem, i wykazał mi jak bardzo myliliśmy się i jak niewłaściwie interpretowałem cel Obcych Istot zmierzając do zachowania w tajemnicy pobyt na tej planecie.

Wydaje mi się, że wszystkie złe legendy o tym, co mają te istoty do zaoferowania ludziom i jakie mają zamiary wobec ziemi, są rezultatem nieświadomego i niewłaściwego zrozumienia alegorycznej mowy - ukształtowanej na kulturalnym podłożu i zwyczajach myślowych zupełnie innych, niż sobie wyobrażamy. Moje własne domniemania były równie błędne jak domniemania prostych farmerów albo dzikich Indian. To, co wydawało mi się patologiczne, haniebne i bezecne, w rzeczywistości budzi nabożny szacunek, rozszerza horyzonty myślowe, jest nawet wspaniałe, a moja dotychczasowa ocena opierała się, na odwiecznej tendencji człowieka do nienawiści, lęku i odrazy w stosunku do tego, co jest zupełnie inne.

Żałuję teraz, że taką krzywdę wyrządziłem tym obcym i niewiarygodnym istotom podczas naszych nocnych utarczek. Szkoda, że nie zgodziłem się od samego początku porozmawiać z nimi spokojnie i rozsądnie ! Ale nie żywią do mnie żalu, ich postępowanie jest całkiem inne od naszego. Żle się składa, że ich przedstawiciele w Vermont to ludzie pośledniej natury, jak na przykład Walter Brown. To on właśnie usposobił mnie do nich niechętnie. Tymczasem

oni nigdy jeszcze świadomie nie działali na szkodę człowieka, natomiast ludzie wyrządzali im niemało zła i usiłowali ich szpiegować. Istnieje tajemniczy kult złych ludzi (ktoś o tak wielkiej erudycji jak Pan zrozumie mnie jeśli powiąże ich z Hasturem czy Żółtym Znakiem), który stawia sobie za cel niszczenie ich i czynienie im krzywdy tylko dlatego, że jest to wielka siła z innych obszarów kosmicznych. To właśnie przeciw tym agresorom - nie zaś przeciw ludziom - podejmowane są przez Obce Istoty drastyczne środki ostrożności. Przypadkowo dowiedziałem się, że niektóre nasze listy zostały skradzione właśnie przez emisariuszy tego okropnego kultu a nie przez Obce Istoty.

Obce Istoty pragną tylko aby człowiek dał im spokój, nie molestował ich, aby zapanował porozumienie oparte na intelektualnych podstawach. Jest to konieczne w sytuacji, w której odkrycia i różne pomysły poszerzają naszą wiedzę i coraz bardziej uniemożliwiają Obcym Istotom zachowanie ich placówek na naszej planecie w tajemnicy. Pragną one poznać ludzi lepiej, pragną także, by paru filozofów i naukowców wiedziało o nich coś więcej. Przy takiej wymianie wzajemnej wiedzy minie wszelkie zło, a zapanuje zadowolające modus vivendi.

Sama myśl o zniewoleniu i poniżeniu ludzkości jest śmieszna.

Dla zapoczątkowania tego porozumienia Obce Istoty wybrały naturalnie mnie - przecież posiadałem już o nich znaczną wiedzę - jako ich pierwszego emisariusza na ziemi. Dużo mi powiedziały wczorajszej nocy... fakty o niesłychanym znaczeniu, otwierające nowe perspektywy... a stopniowo będą mi przekazywać coraz więcej, tak ustnie, jak i pisemnie. Jak na razie nie otrzymam wezwania do podróży poza naszą planetę, choć pewnie z czasem sam tego będę chciał... kiedy już opanuję pewne sposoby i wykroczę ponadto, co przywykliśmy tutaj na ziemi uznawać za doznania człowieka. Mój dom już nie będzie napastowany.

Wszystko wróciło do normalnego stanu, psy już nie będą miały zajęcia. Przestałem się lękać, natomiast zdobyłem taką wiedzę i doświadczyłem

przygody tak bardzo intelektualnej, że niewielu śmiertelnikom przypadło to w udziale.

Obce Istoty to chyba najcudowniejsze istoty organiczne, tak w przestrzeni i czasie, jak i poza nimi - są to członkowie rasy rozprzestrzenionej w kosmosie, a wszystkie inne formy życia są tylko zdegradowanymi wariantami. Są bardziej rośliną niż zwierzęciem, o ile te określenia mogą się wogóle odnosić do materii, z jakiej się składają, a która pod względem budowy przypomina grzyby; jednakże obecność niby chlorofilowej substancji i zupełnie niezwykły sposób odżywiania w niczym nie przypominają grzybów. Rzeczywiście rodzaj materii z jakiej są zbudowane, jest całkowicie nieznan w naszej części przestrzeni kosmicznej, a ich elektrony mają zupełnie inną skalę wibracji. Dlatego właśnie tych istot nie można sfotografować aparatem i kliszą znaną w naszym wszechświecie, mimo, że jesteśmy zdolni ich widzieć. Przy odpowiedniej jednakże wiedzy dobry chemik mógłby sporządzić fotograficzną emulsję, z pomocą której można by zrobić im zdjęcie.

Istoty te są unikalne, potrafią bowiem przemierzać nieograniczoną i pozbawioną powietrza próżnię międzygwiazdną całym swym cielesnym kształtem, natomiast ich różne odmiany nie mogą tego robić bez mechanicznej pomocy albo jakiś dziwnych chirurgicznych transpozycji.

Tylko kilka gatunków, takich jak te w Vermont, posiada odporne na próżnię skrzydła. Istoty przebywające na odległych szczytach w Starym Świecie zostały sprowadzone w inny sposób.

Ich wygląd zewnętrzny upodobniony do zwierząt i struktura, którą przywykliśmy nazywać materią, jest raczej kwestią paralelnej ewolucji aniżeli bliskiego pokrewieństwa. Ich sprawność umysłowa przewyższa wszelkie inne istniejące formy życia, ale skrzydlate istoty z naszych gór są bez wątpienia najwyżej rozwinięte. Ich najbardziej powszechnym środkiem porozumiewania się jest telepatia, a my, choć mamy szczątkowe narządy głosowe, to jednak po przeprowadzeniu drobnego zabiegu (chirurgia jest wśród nich na bardzo wysokim poziomie i stanowi element ich codziennego życia) możemy

naśladować mowę takich organizmów, które wciąż jeszcze posługują się mową.

Ich główną i najbliższą siedzibą jest nieodkryta jeszcze i prawie całkiem pozbawiona światła planeta na samej krawędzi naszego systemu słonecznego - tuż za Neptunem, a dziewiąta jeśli chodzi o odległość od słońca. Jak wywnioskowaliśmy jest to właśnie obiekt zwany "Yuggoth", o którym tajemniczo wspomina się w zakazanych, starych zapisach; stanie się ona wkrótce miejscem zogniskowania myśli na naszym świecie, aby ułatwić porozumienie umysłowe. Nie byłbym zdziwiony, gdyby astronomowie stali się wrażliwi na prądy myślowe i odkryli Yuggoth, kiedy Obce Istoty sobie tego zażyczą. Ale Yuggoth jest oczywiście tylko odskocznią.

Większość tych istot zamieszkuje dziwnie zorganizowane otchłanie, będące całkowicie poza zasięgiem ludzkiej wyobraźni. Czasoprzestrzeń kuli, którą uważamy za całokształt naszego kosmosu, jest w rzeczywistości tylko atomem prawdziwej nieskończoności, która jest ich udziałem. Zostanie przedemną otwarta taka część nieskończoności, którą umysł ludzki może objąć, a jaką dotychczas otwarto najwyżej przed pięćdziesięcioma osobami, od czasu istnienia rasy ludzkiej na ziemi.

W pierwszej chwili nazwie Pan to napewno brednią, z czasem jednak doceni Pan tę ogromną okazję, jaka przypadła nam w udziale. Chcę się z Panem podzielić wszystkim jak najdokładniej, ale są tysiące spraw, których nie mogę przelać na papier. Przedtem odradzałem Panu przyjazd do mnie. Teraz, kiedy nie zagraża już żadne niebezpieczeństwo, odwołuje moje zakazy i zapraszam.

Czy nie mógłby Pan się wybrać zanim rozpoczną się zajęcia w college'u ? Byłoby to cudowne.

Proszę przywieść ze sobą zapis fonograficzny i wszystkie moje listy, które posłużą nam do dyskusji - przydadzą się nam do powiązania wszystkich wątków w jedną wspaniałą historię.

Dobrze by też było gdyby przywiózł Pan zdjęcia, bo ja w tym całym

zamieszaniu, jakie miałem ostatnio, gdzieś zapodziałem negatywy i odbitki. A jaką obfitością faktów mogę wzbogacić cały ten oparty dotąd na przypuszczeniach materiał... i jak niesłychanymi środkami dysponuję do ich uzupełnienia...

Proszę się nie wahać... jestem teraz wolny, nikt mnie nie śledzi, nie spotka się Pan z niczym co by mogło się wydać nienaturalne albo niepokojące. Proszę przyjeżdżać, mój samochód będzie oczekiwać w Brattleboro... i niech się Pan postara aby mógł u mnie pobyc jak najdłużej, czekają nas długie wieczorne rozmowy o rzeczach, które są poza zasięgiem rozumu ludzkiego. Oczywiście nikomu proszę o tym nie wspominać... ta sprawa nie może być znana postronnym ludziom.

Dojazd pociągiem do Brattleboro jest całkiem wygodny... w Bostonie proszę sprawdzić rozkład. Najlepiej jechać główną linią do Greenfield i przesiąść się, wtedy pozostaje już krótki odcinek podróży. Proponuję dogodny osobowy pociąg z Bostonu o 16:10, w Greenfield jest o 19:35, a do Brattleboro pociąg odjeżdża o 21:19, gdzie przybywa o 22:01. Taki jest rozkład w zwykłe dni tygodnia. Niech mnie Pan powiadomi o dacie przyjazdu, a mój samochód będzie oczekiwał na stacji.

Proszę mi wybaczyć, że ten list piszę na maszynie, ale ostatnio trochę drży mi ręka i nie czuję się na sile pisać odręcznie dłuższych tekstów. Wczoraj kupiłem w Brattleboro maszynę do pisania "Corona" - wydaje mi się całkiem niezła.

Oczekuję wiadomości i wyrażając nadzieję na Pański przyjazd z fonograficznym zapisem i wszystkimi moimi listami... a także ze zdjęciami...

Serdecznie pozdrawiam
Henry W. Akeley
Do Alberta N. Wilmartha, Esq.
Miscatonic University,
Arkham, Mass.

Wszystkie moje uczucia po pierwszym, a potem wielokrotnym czytaniu i rozważaniu tego dziwnego i niespodziewanego listu są nie do opisania. Powiedziałem, że doznałem jednocześnie ulgi i niepokoju, oddaje to jednak tylko powierzchownie zupełnie inne i w dużej mierze podświadome uczucia, w których zawierała się ulga i niepokój. Cała ta historia diametralnie różniła się od całego łańcucha poprzedzających ją koszmarów - a zmiana nastroju od strasznego lęku do spokojnego samozadowolenia, a nawet egzaltacji, była zaskakująca, błyskawiczna i wprost niesłychana! Nie mogłem uwierzyć, żeby w ciągu jednego dnia mógł się człowiek aż tak przeobrazić, żeby takiej zmianie mógł ulec jego stan psychiczny, bo przecież jeszcze w środę przekazał tyle strasznych wiadomości. Chwilami wydawało mi się to wszystko pełne sprzeczności i nierealne, zastanawiałem się, czy cały ten relacjonowany z daleka dramat o owych siłach ze świata fantazji nie jest przypadkiem iluzorycznym snem. Potem jednak przypomniałem sobie zapis fonograficzny i ogarnęło mnie jeszcze większe oszołomienie. List był tak nieoczekiwany, tak zupełnie inny niż wszystkie dotychczasowe! Kiedy zacząłem analizować moje wrażenia, stwierdziłem, że zarysowują się w nich dwie zasadnicze kwestie. Po pierwsze, jeżeli Akeley był i jest nadal zdrowy na umyśle, to zbyt szybko i nieoczekiwanie zmienił stosunek do tej sprawy. Po drugie, jego zachowanie, pogląd na omawiane zjawiska i słownictwo daleko wykraczały poza normę i jakiegokolwiek przewidywania. Cała osobowość tego człowieka zdawała się jakby ulec zdradliwej mutacji - mutacji tak głębokiej, iż trudno było pogodzić te dwa aspekty z przypuszczeniem, że oba reprezentowały jednakowy stan zdrowego umysłu. Dobór słów, budowa zdań - były zupełnie inne. A przy moim wyczuleniu na styl prozy, natychmiast dostrzegłem znaczne rozbieżności w najprostrzych reakcjach i oddźwiękach. Doprawdy wielki to emocjonalny kataklizm albo też wielkie objawienie, skoro spowodowały tak radykalną przemianę. Ale mimo to list zdawał się być dość typowy dla Akeleya. Ta sama dawna pasja w stosunku do nieskończoności, ta sama naukowa dociekliwość. Ani przez

chwilę nie potrafiłem tego traktować jako symulację czy też zmianę stosunku wynikającą ze złości. Czyż samo zaproszenie... chęć, abym osobiście przekonał się o prawdzie zawartej w tym liście, nie świadczyła o jego autentyczności?

W sobotę nie położyłem się spać, całą noc przesiedziałem rozmyślając nad wątpliwościami i zdumiewającymi aspektami tego listu. Mój umysł, zmęczony szybkim następstwem wielkich wydarzeń, jakim musiał stawić czoło w przeciągu ostatnich czterech miesięcy, zmagał się teraz z niezwykle i całkiem nowym materiałem pośród rozlicznych wątpliwości i akceptacji; znowu pokonywałem te same etapy, podobnie jak na początku, kiedy po raz pierwszy zetknąłem się po raz pierwszy z tymi niesłychanymi zjawiskami; nim jeszcze nastał świt, opuściły mnie zdumienie i niepokój, natomiast pałałem płomiennym zainteresowaniem i ciekawością. Bez względu na to, czy było to szaleństwo, czy zdrowy rozsądek, przeobrażenie czy wyzwolenie z lęku, istniała szansa, że Akeley natknął się na coś, co spowodowało zasadniczą zmianę, jeśli chodzi o przyszłość jego ryzykownych badań naukowych; przestało zagrażać niebezpieczeństwo - prawdziwe czy wyimaginowane - otwarły się natomiast oszałamiające i nowe perspektywy dla wiedzy o kosmosie, będącej poza zasięgiem ludzkich możliwości. I we mnie rozgorzał zapal, aby poznać nieznaną, czułem, że ulegam tej zaraźliwej chęci przełamania osobliwej zapory. Odrzucić szalone i męczące ograniczenia czasu, przestrzeni i praw przyrody - przybliżyć się do mrocznych i niezgłębionych tajemnic nieskończoności i ostateczności - o tak, warte to, aby zaryzykować życie, duszę i umysł! A przecież Akeley zapewnił, że żadne niebezpieczeństwo już nie grozi, zaprosił mnie do złożenia mu wizyty, chociaż dotąd ciągle mnie przed tym przestrzegał. Aż dreszcz mnie przechodził na myśl o tym, co teraz może mi powiedzieć - ogarniała mnie prawie że paraliżująca fascynacja, kiedy wyobrażałem sobie, jak zasiądę w samotnej, a tak jeszcze niedawno obleganej farmie, razem z człowiekiem, rozmawiał z prawdziwymi emisariuszami dalekich przestworzy; obok nas

będzie leżał ten straszny zapis i stos listów, w których Akeley zawarł swoje wcześniejsze wnioski.

Tak więc w niedzielę późnym rankiem wysłałem do Akeleya depeszę zawiadamiając go, że przyjadę do Brattleboro w najbliższą środę - 12 września - o ile ten termin jest dla niego dogodny. Tylko pod jednym względem nie zastosowałem się do jego propozycji, a mianowicie z wyborem pociągu. Szczerze mówiąc nie miałem ochoty przybywać do tego nawiedzonego Vermontu późnym wieczorem; nie zaakceptowałem pociągu, jaki mi wybrał, tylko zatelefonowałem na dworzec i wybrałem inne połączenia. Jeśli wstanę rano i wsiądę do pociągu w Bostonie o 8.07, zdążę się przesiąść na pociąg do Greenfield o 9.25, dokąd dojadę o 12.22 i zaraz będę miał pociąg do Brattleboro. Zajadę na miejsce o 13.08, nie o 22.01. Przyjemniej będzie o takiej porze spotkać się z Akeleyem i jechać z nim pośród gęsto skupionych, sekretnie strzeżonych gór. Zawiadomiłem go o tej zmianie telegraficznie i jeszcze przed wieczorem otrzymałem depeszę, z której wynikało, że spotkała się z aprobatą mego przyszłego gospodarza, co mnie bardzo ucieszyło. Jego depesza zawierała następujący tekst:

Wszystko w porządku oczekuję na pociąg pierwsza osiem środa proszę pamiętać o zapisie listach i zdjęciach wszystko w porządku czekają wielkie rewelacje Akeley

Depesza od Akeleya, będąca bezpośrednią odpowiedzią na wysłaną przezemnie depeszę, a niewątpliwie dostarczona mu do domu przez posłańca wprost ze stacji w Townshend albo też przekazana telefonicznie - a więc linia została naprawiona - zatarła wszelkie wątpliwości odnośnie autorstwa tego bulwersującego listu. Doznałem ulgi, większej niż mogłem się w owym czasie spodziewać, ponieważ wszystkie tego rodzaju wątpliwości tkwią

zwykle bardzo głęboko. Spałem tej nocy spokojnie i długo, a następne dwa dni miałem wypełnione przygotowaniem do podróży.

VI

Tak jak zaplanowałem, wyruszyłem we środę z walizką pełną najpotrzebniejszych rzeczy i materiałów naukowych, a także zapisem fonograficznym, zdjęciami i całym stosem listów. Zgodnie z prośbą Akeleya nikogo nie powiadomiłem, dokąd się wybieram, rozumiałem bowiem, że sprawa ta wymaga absolutnej tajemnicy, choć przybrała taki pomyślny obrót. Na samą myśl o prawdziwym umysłowym kontakcie z Istotami Obcymi, z innego świata, czułem oszołomienie, a przecież miałem już w tym zakresie pewne przygotowanie. Skoro więc na mnie wywarło to taki wpływ, to jaki wywarło by na szersze masy laików ? Nie wiem, co bardziej we mnie dominowało, lęk czy chęć przygody, kiedy przesiadałem się w Bostonie i rozpoczynałem długą podróż na Zachód, pozostawiając znajome mi tereny, a wyruszając w nieznaną. Waltham - Concord - Ayer - Fitchburg - Gardner - Athol...

Mój pociąg przyjechał do Greenfield z siedmio minutowym opóźnieniem, ale ekspres zmierzający na północ jeszcze nie odjechał. W pośpiechu zdążyłem się przesiąść. Kiedy wagony turkotały w słońcu wczesnego popołudnia poprzez tereny, o których tylko czytałem, a których nigdy jeszcze nie widziałem, czułem, że z wrażenia zapiera mi dech. Zdawałem sobie sprawę, że wkraczam w zachowującą jeszcze dawny styl życia i bardziej prymitywną Nową Anglię, aniżeli zmechanizowane, wypełnione miastami nadbrzeże i południowe tereny, pośród których spędziłem dotychczasowe życie; była to stara, nieskażona Nowa Anglia, bez cudzoziemców i fabrycznego dymu, bez tablic z ogłoszeniami i asfaltowych dróg, bez nowoczesnej cywilizacji. Tutaj zetknę się z dziwnym tubylczym życiem, które się wcale nie zmienia, a którego korzenie wrosnięte są głęboko w

tutejszy krajobraz. Wciąż żywe dawne wspomnienia użyźniają tę ziemię, pełne sekretnych, cudownych wierzeń, o których jednak nieczęsto się tu mówi.

Co pewien czas migąła mi w słońcu rzeka Connecticut, wkrótce przejechaliśmy przez nią, minąwszy Northfield. Przed nami wyłoniły się zielone, tajemnicze wzgórza, a kiedy pojawił się konduktor, dowiedziałem się, że nareszcie wjechaliśmy na tereny Vermont. Kazał mi cofnąć zegarek o godzinę, ponieważ północna górzysta kraina nie ma nic wspólnego z czasem wprowadzonym gdzie indziej. Zrobiłem, jak mi poradził, ale wydało mi się, że cofnąłem kalendarz o całe stulecie. Linia kolejowa biegła wzdłuż rzeki, a po drugiej stronie, w New Hampshire, wyłaniał się coraz wyraźniej stromy stok Wantastiquet, na temat której krążyły liczne stare legendy. Wkrótce po lewej stronie pojawiły się ulice, a po prawej, pośrodku płynącej tu rzeki, zielona wysepka. Pasażerowie zaczęli się podnosić ze swoich miejsc i gromadzić przy dźwiękach, więc ja też się do nich przyłączyłem. Pociąg przystanął i wysiadłem na długi, kryty peron stacji Brattleboro. Patrząc na czekające przed stacją samochody zastanawiałem się, który z nich jest Fordem Akeleya, ale zostałem rozpoznany, nim jeszcze sam zdołałem przejawić jakąkolwiek inicjatywę. Jednakże człowiek, który podszedł do mnie z wyciągniętą ręką i łagodnym głosem zadał mi pytanie, czy to właśnie ja jestem Albertem N. Wilmarthem z Arkham, nie był na pewno Akeleyem. Pod żadnym względem nie przypominał Akeleya z brodą, znanego mi ze zdjęcia; był młodszy, modnie ubrany, wyglądał na człowieka z miasta, miał małe, ciemne wąsy. Jego głos o kulturalnym brzmieniu wydał mi się dziwnie i wprost niepokojąco znajomy, ale nie potrafiłem go umiejscowić w mojej pamięci. Kiedy mu się przyglądałem, wyjaśnił, że jest przyjacielem mego gospodarza i że przyjechał zamiast niego prosto z Townshend. Powiedział, że Akeley dostał nagle ataku astmy i nie czuł się na siłach, aby wyjechać z domu. To nic poważnego, plany związane z moją wizytą nie ulegają żadnej zmianie. Noyes - tak właśnie się przedstawił - zorientowany był w badaniach

prowadzonych przez Akeleya i jego odkryciach, ale jego niedbały i dość swobodny sposób bycia świadczył raczej o tym, że jest nietutejszy. Pamiętałem dobrze, jak odosobnione i zamknięte życie prowadził Akeley, byłem więc trochę zdziwiony, że z taką łatwością dobrał sobie tego rodzaju przyjaciela; jednakże powyższe wątpliwości nie powstrzymały mnie od zajęcia miejsca w samochodzie, do którego mnie zaprosił. Nie było to małe auto starego typu, jakiego się spodziewałem, zgodnie z opisem Akeleya, tylko duży, nowoczesny wóz - bez wątpienia własność Noyesa, z tablicą rejestracyjną z Massachusetts i zabawnym godłem tego roku w postaci "świętego dorsza". Doszedłem do wniosku, że mój przewodnik zapewne spędza lato w okręgu Townshend.

Noyes usiadł obok mnie w samochodzie i natychmiast ruszyliśmy. Rad byłem, że nie jest specjalnie rozmowny, bo specyficzna atmosfera i związane z nią napięcie nie napełniały mnie ochotą do wymiany zdań. Miasto wyglądało atrakcyjnie w południowym słońcu, kiedy tak mknęliśmy pod górę, a następnie skręciliśmy w prawo na główną ulicę. Zdawało się drzemać, jak wszystkie stare miasta Nowej Anglii, pamiętane z dzieciństwa, zaś kontury dachów, wieżyc, kominów i murów z cegły poruszały struny najgłębszych emocji, przekazanych jeszcze przez dawne pokolenia. Odniosłem wrażenie, że znajduję się u wrót zaczarowanej krainy, na której czas nawarstwia się i nigdy nie mija, a wszystkie stare i niezwykłe zjawiska trwają tu wiecznie, nigdy nie niepokojone. Po minięciu Battleboro napięcie i trapiące mnie przecucia jeszcze bardziej się wzmocniły, bo ten przedziwny krajobraz zatłoczony wzgórzami, pełen groźnych, unoszących się nad wszystkim i napierających zewsząd zielonych i granitowych stoków bezustannie przypominał o kryjących się tu tajemnicach i przetrwałych od niepamiętnych czasów istotach, które mogą być wrogi ludzkości, ale nie muszą. Przez pewien czas jechaliśmy wzdłuż szerokiej, dość płytkiej rzeki, wypływającej z nieznanych gór i dreszcz mnie przeszył, gdy mój współtowarzysz objaśnił, że jest to West River. Przypomniałem sobie

wiadomość zamieszczoną w gazecie, że to właśnie na powierzchni tej rzeki płynęły po powodzi owe straszne istoty podobne do krabów. Okolica stawała się stopniowo coraz bardziej dzika i odludna. Stare, kryte mostki wyłaniały się ze strasznej przepaści w zagłębieniach skalnych, a niemal już zapomniana linia kolejowa biegnąca równoległe do rzeki emanowała prawie widocznym spustoszeniem. W rozległej, groźnie wyglądającej dolinie sterczały ogromne urwiska, dziewiczy granit Nowej Anglii, przeświecający pośród żywej zieleni surową szarością skalnych grani. Widać też było wąwozy, w których dziko płynęły potoki niosąc z sobą ku rzece niepojęte tajemnice tysięcy niedostępnych gór. Co pewien czas rozchodziły się na różne strony wąskie, ledwo widoczne dróżki, które wkraczały w gęste, mroczne lasy, tam pośród starych drzew czaiły się zapewne całe armie nieziemskich duchów. Kiedy to wszystko ujrzałem, przypomniało mi się, jak Akeleya, przejeżdżającego tym właśnie szlakiem, napastowali niewidzialni wysłannicy i już niczemu nie byłem w stanie się dziwić.



W niecałą godzinę dojechaliśmy do Newfane, dość osobliwej, ale ładnej wsi, będącej ostatnim ogniwem łączącym ze światem, który człowiek może nazwać swoim, na zasadzie podboju i zasiedlenia. Pozostawiliśmy za sobą wszystko, co było podporządkowane w sposób bezpośredni i namacalny rzeczywistości, na czym znać było ślad minionego czasu, a znaleźliśmy się w świecie fantazji i spokoju, w którym wąska dróżka niby wstęga wznosiła się, to znów opadała wijąc się kapryśnie, ale jakby świadomie i w określonym celu, pośród bezludnych zielonych wzgórz i prawie pustynnych dolin. Poza warkotem motoru i nikłymi śladami życia w postaci kilku samotnych farm mijanych z rzadka, dobiegały tu zdradzieckie odgłosy szemrzących źródeł,

których niezliczona ilość kryła się w ciemnych, tajemniczych lasach. Bliskość i intymność kopulastych wzgórz zapierała mi dech w piersiach. Były o wiele bardziej strome i urwiste, niż sobie wyobrażałem znając je z opowieści, i zdawały się nie mieć nic wspólnego ze znanym nam prozaicznym światem. Gęste nieuczesane lasy na tych niedostępnych stokach zdawały się kryć w sobie wprost niepojęte i niewiarygodne rzeczy i czułem, że same zarysy tych gór mają jakieś dziwne, a zapomniane już przez całe eony lat znaczenie, tak jak by były olbrzymimi hieroglifami, pozostawionymi tutaj przez jakąś tajemną rasę, której chwała trwa jeszcze niekiedy w głębokich snach. Legendy z dalekiej przeszłości i wszystkie te oszałamiające oskarżenia zawarte w listach Akeleya utkwily w mojej pamięci, a teraz się wyostrzyły potęgując napięcie i poczucie grozy. Cel mojej wizyty oraz związane z nim, a wykraczające poza wszelkie przyjęte normy zjawiska, straszne w swej wymowie, nagle przeszły mnie zimnym dreszczem i prawie odebrały mi zapał do tych dziwnych dociekań naukowych. Mój przewodnik chyba zauważył, że jestem zaniepokojony, bo w miarę jak droga stawała się coraz bardziej dzika i wyboista, a samochód posówał się powoli, co chwila podskakując, jego sporadyczne uwagi przeszły stopniowo w potok słów. Mówił o pięknie i tajemniczości tej krainy, wykazywał pewną znajomość badań folklorystycznych prowadzonych przez Akeleya. Z jego uprzejmych pytań wywnioskowałem, że świadom jest naukowego celu, z jakim wiąże się mój przyjazd, i że przywiozę ze sobą materiały niezwyklej wagi; nie dał jednak poznać po sobie, czy docenia głębię i grozę wiedzy, jaką ostatnimi czasy posiadał Akeley.

Był pogodny, zrównoważony i bardzo uprzejmy, co powinno mi było zapewnić spokój i poczucie bezpieczeństwa; a jednak im dalej wkraczaliśmy w tę nieznaną, dziką krainę gór i lasów, tym bardziej traciłem równowagę wewnętrzną. Chwilami wydawało mi się, że chce mnie wy badać, w jakim stopniu poznałem wszystkie straszne tajemnice związane z tym miejscem, przy czym niemal w każdym jego odezwaniu wyczuwało się coraz wyraźniej

jakąś nieuchwytną, ale kłopotliwą familarność. Nie była to jednak naturalna, spontaniczna familarność, choć głos tego człowieka świadczył o jego kulturze. Łączyłem ją z jakimiś koszmarami nocnymi i czułem, że jeżeli je zidentyfikuję, to chyba oszaleję. Gdybym tylko potrafił wymyślić jakiś sensowny pretekst, to natychmiast bym zawrócił. Ale w tej sytuacji nie mogłem, poza tym przyszło mi na myśl, że spokojna rozmowa z Akeleyem na tematy naukowe na pewno przywróci mi wkrótce równowagę. Niezwykle też kojąco działało piękni tego hipnotycznego krajobrazu, który przemierzaliśmy wspinając się i opadając w sposób wprost fantastyczny. Czas zatracił się w labiryncie, jaki pozostawiliśmy za sobą, zaś wokół nas roztaczała się tylko kwoecista, rozfalowana kraina czarów, w której zawierała się cała wspaniałość minionych wieków - sędziwe lasy, dziewicze łąki opasane wesołym jesiennym kwieciami, a gdzieniegdzie, w dużych odstępach, małe brunatne formy, przycupnięte pośród ogromnych drzew, a poniżej rosły wrzoście i wiechliny, roztaczając wspaniałe zapachy. Nawet słońce miało tu niespotykany blask, tak jakby jakaś specjalna atmosfera albo też opary spowijały cały ten obszar. Nigdy jeszcze nie zetknąłem się z podobną scenerią, można by ją chyba tylko przyrównać do czarodziejskich widoków, jakie bywają tłem włoskiego prymitywnego malarstwa. Sodomia i Leonardo przedatawiali takie krajobrazy, ale tylko w odległym tle i pod sklepieniem renesansowych arkad. Przedzieraliśmy się teraz śmiało przez tę scenerię i wydawało mi się, że pośród otaczających mnie czarów odnajduję coś, co znam już od urodzenia albo co odziedziczyłem, a na próżno zawsze szukałem. Nagle, objechawszy dookoła rozwarty kąt na szczycie stromego wzniesienia, samochód się zatrzymał. Po lewej stronie, za starannie trawnikiem, który ciągnął się do drogi i obrzeżony był białymi kamieniami, wyrastał biały dwupiętrowy dom, ogromny i niezwykle elegancki, a obok, w bliskim sąsiedztwie, stojące w szeregu stodoły i wozownie, zaś z tyłu, bardziej na prawo, wiatrak. Natychmiast rozpoznałem te zabudowania, znane mi z fotografii, nie zaskoczył mnie też napis "Henry Akeley" na skrzynce

pocztowej z cynkowanej blachy, znajdującej się tuż przy drodze. W pewnej odległości za domem rozciągał się błotnisty, z rzadka porośnięty drzewami teren, a za nim wznosiło się strome, porośnięte gęstym lasem wzgórze, którego postrzępiony szczyt pokrywały liściaste drzewa. Wiedziałem, że jest to wierzchołek Dark Mountain, na którą to górę musieliśmy się już wspinać do połowy jej wysokości.

Noyes wziął walizkę i wysiadł z samochodu, a mnie poprosił, abym zaczekał, aż zawiadomi Akeleya o moim przybyciu. On sam, jak wyjaśnił, ma jeszcze załatwić ważną sprawę i zaraz musi ruszać dalej. Poszedł różnym krokiem po ścieżce prowadzącej do domu, ja zaś wysiadłem z samochodu, żeby rozprostować nogi. Teraz, kiedy znalazłem się na tym niesamowitym, wręcz schorzałym terenie, tak złowieszczo opisanym przez Akeleya w listach, znowu opanowało mnie nerwowe napięcie i aż zadrżałem na myśl o czekających mnie rozmowach, które połączą mnie z obcym i zakazanym światem. Bliski kontakt z niezwykłym zjawiskiem częściej przeraża, aniżeli dodaje ptuchy, a świadomość, że na tym właśnie odcinku piaszczystej drogi, po bezksiężycowych nocach lęku i śmierci, znajdowały się te straszne ślady, a także cuchnąca zielona posoka, bynajmniej nie podniosła mnie na duchu. Zauważyłem mimo woli, że wokół domu wcale nie widać psów Akeleya. Czyżby je sprzedał po zawarciu pokoju z Obcymi Istotami? Mimo najlepszych chęci nie mogłem jakoś wykrzesać z siebie wiary w głębię i szczerą spokoju, jaki Akeley wykazywał w swoim ostatnim, a tak bardzo dziwnym liście. Przecież był to w gruncie rzeczy człowiek łatwowierny i niezbyt doświadczony życiowo. A może to nowe przymierze kryje w sobie jakiś ukryty, a złowroźny podtekst? Podążając za myślami oczy moje skierowały się na piaszczystą drogę, z którą wiązały się tak straszne wspomnienia. Ostatnie dni były bezdeszczowe i znać liczne ślady na pobrużdżonej, nierównej drodze, mimo że okolica była raczej rzadko uczęszczana. Z zaciekawieniem przyglądałem się zarysom nierównomiernych śladów, starając się równocześnie powstrzymać cugle

nieokiełznanej, makabrycznej fantazji, którą pobudzało ti zdjęcie i związane z nim wspomnienia. Było coś złowieszczonego i nieprzyjemnego w panującej tu pogrzebowej ciszy, w delikatnych, przytłumionych odgłosach płynących daleko potoków, w gęsto skupionych zielonych szczytach górskich i wzniesieniach pokrytych mrocznym lasem, a zamykających wąski horyzont.



Nagle do mojej świadomości dotarło coś, co pomniejszyło, prawie odebrało sens wszelkiemu poczuciu dotychczasowej grozy i rozhuśtanej wyobraźni. Wspomniałem, że z zaciekawieniem obserwowałem różnorodne ślady na drodze, w pewnym jednak momencie przestało mnie to interesować, ogarnął mnie bowiem paniczny, paraliżujący strach. Chociaż ślady na piaszczystej drodze były niewyraźne i pomieszane i nie zdołałyby przyciągnąć uwagi przypadkowego widza, mój niespokojny wzrok zdołał wychwycić pewne szczegóły w miejscu, gdzie ścieżka prowadząca do domu łączyła się z główną drogą; bez żadnych wątpliwości czy złudnych nadziei rozpoznałem ich straszne znaczenie. Nie na próżno spędziłem całe godziny nad przesłanymi przez Akeleya zdjęciami, na których utrwalone zostały ślady szponów Obcych Istot. Zbyt dobrze je znałem, a także ich zagadkowy kierunek, który znamionował koszmar nie znany istotom tej ziemi. Nie było szansy na jakąś łaskawą pomyłkę. Przed moimi oczami, bez żadnej wątpliwości, widniały świeże, sprzed kilku zaledwie godzin, co najmniej trzy ślady, które wyróżniały się złowrogo wśród zdumiewająco licznych, trochę już zatartych śladów skierowanych w stronę farmy Akeleya i z powrotem. Były to diaboliczne ślady owych żywych grzybów z Yuggoth. W porę opanowałem się i stłumiłem okrzyk. Bo przecież nie było to nic więcej, poza tym, czego mogłem się spodziewać, przyjmując, że naprawdę daje wiarę

listom Akeleya. Poinformował mnie, że zawarł pokój z tymi istotami. Cóż więc dziwnego, że odwiedzają jego dom? Jednak lęk był silniejszy niż wszelkie perswazje. Czyż możliwe jest, aby na kimś, kto po raz pierwszy w życiu ujrzał ślady szponów żywych istot z dalekich przestrzeni kosmicznych, nie zrobiło to wrażenia? W tym właśnie momencie wyszedł z domu Noyes i zbliżał się do mnie rażnym krokiem. Uznałem, że muszę się opanować, bo jest bardzo prawdopodobne, iż ten sympatyczny człowiek nie ma pojęcia o prowadzonych przez Akeleya dogłębnym i tak bardzo niezwykłych badaniach. Noyes powiadomił mnie, że Akeley ucieszył się i oczekuje mnie; co prawda z powodu nagłego ataku astmy nie będzie zdolny przez najbliższe dwa dni wypełniać roli gospodarza tak, jakby sobie życzył. Taki atak zawsze go mocno ścina z nóg, dołącza się zwykle wycieńczająca gorączka i ogólne osłabienie. Zawsze wtedy jest w złej formie - mówi szeptem, nie ma siły się poruszać. Stopy i nogi w kostkach ma spuchnięte, muszą więc być obandażowane jak u starego, zartretyzowanego halabardnika. Dzisiaj jest szczególnie w złej formie, będę więc musiał sam się sobą zająć; mimo tych dolegliwości jest jednak skłonny do rozmowy. Znajdę go w gabinecie, na lewo z hallu. Zamknięte są w nim okiennice, bo kiedy trapi go choroba, oczy jego są szczególnie wrażliwe na światło słoneczne.

Kiedy Noyes pożegnał się ze mną i odjechał autem w kierunku północnym, ruszyłem wolnym krokiem w stronę domu. Drzwi były otwarte, ale nim wszedłem do środka, rozejrzałem się uważnie na wszystkie strony, aby się zorientować, co mnie najbardziej w tym otoczeniu zdumiewa. Stodoły i szopy wyglądały zwyczajnie, a dość sfatygowany Ford Akeleya stał w przestronnym, nie zamkniętym garażu. Nagle uświadomiłem sobie, co mnie tutaj najbardziej zdumiewa. Absolutna cisza. Zwykle farma żyje choćby odgłosami zwierząt, tutaj wogóle nie było śladów życia. Gdzie są kury i świny? Akeley wspominał, że ma kilka krów, zapewne są na pastwisku, a psy chyba musiał sprzedać; jednakże brak gdakania kur czy kwiczenia świń był naprawdę zaskakujący. Nie zatrzymałem się jednak długo na ścieżce,

tylko śmiało wszedłem do domu i zamknąłem za sobą drzwi. Był to z mojej strony akt odwagi połączony z niemałym wysiłkiem psychicznym, ale w momencie, gdy, zamknąłem za sobą drzwi, zapragnąłem się natychmiast wycofać. Wnętrze wcale nie wyglądało groźnie; wręcz przeciwnie, hall w ładnym, późnokolonialnym był nawet bardzo przytulny, świadczył o dobrym smaku człowieka, który go urządzał. Chęć odwrotu powodowało coś zupełnie nieuchwytnego i nieokreślonego. Może był to jakiś dziwny zapach, choć dobrze wiedziałem, że zapach stęchlizny jest powszechnym zjawiskiem nawet w najwspanialszych starych formach.

VII

Żeby wyzwolić się z niepokoju, przypomniałem sobie polecenie Noyesa i otworzyłem znajdującą się na lewo białe drzwi z sześcioma szybkami i mosiężną klamką. Pokój, jak zostałem uprzedzony, tonął w mroku, a dziwny zapach owijał mnie tu jeszcze silniej niż w hallu. Powietrze zdawało się niemal namacalnie poruszać w jakimś rytmie albo wibrować. Z początku niewiele mogłem dostrzec przy zamkniętych okiennicach, ale wkrótce dobiegł mnie ledwo słyszalny szept czy pokasływanie od strony fotela w mrocznym kącie pokoju. Po chwili z głębi mroku wyłoniły się zarysy poblądłej twarzy i rąk; wszedłem więc, aby się przywitać, usiłował bowiem coś mówić. Zorientowałem się, że jest to rzeczywiście mój gospodarz. Wielokrotnie patrzyłem na zdjęcia, toteż ta ogorzała twarz z krótko przyciętą, siwą brodą nie wzbudziła we mnie żadnych wątpliwości. Ale kiedy spojrzałem po raz drugi, ogarnął mnie smutek i niepokój, była to bowiem twarz bardzo chorego człowieka. Wyczuwałem, że przyczyną napięcia i jakby zastygłego wyrazu twarzy oraz nieruchomych, szklistych oczu jest coś więcej aniżeli sama astma. Zrozumiałem wtedy, jak wielkie piętno wywarły na nim wszystkie te straszne przejścia. Czyż nie złamałoby każdego człowieka, młodszego nawet niż ten nieustraszony badacz nieznanego, zakazanego świata? Nagła i niespodziewana ulga, jakiej doznał, przyszła jednak za późno, aby go ocalić od tego, co można by nazwać ogólnym załamaniem. Prawdziwą litość budziły wychudłe, jakby pozbawione życia ręce, spoczywające na kolanach. Miał na sobie luźny szlafrok, głowę i szuję owiązaną jaskrawożółtym szalem albo kapturem.

Znowu zauważyłem, że próbuję coś mówić, takim samym urywanym szepem, jakim mnie powitał. Z początku trudno mi było zrozumieć,

ponieważ siwe wąsy całkowicie zasłaniały poruszające się usta, ale coś w brzmieniu tego szeptu wielce mnie zaniepokoiło; jednakże przy skoncentrowaniu uwagi bez większego trudu chwyciłem sens tego, co mówił. Akcent miał wiejski, ale formułował zdania gładko, o wiele ładniej, niż mogłem się spodziewać znając tylko jego listy.

- Pan Wilmarth, prawda? Proszę mi wybaczyć, że nie wstaję. Jestem chory, pan Noyes wprzegdził pana o tym, ale nie mogłem i bardzo nie chciałem pozbawić się tej przyjemności, jaką jest dla mnie pańska wizyta. Wie pan wszystko z pstatniego mojegolistu, a jeszcze tyle mam do opowiedzenia jutro, jak będę się czuł trochę lepiej. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszę, że mogę poznać pana osobiście po wymianie tyłu listów. Przywiózł je pan ze sobą, prawda? A także zdjęcia i zapisy fonograficzne? Pan Noyes postawił walizkę pana w hallu, sądzę, że ją tam pan zauważył. Dzisiaj będzie pan, niestety, musiał sam się sobą zająć. Pokój przygotowany jest na górze - nad tym pokojem, a przy schodach znajdzie pan otwarte drzwi do łazienki. W jadalni jest przyszykowany dla pana posiłek, proszę się obsłużyć, kiedy będzie pan miał ochotę. Jutro będę już lepszym gospodarzem, dziś jestem słaby i bezradny.

Proszę się czuć jak u siebie w domu. Listy, zdjęcia i zapisy może pan tutaj na stole, nim weźmie pan walizkę na górę. Wszystko będziemy omawiać tutaj, a mój fonograf znajduje się w rogu, na stoliku. Nie, dziękuję, nic mi pan nie może pomóc. Znam te dolegliwości od dawna. Proszę mnie jeszcze, choćby na krótko, odwiedzić wieczorem, a potem może się pan już położyć o dowolnej porze. Ja tutaj będę sobie wypoczywał, może nawet spędzę tu noc, co mi się często zdarza. Jutro rano będę już na pewno w lepszej formie i wtedy sobie porozmawiamy. Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, jak niezwykle rzeczy nas czekają. Przed nami, a takich ludzi niewielu jest na ziemi, zostają otwarte całe otchłanie czasu i przestrzeni, a także wiedzy, będącej poza zasięgiem nauki i filozofii dostępnej człowiekowi. Czy może pan sobie wyobrazić, że Einstein się myli i pewne obiekty mogą się

poruszać z prędkością szybszą niż światło? Wsparty odpowiednią pomocą, mam nadzieję cofnąć się w czasie i wybiec w przyszłość, ujrzeć i zetknąć się namacalnie z odległą przeszłością i całym epokami przyszłości. Nie jest pan w stanie nawet sobie wyobrazić, do jakiego stopnia te istoty rozwinęły naukę. Nie ma rzeczy niemożliwych, jeśli chodzi o umysł i ciało żywych organizmów. Zamierzam nawet zwiedzić inne planety, a nawet gwiazdy i całe galaktyki.

Pierwszą wyprawę odbędę do Yuggoth, jest to najbliższy nam świat, zamieszkały przez te istoty. To bardzo dziwna, mroczna orbita znajdująca się na samym końcu naszego układu słonecznego, nie znana jeszcze astronomom na ziemi. Chyba jednak wspominałem o tym panu w liście. W odpowiednim czasie owe istoty przekażą na ziemię pewne prądy myślowe i wtedy dopiero zostanie odkryta albo też któryś z ich ziemskich sprzymierzeńców wspomni o niej naukowcom. Na Yuggoth są potężne miasta - całe kondygnacje wzniesionych tarasowo wież, zbudowanych z czarnego kamienia, takiego jak ten gład, który usiłowałem panu kiedyś przesłać. Pochodzi właśnie z Yuggoth Słońce tam wcale nie jaśniej niż gwiazda, ale te istoty nie potrzebują światła, mają inne zmysły, o wiele subtelniejsze, poza tym w ich wielkich domach i świątyniach nie ma okien. Światło nawet je razi, przeszkadza i krępuje, bo przecież światło nie istnieje w czarnym kosmosie, z którego się wywodzą, znajdującym się poza zasięgiem czasu i przestrzeni. Pobyt w Yuggoth przyprawiłby każdego słabego człowieka o obłąd, ja się jednak tam wybieram. Czarne, smoliste rzeki, jakie płyną pod tajemniczymi, cyklopowymi mostami - zbudowanymi przez starszą rasę, która przestała istnieć i przeszła w niepamięć, jeszcze zanim te istoty przybyły na Yuggoth z najbardziej odległych przestrzeni kosmicznych - wystarczyłyby, aby uczynić z każdego człowieka Dantego albo Poego, byle tylko zachował zdrowy umysł i mógł opowiedzieć to wszystko, co widział. Proszę jednak pamiętać, że mroczny świat grzybiastych ogrodów i miast bez okien wcale nie jest straszny. Tylko nam może się tak wydawać. Najprawdopodobniej wydawał

się też straszny owym istotom, które go po raz pierwszy odkryły w dawnych wiekach. Bo proszę sobie wyobrazić, że owe istoty były tutaj jeszcze przed końcem legendarnej epoki Cthulhu i pamiętają zatopione miasto R'lyeh, kiedy jeszcze było na powierzchni. Były również w głębi ziemi, gdzie znajdują się przestrzenie, o jakich człowiek nie ma nawet pojęcia - niektóre na przykład w pobliskich górach w Vermont - a gdzie znajdują się nieznanne nam światy, w których toczy się życie; niebiesko oświetlony K'n-yan, czerwono oświetlony Yoth i czarny pozbawiony wszelkiego światła N'kal. To właśnie z N'kal przybył straszny Tsothoggua - wie pan, ten amorficzny, przypominający żabę bóg, który wymieniony jest w "Pnakotic Manuscripts", w "Necronomicon" i w całym cyklu mitów Commoriom, zachowanych przez wielkiego kapłana Klarkash-Ton z Atlantydy. Ale o tym porozmawiamy później. Jest już chyba godzina czwarta albo piąta. Proszę wyjąć cały materiał z walizki, coś przekąsić i potem wrócić na miłą pogawędkę.

Z wolna poruszyłem się, aby wykonać polecenie mego gospodarza; wzięłem walizkę, wyjąłem przywiezione listy, zdjęcia i zapisy fonograficzne, a następnie wszedłem na górę, do przeznaczonego dla mnie pokoju. Miałem jeszcze w pamięci świeże ślady widziane na drodze, tym bardziej więc wszystko to, co Akeley opowiedział, zrobiło na mnie wrażenie; a jego o nieznanym świecie grzybnego życia - niedostępnym Yuggoth - przeszła mnie dreszczem przerażenia. Współczułem Akeleyowi, że jest chory, ale muszę wyznać, że jego chropowaty szept budził zarówno litość, jak i odrazę. Wolałbym, żeby się tak nie upajał z powodu Yuggoth i jego mrocznych tajemnic. Mój pokój okazał się bardzo przyjemny, nie czuło się w nim stęchlizny ani tej nieprzyjemnej wibracji; zostawiłem walizkę i zszedłem na dół, aby zjeść lunch przygotowany przez Akeleya. Jadalnia znajdowała się tuż za gabinetem, a kuchnia, jak zauważyłem, jeszcze dalej, w tym samym kierunku. Na stole w jadalni była pełna taca kanapek, ciasto, ser, a tetrmos postawiony obok filiżanki ze spodkiem świadczył o tym, że gospodarz nie zapomniał o gorącej kawie. Zjadłem wszystko ze smakiem, po czym nalałem

sobie trochę kawy, ale stwierdziłem, że tutaj zabrakło Akeleyowi kulinarnych umiejętności. Już przy pierwszym łyku kawa wydała mi się cierpka, więc ją odstawiłem. Podczas posiłku nie przestałem myśleć o moim gospodarzu, siedzącym samotnie w sąsiednim ciemnym pokoju. Nawet wszedłem do niego proponując, aby zjadł coś razem ze mną, ale powiedział, że jeszcze, niestety, nie może nic jeść. Później, przez samym snem, napije się trochę słodkiego mleka, bo nic więcej dzisiaj tknąć nie może. Po lunchu posprzątałem talerze ze stołu i pozmywałem w kuchni, gdzie wylałem też kawę, która mi nie smakowała. Potem wróciłem do ciemnego gabinetu i przysunąwszy sobie krzesło bliżej fotela Akeleya, gotów byłem do rozmowy. Listy, zdjęcia i zapisy fonograficzne leżały na stole, ale na razie nie mieliśmy z nich korzystać. Wkrótce prawie całkiem zapomniałem o unoszącym się tu przykrym zapachu i dziwnej wibracji powietrza.



Wspomniałem już, że pewnych spraw, o których Akeley pisał w swoich listach - zwłaszcza w drugim, najobszerniejszym - nie miałbym odwagi zacytować ani też wyrazić słowami na papierze. A wszystko, co usłyszałem owego wieczoru w tym ciemnym gabinecie, pośród samotnych, nawiedzonych gór, jeszcze bardziej mnie w tym utwierdziło utwierdziło. Nawet nie mogę nie mogę wspomnieć o tych strasznych koszmarach, jakie zostały mi objawione ochrypłym szeptem. Akeley już przedtem się z nimi zaznajomił, ale to, czego się dowiedział po zawarciu paktu z Obcymi Istotami, przekracza wytrzymałość zdrowego umysłu. Nawet jeszcze teraz nie dopuszczam do siebie, nie chcę wierzyć w to, co mówił o nieskończoności, o zestawieniu wymiarów i strasznej pozycji znanego nam świata przestrzeni i czasu w bezkresnym łańcuchu połączonych ze sobą

atomów, które tworzą najbliższy superkosmos linii krzywych, kątów oraz zbudowanej z materi i semimaterii eelektronicznej struktury. Nigdy jeszcze zdrowy na umyśle człowiek nie znalazł się w takiej bliskości tajemnic fundamentalnego istnienia - nigdy jeszcze mózg organiczny nie był bliżej całkowitego unicestwienia w chaosie górującym nad formą, siłą i symetrią. Dowiedziałem się, skąd przybył Cthulhy i dlaczego połowa obecnych wielkich gwiazd zaświeciła. Poznałem - na podstawie aluzji, i mojego gospodarza nastroiły bojaźliwie - tajemnicę kryjącą się za Obłokiem Magellana i sferycznymi mgławicami oraz czarną prawdę ukrytą w odwiecznej alegorii Tao. Została przedemną odsłonięta sama istota Doels, a także sama istota (ale nie źródło) Hounds of Tindalos. Legenda o Yigu, Ojcu Węży, przestała już być symboliką i aż drgnąłem z odrazy, kiedy dowiedziałem się o ogromnym nuklearnym chaosie panującym za posiadającą kąty przestrzeni, która w "Necronomicon" jest łaskawie zamaskowana pod nazwą Azathoth. To naprawdę szokujące, kiedy najbardziej ohydne koszmory tajemniczych mitów zostają wyjaśnione za pomocą konkretów, które w swojej strasznej, schorzałej symbolice przewyższają najśmielsze aluzje starożytnych i średniowiecznych mistyków. Wszystko to w sposób nieuchronny miało mnie przekonać, że ci, jako pierwsi przekazali te przekłete opowieści, odbyli przedtem rozmowy z Obcymi Istotami, z którymi właśnie nawiązał kontakt Akeley, i najprawdopodobniej zrobili też wyprawę do dalekich świarów w kosmosie, jaką teraz właśnie proponował Akeley. Opowiedział mi też o czarnym kamieniu i jego roli, byłem więc rad, że nigdy do mnie nie dotarł. Okazało się, że prawidłowo odczytałem hieroglify ! A mimo to Akeley ustosunkował się pojedynczo do tego szatańskiego systemu, na jaki się natknął; mało tego, pragnął zapaść się głęboko w tę potworną otchłań. Zastanawiałem się, z jakimi to istotami przeprowadził rozmowę od ostatniego listu, jaki do mnie napisał, i czy wśród nich było więcej takich istot ludzkich, jak pierwszy emisariusz, o którym wspominał. Byłem napięty do ostatnich granic, a jednocześnie cisnęły mi się

do głowy najdziksze teorie związane z tym przedziwnym, uporczywym zapachem, jaki się tu unosił, i zdradzieckim wibrowaniem powietrza w mrocznym gabinecie.

Zapadła już noc, a mnie przypomniało się nagle wszystko, co Akeley pisał o poprzednich nocach, i zadrzałem na samą myśl, że może nie być księżycowa. Równie nieprzyjemna była świadomość, że farma znajdowała się tuż przy ogromnym, gęsto zalesionym stoku prowadzącym wprost do niedostępnego szczytu Dark Mountain. Akeley zgodził się na zapalenie małej lampy naftowej, tylko życzył sobie, abym przekręcił knot i postawił ją na stojącej w pewnym oddaleniu szafie bibliotecznej, obok upiornego popiersia Milтона; potem jednak żałowałem, że to zrobiłem, bo w świetle pełna napięcia, nieruchoma twarz Akeleya i spokojnie spoczywające ręce wyglądały jak nieprawdziwe i pozbawione życia. Wydawało się, że jest niezdolny do jakiegokolwiek ruchu, choć zauważyłem, że co pewien czas jakby się kiwał sztywno. Po tym, co już powiedział, nie starczyło mi wyobraźni, jakie jeszcze wielkie tajemnice może mieć do odkrycia jutro; w końcu jednak okazało się, że głównym tematem dnia jutrzejszego będzie wyprawa do Yuggoth i dalej - oraz mój ewentualny w niej udział. Popadłem w przerażenie, kiedy wspomniał o moim udziale w kosmicznej wyprawie, co go musiało ogromnie ubawić, bo głowa nagle mu aż się zatrzęsała. Opowiedział mi więc głosem łagodnym, w jaki sposób istoty ludzkie mogą to osiągnąć - parokrotnie już to miało miejsce - choć lot w przestrzenie międzygwiazdne wydaje się zupełnie nieprawdopodobny. Okazało się, że w wyprawie takiej rzeczywiście nie może uczestniczyć całe ciało człowieka, ale Obce Istoty posiadają ogromne umiejętności chirurgiczne, biologiczne, chemiczne oraz wielką sprawność techniczną i potrafią przenieść mózg człowieka bez całej współzależnej struktury fizycznej. Istnieje zupełnie nieszkodliwy sposób oddzielania mózgu przy jednoczesnym zachowaniu ciała przy życiu. Nagi organ mózgowy zostaje umieszczony w specjalnym płynie wewnątrz wypełnionego powietrzem cylindra, wykonanego z metalu

pochodzącego z Yuggoth, przez który przechodzą specjalne elektrody i łączą się w każdej chwili z precyzyjnymi instrumentami, które są w stanie zastąpić trzy istotne zmysły; wzroku słuchu i mowy. Skrzydlate, grzybiaste istoty bez żadnego trudu przenoszą cylinder z mózgiem poprzez całą przestrzeń kosmiczną. Na każdej planecie, na której rozwinięta jest cywilizacja, posiadają pomocnicze instrumenty, które mogą być podłączone do umieszczonego w cylindrze mózgu; i tak po odpowiednim dopasowaniu podróżujący mózg zostaje obdarzony pełnymi właściwościami czucia i artykułowanego życia - mimo że pozbawiony jest ciała i mechanicznego działania - na każdym etapie podróży w przestrzeni i czasie, a także poza ich zasięgiem. Jest to równie proste, jak przeniesienie fonograficznego zapisu i nastawienie go wszędzie tam, gdzie fonograf może działać. Nie ma żadnych wątpliwości, jeśli chodzi o powodzenie tego przedsięwzięcia Akeley niczego się nie obawiał. Czyż nie dokonano już tego wielokrotnie i z pełnym sukcesem?

Po raz pierwszy Akeley uniosł nieruchomą, spoczywającą dotąd beczynną rękę i wskazał sztywno na wysoką półkę po drugiej stronie pokoju. Tam w równym szeregu, stało kilkanaście cylindrów z metalu, jakiego nigdy jeszcze nie widziałem - wysokości jednej stopy i mniej więcej tegoż wymiaru średnicy, z trzema zagadkowymi wklęsłościami w równoramiennej trójkącie na wypukłym froncie każdego cylindra. Jeden z nich połączony był w dwóch wklęsłościach z dwoma dziwnie wyglądającymi aparatami stojącymi z tyłu. Ich znaczenia nie trzeba mi było wyjaśniać, przeszył mnie lodowaty dreszcz. Po chwili zauważyłem, że ręka wskazuje na jakieś zagadkowe aparaty stojące w najbliższym rogu pokoju, do których przyłączone są sznury i wtyczki, a przypominające aparaty na półce za cylindrami.

- Są tutaj cztery rodzaje aparatów, panie Wilmarth - usłyszałem cichy szept. - Cztery rodzaje - a do każdego trzy pomocnicze - to razem dwanaście. Bo widzi pan, istnieją cztery grupy różnych istot reprezentowanych przez

owe cylindry tam na górze, w tym trzy istoty ludzkie, sześć istot grzybiastych, które nie mogą podróżować w przestrzeni kosmicznej cieleśnie, dwie istoty z Neptuna (Boże, żeby pan mógł zobaczyć, jak wyglądają na swojej własnej planecie) oraz istoty z centralnych pieczar na niezwykle ciekawej ciemnej gwiazdzie znajdującej się poza galaktyką. Na głównym posterunku w głębi Round Hill może pan spotkać więcej takich cylindrów i instrumentów, w których znajdują się mózgi z kosmosu, obdarzone zupełnie innymi zmysłami niż te, które są nam znane - są to sprzymierzeńcy i badacze najbardziej odległych światów - a także instrumentów dostarczających owym mózgom specjalnych wrażeń i możliwości wyrażania ich odczuć, odpowiednio do nich dopasowanych, a jednocześnie do różnego rodzaju słuchaczy. Round Hill, jak większość posterunków tych istot w całym wszechświecie, ma charakter kosmopolityczny. Mnie, oczywiście, zostały wypożyczone dla przeprowadzenia eksperymentu tylko prostsze formy tych cylindrów.

Proszę wziąć trzy instrumenty, które panu wskazuje, i postawić je na stole. Ten wysoki z dwoma szklanymi soczewkami na froncie, potem pudełko z pustymi tubami i odgłośnikiem i pudełko z metalowym krążkiem na górze. Teraz cylinder z nalepką "B-67". Teraz proszę stanąć na tym rzeźbionym krześle i sięgnąć do półki. Ciężkie? Nie szkodzi. Tylko proszę się nie pomylić - "B-67". Niech pan nie zwraca uwagi na ten nowy, błyszczący cylinder podłączony do dwóch pomiarowych instrumentów, na którym wypisane jest moje nazwisko. Proszę postawić B-67 na stole, obok instrumentów, w takiej pozycji, żeby tarcza z przełącznikami przy wszystkich trzech instrumentach znajdowała się z lewej strony. Teraz trzeba połączyć sznur biegnący od soczewek a gniazdkiem na górze cylindra... o tam! Następnie tubowy instrument z niższym gniazdkiem po lewej stronie i aparat z krążkiem do zewnętrznego gniazdka. Teraz proszę przesunąć wszystkie aparaty tak, żeby przełączniki znalazły się po prawej stronie - najpierw soczewka pierwsza, potem krążek pierwszy i tuba pierwsza. W porządku.

Jednocześnie chciałbym pana poinformować, że tym razem jest to istota ludzka... jak każdy z nas. Inne wypróbujemy jutro. Po dziś dzień nie rozumiem, dlaczego tak niewolniczo słucałem szeptanych poleceń, i nie wiem, czy Akeley był zdrowy na umyśle, czy chory. Po tych wydarzeniach mogłem się właściwie spodziewać wszystkiego; ta mechaniczna maskarada wyglądała jak typowa fantazja zwariowanych wynalazców i ludzi nauki i wzbudziła we mnie większe wątpliwości, niż niedawna dysputa. Wszystko, co ten człowiek mówił, przekraczało granice ludzkiej wiary - ale czyż inne rzeczy nie przekraczały jeszcze bardziej, a wydawały się mniej absurdalne tylko dlatego, że były tak dalekie od namacalnych, konkretnych dowodów?



Umysł mój błąkał się w zupełnym chaosie, nagle jednak dobiegło mnie skrzypienie i warkot od strony wszystkich trzech aparatów podłączonych do cylindrów, ale wkrótce zaległa cisza. Co ma nastąpić? Czyżbym miał usłyszeć głos? A nawet jeżeli tak, to jakimam dowód na to, że nie jest to jakieś specjalne, sprytnie wmontowane radio, w którym mówi ukryty i pilnie strzeżony spiker? Nawet jeszcze teraz nie miałbym ochoty potwierdzać tego, co usłyszałem, ani też tego, co się zdarzyło w mojej obecności. Coś jednak bez wątpienia się zdażyło. Wyjaśnię to pokrótce; otóż aparat z tubami i głowicą akustyczną zaczął mówić w sposób nie budzący wątpliwości, że ktoś jest w nim rzeczywiście obecny i obserwuje nas. Głos był silny, metaliczny, bez życia, czysto mechaniczny, pozbawiony modulacji czy jakiegokolwiek ekspresji, słycać było zgrzytanie i trzaski, ale wszystko pełne szalonej precyzji i świadomego działania.

- Panie Wilmarth - powiedział - mam nadzieję, że nie przestraszę pana. Jestem taką samą istotą ludzką jak pan, tylko że ciało moje spoczywa teraz

bezpiecznie, odpowiednio zasilone życiem, w głębi Round Hill, około półtorej mili na wschód od tego miejsca. Ja natomiast jestem tutaj z panem, mój mózg znajduje się w tym cylindrze, a widzę, słyszę, i mówię dzięki elektronicznym wibracjom. Za tydzień wyruszam w podróż poprzez próżnię, robiłem to już zresztą kilkakrotnie, i mam nadzieję odbyć tę podróż w miłym towarzystwie pana Akeleya. Pragnąłbym odbyć ją również i w pańskim towarzystwie. Znam pana z widzenia i z opinii, jaką się pan cieszy, śledziłem też korespondencję pomiędzy panem i jego przyjacielem. Należę do tych ludzi, którzy się sprzymierzyli z Obcymi Istotami odwiedzającymi naszą planetę. Po raz pierwszy zetknąłem się z nimi w Himalajach, gdzie udzielałem im różnego rodzaju pomocy. Ja zaś dzięki nim, w rewanżu, doświadczyłem rzeczy, jakie niewielu ludziom przypadają w udziale.

Czy zdaje sobie pan sprawę, co to znaczy, kiedy powiem, że byłem już na trzydziestu siedmiu różnych ciałach niebieskich - planetach, ciemnych gwiazdach i mało zidentyfikowanych obiektach - w tym na ośmiu poza naszą galaktyką i dwóch poza zakrzywieniem czasoprzestrzeni? Wszystkie te wyprawy nie przyniosły mi najmniejszej szkody. Mózg mój został odłączony od ciała w sposób tak zręczny, że trudno by to nazwać operacją chirurgiczną. Istoty odwiedzające naszą planetę mają metody, dzięki którym oddzielenie mózgu jest czynnością łatwą i niemalże normalną - przy czym ciało, po odłączeniu mózgu, wcale się nie starzeje. Natomiast mózg, chciałbym tu dodać, podłączony do mechanicznych aparatów pomocniczych i w pewnym stopniu karmiony wymienianym co pewien czas konserwującym płynem, jest absolutnie nieśmiertelny. Szczerze pragnę, aby się pan zdecydował na wypraw wraz ze mną i panem Akeleyem. Istoty przybywające na naszą planetę chętnie zawierają znajomość z ludźmi posiadającymi taką wiedzę jak pan i równie chętnie pokazują olbrzymie otchłanie, o jakich nam się nie śni w najbardziej fantastycznych marzeniach. Przy pierwszym zetknięciu z nimi doznaje się dość dziwnego wrażenia, wiem jednak, że pan wstosunkuje się do tego, jak trzeba. Sądzę, że pan Noyes też się z nami wybierze, ten, który

przywiózł pana tutaj swoim samochodem. Od wielu już lat należy do naszego grona, chyba rozpoznał pan jego głos, utrwalony w zapisie, jaki wysłał pan Akeley. Widząc, że drgnąłem, mówiący przerwał na chwilę, po czym ciągnął dalej:

- Pozostawiam więc panu tę sprawę do rozstrzygnięcia, panie Wilmarth, dodam tylko, że człowiek, który tak żarliwie interesuje się wszystkim, co wykracz poza przeciętność, a także folklorem, powinien skorzystać z takiej szansy. Nie ma żadnych powodów do obaw. Wszelkie zabiegi są bezbolesne, można się zachwycać techniką dokonywania zmian. Kiedy odłącza się elektrody, mózg zapada w sen pełen żywych i fantastycznych marzeń.

A teraz, jeśli pan pozwoli, odłożymy nasze spotkanie do jutra. Dobranoc, i proszę odwrócić wszystkie przełączniki w lewą stronę. Teraz już nie musi pan tak dokładnie przestrzegać kolejności, ale lepiej obsłużyć aparaty z soczewkami na końcu. Dobranoc, panie Akeley, proszę zadbać o naszego gościa. Czy już obsłużył pan przełączniki?

I to wszystko. Mechanicznie wykonałem polecenie i przesunąłem wszystkie trzy przełączniki, choć trawiły mnie rozmaite wątpliwości odnośnie tego, co się tutaj zdarzyło. W głowie miałem straszny zamęt, gdy usłyszałem szept Akeleya, który kazał mi zostawić całą aparaturę na stole. Nie skomentował ani jedną uwagą tego, co się wydarzyło, choć prawdę mówiąc, żaden komentarz niewiele by mi wyjaśnił, a może wogóle nie dotarłby do mojej skołowanej głowy. Powiedział tylko, że mogę sobie wziąć lampę do pokoju, zrozumiałem więc, że chce pozostać sam i odpocząć. Z pewnością powinien już odpocząć, popołudniowa i wieczorna rozmowa wyczerpałyby najbardziej żywotnego człowieka. Wciąż jeszcze oszołomiony powiedziałem mu dobranoc i udałem się z lampą na górę, choć miałem wspaniałą kieszonkową latarkę. Zadowolony byłem, że mogę opóścić ten gabinet przesycony dziwnym zapachem i nieokreśloną wibracją, ale nie mogłem, niestety, uciec od poczucia koszmarnego lęku i zagrożenia, i od kosmicznej potworności, jaką przesiąknięte było całe to miejsce, i mocy,

jakie tu napotkałem. Dziki, bezludny teren, ciemny, porośły tajemniczym lasem stok góry, wznoszącej się tuż za domem, ślady na drodze, chory, nieruchomy człowiek szepczący w ciemności, diaboliczne cylindry i aparaty, a do tego jeszcze zaproszenie do niesłychanej operacji i jeszcze bardziej niesłychanych podróży - wszystko to, tak niespodziewane i tak nagłe, napierało na mnie ze zdwojoną mocą, która wysłała ze mnie całą siłę woli i prawie całkiem podkopała moje siły fizyczne.

A już szczególnie zaskoczyło mnie odkrycie, że mój przewodnik, Noyes, był celebrantem tego sabatowego rytuału utrwalonego na fonograficznym zapisie, choć przecież wyczuwałem, że ten odrażający, bezdźwięczny głos jest mi skądś znany. Byłem też głęboki poruszony moim stosunkiem do Akeleya; jego listy usposobiły mnie przyjaźnie, teraz jednak budził we mnie tylko odrazę. Powinienem mu współczuć w chorobie, a ja tylko otrząsałem się z obrzydzenia. Siedział sztywno i bezwzględnie niczym trup, a jego ustawiczny szept był jakże nienawistny i nieludzki! Stwierdziłem, że takiego szepetu jeszcze w życiu nie słyszałem, że mimo dziwnie nieruchomych, osłoniętych wąsami ust, szept ten miał jakąś utajoną moc i roznosił się o wiele donośniej, niż można by się tego spodziewać po charczącym astmatyku. Słyszałem go i rozumiałem z każdego miejsca w pokoju, a parę razy wydało mi się nawet, że ten cichy, lecz przenikliwy głos, wcale nie świadczył o słabości, ale jest świadomie przytłumiony - tylko że nie mogłem się zorientować, z jakiego powodu. Od samego początku coś mnie niepokoiło w brzmieniu tego głosu. Teraz, kiedy zacząłem się nad tym zastanawiać, doszedłem do wniosku, że głos ten budził we mnie podobne odczucia, jak głos Noyesa, tak dziwnie złowieszczy. Ale kiedy i gdzie zetknąłem się z czymś, co spowodowało takie skojarzenia, nie potrafiłem powiedzieć.



Jednego byłem pewien - nie spędzę już w tym domu następnej nocy. Cały mój naukowy zapal zatracił się w lęku i odrazie, pragnąłem tylko, aby się jak najprędzej wydostać z tego siedliska choroby i nienaturalnych zjawisk. Wystarczy mi to, czego się dowiedziałem. Niewątpliwie muszą istnieć jakieś powiązania ze wszechświatem - są to jednak zagadnienia, z którymi normalny człowiek nie może mieć do czynienia. Wydawało mi się, że zewsząd otaczają mnie jakieś bluźniercze siły, że napierają na wszystkie moje zmysły, że się po prostu duszę. O spaniu mowy być nie mogło, zgasilem tylko lampę i rzuciłem się w ubraniu na łóżko. To na pewno absurd, ale przez cały czas byłem w pogotowiu na wypadek niespodziewanego zagrożenia; w prawym ręku trzymałem rewolwer, który ze sobą przywiozłem, a w lewym latarkę. Z dołu nie dochodziły żadne odgłosy, oczami wyobraźni widziałem jednak, że mój gospodarz siedzi w ciemności sztywny jak trup. Rozległo się tykanie zegara i doznałem ulgi słysząc te normalne dźwięki. Ale z kolei uświadomiłem sobie jeszcze jedną niepokojącą rzecz - absolutny brak zwierząt na tym terenie. Z pewnością nie było na farmie zwierząt gospodarskich, ale nie słychać też było tak typowych nocą odgłosów dzikiej zwierzyny. Gdzieś tylko z dali dolatywał złowrogi szum niewidzialnych rzek, ale poza tym wokoło zalegała cisza, nienormalna, międzyplanetarna. Zastanawiałem się, jaka to niepojęta, zrodzona wśród gwiazd klątwa wisi nad tą ziemią. Przypomniały mi się stare legendy, wedle których psy i inne zwierzęta nie cierpiały Obcych Istot, a jednocześnie zastanawiałem się, co mogą oznaczać widziane przeze mnie ślady na drodze.

VIII

Nie należy mnie pytać, jak długo trwała moja drzemka, w którą nieoczekiwanie zapadłem, albo też ile z tego, co się potem zdarzyło, było zwykłym snem. Jeżeli powiem, że w pewnym momencie się zbudziłem, że usłyszałem i zobaczyłem różne rzeczy, ktoś może powiedzieć, że się po prostu wcale nie zbudziłem i że wszystko było snem, aż do momentu, kiedy wypadłem z domu, pomknąłem do szopy, w której przedtem zauważyłem stojącego tam starego Forda, wskoczyłem do tego wehikułu i puściłem się szalonym pędem, nie bacząc na kierunek, poprzez te nawiedzone wzgórza, które w końcu zawiodły mnie - po całych godzinach podskakiwania na nierównościach i krążenia pośród groźnych labiryntów leśnych - do wsi Townshend.

Zapewne też nie spotka się z uznaniem to wszystko, co zawarłem w moim raporcie; można bowiem twierdzić, że zdjęcia, głosy utrwalone przez fonograf i dobywające się z cylindra oraz wszelkie inne, podobne im dowody były po prostu zwykłym oszukaństwem, jakie na mnie praktykował nieosiągalny już Henry Akeley. Można również przypuszczać, że miał spisek z innymi ekscentrykami i razem uknuli ten głupi i bardzo wymyślny figiel, że miał ekspresową agencję wysyłkową w Keene, a zapisy fonograficzne wykonał dla niego Noyes. Dziwny wydaje się fakt, że jak dotąd Noyes nie został zidentyfikowany, nikt nie znał go w żadnej z pobliskich wsi, choć z pewnością często bywał na tym terenie. Ciągłe usiłuję sobie przypomnieć numer rejestracyjny tego samochodu, czasem nawet wolałbym już z tego zrezygnować, ale może lepiej, żebym nie rezygnował. Bo mimo wszystko, co można na ten temat powiedzieć i co ja sam nieraz usiłuję sobie mówić, wiem że w tych niezbadanych górach czają się odrażające wpływy świata

zewnątrznego i że mają swoich szpiegów i emisariuszy w świecie zamieszkałym przez ludzi. Jedyne, czego pragnę w dalszym życiu, to trzymać się z daleka od tych wpływów i tych emisariuszy.

Po mojej przerażającej opowieści szeryf wysłał oddział swoich ludzi na farmę, ale Akeley zniknął bez śladu. Szlafrok, żółty szal i bandaż, którymi miał owiązane nogi, leżały w gabinecie na podłodze koło fotela stojącego w rogu, nie wiadomo natomiast, co się stało z resztą jego garderoby, może zniknęła razem z nim. Nie było psów, ani żadnego inwentarza żywego, na ścianach zewnętrznych domu, a także i wewnątrz, widniały ślady po kulach. Nic jednak więcej nie zdołano tu zauważyć, co by mogło zwrócić uwagę. Nie było żadnych cylindrów ani aparatów, materiałów, jakie przywiozłem w walizce, zniknął dziwny zapach i poczucie wibracji w powietrzu, ślady na drodze, nie pozostało nic z tych wszystkich dziwów, które jeszcze tak niedawno oglądałem. Po mej ucieczce jeszcze przez tydzień przebywałem w Brattleboro i rozmawiałem z różnymi osobami, które znały Akeleya; w rezultacie przeprowadzonych rozmów upewniłem się tylko, że całe wydarzenie nie było zjawą senną ani ułudą. Faktem niezbitym był zakup przez Akeleya psów, amunicji i chemikaliów, a także przecinanie przewodów telefonicznych; natomiast ci, którzy go znali - łącznie z jego synem w Kalifornii - uważali, że jego okazjonalne wzmianki o przeprowadzanych dziwnych badaniach nie były pozbawione logiki. Różni godni zaufania obywatele twierdzili, że był szalony, i bez cienia wątpliwości uważali wszystkie wymienione dowody za zwykłe oszustwo spreparowane z chorobliwym sprytem przy udziałw ekscentrycznych, współdziałających z nim ludzi; natomiast zwykli, prości ludzie na wsi zgadzali się z każdym szczegółem jego zeznań. Pokazywał tym wieśniakom niektóre zdjęcia, a także czarny kamień, przesłuchiwał z nimi ten strasznu zapis fonograficzny; wszyscy orzekli, że zarówno ślady, jak i bzyający głos znajdują potwierdzenie w starych legendach. Mówiono też, że kiedy Akeley znalazł czarny kamień, wokół jego farmy zaczęło się dzieć coś dziwnego, rozlegały

się jakieś głosy. Wszyscy zaczęli unikać tego miejsca, poza listonoszem albo jakimiś przypadkowymi, ale odpornymi nerwowo ludźmi. Dark Mountain i Round Hill są wciąż jeszcze nawiedzane i nie znalazłbym nikogo, kto by kiedykolwiek usiłował tam dotrzeć. Pobliscy mieszkańcy dobrze wiedzieli, że od dawna już znikają co pewien czas z tych okolic różni ludzie, a ostatnio zniknął nawet znany włóczęga Walter Brown, o którym Akeley wspominał w listach. Udało mi się spotkać farmera, który widział dziwne ciała płynące z nurtem West River, jednakże jego opowieść zbyt zagmatwana aby można ją potraktować poważnie.

Kiedy opóściłem Brattleboro, postanowiłem, że już nigdy więcej nie wrócę do Vermont, i jestem przekonany, że wytrwam w swoim postanowieniu. W tych dzikich górach z pewnością istnieje placówka owej strasznej rasy z kosmosu, kiedy przeczytałem wiadomość, że za Neptunem dostrzeżono nową, dziewiątą planetę, jak zapowiedziano u Akeleya, mam coraz mniej wątpliwości. Astronomowie, w sposób niezwykle prawidłowy, z czego pewnie wcale nie zdawali sobie sprawy, nazwali ją "Pluto". A ja uważam, a nawet mam pewność, że jest to właśnie spowite wiecznym mrokiem Yuggoth. Przyznam się, że przeszywa mnie dreszcz lęku, kiedy rozmyślam, dlaczego te straszne istoty zapragnęły, aby właśnie teraz ta planeta stała się znana na ziemi. Staram się zachować spokój i wierzyć, że te demoniczne stwory nie stosują jakiejś nowej taktyki, która ma wyrządzić krzywdę ziemi i jej mieszkańcom, ale nie przychodzi mi to łatwo. Wciąż jednak nie opisałem jeszcze, w jaki sposób skończyła się moja straszna noc na farmie. Jak już wspomniałem, zapadłem w dość przykrą drzemkę, podczas której w sennej jawie przesówały się przed moimi oczami straszne krajobrazy. Nie potrafię jednak powiedzieć, co mnie zbudziło, ale jestem pewien, że zbudziłem się w tym konkretnym momencie. Najpierw usłyszałem skrzypnięcie podłogi w hallu przy moich drzwiach i nieprzyjemne, stłumione gmeranie w zamku. Natychmiast jednak ustało; ale najbardziej jasno uświadomiłem sobie głosy, jakie mnie dobiegły z gabinetu na parterze.

Wydawało mi się, że jest tam kilka osób, a rozmowa jest mocno kontrowersyjna. Po kilku chwilach nasłuchiwania byłem już na dobre rozbudzony, gdyż głosy te miały takie brzmienie, że myśl o spaniu każdemu wydałaby się śmieszna. Ich tonacja była dość zróżnicowana, a jeśli komuś zdarzyłoby się wysłuchać kiedykolwiek zapisów fonograficznych, przestałby mieć wątpliwości, co do dwóch przynajmniej głosów. Choć myśl ta była straszna, zdawałem sobie sprawę, że znajduję się pod jednym dachem z owymi niesłychanymi istotami z przepastnych przestworzy; te dwa głosy to było owo bluźniercze bzyczenie, jakim Obce Istoty posługują się przy porozumiewaniu z ludźmi. I w tym przypadku zaznaczyła się pewna różnica - w brzmieniu, akcencie i tempie - ale mimo to należały do tego samego ohydneho gatunku. Trzeci głos dobywał się z pewnością z aparatury połączonej z jednym z mózgów, znajdujących się w cylindrach. Było to równie pewne, jak samo bzyczenie, bo ten donośny, metaliczny głos bez życia, jaki słyszałem z wieczora, z jego pozbawionym fleksji i wyrazu zgrzytaniem i rżeniem, z bezosobową precyzją i rozwagą, był niezapomniany. Wtedy to zadałem pytania, czy za tym zgrzytaniem kryje się taki sam mózg, jaki uprzednio do mnie przemawiał; potem jednak zrozumiałem, że każdy mózg wyda z siebie podobny głos, jeżeli zostanie podłączony do tego samego aparatu mowy; różnice mogą się tylko przejawiać w samym języku, rytmem prędkości i sposobie wymowy. W tej ohydnej rozmowie brały udział dwa głosy ludzkie - jeden przynależał do nie znanego mi wieśniaka, a drugi, z łagodnym bostońskim akcentem, był głosem mojego niedawnego przewodnika, Noyesa.



Usiłowałem wyodrębnić poszczególne słowa, jakie padały na parterze, ale

jednocześnie świadom byłem, że odbywa się tam pospieszna krzątania, chrobotanie i przesuwanie; nie mogłem pozbyć się wrażenia, że pokój pełen jest żywych istot - było ich znacznie więcej poza tymi, których mowę odróżniałem. Trudno dokładnie opisać ich chrobotanie, bo nie sposób tego z niczym porównać. Tak jakby się poruszały po pokoju istoty świadome; odgłos ich kroków przypominał bezładne stukanie czymś twardym - z rogu albo stwardniałej gumy. Dla bardziej konkretnego, ale mniej dokładnego porównania można by powiedzieć, że ludzie w luźnych drewniakach szurali i stukali w wyfroterowaną podłogę z desek. Nawet nie miałem odwagi wyobrazić sobie, kim są i jak wyglądają istoty odpowiedzialne za te hałasy. Wkrótce zorientowałem się, że nie zdołałem uchwycić sensu tej rozmowy. Co pewien czas do moich uszu docierały poszczególne słowa - w tym nazwisko Akeleya i moje - zwłaszcza wtedy, kiedy były wypowiedziane przez mechaniczny aparat produkujący mowę; ich prawdziwy sens gubił się jednak w braku ciągłości myśli. Dziś już nie potrafię tego odtworzyć i nawet straszliwe wrażenie jakie to na mnie wywarło, jest już raczej kwestią przypuszczenia aniżeli odkrycia. Byłem pewien, że na dole, pode mną, zgromadziło się jakieś straszliwe, niezwykle konklawe, ale nad czym, tak bardzo bulwersującym, radzili, tego nie wiedziałem. Akeley, co prawda, zapewniał mnie o przyjacielskim stosunku Obcych Istot, ja jednak czułem, że kryje się w tym bluźniercze zło. Wsłuchując się pilnie, zacząłem z czasem rozróżniać poszczególne głosy, choć nadal nie chwytalem ich sensu, a także wyczuwać dość charakterystyczne stany emocjonalne. W jednym z bzyjących głosów, na przykład, wyczuwałem niewątpliwą władczość; z kolei zaś mechaniczny głos, mimo, że sztucznie donośny i równy, zdawał się zajmować pozycję podległą i obronną. Głos Noyesa świadczył o stosunku pojednawczym. Innych nie potrafiłem scharakteryzować. W ogóle nie słyszałem znajomego mi szeptu Akeleya, ale wiedziałem przecież, taki szept nie zdoła przeniknąć przez solidny strop pomiędzy gabinetem a moim pokojem.

Spróbuję odtworzyć kilka poszczególnych słów i innych dźwięków, w miarę możliwości odpowiednio określając mówiących. Najpierw zdołałem dokładniej uchwycić jakieś fragmenty zdań wypowiedzianych przez mówiący aparat.

(Mówiący aparat)

...przynieś do mnie... odesłać listy i zapis fonograficzny... zakończyć na tym... wziąć... wzrok i słuch... nie szkodzi... bezosobowa siła, mimo wszystko... nowy, błyszczący cylinder... dobry Bóg...

(Pierwszy bzyczący głos)

...czas, abyśmy przestali... mały i ludzki... Akeley... mózg... mówiący...

(Drugi bzyczący głos)

... Nayarlathothep... Wilmarth... zapisy i listy... tanie szalbierstwo...

(Noyes)

...(trudne do wymówienia słowo albo nazwisko, prawdopodobnie N'gah-Kthun)...niezgodliwy... spokój... kilka tygodni... teatralne... powiedziałem już przedtem...

(Pierwszy bzyczący głos)

...nie ma powodu... zasadniczy plan... efekty... Noyes może dopilnować... Round Hill... nowy cylinder... samochód Noyesa...

(Noyes) ...dobrze... wszystko wasze... tutaj na dole... reszta... miejsce...

(kilka głosów jednocześnie - rozmowa niezrozumiała)

(Liczne kroki, w tym także to szczególne stukanie i szuranie luźnych drewniaków) (Dziwne odgłosy człapania)

(Odgłos zapalonego silnika i oddalającego się auta)

(Cisza)

To wszystko, co pochwyciły moje uszy, kiedy leżałem w napięciu na

łuzku, w tej nawiedzanej farmie, pośród demonicznych gór... w ubraniu, z rewolwerem w zaciśniętej dłoni i kieszonkową latarką w drugiej. A leżałem, jak już zaznaczyłem, całkowicie sparaliżowany i nie ruszałem się, choć echo tych odgłosów już dawno zamilkło. Gdzieś z daleka na dole dochodziło głucho, miarowe tykanie starego zegara z Connecticut, a wkrótce dotarło do mnie chrapanie. Akeley musiał wreszcie zasnąć po skończeniu tej dziwnej narady i bardzo mu to było napewno potrzebne. Nie mogłem się zdobyć na decyzję, co robić w tej sytuacji. Bo przecież usłyszałem tylko to, czego się mogłem spodziewać na podstawie uzyskanych wcześniej informacji, nic więcej. Dobrze też wiedziałem, że Obce Istoty mają wolny dostęp do farmy. A jednak Akeley był najwyraźniej zdziwiony ich niespodziewaną wizytą. Lecz coś w zasłyszanych fragmentach ich dyskusji zmroziło mnie na wskroś, wzbudziło tak groteskowe i straszne wątpliwości, że zapragnąłem, aby się to okazało tylko snem. Myślę, że podświadomie coś wyczuwałem, czego świadomość nie mogła jeszcze objąć. Ale jak ma się sprawa z Akeleyem? Czyżby nie był on moim przyjacielem, czyżby nie zaprotestował, gdyby miało mi grozić jakieś niebezpieczeństwo? Rozlegające się na dole spokojne chrapanie zdawało się naśmiewać ze wszystkich moich, tak nagle narosłych obaw. Możliwe to, że Akeleya oszukano i posłużono się nim jako przynętą, aby wyciągnąć mnie w te góry wraz z listami, zdjęciami i zapisem fonograficznym? Czyżby te istoty zamierzały zniszczyć nas obu dlatego, że za dużo wiemy? Znowu przyszła mi na myśl ta nagła i niezwykła zmiana sytuacji, która znalazła odbicie w jego ostatnich listach. Instynktownie czułem, że dzieje się coś bardzo złego.

Wszystko wygląda zupełnie inaczej, niż się spodziewałem. A ta cierpka kawa, której nie wypilem... czy Obce Istoty nie miały mnie oszołomić jakimś narkotykiem? Muszę natychmiast porozmawiać z Akeleyem i przywołać go do rzeczywistości. Zahipnotyzowali go obietnicami odkryć kosmicznych, ale teraz musi posłuchać głosu rozsądku. Trzeba nam stąd uciekać, nim będzie za późno. Jeśli nie starczy mu siły woli, żeby się z tego wyrwać, ja go

wspomogę. A jeśli nie zdołam go przekonać, to przynajmniej sam się wydostanę. Chyba pozwoli mi wziąć swego Forda, zostawię go w garażu w Brattleboro. Widziałem, że stał w szopie - drzwi były w nim zamknięte, dobry znak - gotów był do natychmiastowego użytku, więc niebezpieczeństwo można już było zaliczyć do przeszłości. Chwilowa niechęć do Akeleya, która była skutkiem naszej wieczornej rozmowy, już mi przeszła. Obaj znaleźliśmy się w podobnej sytuacji i musimy się trzymać razem. Wiedząc, że jest chory, nie miałem ochoty go budzić, ale było to konieczne. Nie mogłem przecież pozostać w tym domu aż do rana. Wreszcie, zdolny już do działania, przeciągnąłem się, żeby rozluźnić mięśnie. Pod wpływem raczej impulsu aniżeli rozwagi wstałem ostrożnie, włożyłem kapelusz na głowę, wzięłem walizkę i przyświecając sobie latarką zacząłem schodzić na dół w ogromnym napięciu nerwowym. Rewolwer trzymałem w zaciśniętej prawej ręce, a walizkę i latarkę w lewej. Sam nie wiem, dlaczego zachowałem takie środki ostrożności, bo przecież miałem obudzić tylko jeszcze jednego mieszkańca tego domu. Kiedy po skrzypiących schodach zszedłem do hallu, usłyszałem jeszcze wyraźniejsze chrapanie, ale dochodziło z pokoju znajdującego się po lewej stronie - z salonu, w którym jeszcze nie byłem. Z prawej ział czarną nocą gabinet, w którym słyszałem niedawno rozmowę. Pchnąłem nie domknięte drzwi salonu przyświecając sobie latarką i kierując światło w stronę śpiącego. Natychmiast jednak odwróciłem się i wycofałem bezszelestnie, tym razem już nie instynktownie, ale kierowany rozsądkiem. Na kanapie spał nie Akeley, ale mój były przewodnik Noyes.



Nie miałem pojęcia, jak naprawdę przedstawia się sytuacja, ale zdrowy

rozsądek nakazywał mi dowiedzieć się jak najwięcej, zanim kogokolwiek obudzę. Zamknąłem cicho drzwi od salonu, żeby nie obudzić Noyesa i ostrożnie wszedłem do gabinetu spodziewając się tam znaleźć Akeleya, śpiącego, czy rozbudzonego, w fotelu, najwidoczniej jego ulubionym miejscu odpoczynku. W blasku latarki dostrzegłem najpierw duży stół pośrodku gabinetu, na nim jeden z tych piekielnych cylindrów z podłączonymi aparatami wzroku i słuchu oraz z aparatem mowy stojącym w pobliżu, a uszykowanym do podłączenia w każdym momencie. Pomyślałem, że w nim napewno znajduje się mózg, który słyszałem podczas tej strasznej konferencji; przysłała mi ochota, żeby go na chwilę podłączyć i usłyszeć, co ma do powiedzenia. Był zapewne świadom mojej obecności; podłączone aparaty wzroku i słuchu odnotowały blask mojej latarki i skrzypienie podłogi. Nie miałem jednak odwagi manipulować przy tej aparaturze. Zauważyłem tylko, że był to nowy, błyszczący cylinder z nazwiskiem Akeleya, który wieczorem stał na półce i na który miałem nie zwracać uwagi. Teraz, patrząc wstecz, żałuję, że brakło mi odwagi i nie posłuchałem tego, co mógłby mi powiedzieć. Bóg jeden wie, jakie tajemnice, jakie straszne wątpliwości i czyją tożsamość byłby mi wyjaśnił! Wtedy jednak uznałem, że lepiej to zostawić w spokoju. Skierowałem następnie latarkę w róg pokoju, gdzie spodziewałem się znaleźć Akeleya, ale ku memu zaskoczeniu stwierdziłem, że wielki fotel jest pusty, nie ma w nim ani śpiącego ani rozbudzonego Akeleya. Natomiast z fotela na podłogę opadał jego obszerny, stary szlafrok, zaś obok na podłodze leżał żółty szal i długi bandaż, którym owinięte były jego nogi, co wydało mi się takie dziwne. Kiedy tak stałem pełen wątpliwości i zastanawiałem się, gdzie może się znajdować Akeley i dlaczego tak nagle porzucił strój, jaki miał na sobie z powodu choroby, stwierdziłem, że już nie czuję tu tego dziwnego zapachu ani wibracji. Czym były spowodowane? Nagle uświadomiłem sobie, że najbardziej odczuwałem je w pobliżu Akeleya, a zwłaszcza koło fotela; następnie w całym gabinecie, ale już słabiej, a także w hallu, w pobliżu drzwi gabinetu. Reszta domu była wolna

od zapachu i wibracji. Przesunąłem latarką po całym gabinecie łamiąc sobie głowę nad tym, co się tu mogło zdarzyć. Lepiej byłoby dla mnie, gdybym zostawił to miejsce w spokoju i nie oświetlał raz jeszcze pustego fotela. W rezultacie nie opuściłem tego domu bezszelestnie, wydałem z siebie bezszelestny okrzyk, który mógł zaniepokoić i rozbudzić śpiącego po wartownika. Ten krzyk i nieprzerwane chrapanie Noyesa to odgłosy, jakie zapamiętałem z tego pełnego patologicznych zjawisk domu u stóp nawiedzanej góry, której szczyt porosły jest czarnym lasem - a będącej siedliskiem transkomicznego horroru pośród samotnych zielonych wzgórz i szemrzących kłutwą potoków, przecinających widmowy, dziki krajobraz. Sam nie wiem, jak to się stało, że podczas tego chaotycznego szperania w gabinecie nie opuściłem latarki, walizki i rewolweru i że zdołałem je przy sobie zachować. W końcu jednak wydostałem się z pokoju, a potem z tego domu, zachowując ciszę. Dowlokłem się bezpiecznie do Forda i wrzuciwszy swoje rzeczy do środka, zasiadłem przy kierownicy. Udało mi się uruchomić ten stary wehikuł i pomknąć przez czarną, bezksiężycową noc ku nieznannej, bezpiecznej przystani. Moja jazda tym wehikułem przypominała majaki z utworów Poe'go albo Rimbouda czy też obrazów Dore'a, w końcu jednak udało mi się dotrzeć do Townshend. I to już wszystko. Jeżeli nie ucierpiało moje zdrowie psychiczne, to miałem szczęście. Czasami jednak lękam się, co przyniosą następne lata, zwłaszcza teraz, kiedy niespodziewanie wykryto nową planetę Pluton.

Jak już wspominałem, poświeciwszy najpierw latarką po całym pokoju skierowałem ją znowu na pusty fotel i wtedy zauważyłem tam po raz pierwszy trzy przedmioty ukryte w luźnych fałdach leżącego tam szlafroka. Kiedy trochę później przybyli tam ludzie szeryfa, już zniknęły. Zaznaczyłem, że nie było w tym nic specjalnie koszmarnego. Najgorsze były wnioski, jakie się mimo woli nasuwały. Nawet jeszcze teraz przychodzą na mnie chwile wątpliwości i wtedy jestem całkiem bliski sceptycyzmu tych ludzi, którzy przypisują wszystkie te moje przeżycia sennej jawie, nerwom albo też

złudzeniu. Owe trzy rzeczy były skonstruowane mistrzowsko i zaopatrzone w pomysłowe metalowe klamry, celem podłączenia do części organicznych, na temat których nawet teraz nie śmiem snuć żadnych przypuszczeń. Mam nadzieję... głęboką... że były to przedmioty z wosku, wykonane z prawdziwym mistrzostwem, choć w skrytości ducha jestem pełen różnych obaw. Wielki Boże ! Ten szepczący w ciemności człowiek i ten chorobliwy zapach, jaki się wokół niego unosił, i ta wibracja w powietrzu ! Czarownik, emisariusz odmieniec, przybysz z innego świata... koszmarnie, przytłumione bzyczenie... i przez cały czas w tym nowym, błyszczącym cylindrze na półce... biedaczysko... "Niesłychana zręczność chirurgiczna, biologiczna i mechaniczne..."

Albowiem te trzy przedmioty leżące w fotelu, doskonałe aż po najdrobniejsze szczegóły, odznaczające się wprost mikroskopijnym podobieństwem... identyczne... to była twarz i ręce Henry Wentwortha Akeleya.

Duch ciemności

*Dedykowane Robertowi Blochowi
Widziałem ziejącą pustkę mrocznego świata,
Gdzie czarne planety krążą bez celu,
Gdzie krążą w przerażeniu niezauważalne,
Bez wiedzy, pożądania, imienia.
Nemesis*

Ostrożni badacze zawahają się przed podważeniem powszechnego przekonania, że Robert Blake zginął od pioruna albo z powodu silnego nerwowego szoku, spowodowanego elektrycznym wyładowaniem. To fakt, że okno, do którego był zwrócony twarzą, nie zostało stłuczone, ale natura nie raz już dowiodła, że stać ją na najdziwniejsze czyny. Wyraz jego twarzy mógł po prostu wynikać z dość specyficznego układu mięśni, nie mającego żadnego związku z tym, co zobaczył, natomiast notatki w jego pamiętniku mają niewątpliwie związek z bujną wyobraźnią rozbudzoną przez powszechnie panujące przesady i jakieś dawne sprawy przez niego odkryte. Jeżeli zaś chodzi o niezwykle wydarzenia, jakie miały miejsce w opustoszałym kościele na Federalnym Wzgórzu - wnikliwy analityk ochoczo skojarzy je z szarlatanerią, świadomą czy też nieświadomą, z jaką w pewnym stopniu Blake był potajemnie związany. Bo przecież ofiara była pisarzem i malarzem całkowicie oddanym dziedzinie mitów, snu, terroru i zabobonów, skwapliwie poszukującym scen i efektów niezwykłych w Milwaukee. Znał zdaje się różne stare opowieści, choć w pamiętniku temu zaprzecza, a jego śmierć stłumiła zapewne w zarodku jakiś potworny żart, który miał potem

znaleźć odzew w literaturze.

Wśród tych jednakże, którzy badali i korelowali cały ten przypadek, kilku obcuje przy mniej racjonalnych i powszechnych teoriach. Skłonni są traktować Blake'a dosłownie i w szczególny sposób uwypuklają pewne fakty, takie jak niewątpliwy autentyzm starego kościelnego zapisu, potwierdzone istnienie jeszcze przed 1877 rokiem znieawidzonej i nieortodoksyjnej sekty "Gwiezdna Mądrość", odnotowane zniknięcie w 1893 wścibskiego reportera Edwina M. Lillibridge'a, a ponad wszystko - wyraz niesamowitego lęku na wykrzywionej twarzy zmarłego młodego pisarza. Jeden spośród owych badaczy w stanie krańcowego fanatyzmu wrzucił do zatoki przedziwnych kształtów kamień i równie zadziwiająco ozdobioną metalową skrzynię, znaną w starej kościelnej iglicy - ciemnej, bez okien, nie zaś w tej wieży, w której wymienione przedmioty znajdowały się pierwotnie, jak wspomniane jest w pamiętniku Blake'a. Choć tak szeroko zostało to potępione zarówno przez czynniki oficjalne, jak i nieoficjalne, człowiek ów - powszechnie szanowany lekarz, przejawiający zamiłowanie do dziwnego folkloru - oświadczył, że uwolnił ziemię od czegoś, co groziło zbyt wielkim niebezpieczeństwem, aby można było żyć spokojnie. Czytelnik sam musiał dokonać wyboru między tymi dwoma szkołami opinii. Dokumenty podają istotne szczegóły z pewnym sceptycyzmem, pozostawiając innym naszkicowanie obrazu, jaki widział Blake - albo udawał, że widzi. Teraz, po dokładniejszym zapoznaniu się z pamiętnikiem, w spokoju i bez pośpiechu postaramy się podsumować ten tajemniczy łańcuch wydarzeń z punktu widzenia ich głównego aktora. Młody Blake powrócił do Providence zimą z 1934 na 1935 rok i zajął piętro sędziwego domu przy porośniętym trawą dziedzińcu opodal College Street - na szczycie ogromnego wzgórza od strony wschodniej, w pobliżu kampusu Brown University i tuż za zbudowaną z marmuru biblioteką Johna Haya. Było to przytulne i fascynujące miejsce, wśród niewielkiej ogrodowej oazy przypominającej wieś, gdzie ogromne, przyjacielskie koty wygrzewały się w słońcu na dachu pobliskiej szopy.

Kwadratowy dom w stylu georgiańskim kryty niskim dachem ze świetlikami, klasyczne drzwi wejściowe z amatorską rzeźbą, okna z małymi szybkami i różne ozdoby wczesnodziewiętnastowiecznego rzemiosła. Wewnątrz były sześciopanelowe drzwi, podłoga z szerokich desek, kręte schody w stylu kolonialnym, białe kominki z okresu Arama, a w tylnej części domu kilka pokoi położonych trzy stopnie poniżej normalnego poziomu.

Z gabinetu Blake'a, dużego pokoju od południowego zachodu, z jednej strony widać było frontową część ogrodu, podczas gdy z okien od zachodu - przed jednym z nich stało biurko - rozciągał się widok na wzgórze i wspaniałą panoramę rozpościerających się poniżej dachów w mieście, spoza których jarzyły się tajemnicze zachody słońca. Na dalekim horyzoncie rysowały się rozległe purpurowe zbocza, a na ich tle, w odległości około dwóch mili, wznosiło się widmowe Federalne Wzgórze, najeżone dachami, niezbyt strome, którego odległe zarysy falowały tajemniczo, przybierając fantastyczne kształty, kiedy dym z kominów w mieście kłębił się ponad nimi i spowijał je swymi oparami. Blake doznawał dziwnego uczucia, że patrzy na jakiś nie znany mu wieczysty świat, który mógłby zniknąć we śnie, choć może by nie zniknął, gdyby kiedykolwiek spróbował go odnaleźć i wkroczyć doń osobiście. Kazał sobie przysłać z domu większość potrzebnych mu książek i kupił parę antycznych mebli pasujących do tego mieszkania, po czym zabrał się do pióra i pędzla, żyjąc samotnie i wykonując samodzielnie wszystkie najprostsze prace domowe. Pracownię miał od północnej strony na poddaszu, wypełnioną wspaniałym światłem wpadającym przez świetliki. Tej zimy napisał pięć najlepszych opowiadań - "Zwierzę ryjące pod ziemią", "Schody w krypcie", "Shaggai", "W dolinie Prath" oraz "Biesiadnik z gwiazd". Namalował też sześć obrazów, będących studium niesamowitych krajobrazów. O zachodzie słońca często siadywał przy biurku i rozmarzony wpatrywał się sennie w rozległy teren - w ciemne wieże Memorial Hall widoczne poniżej, dzwonnice sądu w stylu georgiańskim, wyniosłe wieżyczki w dolnej części miasta i rozmigotany, spiczasto zakończony

kopiec w oddali, którego nieznane uliczki i szczyty dachów, rozstawione jak w labiryncie, żywo pobudzały jego wyobraźnię. Od kilku okolicznych znajomych dowiedział się, że to rozległe zbocze jest zamieszkiwane przez Włochów, choć większość ze znajdujących się tam domów pochodzi z czasów jankeskich, a także irlandzkich. Często wpatrywał się przez lornetkę w ten nieosiągalny świat, widoczny tylko spoza kłębiącego się dymu, i wybierał sobie poszczególne dachy, kominy oraz wieżyczki rozmyślając nad kryjącymi się w nich dziwami pełnymi przeróżnych tajemnic. Nawet oglądane przez lornetkę Federalne Wzgórze wydawało się obce, prawie baśniowe i jakby związane z nierealnymi, a tak niepojętymi cudami znajdującymi wyraz w opowiadaniach i obrazach Blake'a. Wrażenie trwało jeszcze długo potem, jak wzgórze spowił fioletowy mrok usiany błyskiem latarni niby gwiazdy, a zalew światła z gmachu sądowego i czerwony napis na budynku Industrial Trust rozsnuwały łunę tak jaskrawej poświaty, że noc zdawała się być groteską.

Spośród wszystkich budowli na Federalnym Wzgórzu najbardziej fascynował Blake'a ogromny, ciemny kościół. Podczas dnia stał pełen niezwykłej godności, natomiast o zachodzie słońca ogromna wieża i spiczasta iglica majaczyły czernią na tle rozplamionego nieba. Wydawało się, że wznosi się na jakimś specjalnie podwyższonym terenie, albowiem ponura fasada i zaokrąglona część od północy, z opadającym dachem i ostro zakończonymi oknami od góry wznosiła się wyniośle nad skupiskiem kalenic i kominów otaczających kościół. Zbudowany z kamienia, wyglądał niezwykle ponuro i surowo, znać na nim było ślady dymu i sztormów, szalejących przez całe stulecia a może i dłużej. Styl, jak zdołał to stwierdzić patrząc przez lornetkę, należał do wczesnego neogotyku poprzedzającego majestatyczny okres Upjohna, zawierał też linie i proporcje z okresu georgiańskiego. Zbudowany był zapewne w 1810 albo 1815 roku. W miarę jak mijały miesiące, Blake obserwował tę odległą, zdumiewającą budowlę z coraz większym zainteresowaniem. Ponieważ w olbrzymich oknach nigdy

nie pojawiało się światło, przekonany był, że kościół jest opustoszały. Im dłużej się przyglądał, tym usilniej pracowała jego wyobraźnia, aż w końcu obudziło to w nim najdziwniejsze myśli. Był przekonany, że owa szczególna aura opustoszenia włada nad całym otoczeniem, nawet gołębie i jaskółki stroniły od zadymionych okapów kościoła. Wokół innych wież i dzwonnicy dostrzegał liczne stada ptaków, tutaj jednak nigdy się nie zatrzymywały. Blake pokazywał ten kościół różnym znajomym, ale nikt nie był na Federalnym Wzgórzu i nie miał pojęcia, co się teraz dzieje w tym kościele, nikt też nie znał jego przeszłości. Wiosną Blake'a ogarnął niepokój. Zaczął pisać z dawna zaplanowaną powieść - głównie o przetrwaniu kultu czarownic w Maine - ale zupełnie mu nie szło. Coraz więcej przesiadywał przy oknie wychodzącym na zachód i wpatrywał się w dalekie wzgórze i czarną, krzywą wieżę, od której stroniły ptaki. Kiedy na drzewach w ogrodzie pojawiły się delikatne listki, świat okryło nowe piękno, a mimo to Blake był coraz bardziej niespokojny. Wtedy to właśnie po raz pierwszy przyszło mu na myśl, żeby się wybrać do miasta, potem wejść śmiało na tajemnicze zbocze i znaleźć się w tym spowitym dymem świecie urojeń.

Pod koniec kwietnia, tuż przed okrytą tajemnicą wieków nocą Walpurgii, Blake wybrał się w nieznaną. Brnąc przez niezliczoną ilość uliczek na krańcu miasta i odrażające zapuszczone podwórka, natknął się w końcu na aleję prowadzącą w górę do zniszczonych wiekami schodów, pochylonych doryckich portyków i do kopuł z zamglonymi szybami. Czuł, że droga ta prowadzi do znanego od dawna, a nieosiągalnego świata za mgłą. Znajdowały się tam obdrapane biało-niebieskie tabliczki z nazwami ulic, które nic dla niego nie znaczyły, a po chwili zauważył dziwne, ciemne twarze przechodzących ludzi i napisy w obcym języku nad jakimiś dziwnymi sklepami, w budynkach koloru wyblakłego brązu. Nigdzie nie dostrzegał tych przedmiotów, które widział z oddali; tak więc raz jeszcze pojął, że Federalne Wzgórze widziane z daleka było światem urojonym, którego nigdy nie dosięgnie stopa ludzka. Co pewien czas zniszczona fasada kościoła albo

rozpadająca się iglica wieży wyłaniały się przed jego oczami, ani razu jednak nie dojrzał poczerniałej, masywnej budowli, której poszukiwał. Kiedy zapytał sprzedawcę w sklepie o wielki kamienny kościół, ten tylko uśmiechnął się i potrząsnął głową, choć mówił swobodnie po angielsku. Blake wspiął się wyżej, ale tutaj cały teren wydał mu się jeszcze bardziej obcy, oszałamiający labirynt cichych uliczek bezkresnie wiodących gdzieś na południe. Przeszedł przez dwie albo trzy szerokie aleje i wtedy wydało mu się, że mignęła mu znajoma wieża. Znowu spytał jakiegoś kupca o masywny kościół zbudowany z kamienia i tym razem mógłby przysiąc, że zdziwienie, jakie ów okazał, było sztuczne. Na jego ciemnej twarzy pojawił się lęk, który chciał ukryć, ale prawą ręką zrobił jakiś dziwny znak. Nagle po lewej stronie wyłoniła się czarna wieża na tle przesłoniętego chmurami nieba, ponad rzędami brązowych dachów osłaniających pokrętne uliczki prowadzące na południe. Blake z miejsca ją rozpoznał i ruszył w tym kierunku, przez brudne, niewybrukowane uliczki, prowadzące w górę do głównej alei. Dwukrotnie zbłądził, nie miał już jednak odwagi pytać o drogę starców ani kobiet siedzących na progach domów, ani też dzieci, które pokrzykując bawiły się w błocie na ponurych uliczkach.

Wreszcie na południowym zachodzie zobaczył wyraźnie wieżę, a na końcu alei wznosiła się ogromna kamienna budowla. Stał przez moment na wietrznym, niezabudowanym placu, wyłożonym brukiem i otoczonym po przeciwległej stronie wysokim murem. A więc, koniec jego poszukiwań, bo na wysokim, płaskim wzniesieniu, otoczonym żelazną barierą i zarosłym chwastami, a zabezpieczonym właśnie tym usypanym wałem - oddzielny, pomniejszy świat wznosił się całe sześć stóp nad okolicznymi ulicami - stała ponura, ogromna budowla, której autentyczność, mimo zupełnie nowej perspektywy, nie podlegała żadnej wątpliwości. Opustoszały kościół był w stanie kompletnego zniszczenia. Niektóre kamienne przypory zupełnie się rozleciały, a kilka delikatnych kwiatonów ledwie widniało pośród brunatnego zielska i trawy. Okopcone gotyckie okna nie były nawet potłuczone, choć

futryny w wielu miejscach powypadały. Blake zastanawiał się, jak to możliwe, że te pomalowane na ciemne kolory szybki tak dobrze przetrwały, choć wokoło było tylu chłopców, a wiadomo, jakie mają zwyczaje chłopcy na całym świecie. Masywne wrota zachowały się nietknięte i były szczelnie zaryglowane. Na wierzchu obwałowania otaczającego cały ten teren znajdowało się zardzewiałe żelazne ogrodzenie, którego brama - na szczycie schodów prowadzących od placu - była zamknięta na kłódkę. Pustka i rozkład okrywały to miejsce niczym całun, natomiast okapy, pod którymi nie chciały się gnieździć ptaki, i czarne ściany nie obrosnięte bluszczem były tak ponure i złowieszcze, że Blake nie byłby w stanie tego wyrazić. Na placu znajdowało się niewiele ludzi, lecz Blake zauważył policjanta stojącego od strony północnej, podszedł więc do niego, żeby dowiedzieć się czegoś o kościele. Był to wysoki, potężny Irlandczyk, toteż Blake zdumiał się, gdy w odpowiedzi zrobił tylko znak krzyża i szepnął, że ludzie tutaj nawet o nim nie wspominają. Na usilne naleganie Blake'a wyjaśnił pośpiesznie, że włoscy księża ostrzegają wszystkich przed tym kościołem i twierdzą, że zamieszkiwał tu niegdyś jakiś potwór i pozostawił swoje ślady. On sam nasłuchał się o tym potworze od ojca, który z kolei pamiętał jeszcze z dzieciństwa różne opowieści.

Dawnymi czasy przebywała tu jakaś sekta - sekta banitów, która przywoływała straszne rzeczy z nieznanych głębi nocy. Sprowadzono zacnego księdza, aby wypędził to, co przybyło, choć poniektórzy twierdzili, że tylko światło zdołaloby tego dokonać. Gdyby żył ojciec O'Malley, potrafiłby wiele powiedzieć. Teraz jednak nic więcej zrobić nie można, jak tylko zostawić to w spokoju. Obecnie nie wyrządza już nikomu krzywdy; zaś ci, którzy mieli z tym do czynienia, już nie żyją albo są gdzieś daleko. Uciekli jak szczury, kiedy zaczęły krążyć złowieszcze pogłoski w roku 1877 i kiedy zaczęto się zastanawiać nad tym, że w sąsiedztwie coraz to ktoś bezpowrotnie znika. Któregoś dnia, z braku spadkobierców, wkroczy tu zarząd miasta i przejmie tę budowlę na własność, ale nic dobrego nie spotka

tego, kto się jej dotknie. Lepiej, aby pozostawić to w spokoju, choćby na wiele lat, aż się samo rozleci, bo w przeciwnym razie zostaną poruszone moce, które powinny spoczywać na zawsze w swej czarnej otchłani. Po odejściu policjanta Blake stał w miejscu i wpatrywał się w ponurą strzelistą budowlę. Poruszył go do głębi fakt, że tak jak wszystkim, i jemu wydawała się groźna, i zastanawiał się, czy w tych starych opowieściach, o jakich wspominał policjant, tkwi choć ziarno prawdy. Najprawdopodobniej były to tylko legendy, do których przyczynił się złowrogi wygląd tego miejsca, ale nawet jeśli tak było istotnie, to jedna z tych legend została już pobudzona do życia. Spoza rozproszonych chmur wyłoniło się popołudniowe słońce, ale nie było już w stanie rozjaśnić pokrytych plamami i szerniałych ścian starej wieży wyrastającej z wysokiego wzniesienia. Dziwne, że wiosenna zieleń nie objęła brązowych, uschniętych zarośli na otoczonym żelaznym ogrodzeniem dziedzińcu. Blake spostrzegł, że bezwiednie zbliżył się do obwałowania i zardzewiałego płotu w nadziei, że może znajdzie jakieś przejście. Ta poczerniała świątynia wabiła nieprzeparcie. W pobliżu schodów nie było żadnego otworu w ogrodzeniu, jednakże od strony północnej okazało się, że brakuje kilku prętów. Mógł wejść po schodach i wąskim obmurowaniem na zewnątrz ogrodzenia dostać się do otworu. Skoro wszyscy tak drżą przed tym miejscem, nie napotka ze strony tutejszych mieszkańców na żaden sprzeciw.

Nim ktokolwiek zdążył zauważyć, znalazł się na górze i wewnątrz ogrodzenia. Wtedy obejrzał się, a na placu kilka osób najwyraźniej cofało się do tyłu wykonując taki sam znak prawą ręką, jak właściciel sklepu, koło którego przechodził. Kilka okien zamknęło się z hukiem, a jakaś tęga kobieta wypadła na ulicę, aby wciągnąć grupkę dzieci do rozpadającego się, nie pomalowanego domu. Otwór w płocie można było przejść bez trudu, toteż po chwili Blake przedzierał się już pośród zbutwiełej, skotłowanej gęstwiny zarośli na opustoszałym dziedzińcu. Tu i ówdzie wały się zniszczone resztki kamieni nagrobkowych, świadczące o tym, że niegdyś grzebano w tym miejscu zmarłych; musiały to być jednak bardzo odległe czasy. Ten

masywny kościół robił z bliska przytłaczające wrażenie, jednakże Blake zwalczył ogarniający go dziwny nastrój i zbliżył się chcąc wypróbować trzy ogromne wrota we frontowej części kościoła. Wszystkie były jednak mocno zaryglowane, wobec tego postanowił obejść dokoła tę cyklopową budowlę w poszukiwaniu jakichś mniejszych drzwi albo jakiegoś możliwego do pokonania otworu. Nie był pewien, czy rzeczywiście pragnie dostać się do środka tej nawiedzonej, opustoszałej i mrocznej świątyni, jednakże jej tajemniczość przyciągała go nieprzeparcie.

Ziejące czarną pustką i nie zabezpieczone piwniczne okno na tyłach kościoła zapewniało dogodne przejście. Zajrzawszy do środka Blake zobaczył podziemną czeluść wypełnioną pajęczyną i kurzem i lekko rozjaśnioną promieniami zachodzącego słońca. Rumowisko gruzu, stare baryłki, połamane meble i skrzynki - oto, co dojrzał, choć wszystko pokrywał całun kurzu zacierający wyrazistość wszelkich konturów. Pokryte rdzą resztki pieca do ogrzewania świadczyły, że budynek ten był w użyciu jeszcze w czasach wiktoriańskich. Jak w zamroczeniu, prawie nieświadomie, Blake wczołgał się przez okienko i stanął na betonowej podłodze pokrytej grubą warstwą kurzu i gruzem. Piwnica była ogromna, bez żadnego przepierzenia, a w odległym prawym rogu, mimo gęstego mroku, zauważył czarne, łukowate sklepienie, najwyraźniej prowadzące ku schodom. Zawładnęło nim przytłaczające uczucie, gdy sobie uświadomił, że znajduje się wewnątrz tego widmowego budynku, ale starał się je zwalczyć próbując się zorientować w otoczeniu. Znalazł całą, nietkniętą baryłkę w zwałach kurzu i potoczył ją pod okno, żeby ułatwić sobie wyjście. Następnie, zebrawszy się na odwagę, ruszył przez tę obszerną, wypełnioną pajęczyną przestrzeń w kierunku łukowatego sklepienia. Prawie dławiąc się wszechobecnym kurzem i cały omotany pajęczyną dotarł do zniszczonych schodów prowadzących w zupełną ciemność. Nie miał żadnego światła, wymacał drogę rękami. Na ostrym zakręcie napotkał zamknięte drzwi, u których po krótkich poszukiwaniach odnalazł starą klamkę. Otworzyły się do wewnątrz korytarza,

wyłożonego zjedzoną przez korniki boazerią, do którego przedostawało się trochę światła. Stanąwszy na parterze Blake zaczął błyskawicznie badać teren. Wszystkie wewnętrzne drzwi były nie zamknięte, mógł więc swobodnie przechodzić z pomieszczenia do pomieszczenia. Ogromna nawa robiła wprost niesamowite wrażenie, tumany i zwały kurzu pokrywały ławki, ołtarz, ambonę z klepsydrą i daszek nad nią, a grube pajęczne liny ciągnęły się pomiędzy ostro zakończonymi łukami sklepienia krużganku, oplatając liczne gotyckie kolumny. Nad całym tym milczącym pustkowiem igrało odrażające ołowiane światło, bo promienie zachodzącego słońca przedostawały się poprzez prawie że czarne szybki w oknach absydy.

Malowidła na tych szybkach pokrywało tyle kurze, że nie sposób było się zorientować, co przedstawiają, ale to, co zdołał odróżnić, raczej mu się nie podobało. Wzory były w przeważającej części konwencjonalne, a ponieważ posiadał znajomość wszelkiego dziwnego symbolizmu, dopatrywał się wśród nich powiązania ze starożytnymi malowidłami. Kilka postaci świętych miało wyraz nudy, niepomyślnych na krytycyzm wiernych, zaś jedno z okien zdawało się być tylko ciemną przestrzenią z rozrzuconymi spiralami dość dziwnego blasku. Kiedy Blake odwrócił wzrok od okien, zauważył, że okryty pajęczyną krzyż nad ołtarzem nie jest normalnym krzyżem, ale przypomina pierwotny krzyż aukh albo ansata z mrocznych egipskich czasów. W zakrystii, znajdującej się za absydą, Blake znalazł spróchniałe biurko i półki aż do sufitu pełne zbutwiałych, rozpadających się książek. Tutaj po raz pierwszy doznał prawdziwego wstrząsu, bo tytuły tych książek okazały się bardzo wymowne. Były to czarne, zakazane księgi, o jakich większość zdrowych na umyśle ludzi nigdy w życiu nie słyszała albo najwyżej wieść o nich docierała w potajemnych i pełnych lęku szeptach wyjęty spod prawa i przerażający skarbiec sekretów wątpliwej natury i starych reguł, które wsączały się bezustannie w strumień czasu, począwszy od epoki pierwotnego człowieka, a nawet od okresu tych mrocznych, legendarnych dni, kiedy nie było jeszcze ludzi. Blake niektóre z tych książek czytał - łacińską wersję odrażającej

książki "Necronomicon", złowróżbną "Liber Ivonis", niesławną "Cultes des Goules" Comte'a d'Erlette, "Unaussprechlichet Kulden" von Junzta oraz starego Ludviga Prinna diaboliczną księgę "De Vermis Mysteriis". Inne znał tylko ze słyszenia albo w ogóle o nich nie wiedział, jak na przykład "Pnakotic Manuscripts", "Book of Dzyan" oraz rozpadający się wolumin zupełnie nieokreślonego charakteru, zawierający jednak znaki i wykresy oszałamiające, nie obce człowiekowi studiującemu okultyzm. A więc krążące tutaj pogłoski nie były bezpodstawne. To miejsce stanowiło niegdyś siedzibę zła starszego niż ludzkość i o szerszym zasięgu niż znany nam wszechświat. W rozlatującym się biurku znajdowała się oprawna w skórę księga zapisów, wypełniona notatkami w jakimś dziwnym kryptograficznym piśmie. Rękopis składał się z powszechnie znanych tradycyjnych symboli używanych dzisiaj w astronomii, a niegdyś w alchemii, astrologii i innych wątpliwych sztukach - były więc słońce, księżyc, planety, postacie i znaki zodiaku - zgrupowane na całych stronicach tekstu, z odstępami i paragrafami, co świadczyło o tym, że każdy symbol odpowiadał jakiejś literze alfabetu.

W nadziei, że potem rozszyfruje ten kryptogram, Blake wsunął książkę do kieszeni płaszcza. Wiele ksiąg stojących na półkach tak go zafascynowało, że postanowił je jeszcze kiedyś wypożyczyć. Dziwił się, że tak długo stały przez nikogo nie tknięte. Czyżby był pierwszym człowiekiem, który przewyciężył ten paraliżujący i tak powszechny lęk, z powodu którego to miejsce przez sześćdziesiąt lat było opustoszałe i nikt tu nawet nie zajrzał? Dokonawszy inspekcji parteru Blake ruszył przez całą widmową nawę ku frontowej kruchcie, gdzie dojrzał drzwi i schody prowadzące zapewne do szerniejszej wieży i iglicy - tak dobrze mu znanych z odległości. Wspinanie się było doświadczeniem zaskakującym, bo kurz zalegał całymi pokładami, zaś pająki tutaj, w tym zaduszonym miejscu, zadziały najowocniej. Schody były kręte, z wąskimi drewnianymi stopniami, a co pewien czas mijał Blake przesłonięte kurzem okna, z których rozciągała się przyprawiająca o zawrót głowy panorama miasta. Choć nie widać było żadnych lin, spodziewał się

znaleźć jeden albo nawet kilka dzwonów w tej wieży, której wąskie, osłonięte żaluzjami ostrołukowe okna obserwował tak często przez lornetkę. Spotkało go jednak rozczarowanie, bo kiedy wspiął się już na sam szczyt schodów, nie dostrzegł żadnych dzwonów, a znajdujące się tam pomieszczenie poświęcone było zupełnie innym celom.

Miało jakieś piętnaście stóp kwadratowych i cztery ostrołukowe okna, przez które sączyło się słabe światło, były bowiem osłonięte okiennicami z przegniłych już desek, które zostały potem umocowane następnymi szczelnymi okiennicami, także już zbutwiały. Pośrodku zakurzonej podłogi wznosił się kamienny filar o dziwnym dosyć kształcie, około czterech stóp wysoki, średnicy zaś około dwóch stóp, pokryty wszędzie wyrytymi niezbyt starannie i zupełnie nieczytelnymi hieroglifami. Na filarze spoczywała metalowa skrzynia o niesymetrycznych wymiarach; uniesiona pokrywa trzymała się na zawiasach, a w środku znajdowało się coś, co pod kurzem, nagromadzonym przez dziesiątki lat, wyglądało na jakiś przedmiot w kształcie jajka albo też nieregularnej kuli wielkości około czterech cali. Wokół filara stało kołem siedem gotyckich krzeseł z wysokim oparciem, całkiem nieźle zachowanych, a za nimi, wzdłuż ścian wyłożonych ciemną boazerią, widniało siedem wielkich posągów z kruszącego się, pomalowanego czarną farbą gipsu, przypominającego zagadkowo rzeźbione megality z tajemniczej Wyspy Wielkanocnej. W jednym rogu tego omotanego pajęczyną pomieszczenia znajdowała się drabina wmontowana w ścianę, po której wchodziło się do drzwi zapadowych, a prowadzących do pozbawionej okien iglicy.

Kiedy Blake przywykł do tego słabego oświetlenia, zauważył dziwne płaskorzeźby na otwartej skrzyni z żółtawego metalu. Zbliżywszy się zaczął ścierać kurz rękoma i chustką do nosa, a wtedy zobaczył monstrualne i zupełnie nieznanne mu postacie, które najprawdopodobniej żyły, ale nie przypominały żadnego istnienia, jakie mogłoby się rozwinąć na tej planecie. Czterocalowy kulisty kształt okazał się prawie czarnym,

czarwonoprażkowanym wielościanem, o kilku nieregularnych płaskich powierzchniach; był to albo bardzo cenny gatunek kryształu, albo imitacja wykonana z jakiegoś minerału, wyrzeźbionego i oszlifowanego do połysku. Nie dotykał dno skrzynki, był zawieszony na metalowym krążku podtrzymywanym siedmioma dziwnie zaprojektowanymi wspornikami, wkładającymi się symetrycznie do kątów wewnętrznych ścian skrzynki u góry. Kamień ten, raz odkryty, fascynował Blake'a z coraz większą siłą. Nie mógł od niego oderwać oczu, a wpatrując się w jego błyszczącą powierzchnię, odnosił wrażenie, że jest całkiem przezroczysty, zaś wewnątrz znajdują się zarysy światów pełnych dziwów. Przesuwały mu się przed oczyma nieznanne planety z wielkimi kamiennymi wieżami, inne znów z olbrzymimi górami pozbawionymi śladów życia i jeszcze dalsze przestrzenie, w których tylko ruch zamglonej czerni świadczył o istnieniu świadomości i woli.

Kiedy wreszcie oderwał wzrok, zauważył jakiś dziwny stos kurzu w kącie wieży koło drabiny. Dlaczego przyciągnął jego uwagę, nie potrafiłby powiedzieć, lecz coś w jego konturach pobudziło prawie uśpioną świadomość Blake'a. Przedzierając się w tym kierunku poprzez wiszące pajęczyny zaczął podejrzewać coś niezwykłego. Z pomocą chustki do nosa odkrył wreszcie prawdę, od której dech mu zapało. Był to ludzki szkielet, który musiał tu tkwić już od bardzo dawna. Ubranie było w strzępach, jednakże guziki i szczątki materiału przemawiały za szarym garniturem. Znalazł tam jeszcze inne szczątki - butów, metalowych klamer, spinek od mankietów, spinki do krawatu o zupełnie zatartym wzorze, znak reportera z dawną nazwą "Providence Telegram" i rozpadający się skórzany portfel. Blake przejrzał go dokładnie i znalazł kilka starych rachunków, reklamowy kalendarz na rok 1883, parę wizytówek na nazwisko "Edwin M. Lillibridge" oraz kartkę z notatkami pisanymi ołówkiem.

Notatki te szczególnie go zainteresowały, toteż przeczytał je dokładnie przy oknie wychodzącym na zachód. Nie powiązany ze sobą tekst zawierał

następujące sformułowania:

"Prof. Enoch Bowen wrócił z Egiptu w maju 1844 - w lipcu kupił stary kościół Dobrej Woli - jego archeologiczne prace i studia z zakresu okultyzmu znane powszechnie".

"Dr Drowne z 4-tego kościoła Baptisty ostrzega przed Gwiazdną Mądrością podczas mszy 29 grudnia 1844".

"Kongregacja 97 pod koniec 1845".

"1846, 3 zniknięcia - po raz pierwszy wspomniano o Świecącym Trapezoedrze".

"1848, 7 zniknięć - początek opowieści o krwawych ofiarach".

"Badania 1953 bez rezultatu - opowieść o jakichś odgłosach".

"Ojciec O'Malley mówi o otaczaniu czci diabła na podstawie skrzynki znalezionej w egipskich ruinach - powiada, że przywołują coś, co nie może istnieć w świetle. Ucieka przy słabym oświetleniu, całkowicie znika przy pełnym świetle. Wtedy trzeba to przywołać ponownie. Prawdopodobnie dowiedział się o tym od Francisa X Feeneya, który wyznał to na łożu śmierci, a dołączył do Gwiazdnej Mądrości w 1849. Ci ludzie twierdzą, że Świecący Trapezoedr pokazuje im niebo i inne światy oraz że Duch Ciemności wyjawia im różne tajemnice".

"Opowieść o Orrinie B. Eddy, 1857. Przywołują go wpatrując się w kryształ, mają także swój własny, sekretny język".

"200 a nawet więcej w zgrom. 1863, nie licząc mężczyzn znajdujących się w czołówce".

"Irlandzcy chłopcy gromadzą się tłumnie w kościele w 1869 po zniknięciu Patricka Regana".

"Tajemniczy artykuł w J., 14 marca, 1972, ale nikt o nim nie wspomina".

"6 zniknięć, 1876 - tajny komitet wzywa mera Doyle".

"Akcja obiecana w lutym 1977 - kościół zamknięty w kwietniu".

"Gang - chłopcy z Federalnego Wzgórza - zagrożony. Dr ... i członkowie Rady Parafialnej w maju".

"181 osób opuszcza miasto pod koniec 1977 - nazwiska nie wymienione".

"Zaczynają krążyć upiorne opowieści, 1880 - próba sprawdzenia wiarygodności pogłoski, że żadna ludzka istota nie wstąpiła do kościoła od 1877".

"Poprosić Lanigana o fotografię tego miejsca zrobioną w 1851".

Blake wsunął kartkę do notesu, włożył do kieszeni płaszcza, po czym popatrzył uważnie na zakurzony szkielet. Znaczenie notatek było oczywiste, a człowiek ten bez wątpienia w poszukiwaniu dziennikarskiej sensacji, której nikt nie miał odwagi stawić czoła. Kto wie... może nawet nikt nie miał pojęcia o jego zamierzeniu? Ale już nigdy więcej nie powrócił do swej redakcji. Czyżby jakiś wszechpotężny lęk zmógł go w końcu i przyprawił o atak serca? Blake pochylił się nad opalizującym szkieletem i stwierdził, że znajduje się w dość niezwykłym stanie. Niektóre kości całkiem się rozpadły, inne znów poroszczepiały się na końcach. Jedne dziwnie pożółkły, inne wyglądały tak, jakby się zwęgły. Zwęglenie znać też było na niektórych szczątkach ubrania. A już w szczególnym stanie była czaszka - miała żółte plamy, a na czubku jakby przeżarł ją jakiś ostry kwas. Blake nie potrafił sobie wyobrazić, co się działo z tym szkieletem w ciągu czterdziestu lat cichego przebywania w tym grobie. Nim zdał sobie z tego sprawę, znowu wpatrywał się w kamień, który pobudzał jego wyobraźnię i roztaczał przed oczami spowite mgłą widowisko. Dostrzegł całą procesję ludzki odzianych w togi z kapturami, których zarysy nie przypominały ludzkich postaci, i patrzył na bezkresne mile pustyni otoczonej rzeźbionymi, sięgającymi nieba monolitami. Widział wieże i mury w mrocznej podmorskiej głębi, a także wirującą przestrzeń, w której smugi czarnej mgły przesłaniały nikłe, rozmigotane opary w kolorze zimnej purpury. A jeszcze dalej dostrzegał

bezkresną zatokę ciemności, gdzie bryłowate i półbryłowate kształty były rozpoznawalne tylko dlatego, że kołysały się chwiejnie, a niezbyt wyraźne oznaki ich mocnej konstrukcji świadczyły jakby o porządku górującym nad chaosem i podsuwały klucz do wszystkich paradoksów i arkanów znanych nam na świecie. Nagle cały ten czar prysł pod wpływem przytłaczającego, nieokreślonego lęku, który prawie zaczął dławić Blake'a. Oddalił się od kamienia czując bezcielesną obecność czegoś, co obserwuje go z przerażającą natarczywością. Czuł się usidlony przez coś, co nie było umiejscowione w kamieniu, ale co poprzez ten kamień wpatrywało się w niego i co już będzie mu nieustannie towarzyszyć, choć niedostrzegalne fizycznie. Miejsce to zaczęło mu działać na nerwy, wystarczyło zresztą samo to koszmarne odkrycie, jakiego dokonał. Zapadał już zmrok, a Blake nie miał ze sobą latarki, postanowił więc wyjść stąd natychmiast.

Wtem, w coraz bardziej gęstniejącym mroku, wydało mu się, że widzi jakiś nikły blask dobywający się z tego niesymetrycznego kamienia. Nie chciał patrzeć, ale coś go do tego zmuszało. Czyżby to była radioaktywna fosforescencja? W notatkach zmarłego dziennikarza wspomniane jest o Świecącym Trapezoedrze, co to być może? Czym jest ten opuszczony matecznik kosmicznego zła? Czego tutaj dokonano i co jeszcze się czai w tym mroku, od którego stronią ptaki? Wydało mu się, że gdzieś z pobliza doleciał jakiś nieuchwytny fetor, choć nie można było określić jego źródła. Blake chwycił wieko otwartej skrzyni o zatrasnął. Bez oporu poruszyły się zawiasy i skrzynia została szczelnie zamknięta, a w niej ów lśniący kamień. Podczas odgłosu zamykania rozległy się jakieś szmery w wieczystej ciemności wieży, wysoko pod sufitem. Na pewno szczury - jedyne żywe stworzenia, mogące obwieszczać swą obecność w tej przeklętej budowli, do której wtargnął Blake. A jednak odgłosy te straszliwie go przeraziły, rzucił się jak oszalały w dół krętych schodów, a potem przez upiorną nawę do piwnicy i wy dostał się na pusty, spowity już mrokiem dziedziniec. Minął rozliczne ścieżki i uliczki Federalnego Wzgórza, które zaprowadziły go na

normalne ulice uniwersyteckiej dzielnicy, wyłożone swojskimi chodnikami z cegły. Blake przez kilka następnych dni nikomu nie wspominał ani słowem o swojej sprawie. Rozczytywał się w rozmaitych księgach, wertował w mieście całe stosy gazet wydawanych w ciągu wielu lat i rozpracowywał z zapamiętaniem kryptogram napotkany w oprawnej w skórę księdze, którą znalazł w zakrystii. Szyfr, jak się przekonał, nie był prosty, po długim okresie wytężonej pracy stwierdził, że nie jest to zapis w języku angielskim a ni też w łacinie, gracie, francuskim, hiszpańskim, włoskim czy niemieckim. Postanowił sięgnąć do najgłębszych źródeł swojej edukacji.

Co wieczór jak dawniej spoglądał na zachód i wpatrywał się w czarną wieżę pośród stromych dachów tego odległego i prawie baśniowego świata. Teraz jednak napełniała go jakimś nowym lękiem. Znał już bowiem kryjące się w niej dziedzictwo wiedzy powiązanej ze złem, tym bardziej więc fantazja ponosiła go niepoohamowanie w najdziwniejszych kierunkach. Z nadchodzącą wiosną wracały ptaki, a kiedy obserwował ich lot o zachodzie słońca, wiedział, że unikały posępnej, samotnej wieży jeszcze bardziej niż dotychczas. Jeżeli stado ptaków zbliżyło się do niej, zawracało i rozpraszało się w panikę - wyobrażał sobie szaleńczy trzepot ich skrzydeł, którego nie mógł usłyszeć z odległości tylu mil. W czerwcu, wedle pamiętnika Blake'a, odniósł on zwycięstwo nad kryptogramem. Odkrył, że to był zapis w języku Aklo, którym posługiwali się wyznawcy szatańskiego starożytnego kultu, z czym zetknął się przypadkowo prowadząc niegdyś badania naukowe. Pamiętnik jest dziwnie powściągliwy odnośnie tego, co Blake odczytał, ale niewątpliwie jest jedno, że wyniki jego dociekań napełniły go lękiem i wprowadziły zamęt w jego życie. W pamiętniku są wzmianki o Duchu Ciemności, który budzi się, jeżeli ktoś zajrzy w głąb Świecącego Trapezoedru, i o obłąkańczym domniemaniu, że zostaje przywołany z głębi chaosu. On to, zgodnie z panującym przekonaniem, posiada całą wiedzę i żąda najstraszliwszych ofiar. W niektórych notatkach Blake'a wyczuwa się lęk, gdyż duch, a Blake uważa, że został przywołany, grasuje w całej okolicy,

tylko światła uliczne są dlań wałem ochronnym, którego nie może przekroczyć. O Świecącym Trapezoedrze wspomina często, zwąc go oknem wszystkich czasów i przestrzeni, i tropi całą jego historię, począwszy od dnia, kiedy został uformowany na ciemnej Yuggoth, nim jeszcze stare Bóstwa sprowadziły go na ziemię. Strzeżony pieczołowicie i umieszczony w tej dziwnej skrzyni przez krynoidy z Antarktydy, został ocalony od zagłady przez ludzi-węży z Volusii i przez całe eony bacznie strzegły go w Lemurii pierwsze istoty ludzkie. Przemierzył najdziwniejsze lądy i morza, został zatopiony wraz z Atlantydą, a potem rybak minojski wyłowił go w sieci i sprzedał ciemnoskóрым kupcom z mrocznego Khem. Faraon Nephren-Ka zbudował wokół tego kamienia świątynię z kryptą bez okien, dzięki czemu jego imię zostało wyryte na wszystkich monumentach i uwiecznione w różnych zapisach. Potem spał w ruinach tej świątyni, którą kapłani i nowy faraon zburzyli, ale jakiś archeolog znowu go wykopał ku zglubie ludzkości.

Na początku lipca gazety jakby uzupełniają zapiski Blake'a, choć w sposób pobieżny i prawie że przypadkowy, tylko więc pamiętnik zwrócił uwagę na zawarte w nich wiadomości. Okazuje się, że nowa fala przerażenia ogarnęła Federalne Wzgórze, ponieważ jakiś obcy przybysz wtargnął do kościoła zionącego grozą. Włosi szeptali coś o jakimś niezwykłym zamieszaniu, stukocie i drapaniu, rozlegającym się w wieży pozbawionej okien, i prosili swoich kapłanów o wypędzenie istoty, która nawiedza ich w snach. Twierdzili, że coś ciągle waruje przy ich drzwiach, czekając, aż się ściemni, by wtargnąć do środka. Wiadomości prasowe napomykały o zakorzenionych tu od dawna przesądach, ale nie rzucały żadnego światła na źródło ich pochodzenia. Młodzi reporterzy w obecnych czasach najwyraźniej nie znali odległej przeszłości. Opisuując to wszystko w pamiętniku Blake objawia dość dziwny wyrzut sumienia, mówi o konieczności zakopania Świecącego Trapezoedru i o zlikwidowaniu tego, co spowodował, przez oświetlenie owej strasznej, wysokiej wieży. Ale jednocześnie przejawia graniczące z niebezpieczeństwem zafascynowanie i przyznaje, że owładnięty

jest nienormalnym wprost pragnieniem - występującym nawet w jego snach - aby raz jeszcze wybrać się do tej przeklętej wieży i popatrzeć w głąb świecącego kamienia, kryjącego w sobie tajemnice kosmosu. Jednakże gazeta poranna z 17 lipca nappełniła piszącego pamiętnik jakimś szczególnym przerażeniem. Były to znowu wiadomości o niepokoju wciąż panującym na Federalnym Wzgórzu, w tonie półzartobliwym, ale dla Blake'a miało to wymowę tragiczną. Nocna burza zakłóciła system oświetlenia miasta na pełną godzinę, w przeciągu której Włosi popadli w lęk bliski szaleństwu. Ci, którzy mieszkali w pobliżu kościoła, twierdzili, że to coś, znajdujące się w wieży, skorzystało z wygaszonych latarni i przedostawszy się do kościoła, miało się tam i łomotało w odrażający, obleśny sposób. Potem znowu przeniosło się do wieży, skąd dochodziły odgłosy tłuczonego szkła. Może to przebywać wszędzie, gdzie zalega ciemność, umyka zaś przed światłem. Kiedy włączona prąd, w wieży rozległo się zdumiewające szamotanie, bo nawet najśłabszy promyk światła przesączający się przez osmolone, przesłonięte okiennicami okna był dla tej rzeczy nie do niesienia. Wśród szamotaniny wślizgnęło się to do swej mrocznej wieży w odpowiednim momencie, gdyż pod wpływem długotrwałego oświetlenia mogłoby się znowu znaleźć w otchłani, z której wywołał je szalony obcy przybysz. Podczas owej godziny ciemności rozmodlony tłum zgromadził się wokół kościoła trzymając w deszczu zapalone świece i lampy osłonięte papierem i parasolami - świetlna gwardia mająca ocalić miasto od mary nocnej, grasującej w ciemności. Ci, którzy stali najbliżej kościoła, twierdzili, że był moment, kiedy zewnętrzne wrota załomotały złowieszczo.



Ale nawet to jeszcze nie było najgorsze. Wieczorem w "Biuletynie"

Blake przeczytał, co odkryli dwaj reporterzy. Poruszeni dziwnymi i pełnymi lęku opowieściami, na przekór zalęknionemu tłumowi Włochów, wczołgali się przez piwniczne okno do wnętrza kościoła, jako że drzwi nie mogli otworzyć. Stwierdzili, że kurz w kruchcie i upiornej nawie został w dziwny sposób wymieciony, a wszędzie dokoła leżały porozrzucone zbutwiałe poduszki i obite satyną ławki. Zewsząd unosiła się ohydna woń, a tu i ówdzie widniały żółte ślady i plamy, będące jakby pozostałością zwęglenia po pożarze. Otworzywszy drzwi prowadzące do wieży i zatrzymawszy się na chwilę, gdyż wydało im się, że słyszą odgłosy jakby drapania, stwierdzili, że wąskie spiralne schody są zupełnie czyste. W samej wieży zastali podobną sytuację, kurz był tam prawie wymieciony. Wspominali o siedmiokątnym kamiennym filarze, o powywracanych gotyckich krzesłach i dziwacznych gipsowych posągach; zdumiewające, ale w ogóle nie napomknęli o metalowej skrzyni i rozpadającym się szkielecie. Najbardziej jednak zaniepokoił się Blake - poza wzmiankami o śladach zwęglenia i nieprzyjemnym zapachu - podanymi szczegółami w końcowej partii opisu reporterów odnośnie potłuczonego szkła. Wszystkie ostrołukowe okna w wieży zostały wybite, a dwa w sposób zdumiewający i najwyraźniej w pośpiechu przesłonięte wyrwanym z ław kościelnym satynowym obiciem i włosiem z poduszek. Wszystko to zostało upchnięte pomiędzy zewnętrzne okiennice. Resztki satyny i kępy włosa leżały porozrzucone na świeżo wymiecionej podłodze, tak jakby komuś przeszkodzone w całkowitym zaciemnieniu wieży, jak za dawnych dni, kiedy wszystkie okna były szczelnie zasłonięte. Pożółkłe plamy i ślady zwęglenia zauważono też na drabinie prowadzącej do szczytu wieży pozbawionej okien, jednakże kiedy reporter wszedł po niej i otworzywszy trap oświetlił latarką mroczne i cuchnące pomieszczenie, dostrzegł tylko panujący tam mrok i stos bezkształtnych szczątków zgromadzonych przy jakiejś szczelinie. Werdykt oczywiście był jeden - szarlataneria. Ktoś płatał figla przesądnym mieszkańcom wzgórza albo też jakiś fanatyzm postanowił rozniecać w nich

strach, najprawdopodobniej dla ich rzekomego dobra. Możliwe też, że jacyś młodzi i nieodpowiedzialni miejscowi ludzie zainscenizowali tak wymyślny żart dla zewnętrznego świata. Najbardziej zabawny był finał tego zdarzenia, gdyż policja postanowiła wysłać swego inspektora, żeby zweryfikował sprawozdanie reporterów. Trzej kolejni inspektorzy znaleźli wybieg dla uniknięcia wyznaczonej im misji, dopiero czwarty, acz niechętnie, musiał pojechać, a powróciwszy nie wniósł nic nowego do relacji reporterów.

Od tego momentu pamiętnik Blake'a wykazuje narastające objawy podenerwowania i grozy. Jego autor wyrzuca sobie beczynność i rozwodzi się szeroko nad konsekwencjami następnego wyłączenia światła. Sprawdzono, że trzykrotnie - podczas burzy - telefonował do zespołu energetycznego ogarnięty paniką i błagał, aby podjęto wszelkie środki ostrożności i nie dopuszczono do awarii prądu. Kilkakrotnie zaznacza się w pamiętniku niepokój, gdyż reporterzy oglądając mroczną izbę w wieży nie natknęli się na metalową skrzynię i kamień ani na rozpadający się szkielet. Przypuszczał, że te rzeczy zostały usunięte - ale przez kogo lub co i gdzie, nie miał pojęcia. Największe obawy jednak wykazywał w związku ze swoją osobą i tym niesamowitym powiązaniem, jakie wyczuwał, między własnym umysłem i owym zacząjonym koszmarem w odległej wieży - ową straszną rzeczą zespoloną z nocą, którą z powodu własnej brawury wyciągnął z nieprzeniknionego mroku. Nieustannie odczuwał wyrzut sumienia, a ludzie, którzy go w tym czasie odwiedzali, pamiętają, że przesiadywał przy biurku oderwany od rzeczywistości i przez zachodnie okno wpatrywał się w tę odległą strzelistą wieżę wyłaniającą się spoza dymu kłębiącego się nad miastem. W jego notatkach bezustannie pojawiają się wzmianki o jakichś strasznych snach i coraz bardziej zacieśniającym się, niesamowitym powiązaniu z ową tajemniczą rzeczą podczas snów. Wspomina na przykład, że którejś nocy zbudził się i stwierdził, że jest ubrany, znajduje się na ulicy i bezwiednie schodzi z College Hill, zmierzając w kierunku zachodnim. Ciągłe też podkreśla, że ta rzecz w wieży dobrze wie, gdzie go można znaleźć. Przez

tydzień po trzydziestym lipca Blake zdradzał załamanie psychiczne. nie ubierał się, a jedzenie zamawiał telefonicznie. Przyjaciele zaglądający do niego wspominają coś o sznurach, które trzymał przy łóżku. Tłumaczył się tym, że z powody nocnych wędrówek musi sobie co wieczór spętywać nogi w kostkach, mając nadzieję, że go to powstrzyma albo przynajmniej zbudzi się przy ich rozwiązywaniu. W pamiętniku opisał swoje koszmarne doznanie, które przyczyniło się do całkowitego załamania psychicznego. Trzydziestego lipca położył się wieczorem do łóżka i nagle znalazł się w nieprzeniknionym mroku, w którym z trudem torował sobie drogę. Dostrzegł tylko krótkie, horyzontalne strumienie bladego, niebieskawego światła, czuł jakiś straszliwy fetor i słyszał gdzieś w górze ponad sobą dziwną kakofonię cichych, tajemniczych dźwięków. Ilekroć się poruszył, natychmiast się o coś potykał, a każdy odgłos wywoływał pewnego rodzaju odpowiedź w górze - odgłos dziwnego szumu mieszającego się z ostrożnym pocieraniem drzewa o drzewo.

Wymacując drogę rękoma natknął się na kamienną kolumnę z pustym wierzchołkiem, innym znów razem okazało się, że po drabinie wmontowanej w ścianę, kurczowo przytrzymując się szczebli, wspina się niezdarnie tam, skąd rozchodzi się straszny fetor i skąd bije weń piekący żar. Przed oczami jego przesuwały się jak w kalejdoskopie przedziwne obrazy, co pewien czas przemieniając się w ogromną, nieprawdopodobną otchłań nocy, w której wirowały słońca i światy jeszcze głębszej ciemności. Przyszły mu na myśl stare legendy Ostatecznego Chaosu, w którego wnętrzu spoczywa sobie wygodnie niewidomy bóg-idiota Azathoth, Pan Wszystkich Rzeczy, otoczony hordą bezmyślnych i bezkształtnych tancerek, ukołysany cichą, monotonną melodią szatańskiego fletu trzymanego w ohydnych szponach. Nagle jakiś ostry sygnał z zewnętrznego świata wyrwał go z odrętwienia i uświadomił mu cały koszmar sytuacji, w jakiej się znalazł. Nie miał pojęcia, co to było - może jakiś spóźniony odgłos fajerwerków rozbłyskujących przez całe lata na Federalnym Wzgórzu, którymi mieszkańcy czcili rozmaitych

swoich świętych i patronów albo też świętych czczonych jeszcze w ich rodzinnych wioskach we Włoszech. W każdym razie skutek był taki, że krzyknął na cały głos, zeskoczył w największym przerażeniu z drabiny i na oślepie torował sobie drogę w zagraconym i spowitym gęstym mrokiem pomieszczeniu. Z miejsca zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje, i nie bocząc na nic zaczął pędzić w dół po spiralnych schodach, obcierając skórę i potykając się na każdym zakręcie. Potem uciekał przez ogarniętą nocną zmorą nawę, pełną rozsianej pajęczyny, której widmowe łukowate sklepienie sięgało królestwa złowieszczego cienia, przedarł się przez zaśmieconą piwnicę na świat powietrza i oświetlonych ulic; pędząc jak szalony po widmowym wzgórzu szemrzących kalenic znalazł się w ponurym, cichym mieście wysokich, czarnych wieżyc i pokonawszy stromy teren w kierunku wschodnim dotarł wreszcie do starych drzew okalających jego dom.

Nazajutrz rano, kiedy odzyskał świadomość, leżał na podłodze w gabinecie, kompletnie ubrany. Był zakurzony i omotany pajęczyną, całe ciało miał obolałe i podrapane. Spojrzawszy w lustro zobaczył, że włosy ma osmalone, a wierzchnie okrycie przesiąknięte jest jakimś potwornym zapachem. Wtedy to właśnie nerwy odmówiły mu posłuszeństwa. Potem już snuł się tylko po mieszkaniu w szlafroku, zupełnie wyczerpany, i prawie nic nie robił, tylko wyglądał przez zachodnie okno i drżał na samą myśl o nadciągającej burzy, wpisując oszalałe lękiem uwagi w swoim pamiętniku. 8 sierpnia, tuż przed północą, rozpętała się straszna burza. Błyskawice szalały nad całym miastem, dwukrotnie uderzył piorun. Padał ulewny deszcz, a nieustannie rozlegające się grzmoty spędzały sen z oczu tysiącom ludzi. Blake był półprzytomny z lęku o oświetlenie elektryczne i około pierwszej po północy usiłował się dodzwonić do dyspozytorni energetycznej, ale niestety łączność była już przerwana ze względów bezpieczeństwa. Wszystko notował w pamiętniku - dużymi, nerwowymi i nieczytelnymi literami, wykazując coraz bardziej nasilający się strach i rozpacz - a robił to na wycucie, po ciemku. Musiał u siebie u pokoju zgasić światło, żeby coś

widzieć przez okno, a jak się okazuje, większość czasu spędził przy biurku wpatrując się z niepokojem ponad lśniącymi w deszczu milami dachów miejskich domów w konstelację dalekich światła znaczących Federalne Wzgórze. Co pewien czas po omacku robił notatki w pamiętniku, a oderwane zdania, takie jak: "Nie mogą wyłączyć światła", "Ono wie, gdzie jestem", "Muszę to zniszczyć", "Przywołuje mnie, ale może tym razem nie chce mnie skrzywdzić", są rozrzucone na dwóch stronicach.

Światło zgasło w całym mieście. Stało się to dwanaście minut po drugiej, wedle odnotowanych danych w elektrowni, jednak pamiętnik Blake'a tego nie precyzuje. Jest tylko następujący zapis: "Światło wyłączona - Boże dopomóż mi". Na Federalnym Wzgórzu ludzie byli równie zaniepokojeni jak Blake, przemoknięci do suchej nitki skupili się na placu i uliczkach otaczających złowrogi kościół ze świecami osłoniętymi parasolami, z latarkami, lampami, krucyfikami i innymi dziwnymi symbolami zaklęć, właściwymi obszarom południowych Włoch. Błogosławili każdy przebłysk na niebie, robiąc tajemnicze i pełne lęku gest prawą ręką, gdy wskutek oddalającej się burzy błyskawice pojawiały się coraz rzadziej, aż w końcu całkiem ustały. Nasilający się wiatr pogasił prawie wszystkie świece, a całą scenę okrył groźny mrok. Ktoś wyrwał ze snu ojca Merluzzo z kościoła Spirito Santo, który natychmiast pośpieszył na ponury plac i wypowiedział kilka kojących słów. Nikt nie miał wątpliwości, że z mrocznej wieży dochodzą jakieś pełne niepokoju i dziwne odgłosy. Na potwierdzenie tego, co się zdarzyło o 2.35, mamy zeznanie księdza, młodego, inteligentnego i wykształconego człowieka; pełniącego służbę policjanta, Williama J. Monohana z komendy głównej, człowieka najwyższej wiarygodności, który zatrzymał się w tej części podlegającego jego kontroli rejonu, aby mieć baczenie na zebrany tłum; i większości z siedemdziesięciu ośmiu osób, które zebrały się przy wysokim wale otaczającym kościół - a zwłaszcza tych stojących na placu od strony wschodniej fasady kościoła. Nie zdarzyło się oczywiście nic, co by świadczyło o zjawisku wykraczającym poza prawa

przyrody. Przyczyn tego zjawiska może być wiele. Nikt nie może twierdzić z pełnym przekonaniem, że nastąpił jakiś niejasny proces chemiczny, który zaszedł w ogromnym, nie przewietrzanym i dawno opuszczonym budynku, pełnym nagromadzonych tam rozmaitych przedmiotów. Smrodliwe opary - nagły wybuch - ciśnienie gazów powstałych na skutek długiego rozkładu - każde z rozlicznych zjawisk mogło się do tego przyczynić. W takim przypadku, oczywiście, świadoma szarlataneria musi być wykluczona. Zdarzenie to samo w sobie było całkiem proste i trwało niecałe trzy minuty. Ojciec Merluzzo, zawsze bardzo dokładny, cały czas spoglądał na zegarek.

Rozpoczęło się to wyraźnym nasileniem głuchych, szeleszczących odgłosów wewnątrz mrocznej wieży. Z kościoła zaczęły się wydostawać dziwne i nieprzyjemne zapachy, które w tym momencie stały się dość intensywne. Następnie rozległ się odgłos pękającego drzewa i ogromny, ciężki przedmiot spadł na dziedziniec od strony posepnej wschodniej fasady kościoła. Świeci nie paliły się, wobec czego wieża nie było widoczna, ale gdy przedmiot ten znalazł się już na ziemi, wszyscy widzieli, że jest to okopcona okiennica wschodniego okna. Nagle dotarł z niewidzialnych wysokości fetor nie do zniesienia, od którego drżących widzów ogarnęły mdłości, niemal się dławili, a wszystkich na placu prawie ścięło z nóg. Jednocześnie powietrze zadrżało od wibracji trzepoczących skrzydeł, a nagły poryw wiatru ze wschodu, o wiele gwałtowniejszy niż wszystkie poprzednie podmuchy, pozzrzucał z głów kapelusze i wyrwał z rąk ociekające parasole. Nic określonego nie dało się zauważyć w tę ciemną noc, choć niektórzy spośród obserwatorów patrzących w górę odnieśli wrażenie, że na tle atramentowego nieba widzieli ogromną, czarną smugę - coś jakby bezkształtną chmurę dymu, która wystrzeliła w kierunku wschodnim z prędkością meteoru. I to było wszystko. Co, którzy to widzieli, osłupieli z przerażenia, grozy i niepewności, nie wiedzieli, co mają robić i czy w ogóle coś robić. A ponieważ nie wiedzieli, co się stało, nie potrafili się uwolnić od czujności; toteż już po chwili, kiedy ostra błyskawica zanikającej burzy, a potem

szarpiący uszy grzmot objęły niebo, natychmiast rozpoczęli modły. Za jakieś pół godziny deszcz przestał padać, a po piętnastu minutach latarnie się zapaliły i dopiero wtedy zmęczeni i przemoknięci ludzkie z ulgą wrócili do swych domów.

Następnego dnia w gazetach zamieszczono wiadomość o burzy, przy okazji napomykając tylko o towarzyszących jej okolicznościach. Okazało się, że burza szalejąca na Federalnym Wzgórzu miała jeszcze większe nasilenie dalej, w kierunku wschodnim, gdzie rozniósł się także jakiś szczególny rodzaj fetoru. Zjawisko wystąpiło najwyraźniej nad College Hill, gdzie huk pękającego drzewa zbudził mieszkańców i spowodował falę niesamowitych domysłów. Spośród tych, którzy się zbudzili, tylko kilka osób dostrzegło niezwykle blask na szczycie wzgórza albo też zauważyło niewytłumaczalny wir powietrza w górę, który strącił prawie wszystkie liście z drzew i zniszczył rośliny w ogrodach. Zgodnie twierdzono, że piorun musiał uderzyć gdzie w bliskim sąsiedztwie, ale nie znaleziono nigdzie żadnego śladu. Młody człowiek ze stowarzyszenia Tou Omega opowiadał, że widział groteskowy i odrażający kłęb dymu w powietrzu w momencie, gdy pojawiła się pierwsza błyskawica, lecz jego spostrzeżenie nie zostało potwierdzone. Jednakże wszyscy obserwatorzy są zgodni co do jednego, że ostatni grzmot został poprzedzony gwałtownym podmuchem wiatru od zachodu i strasznym, wprost nie do zniesienia zapachem; natomiast powszechnie stwierdzano ulotną woń spalenizny tuż po uderzeniu pioruna. Omawiano to wszystko bardzo dokładnie ze względu na prawdopodobieństwo związku tych wydarzeń ze śmiercią Roberta Blake'a. Studenci z domu Psi Delta, których okna na piętrze znajdowały się naprzeciw gabinetu Blake'a, zauważyli dziewiątego lipca rano w oknie wychodzącym na zachód jego bladą twarz i zastanawiali się nad jej dziwnym wyrazem. Kiedy wieczorem stwierdzili, że twarz i pozycja Blake'a nie uległy zmianie, zaniepokoiłi się i czekali na zapalenie światła w jego gabinecie. Później zadzwonili do nie oświetlonego mieszkania, po czym z pomocą policjanta wyważyli drzwi.

Sztywne ciało tkwił w pozycji siedzącej przy biurku, twarz o szklistych, wytrzeszczonych oczach była wykrzywiona w konwulsyjnym strachu. Na ten widok wszyscy rozpierzchli się, bo aż im się mdło zrobiło od tego przerażającego widoku. Wkrótce potem lekarz sądowy dokonał oględzin i mimo całych szyb w oknie stwierdził szok spowodowany elektrycznym wyładowaniem albo napięcie nerwowe z tej samej przyczyny. Natomiast zupełnie zignorował wyraz przerażenia na twarzy Blake'a, poczytując to za prawdopodobny skutek wielkiego szoku, typowego dla człowieka o tak chorobliwej wyobraźni i tak niezrównoważonego. Wyciągnął ten wniosek na podstawie książek, obrazów i rękopisów znalezionych w mieszkaniu i pisanych na oślep spostrzeżeń w pamiętniku leżącym na biurku. Blake notował szaleńcze uwagi do samego końca a ołówek ze złamanym grafitem tkwił w jego spazmatycznie zaciśniętej prawej dłoni.

Notatki po wyłączeniu światła były bardzo chaotyczne i niezbyt czytelne. Na ich podstawie niektórzy badacze wyciągnęli zupełnie inne wnioski, niż głosił oficjalny werdykt, ale tego rodzaju spekulacje nie są nigdy uznawane za wiarygodne przez ludzi konserwatywnych. Wnioski obdarzonych wyobraźnią teoretyków nie zostały wsparte czynem przesądnego doktora Dextera, który wrzucił tę dziwną skrzynię i wielokątny kamień - przedmiot niewątpliwie iluminujący światło w mrocznej, pozbawionej okien wieży, gdzie został odnaleziony - do najgłębszego kanału w zatoce Narragansett. Nadmierna wyobraźnia i neurotyzm Blake'a, wzmożone poznaniem dawno minionego szatańskiego kultu, którego szokujące ślady odkrył, nadają szczególnego znaczenia zamieszczonym później ostatnim notatkom pisany w szaleństwie lęku. Oto właśnie te notatki - albo te to wszystko, co udało się odtworzyć.

"Światło wciąż wyłączone... chyba już z pięć minut. Wszystko zależy od błyskawic. Oby trwały jak najdłużej! Mają jakiś wpływ na to wszystko...

Deszcze, pioruny i wiatr ogłuszający... Ta rzecz działa na mój umysł.

Kłopoty z pamięcią. Widzę rzeczy, o których dotąd nie miałem pojęcia. Inne światy, inne galaktyki... Ciemność... Błyskawice wydają się ciemnością, a ciemność światłem.

Nie może to być prawdziwe wzgórze i prawdziwy kościół. To z pewnością wrażenia, jakim podlega siatkówka oka na skutek błyskawic. Bogu dzięki, że Włosi stoją z zapalonymi świecami, w razie gdy ustaną błyskawice.

Czego ja się boję? Nie jest to przypadkiem wcielenie Nyarlathotepa, który w starożytnym i tajemniczym Khemie przybrał nawet postać człowieka? Pamiętam Yuggoth i jeszcze bardziej odległa Shaggai, a także najdalszą próżnię czarnych planet.

Długi szybujący lot poprzez pustkę... nie może przebyć świata jasności... odtworzonymi myślami uwięzionymi w Świecącym Trapezoedrze... wysłała je poprzez straszliwe pustynie promieniowania...

Nazywam się Blake - Robert Harrison Blake z East Knapp Street, Milwaukee, Wisconsin...

Jestem na tej planecie...

Azathoth, miej litość!... błyskawice już nie rozjaśniają nieba... straszne... widzę wszystko jakimś niesamowitym zmysłem, który nie jest wzrokiem... światło jest ciemnością, a ciemność jest światłem... ludzie na wzgórzu... straż... świece i czary... ich księża...

Poczucie odległości zatracone... dalekie jest bliskie, a bliskie dalekie. Żadnego światła... ani szkła... widzę tych ludzi... widzę tę wieżę... okno... słyszę... Roderick Usher... oszalałem albo zaraz oszaleję... ta rzecz porusza się i trzepoce w wieży... to ja jestem tą rzeczą, a ona mną...

chcę się wydostać... muszę się wydostać i zjednoczyć siły... Ona wie, gdzie się znajduję.

Jestem Robert Blake, ale widzę w ciemności wieżę. Niesamowity odór... zmysły przeistoczone... żaluzje w oknie wieży trzeszczą i odpadają... lii... ngai... ygg...

Widzę... przybywa tutaj.. niesamowity wiatr-tytan... niewyraźne czarne skrzydła... Yog-Sathoth, ocal mnie... trzypłatowe płonące oko..."

Koszmar w Dunwich

Gorgony, Hydry i Chimery - straszne opowieści o Celaeno i Harpiach - mogą się odradzać w przesądnym umyśle - ale istniały tam już przedtem. Są kopią, wzorcem - stare ich wzorce są w nas, i są wieczne. Gdyby było inaczej, to czy przytoczone przykłady, które na jawie uważamy za nieprawdziwe, mogłyby wywierać na nas jakikolwiek wpływ? Czy to znaczy, że w sposób naturalny przejmujemy poczucie lęku od takich właśnie obiektów, które, jak się powszechnie uważa, są w stanie wyrządzić nam cielesną krzywdę? O, bynajmniej! Tego rodzaju lęki mają o wiele starsze podłoże. Sięgają poza ciało - a nawet w powiązaniu z ciałem byłyby takie same... Fakt, że lęk, tutaj rozważany, ma charakter czysto duchowe, że jest silny w proporcji, tak jak jest bezprzedmiotowy na ziemi, że dominuje w okresie naszego bezgrzesznego niemowlęctwa - stwarza trudności, których rozwiązanie może ułatwić wejrzenie w okres, gdy świat jeszcze nie istniał, i choćby pobieżne zerknięcie w mroczną krainę praegzystencji.

Charles Lamb: "Czarownice i inne koszmary nocne".

I

Jeśli podróżnik, przebywający na północy środkowej części Massachusetts, skręci w niewłaściwy gościniec na rozstaju dróg przy rogatkach Aylesbury tuż za Dean's Corners, napotka samotną i dziwną krainę. Teren się tu wznosi, a kamienne mury obrośnięte dziką różą coraz silniej napierają na krętą, piaszczystą i poźłobioną koleinami drogę. Drzewa w pojawiających się co pewien czas pasmach lasów wydają się za duże, a dzikie krzewy, jeżyny i trawa rosną tak bujnie, że nawet w zamieszkałych regionach nieczęsto się takie spotyka. Pola uprawne, mało zresztą urodzajne, występują tu tylko gdzieniegdzie, a z rzadka rozproszone domy noszą znamiona wieku, nędzy i ruiny. Nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje, ale nikt właściwie nie ma ochoty pytać o drogę wychodzących, samotnych ludzi, których niekiedy można dostrzec na rozpadających się progach domów oraz na spadzistych łąkach usianych kamieniami. Ludzie ci są tak milczący i tajemniczy, że każdy odnosi wrażenie, jakby natknął się na jakieś zakazane istoty, z którymi lepiej byłoby nie mieć do czynienia. A kiedy wznosząca się coraz wyżej droga doprowadza do miejsca, z którego roztacza się ponad gęstymi lasami widok na wzgórza, narasta uczucie dziwnego niepokoju. Ich wierzchołki są nazbyt okrągłe i symetryczne, aby taki widok mógł się wydać przyjemny i naturalny, a do tego jeszcze co jakiś czas rysują się niezwykle wyraziście na tle nieba wysokie, ustawione w krąg kamienne kolumny wieńczące szczyty tych wzgórz. Drogę przecinają niezbadanej głębokości wąwozy i parowy, a prymitywne drewniane mosty nie zapewniają poczucia bezpieczeństwa. A kiedy droga opada w dół, pojawiają się całe połacie bagien, na widok których człowiek instynktownie się wzdryga, natomiast wieczorem ogarnia go lęk, gdy zaczyna się rozlegać skrzeczenie

niewidocznych lelków kozodojów, a niespotykane chmary robaczków świętojańskich wykonują taniec w rytm ochrypłego, uporczywego i donośnego rechotu żab. Wąska, lśniąca wstęga górnego biegu rzeki Miskatonic przypomina pełzającego węża, kiedy tak wiję się u stóp kopulastych wzgórz, spośród których wypływa.

Im bliżej wzgórz, podróżnik stwierdza, że bardziej przyciągają uwagę ich zalesione stoki aniżeli kamienne, kopulaste wierzchołki. Zięją czarnym mrokiem, są urwiste i miałyby się ochotę znaleźć od nich jak najdalej, ale nie ma niestety innej drogi, dzięki której można by ich uniknąć. Po drugiej stronie krytego mostu widać małą wioskę przycupniętą między rzeką a stromym zboczem Round Mountain, w której zadziwiają przegniłe spadziste dachy świadczące o architekturze znacznie starszej niż pozostała zabudowa okolicy. Nie napawa otuchą świadomość, kiedy przyjrzeć się bliżej, że większość chat jest opustoszała i chyli się do ruiny i że w kościele ze zwaloną wieżą mieści się teraz jedyny niechlujny sklep tej wioski. Przerazenie ogarnia na myśl, że trzeba przejść mroczny jak tunel most, nie da się go jednak ominąć. A po drugiej stronie, na odcinku drogi prowadzącej przez wieś, bucha przykra woń zbutwienia, nagromadzona przez całe stulecia. Z ulgą opuszcza się to miejsce posuwając się wąską ścieżką wiodącą u podnóża wzgórz i poprzez równinę dociera się znowu do rogatek Aylesbury. Czasem dopiero tutaj człowiek się dowiaduje, że był w Dunwich. Obcy rzadko odwiedzają tę miejscowość, a od pewnego czasu, kiedy to miały tam miejsce straszne wydarzenia, wszystkie kierujące doń drogowskazy zostały usunięte. Sceneria tamtejsza, jeśli oceniać wedle zwykłego kanonu estetycznego, jest wyjątkowo ładna, a jednak nie przyjeżdżają tam turyści w sezonie letnim, nie zaglądają też artyści. Dwieście lat temu, kiedy opowieści o wiedźmach wypijających krew, otaczaniu czcią Szatana i o dziwnych istotach żyjących w lasach nie budziły pobłażliwego uśmiechu, mówiło się jawnie o przyczynach, dla których należy unikać tych terenów. W wieku, w którym włada rozum, a w którym właśnie żyjemy - koszmar w Dunwich

został wyciszony w 1928 roku przez ludzi, którym dobro tego miasta i świata leżało na sercu - wszyscy unikają tych stron nie wiedząc właściwie dlaczego. Być może znana jest jedna przyczyna - ale nie ludziom przybyłym z daleka - a mianowicie odrażający wygląd nielicznych już mieszkańców tych chylących się do upadku osiedli, jakie dość często spotyka się w zakątkach Nowej Anglii. Stanowią jakby swoją własną rasę z wyraźnie zaznaczających się umysłowym i fizycznym stygmatem degeneracji, spowodowanej między innymi zawieraniem małżeństw między krewnymi. Przeciętna ich inteligencji jest katastrofalnie niska, natomiast ich kroniki aż cuchną od jawnej złośliwości potajemnych zabójstw, kazirodztwa oraz czynów wyjątkowo okrutnych i wyuzdanych. Grupa przynależąca do starego ziemiaństwa, a reprezentowana przez dwie albo trzy rodziny, które przybyły tu z Salem w 1692 roku, utrzymała się na cokolwiek wyższym poziomie, choć poniektórzy jej potomkowie tak już wrosli w pospólstwo, że tylko ich nazwiska mogą być kluczem do tak zniesławionego pochodzenia. Niektórzy Whateleyowie czy Bishopowie wciąż jeszcze wysyłają najstarszych synów do Harvardy czy Miskatonic, ale rzadko powracają oni pod butwiejące dachy, pod którymi ich przodkowie, a także oni sami przyszli na świat.



Nawet ci, którzy znają fakty związane z koszmarem, jaki się tutaj wydarzył, nie potrafią powiedzieć, co się działo w Dunwich. Stare legendy wspominają o bezbożnych obrzędach i tajnych zgromadzeniach Indian, podczas których przywoływano zakazane, tajemnicze istoty spośród wielkich, kopulastych wzgórz i odprawiano dzikie, orgiastyczne obrzędy, powodując jakieś trzaski i grzmoty w głębi ziemi. W 1747 roku wielbny Abijah Hoadley, nowo przybyły kapłan Kongregacyjnego Kościoła we

wsi Dunwich, wygłosił pamiętne kazanie na temat obecności Szatana i jego diabłów, w którym powiedział: Zważyć musimy, że te bluźniercze siły z piekielnego Orszaku Demonów są nazbyt powszechnie znane, aby im można było zaprzeczać. Przeklęte głosy Azazela i Buzraela, Belzebuba i Beliala słyszało z głębi ziemi ponad dwudziestu jeszcze żyjących wiarygodnych świadków, a dwa tygodnie temu ja sam wyraźnie słyszałem rozmowę nieczystych sił w górach za moim domem. Dochodziło brzęczenie i dudnienie, jęk i pisk, i jakieś syki. Były to dźwięki obce tej ziemi, a musiały się dobywać z jaskiń, które tylko człowiek uprawiający czarną magię może odkryć, a otworzyć jedynie diabeł. Wielebny Hoadley wkrótce potem zniknął, ale tekst jego kazania, wydrukowany w "Springfield", do dziś istnieje. Jednakże każdego roku dochodzą wieści o dziwnych odgłosach rozbrzmiewających wśród gór i wciąż stanowią zagadkę dla geologów i fizjografów.

Inne podania głoszą o jakimś nieprzyjemnym zapachu unoszącym się w pobliżu kręku kamiennych kolumn i o nagłych, sowizdrzalskich odgłosach słyszalnych niezbyt wyraźnie w pewnych godzinach, a dobywających się z określonych miejsc na dnie wielkich wąwozów; a jeszcze inne podania ludowe wspominają o Diabelskim Uskoku - jest to ponure, przeklęte zbrocze góry, na którym nie rosną ani drzewa, ani krzewy, ani nawet trawa. Ludzie tutaj panicznie się boją głosów lelków kozodojów, które nasilają się w ciepłe noce. Panuje przekonanie, że te ptaki oczekują na dusze umierających ludzi i że dopasowują rytm swoich pełnych grozy krzyków do ostatnich oddechów cierpiącego. Jeżeli pochwycą ulatującą duszę w momencie opuszczania ciała, natychmiast odlatują trzepocząc skrzydłami pośród demonicznego chichotu; a jeśli nie uda się im pochwycić, stopniowo zapadają w pełną rozczarowania ciszę. Wszystkie te opowieści już się oczywiście przeżyły i wydają się śmieszne; wywodzą się z niezwykle odległych czasów. Dunwich jest rzeczywiście bardzo stare, o wiele starsze niż wszystkie inne osady w promieniu trzydziestu mil. Na południe od Dunwich można spotkać

fundamenty i komin starego domu Bishopa, który został zbudowany jeszcze przed 1700 rokiem; natomiast ruiny młyna przy wodospadach, zbudowanego w 1806 roku, stanowią najbardziej nowoczesną architekturę, na jaką się można tu natknąć. Przemysł nigdy nie kwitł w tych stronach, a fabryka, jaką tu zamierzano rozwinąć w dziewiętnastym wieku, miała krótkotrwały żywot. Najstarsze ze wszystkiego są jednak wielkie, surowe ciosane kolumny stojące kręgiem na szczytach, ale przypisuje się je raczej Indianom aniżeli późniejszym osadnikom. Stosy czaszek i kości w kręgu kolumn i wokół dużej skały w kształcie stołu na Sentinel Hill stanowią, w powszechnym przekonaniu, miejsce grzebania Pocumtucków; natomiast wielu etnologów, odrzucając absurdalne prawdopodobieństwo takiej teorii, twierdzili, że są to pozostałości ludów kaukaskich.

II

Wilbur Whateley urodził się o piątej rano w niedzielę, drugiego lutego 1913 roku, na dużej i tylko częściowo zamieszkałej farmie, znajdującej się na stoku wzgórza cztery mile od wsi i półtorej mili od jakiegokolwiek innego domostwa w okręgu Dunwich. Data powyższa upamiętniła się, ponieważ było to święto Matki Boskiej Gromniczej, które mieszkańcy Dunwich obchodzą pod inną nazwą, a także dlatego, że w górach rozległy się jakieś huki, zaś przez całą noc poprzedzającą jego urodzenie ujadły zaciekle wszystkie psy we wsi. Godny również uwagi jest fakt, że matka jego pochodziła ze zdegenerowanej gałęzi rodziny Whateleyów, że była ułomną, brzydką trzydziestopięcioletnią kobietą, albinoską, a mieszkała ze starym ojcem, półobląkanym, a którym w jego młodych latach krążyły plotki, że para się czarną magią. Lavinia Whateley nie miała męża, ale nie wyrzekła się dziecka, zgodnie z panującymi w tych stronach obyczajami; nie przejmowała się też domysłami, jakie mogą snuć - i snuli - okoliczni wieśniacy na temat ojcostwa jej dziecka. Wręcz przeciwnie, wydawała się dumna z czarnowłosego niemowlęcia o wyglądzie satyra, który jaskrawo kontrastował z jej albinizmem i różowymi oczami, a słyszano też, jak rozповідаło rozmaite i dziwne o nim wieści, o jego niezwykłej mocy i wielkiej przyszłości. Lavinia mówiła różne rzeczy, żyła bowiem samotnie i zapuszczała się daleko w góry podczas szalejących burz, a także czytała grube książki zgromadzone w ciągu dwóch stuleci, które jej ojciec odziedziczył po przodkach Whateleyach, a które teraz rozpadały się już ze starości i zniszczenia przez robactwo. Do szkoły nie chodziła nigdy, uczył ją ojciec, przekazując jej w sposób chaotyczny strzępki starożytnej wiedzy. Ludzie zawsze stronili od ich farmy z powodu krążących opowieści o czarnej

magii Starego Whateleya i dotychczas niewyjaśnionych okoliczności gwałtownej śmierci pani Whateley, kiedy Lavinia miała dwanaście lat. Lavinia zadowolona była ze swego samotnego życia, które wypełniała różnymi zajęciami i oddawała się najfantastyczniejszym marzeniom i snom. Domem niewiele się zajmowała, panował w nim nieład i brud, a w nozdrza uderzały nieprzyjemne zapachy.

Tej nocy, kiedy rodził się Wilbur, rozlegał się w domu Whateleyów krzyk, którego echo zagłuszało nawet odgłosy ze wzgórz i szczekanie psów, ale w jego przyjściu na świat nie uczestniczył ani żaden doktor, ani akuszerka. Sąsiedzi dowiedzieli się o wszystkim dopiero w tydzień później, kiedy Stary Whateley wybrał się saniami do Dunwich i chaotycznie opowiedział o tym wydarzeniu ludziom stojącym beczynnym przez sklepem Osborne'a. Wydawało się, że się zupełnie odmienił - rozglądał się ukradkiem na wszystkie strony, nie budził lęku, jak dotychczas, tylko sam był jakiś zalękniony - a przecież nie był to człowiek, któremu wydarzenia rodzinne mogłyby zakłócić spokój. Mimo to znać po nim było dumę, która zresztą potem ujawniła się też i u jego córki, a to, co powiedział o ojcu dziecka, upamiętniło się na długie lata jego słuchaczom.

- Nie obchodzi mnie, co ludzie sobie myślą, bo jeśli chłopak Lavinii będzie jak jego ojciec, wszystkich zadziwi. Myślicie pewnie, że wy to jedyni ludzie tutaj. Lavinia czytała i widziała rzeczy, o których wam tylko opowiadano. Jej chłop jest tak samo dobry jak każdy chłop po tej stronie Aylesbury. A jakbyście wiedzieli o górach to, co ja wiem, to byście myśleli, że jej ślub jest lepszy niż wszystkie śluby w kościołach. Powiem wam jeszcze, że któregoś dnia usłyszycie, jak dziecko Lavinii zwoła imię swojego ojca ze szczytu Sentinel Hill.



Tylko dwie osoby widziały Wilbura Whateleya w pierwszym miesiącu życia. Byli to Zechariah Whateley, z tych jeszcze nie zdegenerowanych, i Mamie Bishop, nieślubna żona Earla Sawyera. Mamie wybrała się z ciekawości, a to, co potem opowiadała, okazało się uzasadnione. Zechariah natomiast przyprowadził dwie krowy z Alderney, które Stary Whateley kupił od jego syna, Curtisa. Od tej chwili rodzina małego Wilbura skupowała bydło i trwało to aż do 1928 roku, kiedy to zdarzył się ten straszny koszmar w Dunwich. A mimo to w obskurnej oborze Whateleya nigdy nie było dużo bydła. Przez pewien czas ciekawscy liczyli z ukrycia liczbę krów pasących się na stromym zboczu kiło starej farmy i jakoś nigdy nie doliczyli się więcej niż dziesięć albo dwanaście, a wszystkie wyglądały zabiedzone, jakby bez krwi. Widocznie jakaś zaraza niszczyła zwierzęta u Whateleyów; pewnie pastwisko było niezdrowe albo grzyb toczył drzewo w ich obskurnej oborze, co nie wychodziło zwierzętom na dobre. Na ich skórze było pełno wrzodów albo ran, tak jakby były czymś ponacinane. A tym, którzy byli na farmie jeszcze we wcześniejszych miesiącach, wydało się, że takie same wrzody i rany dostrzegli na szyi nie ogolonego, siwego Starego Whateleya i jego niechlujnej, potarganej córki-albinoski. Wiosną, po urodzeniu Wilbura, Lavinia wznowiła wyprawy w góry wraz ze swoim smagłym dzieckiem, które nosiła w niekształtnych ramionach. Z czasem, kiedy większość okolicznych mieszkańców zobaczyła już dziecko, przestano się nim interesować, nie komentowano też jego niezwykle szybkiego rozwoju. Wilbur rósł fenomenalnie szybko, kiedy skończył trzy miesiące, był większy i mocniejszy niż niejedno roczne dzieci. Jego ruchy i głos nacechowane były rozwagą i świadomością niespotykaną w takiego niemowlaka, toteż nikogo nie zaskoczyło, kiedy w siódmym miesiącu życia zaczął chodzić, jeszcze trochę chwiejnie ale po miesiącu już poruszał się całkiem swobodnie. W tym mniej więcej czasie - na Wszystkich Świętych - nasz szczyt Sentinel Hill, gdzie pośród stosu starych kości znajduje się skała w kształcie wielkiego stołu, pojawił się o północy wielki płomień. Rozpętała się fala plotek, bo

Silas Bishop - z tych normalnych Bishopów - na godzinę przed pojawieniem się ognia widział, jak chłopiec biegł żwawo przed matką właśnie na to wzgórze. Silas pędził właśnie zbłąkaną jałówkę, ale prawie zapomniał, co roki, kiedy w słabym świetle latarki dojrzał tych dwoje. Przedzierali się niemal bezszelestnie przez poszycie i zdumionemu Silasowi wydało się, że byli zupełnie nadzy. Potem miał pewne wątpliwości co do chłopca, być może miał na sobie ciemne spodnie, krótkie albo długie, i pas z frędzlami. Zawsze widywano Wilbura w ubraniu dokładnie zapiętym, a jakiegokolwiek zakłócenie porządku w jego stroju wywoływało u niego niepokój, a nawet irytację. Pod tym względem ogromnie kontrastował z niechlujną matką i dziadkiem, dopiero niezwykle zdarzenie w 1928 roku wyjawiało przyczyny tego zjawiska.

W styczniu wykazano znowu pewne zainteresowanie "ciemnym brzdącem Lavinii", bo zaczął mówić skończywszy jedenaście miesięcy. Zwracał uwagę nie tylko z powodu innego akcentu, ale i swobody, z jaką mówił. Czteroletnie dzieci nie mogłyby mu dorównać. Nie był zbyt skory do rozmowy, lecz kiedy już zaczynał mówić, robił to w jakiś dziwnie nieuchwytny sposób, niespotykany wśród mieszkańców Dunwich. Nie przejawiało się to w tym, co mówił, i nawet nie w zwrotach, jakich używał, tylko w intonacji i jakby w wewnętrznych narządach, z których głos się dobywał. A twarz jego też miała niespotykany wyraz dojrzałości; podobnie jak matka i dziadek pozbawiony był brody, ale miał za to wydatny, ukształtowany wyraznie, mimo tak młodego wieku, nos, duże ciemne oczy o dojrzałym spojrzeniu, co stwarzało wrażenie, że jest już dorosły i obdarzony nadprzyrodzoną inteligencją. A mimo to był strasznie brzydki; grube wargi, pożółkła cera z wielkimi porami, szorstkie, twarde włosy i dziwnie wydłużone uszy nadawały mu wygląd satyra albo jakiegoś zwierzęcia. Wkrótce zaczął budzić jeszcze większą odrazę niż jego matka i dziadek; przypisywano to wszystko czarnej magii, jaką się dawniej zajmował Stary Whateley; wspomniano, jak góry zadrżały, kiedy stanął w kręgu skał z otwartą księgą, którą trzymał przed sobą, i wykrzyknął straszne imię Yog-

Sothoth. Nie cierpiały tego chłopca wszystkie psy, zawsze musiał być w pogotowiu, aby się bronić przed ich atakiem i groźnym szczekaniem.

III

Tymczasem, chociaż Stary Whateley wciąż skupował bydło, stado na jego farmie się nie powiększało. Ścinał też drzewa i zaczął naprawiać nie używaną dotychczas część domu - przestronną, na piętrze pod spadzistym dachem, która od tyłu przylegała na stoku wzgórza; dotychczas zajmował z córką trzy izby na parterze, te najmniej zniszczone, i to mu wystarczało. Ogromne zasoby energii musiał mieć ten stary człowiek, skoro mógł podołać tak ciężkiej pracy. I choć co pewien czas paplał bez związku, jako cieśla robił postępy. Zaczęło się to właściwie zaraz po urodzeniu Wilbura; uporządkował jedną z szop do przechowywania narzędzi, oszalował ją i założył nowy, mocny zamek. Odbudowując teraz nie używane dotąd piętro wykazał taką samą sprawność. Jego obłęd objawił się dopiero wtedy, kiedy pozabijał szczelnie deskami wszystkie okna w odrestaurowanej części domu, choć byli tacy, którzy uważali, że sam fakt przystąpienia do tej pracy był już przejawem obłędu. Trochę mniejsze zdziwienie budziło odremontowanie pokoju dla wnuka na parterze, kilka osób nawet go oglądało, ale nikt nie miał dostępu do zabitego deskami piętra. Pokój chłopca obudował wysokimi, solidnymi półkami, na których poukładał, w należyтым porządku, wszystkie stare, zbutwiałe książki i porozrywane, poszczególne części, które dotychczas przewracały się po kątach we wszystkich izbach.

- Ja z nich skorzystałem coś niecoś - mówił podklejając podarte stronicę, zadrukowane gotyckim pismem. W tym celu na zardzewiałym kuchennym piecu podgrzewał zrobiony przez siebie klej. - Ale chłopak jeszcze lepiej potrafi z nich skorzystać. Trzeba je uporządkować, bo tylko z nich będzie się uczył.

Kiedy Wilbur miał rok i siedem miesięcy - we wrześniu 1914 - jego

wzrost i umiejętności budziły najwyższe zdumienie. Wyglądał na cztery lata, mówił płynnie i wykazywał dużą inteligencję. Biegał swobodnie po polach i górach, nieodłącznie też towarzyszył matce w jej wyprawach. W domu ślęczał pilnie nad dziwnymi obrazkami i mapami w książkach dziadka, a Stary Whateley wpajał mu wiedzę przez całe długie, ciche popołudnia. Do tego czasu został zakończony remont domu, a ci, którzy to obserwowali, nie mogli zrozumieć, dlaczego okno na tyłach wschodniego szczytu, przylegające do wzgórza, zostało przerobione na moce drzwi zbite z desek. A jeszcze bardziej zagadkowa była pochylnia z desek prowadząca od drzwi do samej ziemi. Po zakończeniu remontu ludzie zauważyli, że szopa z narzędziami, tak starannie zamykana i oszalowana po urodzeniu Wilbura, teraz znowu stała zaniedbana. Otwarte drzwi stukały, zapomniane przez wszystkich, a kiedy Earl Sawyer, który sprzedawał bydło Staremu Whateleyowi, zajrzał kiedyś do szopy, uderzył go w nozdrza jakiś szczególnie nieprzyjemny zapach; zapewniał, że jeszcze nie zetknął się z takim w życiu, może tylko w pobliżu obozów indiańskich w górach. Był nie do zniesienia. A przecież wszystkie domy i szopy w Dunwich nie odznaczały się pod tym względem nieskazitelnością. Następne miesiące nie obfitowały w żadne wydarzenia, ale wszyscy twierdzili, że tajemnicze hałasy w górach stopniowo się nasilają. W przededniu 1 maja 1915 roku wystąpiły wstrząsy, które odczuwane były nawet w Aylesbury, natomiast w wigilię Wszystkich Świętych rozległ się pod ziemią grzmot w momencie, gdy buchnęły płomienie na szczycie Sentinel Hill. "To wszystko czary Whateleyów" - mówili ludzie. Wilbur rósł niesamowicie szybko, miał cztery lata, a wyglądał na dziesięć. Czytał już samodzielnie, ale stał się mniej rozmowny. Zatapiał się w swoim milczeniu, a ludzie zaczęli dostrzegać w jego twarzy satyra złowrogi wyraz. Bywało, że coś mamrotał w nie znanym nikomu języku i nucił w jakimś dziwnym rytmie, co napełniało wszystkich niewypowiedzianym lękiem. Szeroko komentowano teraz fakt, że psy tak ujadają na jego widok, musiał nawet brać ze sobą rewolwer, jeżeli chciał

przejść przez wieś. Bywało, że czasem strzelał, czy nie zyskiwał sobie przychylności wśród właścicieli psów.



Jeżeli ktoś przyszedł do domu Whateleyów, najczęściej znajdował Lavinię na parterze, podczas gdy na piętrze rozlegały się jakieś dziwne okrzyki i tupot. Nigdy nie mówiła, co dziadek i chłopak tam robią, ale pewnego razu mocno pobladła i objawiła straszny niepokój, kiedy dowcipny domokrażca handlujący rybami chciał otworzyć zamknięte drzwi wiodące na schody. Potem domokrażca opowiedział ludziom zgromadzonym przed sklepem w Dunwich, że słyszał chyba tupot końskich kopyt na górze. Zaczęto się zastanawiać nad drzwiami z desek i prowadzącą do nich pochylnią, a także nad bydłem, które szybko gdzieś zniknęło. Z czasem przypominano sobie opowieści Starego Whateleya z młodych lat, wedle których, jeśli złożyć w odpowiednim czasie ofiarę z wołu pogańskim bóstwom, przywołuje się spod ziemi żyjące tam istoty. Z czasem ludzie zwrócili też uwagę, że psy, które nie znosiły i bały się Wilbura, zaczęły okazywać taki sam stosunek do całego domostwa Whateleyów. W 1917 roku wybuchła wojna i Squire Sawyer Whateley, jako przewodniczący miejscowej komisji poborowej, miał duże kłopoty ze znalezieniem w Dunwich odpowiedniej ilości młodych mężczyzn nadających się choćby do obozu ćwiczebnego. Rząd, zaniepokojony takimi sygnałami panującej w całym regionie degeneracji, wysłał kilku inspektorów i ekspertów medycznych dla zbadania sprawy; dokonano przeglądu, a wiadomości na ten temat można jeszcze dzisiaj przeczytać w gazetach wydawanych w Nowej Anglii. Przeprowadzonym badaniom towarzyszył taki rozgłos, że ściągnęła tu grupa reporterów, którzy szczególnie zainteresowali się Whateleyami. W

niedzielnym wydaniu "Boston Globe" i "Arkham Advertiser" ukazały się kwieciste artykuły o niesłychanie szybkim rozwoju małego Wilbura, o czarnej magii Starego Whateleya i półkach pełnych dziwnych książek, o zabitym deskami piętrze na ich starej farmie i niesamowitym wrażeniu, jakie robi cały ten region wraz z hałasami dochodzącymi od strony gór. Wilbur miał wtedy cztery i pół roku, a wyglądał na piętnastoletniego chłopca. Wargi i policzki pokrywał mu już ciemny, szorstki zarost, a w głosie słyszało się mutację.

Do Whateleyów wybrał się Earl Sawyer z grupą reporterów i fotografów, on to zwrócił ich uwagę na dziwny smród, jaki się dobywał z górnej części domu. Był identyczny jak wtedy w szopie z narzędziami, do której zajrzał po zakończeniu remontu domu, i jaki czasem występował w pobliżu kręgu kamiennych kolumn na szczycie wzgórza. Mieszkańcy Dunwich przeczytali w gazetach artykuł na ten temat i zareagowali śmiechem na te pełne oczywistych nonsensów wiadomości. Zastanawiali się także, dlaczego reporterzy robili tyle szumu, stwierdziwszy, że Stary Whateley zawsze płaci za bydło w bardzo starych, złotych monetach. Whateleyowie przyjęli gości w swym domu ze źle skrywaną niechęcią, ale nie śmieli się opierać ani odmówić wyjaśnień, żeby nie spowodować jeszcze większego rozgłosu.

IV

Przez dziesięć lat Whateleyowie żyli pośród schorzałej społeczności Dunwich niczym się specjalnie nie wyróżniając, zwłaszcza że wszyscy już przywykli do ich dziwnych obyczajów i orgii w przeddzień pierwszego maja oraz Wszystkich Świętych. Dwa razy do roku rozpalali ogień na szczycie Sentinel Hill, a wtedy hałasy w głębi gór rozbrzmiewały ze wzmożoną siłą; poza tym jednak zawsze, o każdej porze roku, dochodziły z samotnej farmy dziwne i złowieszcze odgłosy. Ilekroć ktoś wstąpił na farmę, opowiadał potem, że słyszał je nawet wtedy, kiedy cała rodzina Whateleyów była na dole, i wszyscy zastanawiali się, jak długo może trwać obrzęd składania ofiary z krowy albo wołu. Wystosowano nawet skargę do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami; nic jednak z tego nie wynikło, bo mieszkańcy Dunwich zawsze starali się nie zwracać uwagi na to, co dzieje się w ich regionie. Około 1923 roku, kiedy Wilbur miał dziesięć lat, ale umysł jego, głos, postawa i zarośnięta twarz nadawały mu wygląd dorosłego człowieka, znowu w ich starym domu rozległy się ciesielskie roboty. I znowu odbywały się na piętrze, a po rozrzuconych kawałkach drewna ludzie zorientowali się, że chłopak i jego dziadek zburzyli działowe ściany, zlikwidowali nawet poddasze, zostawiając jedną wielką izbę pomiędzy parterem a spiczastym dachem. Wyburzyli też wielki, główny komin, a od zardzewiałego pieca puścili na zewnątrz domu blaszaną rurę. Wiosną po tych zmianach Stary Whateley zauważył, że nocą zlatują się z wąwozu Cold Spring chmury lelków kozodojów i świergocą pod oknami. Było to dla niego wydarzenie o szczególnym znaczeniu, a ludziom zbierającym się przed sklepem Osborne'a powiedział, że chyba już zbliża się jego koniec.

- Gwiżdżą w takt mojego oddechu - powiedział. - Chyba czekają, żeby

złapać moją duszę. Wiedzą, że mnie opuści, i nie chcą, żeby im uciekła. Będziecie wiedzieli, chłopcy, jak już umrę, czy mnie złapały. Jak im się uda, będą śpiewać i śmiać się do samego rana. A jak się nie uda, zaraz się uspokoją. Wydaje mi się, że czasami dusze, na które te ptaki czekają, walczą z nimi.

Nocą pierwszego sierpnia 1924 roku Wilbur Whateley popędził na jedynym pozostałym na farmie koniu do sklepu Osborne'a i telefonicznie wezwał doktora Houghtona z Aylesbury. Doktor zastał Starego Whateleya w bardzo ciężkim stanie, oddech miał ciężki, charczący, serce pracowało nie tak, jak trzeba, co świadczyło o rychłej śmierci. Pokraczna córka-albinoska i brodaty wnuk stali przy łóżku, a tymczasem na górze, z tej pustej czeluści, dochodziły niepokojące odgłosy, tak jakby przewalały się z łoskotem fale na płaskiej plaży. Doktor jednak najbardziej był zaniepokojony świergotem nocnych ptaków. Chyba cały legion lelków kozodojów wykrzykiwał swoje diaboliczne posłannictwo w rytm świszczącego oddechu umierającego człowieka. Wydało się to doktorowi Houghtonowi niesamowite i nienaturalne, podobnie zresztą jak cały ten region, do którego tak niechętnie przyjechał pilnie wezwany. Około pierwszej w nocy Stary Whateley odzyskał świadomość, jego oddech stał się mniej charczący i wyszeptał kilka urywanych słów do wnuka.

- Więcej przestrzeni, Willy, jeszcze więcej. Ty rośniesz... a to rośnie szybciej. Wkrótce będzie gotowe, żeby cię ocalić. Otwórz bramy Yog-Sothothowi, śpiewaj długą pieśń. Znajdziesz ją na stronie 751 pełnego wydania, a potem przyłóż zapałkę do więzienia. Ziemski ogień go nie tknie.

Był niewątpliwie obłąkany. Po przerwie, podczas której stado lelków dostroiło swój krzyk do zmienionego oddechu, a z głębi gór zaczęły dobiegać dziwne odgłosy, dobył z siebie jeszcze parę słów.

- Podawaj jedzenie regularnie i w odpowiedniej ilości, ale nie pozwól, żeby zbyt szybko rosło, bo jeżeli rozsadzi pomieszczenie i wydostanie się, zanim otworzysz Yog-Sothothowi, to koniec, wszystko na próżno. Tylko oni

z zewnątrz mogą to pomnożyć i pracować... Tylko oni, dawne istoty, jeżeli chcą wrócić...



Przerwał i znowu zaczął z trudem łapać oddech, a Lavinia krzyknęła słysząc, jak lelki dostosowały się do oddechu. Dopiero po upływie godziny wydał z siebie ostatnie rżęzące tchnienie. Doktor Houghton opuścił pomarszczone powieki na szkliste szare oczy, a w tym momencie prawie niepostrzeżenie, umilkł krzyk ptaków. Lavinia zaszlochała, zaś Wilbur tylko zachichotał, przy wtórze dalekich odgłosów z gór.

-Nie złapały go - mruknął grubym basem.

Wilbur stał się w swojej dziedzinie uczonym i wielkim erudytą, prowadził korespondencję z licznymi bibliotekami w najbardziej odległych miejscach, posiadającymi w swoich zbiorach rzadko spotykane księgi z najdawniejszych czasów. W Dunwich rosła do niego nienawiść, drżano przed nim, znikali bowiem młodzi ludzie i w skrytości podejrzewano, że Wilbur ma w tym udział, ale jakoś zawsze udawało mu się uniknąć śledztwa, może ludźmi kierował lęk, a może sprawiały to stare, złote monety, za które, podobnie jak jego dziadek, kupował systematycznie coraz więcej bydła. Teraz już był w pełni dojrzały, osiągnął wzrost dorosłego człowieka, a wszystko wskazywało na to, że będzie rósł nadal. W 1925 roku, kiedy pewien uczoney z Miskatonic University odwiedził go któregoś dnia, a wyszedł poblady i ogromnie zaskoczony, wzrost Wilbura wynosił już sześć i trzy czwarte stopy. W miarę upływu lat Wilbur okazywał swojej pokracznej matce-albinosce coraz większą pogardę. W końcu nie pozwolił jej chodzić z nim w góry w przeddzień pierwszego maja i Wszystkich Świętych, a w 1926 roku biedaczka zwierzyła się Mamie Bishop, że się go boi.

-Jest w nim coś więcej, niż wiem i mogę powiedzieć, Mamie - wyznała. - A ostatnio jest jeszcze więcej. Przysięgam przed Bogiem, że nie wiem, czego on chce i czego usiłuje dokonać.

Tym razem w przeddzień Wszystkich Świętych odgłosy w głębi gór rozbrzmiewały silniej niż zwykle i tak jak zawsze zapłonął ogień na Sentinel Hill; ale na ludziach większe wrażenie zrobił rytmiczny krzyk niezliczonych stad lelków, które już dawno powinny odlecieć, a które gromadziły się przy nieoświetlonej farmie Whateleyów. Po północy ich przeraźliwy krzyk przemienił się w istne piekło szyderczego chichotu, który wypełnił całą okolicę, a umilkł dopiero o brzasku. Potem znikły, odleciały w pośpiechu na południe, gdzie powinny być już co najmniej od miesiąca. Wszyscy zastanawiali się nad tym wydarzeniem. Nikt z miejscowych ludzi nie umarł... ale nie ujrano już nigdy więcej biednej brzyduli-albinoski, Lavinii Whateley. Latem 1927 roku Wilbur naprawił dwie szopy stojące na podwórku farmy i tam zaczął przenosić książki i cały dobytek. Wkrótce Earl Sawyer powiadomił ludzi w sklepie Osborne'a, że znów odbywają się ciesielskie roboty na farmie Whateleyów. Wilbur pozabijał wszystkie drzwi i okna na parterze, tak samo jak niegdyś zrobił to jego dziadek na piętrze. Zamieszkał w jednej z szop, ale Sawyerowi wydał się niezwykle zaniepokojony i rozdygotany. Wszyscy podejrzewali go, że ma coś wspólnego ze zniknięciem matki, i starali się w ogóle nie zbliżyć do jego farmy. Miał już teraz siedem stóp wzrostu i wszystko wskazywało na to, że jeszcze urośnie.

V

Następnej zimy Wilbur wybrał się po raz pierwszy w życiu poza granice regionu Dunwich, co było wydarzeniem niesłychany. Prowadził korespondencję z Widener Library w Harvardzie, Bibliotheque Nationale w Paryżu, British Museum, uniwersytetem w Buenos Aires i biblioteką Miskatonic University w Arkham, ale niestety, nie zdołał wypożyczyć książki, która mu była rozpaczliwie potrzebna; w końcu więc wyruszył, obszarpany, brudny, zarośnięty i nieokrzesany, aby przejrzeć ten egzemplarz w Miskatonic, do którego było najbliżej. Mający prawie osiem stóp wzrostu, z tanią walizką kupioną u Osborne'a, ten śniady, zarośnięty gargulec zjawił się pewnego dnia w Arkham, aby odnaleźć straszną księgę trzymaną pod kluczem w bibliotece uniwersyteckiej - ohydny "Necronomicon" - napisaną przez szalonego Araba Abdula Alhazreda, w wersji łacińskiej Olaus Wormiusa, a wydaną w siedemnastym wieku w Hiszpanii. Nigdy jeszcze dotychczas nie widział miasta, ale na nic nie zwracał uwagi - interesowało go tylko jedno - odnalezienie drogi do uniwersytetu; tam przeszedł beztrąsko koło wielkiego podwórzowego psa o ostrych, białych kłach, który na jego widok zaczął ujadać z niespotykaną furią i wrogością, szarpiąc mocny łańcuch jak oszalały.

Wilbur miał przy sobie bezcenny, choć uszkodzony egzemplarz w przekładzie angielskim doktora Dee, który przekazał mu w spadku dziadek, a otrzymawszy dostęp do wersji łacińskiej natychmiast zaczął porównywać oba teksty, chciał bowiem odnaleźć pewien ustęp, który powinien być się zachować na 751 stronie jego uszkodzonego egzemplarza. Tyle był uprzejmy powiedzieć bibliotekarzowi, temu samemu uczonemu (a był on magistrem nauk humanistycznych uniwersytetu Miskatonic, doktorem filozofii

uniwersytetu w Princeton, miał też doktorat literatury uniwersytetu Johns Hopkins), który kiedyś osobiście przyjechał na farmę, a teraz zasypywał pytaniami. Wilbur wyznał, że szuka pewnej formuły albo zaklęcia, w którym zawiera się straszne imię Yog-Sothoth, bo zainteresowały go pewne różnice, powtórzenia i niejasności, które utrudniały właściwe zrozumienie. Kiedy przepisywał tę formułę, doktor Armitage przypadkowo spojrzął mu przez ramię na otwarte stronie; z lewej strony, w wersji łacińskiej, wymienione były straszne groźby pod adresem pokoju i zdrowego umysłu ludzi żyjących na tym świecie.

Nie należy sądzić (brzmiał tekst, który Armitage szybko tłumaczył), że człowiek jest najstarszym i ostatnim władcą na ziemi albo że zwykła masa życia i substancji to wszystko, co istnieje na tym świecie. Dawne istoty były, są i będą zawsze. Nie w znanych nam przestrzeniach, ale pomiędzy nimi. Spokojne, takie same jak za pierwotnych czasów, bezwymiarowe, istnieją, choć są dla nas niewidzialne. Yog-Sothoth zna bramę. Yog-Sothoth jest właśnie bramą. Yog-Sothoth jest kluczem i strażnikiem tej bramy. Przeszłość, terażniejszość i przyszłość skupiają się w Yog-Sothoth. On wie, skąd Dawne Istoty przedostały się w przeszłość, wie też, gdzie się przedostaną w przyszłość. Zna też miejsca na ziemi, po których krążyły, po których wciąż krążą, i wie, dlaczego nikt ich dostrzec nie może. Po ich zapachu ludzie mogą czasami wyczuć ich bliskość, ale nie są w stanie nawet wyobrazić sobie ich wyglądu, choć niektóre z tych istot przekazały pewnym ludziom swoje cechy. A jest ich wiele rodzajów, są i takie istoty, które wykazują pewne podobieństwo do zjawy, jaką jest człowiek, a są też i takie, które nie posiadają wzroku ani substancji. Krążą niewidzialne i ohydne w bezludnych miejscach, w których kiedyś wypowiedziane zostały słowa i odbyły się rytualne obrzędy w odpowiednim dla nich czasie. Wiatr szmerze w rytm ich głosów, a ziemia szepce, świadoma ich obecności. Łamią lasy, niszczą miasta, ale niechaj lasy ani miasta nie dostrzegają ręki, która je smaga. Kadath poznał je na mroźnych, leżących odłogiem przestrzeniach, ale kto

spośród ludzi zna Kadatha? Na lodowej pustyni Południa i zatopionych wyspach Oceanu znajdują się kamienie, na których wyryte są ich pieczęcie, któż jednak oglądał kiedykolwiek okryte głębokim lodem miasta albo zamkniętą wieżę ozdobioną girlandami wodorostów i skorupiaków? Wielki Cthulhu jest ich kuzynem, a i on tylko niekiedy może je wypatrzeć. Ial Shub-Niggurath! Poznacie je jako ohydę. Ich dłoń jest przy waszych gardłach, a mino to nie widzicie ich. Domostwo Ia jest nawet na dobrze strzeżonym progu waszego domu. Yog-Sothoth jest kluczem do bramy, tam gdzie spotykają się ciała niebieskie. Człowiek rządzi teraz tam, gdzie niegdyś rządziły One; wkrótce One będą rządzić tam, gdzie rządzi teraz człowiek. Po lecie jest zima, po zimie lato. Czekają cierpliwie, potężne, bo znowu tutaj zapanują.

Doktor Armitage połączył to, co przeczytał, ze strasznymi opowieściami, jakie usłyszał na temat Dunwich i samego Wilbura Whateleya, jego tajemniczych narodzi i strasznego prawdopodobieństwa matkobójstwa, i ogarnął go lęk; czuł się tak, jakby powiało nań wilgotnym chłodem z grobowca. Wydało mu się, że ten pochylony, przypominający zwierzę olbrzym spłynął chyba z jakiejś innej planety; tylko częściowo należał do rodzaju ludzkiego, a związany był z czarną otchłanią innego świata i innych istot, która rozciąga się niczym koszmarna zjawia poza sferą siły i materii, czasu i przestrzeni. Wilbur tymczasem podniósł głowę i zaczął mówić dziwnym, donośnym głosem, jaki nie mógł się dobywać z normalnych narządów mowy człowieka.

- Panie Armitage, chyba jednak muszę wziąć tę księgę do domu. Są tu rzeczy, które trzeba wypróbować w innych warunkach, tutaj ich nie mam, i byłby to grzech śmiertelny, gdyby biurokratyczne przepisy powstrzymały mnie od tego. Niech pan się zgodzi. Zapewniam pana, że nikt na to nie zwróci uwagi. A ja będę się nią dobrze opiekował. To nie ja zniszczyłem tak tę książkę Deego.

Przerwał, dostrzegł bowiem na twarzy bibliotekarza zdecydowany

sprzeciw, podczas gdy na jego własnej odrażającej twarzy pojawił się w tym momencie wyraz przebiegłości. Armitage już miał powiedzieć, żeby przepisał potrzebne mu fragmenty, gdy nagle uświadomił sobie, jaki mogą być tego konsekwencje, i powstrzymał się od udzielenia takiej rady. Zbyt wielka to odpowiedzialność dawać takiemu stworowi klucz do błuźnierczych dalekich światów. Whateley, widząc, jak sprawy stoją, starał się potraktować to lekko.

- Trudno, skoro pan tak uważa. Może w Harvardzie nie będą robić takich trudności. - I nie mówiąc już nic więcej wyszedł pochylając się w każdych drzwiach, jakie mijał.

Z okna biblioteki Armitage przyglądał się, jak Wilbur przemierzał dziedziniec podskakując niczym goryl, zaś pies łańcuchowy ujadał z całych sił. Przypomniały mi się wszystkie tajemnicze opowieści, jakie usłyszał, a także artykuły w starym niedzielnym czasopiśmie "Advertiser" i to wszystko, czego się dowiedział od prostych wieśniaków w Dunwich. Pochodzące nie z tego świata niewidziane istoty - a przynajmniej nie z trójwymiarowej ziemi - wrogie i straszne, grasowały po wąwozach Nowej Anglii i tkwiły, te obleśne stwory, na górskich szczytach. Był o tym przekonany już od dawna. Teraz prawie wyczuwał bliską obecność straszego, niepokojącego kosmaru i niemal dostrzegał, jak nosiła się moc tej piekielnej, czarnej, odwiecznej mary, dotychczas pozostającej w stanie bierności. Zamknął "Necronomicon" z obrzydzeniem ale w sali wciąż unosił się odrażający, nieokreślony zapach. "Poznacie ich po zapachu" - zacytował. Tak, był to ten sam zapach, jaki przyprawił go o mdłości na farmie Whateleyów przed trzema laty. Przyszedł mu na myśl Wilbur, odrażający i złowieszczy, i zaśmiał się szyderczo na wspomnienie krążących we wsi pogłosek o jego pochodzeniu.

- Kazirodztwo? - Armitage wypowiedział to prawie że pełnym głosem. - Wielki Boże, cóż za uproszczenie! Pokaż im Artura Machene'a "The Great God Pan", a uznają to za powszechny w Dunwich skandal. Ale jakaż to istota... jaki przeklęty, bezkształtny stwór z tej trójwymiarowej ziemi albo

spoza jej granic... jest ojcem Wilbura Whateleya? Urodził się w święto Matki Boskiej Gromniczej, w dziewięć miesięcy po wigilii pierwszego maja 1912 roku, kiedy to wieści o podziemnych odgłosach dotarły do Arkham. Co krążyło po górach w tę majową noc? Jakiż to koszmarne stworzenie, na pół ludzki, z ciała i krwi, osiadł na tym świecie?

Następne tygodnie dr Armitage poświęcił na zbieranie wiadomości o Wilburze Whateleyu i bezkształtnych istotach przebywających w okolicy Dunwich. Skontaktował się z doktorem Houghtonem w Aylesbury, który był przy śmierci Starego Whateleya, i zaczął się głęboko zastanawiać nad ostatnimi słowami, jakie starzec wypowiedział przed śmiercią, a jakie mu doktor powtórzył. Pobyt w Dunwich nie wniósł nic nowego, natomiast uważne zapoznanie się z "Necronomicon", zwłaszcza z tymi fragmentami, których Wilbur szukał z takim zapałem, dostarczyło mu nowych i strasznych kluczy do natury, metod, pragnień i potwornego zła zagrażającego tej planecie. Przeprowadził liczne rozmowy z uczonymi, zajmującymi się okultyzmem, z innymi skontaktował się listownie, i w rezultacie popadł w zdumienie, które powoli przerodziło się w niepokój, a nawet paniczny lęk. Latem nie mógł już się oprzeć uczuciu, że stanowczo należy coś zrobić z tym strasznym koszmarem, jaki się czai w dolinach górnego biegu Miskatonic, a także z tym potworem znanym ludzkości jako Wilbur Whateley.



Koszmar z Dunwich miał miejsce pomiędzy dożynkami, 1 sierpnia, a zrównaniem dnia z nocą, 21 września 1928 roku, i doktor Armitage był jednym ze świadków strasznego prologu tego wydarzenia. Słyszał o groteskowej wyprawie Whateleya do Cambridge i o niestrudzonych wysiłkach, jakie podejmował, żeby tylko wypożyczyć "Necronomicon" z

Widener Library albo przynajmniej przepisać odpowiednie fragmenty. Wysiłki te spełzły na niczym, gdyż Armitage wysłał pełne powagi ostrzeżenie do wszystkich bibliotekarzy mających w swojej pieczy tę straszną księgę. Wilbur był w Cambridge okropnie zdenerwowany; chciał za wszelką ceną zdobyć książkę, a jednocześnie jak najprędzej powrócić do domu, tak jakby się obawiał konsekwencji swojej nieobecności.

Na początku sierpnia miały miejsca nieoczekiwane wydarzenia. Trzeciego sierpnia, we wczesnych godzinach rannych, zbudziło doktora Armitage'a wściekłe, zajadłe szczekanie łańcuchowego psa na dziedzińcu college'u. Warczał, skowyczał, czekał jak oszalały, i to coraz bardziej zaciekle, ale co pewien czas zalegała na moment pełna grozy, złowieszcza cisza. Nagle rozległ się zupełnie inny krzyk, który rozbudził połowę mieszkańców Arkham, a potem nawiedzał ich bezustanni we snach - a był to krzyk, jaki nie mógł się dobyć z gardła istoty zrodzonej na ziemi i przynależnej do tego świata. Armitage szybko się ubrał i popędził przez ulicę i trawnik prosto do college'u, gdzie już zdążyli się zgromadzić inni ludzie. Z biblioteki dochodził przenikliwy dźwięk sygnału alarmowego. W blasku księżyca widać było otwarte okno ziejące czernią, a więc ktoś musiał się dostać do biblioteki, bo stamtąd właśnie dochodziło szczekanie i warczenie, ale także jakieś zduszone jęki. Instynkt podszeptał Armitage'owi, że to, co się tam rozgrywa, nie jest przeznaczone dla oczu przeciętnego widza, autorytatywnie więc kazał się wszystkim odsunąć, a sam otworzył drzwi prowadzące do hallu. W zgromadzonym tłumie dostrzegł profesora Warrena Rice'a i doktora Francisa Morgana, którym zwierzył się ze swoich wątpliwości i złych przeczuć. Do nich zwrócił się z prośbą, aby mu towarzyszyli. Teraz słychać już było tylko czujny, monotony skowyt psa; nagle jednak ze zdumieniem stwierdził, że w gęstwinie pobliskich krzaków rozlega się głośny, chóralny świergot lelków kozodojów, jakby zestrojony z rytmem ostatnich oddechów umierającego człowieka.

W całym budynku unosił się straszliwy fetor, tak już dobrze znany

doktorowi Armitage'owi. Wszyscy trzej mężczyźni pomknęli przez hall do niewielkiej czytelnicy, z której dobiegał skowyt psa. Przez chwilę nikt nie miał odwagi zapalić światła, w końcu Armitage zdobył się na odwagę i przekreślił kontakt. Jeden spośród nich - trudno ustalić kto - krzyknął przeraźliwie ujrawszy to, co znajdowało się w sali pośród poprzewracanych stołów i krzeseł. Profesor Rice twierdzi, że na moment utracił całkowicie przytomność, mimo że się nie zachwiał ani nie przewrócił. Stwór, który leżał skulony na boku, w kałuży cuchnącej zielonożółtej posoki i smolistej mazi, miał około trzech metrów wysokości; pies poszarpał na nim odzienie, porozrywał mu skórę. Jeszcze żył, jego ciałem miotają przeraźliwe, spazmatyczne drgawki, a pierś falowała w zgodnym rytmie z szaleńczym świergotem lelków kozodojów. Po całej sali przewracały się szczątki skórzanych butów i strzępy ubrania, w oknie zaś leżał porzucony tam, pusty worek. Koło biurka stojącego pośrodku czytelnicy leżał nierozładowany rewolwer z wgiętym nabojem. Stwór ten jednak tak absorbował ich uwagę, że o niczym innym nie byli w stanie myśleć. Byłoby to banalne i niecałkowicie oddające prawdę, gdyby powiedzieć, że żadne pióro nie zdołałoby opisać tego widoku, z całą jednak stanowczością można stwierdzić, że nie jest to możliwe, aby ktokolwiek, kto myśli i widzi w kategoriach kształtów i form znanych na tej planecie i związanych z trójwymiarowością, potrafił sobie to wyobrazić i komukolwiek to przekazać. Stwór ten miał po części kształt ludzki, zwłaszcza ręce i twarz, która w swojej brzydocie nosiła jednak cechy rodu Whateleyów. Tors i dolne kończyny miał niesamowicie wynaturzone i tylko starannie dopasowany ubiór mógł to zamaskować i umożliwić istnienie na ziemi bez budzenia sprzeciwu.

Powyżej pasa był na wpół antropomorficzny, choć jego klatka piersiowa, na której wciąż jeszcze czujnie spoczywały rozcapierzone pazury psa, pokryta była pomarszczoną skórą krokodyla albo aligatora. Plecy miał usiane żółtymi i czarnymi plamami, odnosiło się wrażenie, że obciążone są

łuskowatą skórą węża. Jeszcze gorzej wyglądał poniżej pasa; tu już trudno się było dopatrzeć podobieństwa do człowieka, był to potwór. Porastała go czarna sierść, a z brzucha zwisało chyba ze dwadzieścia macek ze sterczącymi, czerwonymi otworami gębowymi. Były one dziwacznie rozmieszczone, w jakimś układzie geometrycznym, wykraczającymi poza normy ziemskie i systemu słonecznego. Na biodrach, w różowych, otoczonych rzęsami oczodołach, znajdowało się głęboko osadzone, szczątkowe oko; zamiast ogona miał coś w rodzaju trąby albo macki z fioletowymi pierścieniami, co w gruncie rzeczy przypominało szczątkowe usta albo gardło. Porośnięte sierścią kończyny przypominały tylne łapy prehistorycznych jaszczurów, z pożyłkowanymi brzuściami, nie były to jednak ani kopyta, ani pazury. Kiedy stwór ten oddychał, ogon i macki w rytm oddechu zmieniały kolor, jakby pod wpływem krążenia owej zielonkawej cieczy, przybierając w ogonie odcień żółtawy i szarobiały pomiędzy fioletowymi pierścieniami. Prawdziwej krwi nie było w nim ani śladu, tylko ta cuchnąca, zielonożółta, lepka ciecz, która sączyła się po malowanej podłodze pozostawiając odbarwione plamy. Umierający stwór jakby się ożywił w obecności trzech mężczyzn i nie odwracając ani nie poruszając głowy zaczął coś mamrotać. Armitage nie odnotował tych słów, ale zapewnia, że nie był to język angielski. Z początku poszczególne sylaby najwyraźniej nie miały związku z żadną ziemską mową, ale pod koniec można było odróżnić nie powiązane ze sobą fragmenty z "Necronomicon", która stała się zgubną dla tego diabelskiego potwora. Armitage przypomina sobie, że brzmiało to mniej więcej następująco: "N'gal, n'ha'ghaa, bugg-shoggog, y'hah: Yog-Sothoth, Yog-Sothoth..." Wreszcie głos zamilkł, a krzyk lelków nasilił się w rytmicznym crescendo oczekiwania. Po chwili oddech zamarł, a pies uniósł do góry głowę i zawył posępnie. Pożółkła, ohydna twarz potwora zmieniła się, wielkie czarne oczy zapadły się głęboko. Za oknem nagle umilkła wrzawa lelków, a ponad głowami wzburzonego tłumu rozległ się szaleńczy trzepot ich skrzydeł. Na tle księżyca zamajaczyła ogromna

chmura skrzydlatych stróży, wzbiła się wysoko i znikła, jakby przerażona tym, co miało stać się jej łupem.



Wtem pies zerwał się, zaszczekał przeraźliwie i wyskoczył przez okno, którym się dostał do środka. Tłum zawrzało, a doktor Armitage zwrócił się z prośbą, żeby nikt się nie zbliżał, dopóki lekarz i policja nie dokonają oględzin. Dziękował Bogu, że okna są umieszczone wysoko i nikt nie może zajrzeć, dla pewności pozaciągał szczelnie wszystkie zasłony. Tymczasem przyjechali dwaj policjanci; doktor Morgan, który spotkał się z nimi w hallu, zaczął ich nakłaniać, aby dla własnego dobra nie wchodzili do cuchnącej czytelnicy, dopóki nie przyjedzie lekarz i leżący na ziemi stwór nie zostanie przykryty. Tymczasem na podłodze zachodziło przedziwne zjawisko. Nie ma potrzeby opisywać procesu kurczenia się i rozkładu, jaki odbywał się na oczach doktora Armitage'a i profesora Rice'a; można jednak śmiało powiedzieć, że tylko twarz i ręce Wilbura Whateleya wykazywały podobieństwo do człowieka, reszta ciała miała niewiele wspólnego z rodzajem ludzkim. Kiedy przybył lekarz, na malowanych deskach podłogi widniała tylko lepka biała masa, a przykry zapach ulotnił się całkowicie. Stwór pozbawiony był czaszki i szkieletu, w prawdziwym znaczeniu tych słów. Musiało to być dziedzictwo po ojcu nieznanego pochodzenia.

VI

Wszystko to jednak było tylko prologiem do prawdziwego koszmaru, jaki zdarzył się w Dunwich. Oszołomieni funkcjonariusze załatwili sprawy formalne, a szokujące szczegóły ukryli przed prasą i ludźmi. Do Dunwich i Aylesbury wysłano przedstawicieli prawa, aby spisali wszystko, co stanowiło własność Wilbura Whateleya, i odnaleźli jego ewentualnych spadkobierców. Wieś zastali w stanie ogromnego podniecenia z powodu nasilonych podziemnych grzmotów rozlegających się w głębi nawiedzonych gór, potwornego smrodu i odgłosu plusku i jakby chłeptania, które dochodziły z zabitej deskami górnej części domu Whateleyów. Earl Sawyer, który zaopiekował się koniem i bydłem podczas nieobecności Wilbura, był zupełnie rozstrojony nerwowo. Przedstawiciele prawa znaleźli jakiś pretekst, aby nie wkraczać na hałaśliwe i zabite deskami piętro; zadowolili się jednorazowym przeglądem części mieszkalnej domu i świeżo naprawionych szop. Złożyli obszerny raport w sądzie w Aylesbury i podobno wciąż jeszcze toczy się spór o spadek pomiędzy licznymi Whateleyami, zdrowymi i zdegenerowanymi, zamieszkującymi dolinę w górnym biegu Miskatonic.

Na biurku Wilbura ku niezmiernemu zdumieniu znaleziono ogromny manuskrypt, pisany dziwnym charakterem pisma, różnym atramentem i w różnych odstępach, który uznano za pamiętnik. Po trwającej tydzień naradzie wysłano go wraz z kolekcją dziwnych książek pozostałych po zmarłym do Miskatonic University celem ich przestudiowania i ewentualnego przetłumaczenia. Jednakże okazały się niemożliwe do rozszyfrowania dla najwybitniejszych nawet lingwistów. Nie odkryto też śladu po starych, złotych monetach, którymi Wilbur i Stary Whateley spłacali zawsze swoje zobowiązania pieniężne. To wszystko zaczęło się dziewiątego września o

zmierzchu. Wieczorem rozległy się huki w górach, a przez całą noc wszystkie psy we wsi szczekały przeraźliwie. Ci, którzy wstali wcześniej rano dziesiątego września, poczuli jakiś szczególny swąd w powietrzu. Około siódmej rano Luthr Brown, chłopak zajmujący się do pasania bydła u George'a Boreya, którego farma znajdowała się na pograniczu wsi i wąwozu Cold Spring, wpadł do kuchni oszalały ze strachu, a za nim na podwórko wcale nie mniej przerażone stado ryczących i wierzgających krów. Z trudem łapiąc oddech Luther Brown opowiedział gospodyni, co następuje:

- Pani Corey, tam na drodze za wąwozem coś się dzieje! Śmierdzi, jakby spadł piorun, i wszystkie krzaki i drzewa są odsunięte od drogi, jakby ktoś ciągnął cały dom. Ale to jeszcze nie najgorsze. Są jakieś ślady na drodze, pani Corey, wielkie i okrągłe jak denko beczki, a wszystkie tak głębokie, jakby to słoń przeszedł, tylko że jest ich więcej, niżby mogły to zrobić cztery nogi słonia. Jak pędziłem, to się im przyjrzałem, z jednego miejsca rozchodzą się linie, jak na palmowym liściu, ale są dwa albo trzy razy większe od liścia i mocno wbito je w drogę. Okropnie śmierdzą, tak samo jak stary dom Whateleyów...

Urwał i zaczął drzeć ze strachu. Pani Corey, nie mogąc już nic więcej od niego wydobyć, zaczęła telefonować do sąsiadów rozsiewając panikę, która była jednak tylko wstępem do prawdziwego koszmaru. Kiedy zadzwoniła do Sally Sawyer, gospodyni Seta Bishopa, który mieszkał najbliżej Whateleyów, zamiast sama mówić, musiała się zamienić w słuchaczkę; sym Sally, Chauncey, nie mógł spać i wyszedł na wzgórze, ale spojrzawszy na pastwisko, na którym pozostały na noc krowy Bishopa, wrócił do domu w panicznym strachu.

- O tak, pani Corey - mówiła drżącym głosem Sally - Chauncey wpadł do domu w takim stanie, że słowa nie mógł wykrztusić. Mówił, że dom Whateleyów cały się rozleciał, deski porozrzucane, jakby go dynamit rozsadził od środka. Tylko podłoga została, z tym, że cała jest zalana czymś podobnym do smoły, ale okropnie to cuchnie i skapuje na ziemię, gdzie

odleciały ściany. A na podwórzu są jakieś ślady... wielkie, okrągłe jak dno beczki, i tak samo lepkie, jak ta smoła na podłodze. Chauncey mówi, że prowadzą na łąki, a tam pas stratowanej trawy szerszy niż stodoła i wszystkie mury z kamienia przewrócone, tam gdzie to przeszło.

Chauncey mówi też, że chociaż tak okropnie się przestraszył, to pomyślał jednak o krowach Setha. Znalazł je na pastwisku wysoko koło Diabelskiego Uskoku w okropnym stanie. Połowa nie żyje, a połowa wygląda tak, jakby krew z nich ktoś wypił, i mają takie rany na skórze jak bydło Whateleyów, od kiedy Lavinia urodziła tego wstrętnego odszczepieńca. Seth teraz poszedł obejrzeć swoje krowy, ale chyba się nie zbliżył do famy tego czarownika Whateleya. Chauncey nie poszedł zobaczyć, w którą stronę z pastwiska prowadzą te ślady, ale wydaje mu się, że chyba drogą do wąwozu. Pani Corey, mówię pani, jest w tym wszystkim coś niesamowitego i pewna jestem, że to zgotował ten wstrętny Wilbur Whateley, a spotkało go to, na co zasłużył. Zawsze mówiłam, że to nie człowiek. To on i stary Whateley hodowali coś w swoim zabitym deskami domu, co było jeszcze mniej ludzkie niż sam Wilbur. Koło Dunwich zawsze działy się niesłychane rzeczy, kręciły się jakieś żywe istoty, ale nie byli to ludzie i nie byli przychylni ludziom. W nocy ziemia grzmiała, a Chauncey słyszał w wąwozie Cold Spring taki krzyk lelków kozodojów, że wcale nie mógł spać. Potem wydało mu się, że słyszy hałasy na farmie Whateleyów... jakiś trzask i rozdzieranie drzewa, jakby otwierano wielką skrzynię albo klatkę. Przez całą noc nie zmrużył oka i jak tylko wzeszło słońce, już był na nogach i popędził do Whateleyów, żeby zobaczyć, co się tam stało. Oj, napatrzył się tam, pani Corey! Nic dobrego to nie wróży, wszyscy chyba powinni się zebrać i jakoś na to zaradzić. Wiem, że coś się koło nas dzieje, czuję, jak zbliża się moja godzina, ale chyba sam Bóg tylko wie, co to jest.



Czy Luther widział, dokąd prowadzą ślady? Nie? Jeśli są na drodze do wąwozu po tej stronie i nie doszły do pani domu, to znaczy, że to coś chyba udało się do wąwozu. Tak można przypuszczać. Zawsze powiadam, że wąwóz Cold Spring to niezdrowe i nieprzychylne miejsce dla człowieka. Lelki kozodoje i świętojańskie robaczki zachowują się tam tak, jakby nie były to boskie stworzenia, a niektórzy mówią, że jak stanąć w pewnym miejscu, między wodospadem a Legowiskiem Niedźwiedzia, to sływać w wąwozie jakieś głosy i coś się tam rusza. W południe niemal wszyscy mężczyźni i chłopcy z Dunwich zgromadzili się na drogach i łąkach pomiędzy zrujnowaną farmą Whateleyów a wąwozem Cold Spring. Z przerażeniem oglądali ogromne ślady, okaleczone krowy Bishopa, zdumiewające ruiny pozostałe po farmie, stratowaną roślinność na polach i przy drogach. Ta niepojęta rzecz, która napadła na świat, skryła się niewątpliwie w tym strasznym wąwozie. Wszystkie drzewa rosnące na jego skraju zostały połamane, a poprzez przepaścistą gęstwinę poszycia wygnieciona została szeroka droga. Wyglądało to tak, jakby dom zmieciony przez lawinę zsunął się ze stromego zbocza i przygniótł całą roślinność. Nie dochodziły od strony wąwozu żadne odgłosy, dolatywał tylko jakiś nieokreślony smród. Trudno się dziwić, że wszyscy woleli rozprawiać na brzegu wąwozu, aniżeli schodzić na dół i rzucać wyzwanie temu cyklopowemu potworowi w jego własnym legowisku. Towarzyszące ludziom trzy psy z początku ujadały z całych sił, ale z czasem umilkły, widać, że niechętnie przebywały w pobliżu wąwozu. Ktoś telefonicznie zawiadomił o tym wydarzeniu "Aylesbury Transcript", ale wydawca tej gazety, przywykły już do najdziwniejszych opowieści o Dunwich, napisał tylko na ten temat krótki, krotchwilny artykuł, przedrukowany potem przez Associated Press. Tego wieczoru wszyscy wrócili do domu i szczelnie pozamykali domy i obory. Nikt też nie pozostawił na pastwisku swoich krów. Około drugiej w nocy całą rodzinę Elmera Frye'a, którego farma znajdowała się na

wschodnim brzegu wąwozu Cold Spring, zbudziło wściekłe szczekanie psów i okropny smród. Cała rodzina usłyszała na dworze coś jakby świszczenie i chłęptanie. Pani Frye zaproponowała, żeby zawiadomić sąsiadów, i Elmer już sięgał do telefonu, gdy rozległ się trzask rozłupywanego drzewa. A dochodził bez wątpienia od strony obory. Wkrótce Frye'owie usłyszeli ryk i wierzganie krów. Psy ociekające śliną, skupiły się przy nogach osłupiałej i przerażonej rodziny. Frye odruchowo zapalił latarkę, choć zdawał sobie sprawę, że gdyby teraz wyszedł na podwórze, spotkałaby go niechybna śmierć. Dzieci i kobiety jęknęły cicho, od głośnego krzyku powstrzymał je instynkt samoobronny, czuły bowiem, że ich życie uzależnione jest od ciszy. Krowy przestały ryczeć, muczały tylko żałośnie, ale wkrótce rozległo się skrzypienie, trzaski i odgłosy miażdżenia. Cała rodzina Frye'ów, skupiona w jednej izbie, nie śmiała się poruszyć, dopóki nie umilkło echo tych odgłosów daleko w wąwozie. Po chwili, wśród porykiwania bydła w oborze i demonicznego krzyku lelków w wąwozie, Selina Frye dotarła do telefonu i powiadomiła sąsiadów o tym wydarzeniu. Nazajutrz całą wieś ogarnęła panika; grupy zaleknionych i prawie milczących ludzi przychodziły na miejsce, na którym szalała ta piekielna istota, i odchodziły. Od wąwozu aż po farmę Frye'ów ciągnęły się dwa pasma stratowanej trawy, na nagich skrawkach ziemi widniały ogromne ślady, a jedna ściana starej, czerwonej obory całkowicie się zawaliła. Udało się znaleźć i rozpoznać tylko czwartą część krów, przy czym z niektórych pozostały tylko szczątki, a te, które przetrwały, i tak trzeba było dobić. Earl Sawyer zaproponował, żeby zwrócić się z prośbą o pomoc do Aylesbury albo Arkham, ale wszyscy uznali, że byłoby to bezcelowe. Stary Zebulon Whateley, z odgałęzienia rodu jeszcze zdrowego, ale już ulegającego degeneracji, wspomniał coś niezbyt wyraźnie, że może należałoby odprawić jakieś obrzędy na szczytach wzgórz. Pochodził z tych Whateleyów, którzy wiernie przestrzegali tradycji, pamiętał jakieś śpiewy swoich przodków, ustawiających się w wielki krąg, które nie miały nic wspólnego z Wilburem i jego dziadkiem.

Noc zapadła nad nawiedzoną wsią, a wszyscy byli zbyt bierni, aby zorganizować jakąś skuteczną obronę. Kilka spokrewnionych rodzin zgromadziło się pod jednym dachem i spędziło noc na czuwaniu. Inni, podobnie jak poprzedniej nocy, zabarykadowali wszystkie drzwi, ponabijali strzelby i ustawili w zasięgu ręki widły, ale były to w gruncie rzeczy ruchy pozorne. Nic jednak tej nocy się nie zdarzyło, dochodziły jedynie od strony gór jakieś odgłosy. Nastął dzień, a wraz z nim wstąpiła nadzieja, że to nowe straszne zdarzenie minęło bezpowrotnie. Znaleźli się nawet śmiałkowie proponujący ofensywną wyprawę do wąwozu, choć nie byli skorzy posłużyć przykładem nastawionej niechętnie większości. Następnej nocy znowu zabarykadowano drzwi, ale poszczególne rodziny nie gromadziły się już pod jednym dachem. Rano rodziny Frye'a i Seta Bishopa powiadomiły wszystkich, że psy w ich zagrodach były bardzo niespokojne i że skądś z daleka dochodziły dziwne odgłosy, dolatywał smród, a poza tym zauważono świeże, ogromne ślady na drodze otaczającej Sentinel Hill. Tak samo jak poprzednio stratowana roślinność po obu stronach drogi świadczyła o olbrzymich rozmiarach tego potwora; ślady te najwyraźniej prowadziły w obydwu kierunkach, tak jakby góra wyszła z wąwozu Cold Spring i tą samą drogą tam powróciła. U stóp wzgórza szeroki pas przygniecionych młodych krzewów prowadził wzwyż i aż dech ludziom zapało, kiedy zobaczyli, że nawet w najbardziej stromych miejscach ani trochę nie zbaczał. A więc ten stwór mógł się dostać nawet po najbardziej pionowym skalistym urwisku; kiedy grupa zwiadowcza dotarła na szczyt okrężną, bezpieczną drogą, przekonała się, że tam ślad się kończył... albo też tam właśnie zawracał. Na tym właśnie szczycie Whateleyowie rozpalali ognisko i odprawiali dwa razy w roku swoje diabelskie obrzędy przy skale w kształcie stołu. Teraz tam właśnie znajdował się największy teren stratowanej przez tego olbrzyma ziemi, a we wklęsnięciach pozostała gęsta, cuchnąca, smolista ciecz, taka sama, jaką widziano na podłodze zburzonej farmy Whateleyów po ucieczce tego potwora. Wszyscy popatrzyli na siebie, wymieniając słowa szeptem, po

czym spojrzeli w dół. Powrót odbył się najwyraźniej tą samą drogą. Wszelkie rozważania byłyby próżnym wysiłkiem. Rozum, logika, zdrowa myśl - były tu zawodne. Może tylko stary Zebulon, który nie uczestniczył w wyprawie, potrafiłby znaleźć w tym jakiś sens i udzielić wiarogodnego wyjaśnienia.



Czwartkowa noc rozpoczęła się podobnie jak poprzednie, ale zakończyła się mniej szczęśliwie. W wąwozie rozległ się taki krzyk lelków kozodojów, że większość ludzi we wsi nie mogła zmrużyć oka, a około trzeciej w nocy rozdzwoniły się wszystkie telefony. Ci, którzy podnieśli słuchawki, usłyszeli oszalały z przerażenia krzyk: "Na pomoc, o Boże!...", a niektórym wydało się, że po tym krzyku dobiegł ich jakiś trzask, po czym zaległa kompletna cisza. Nikt nie miał odwagi zrobić kroku, nikt nie miał pojęcia, czyj to był głos, aż do świtu. Wtedy dopiero wszyscy się rozdzwoniли i stwierdzona, że tylko Frye'owie milczą. Tajemnica wyjaśniła się po godzinie, kiedy grupa uzbrojonych mężczyzn zebrawszy się w pośpiechu wyruszyła w stronę farmy Frye'ów, położonej w pobliżu wąwozu. Choć nie było to dla nikogo niespodzianką, widok jednak był straszny. Wszystko zostało stratowane, olbrzymie ślady rzucały się w oczy z daleka, farma zniknęła. Zastała zgnieciona jak skorupka jajka, a w ruinach nie znaleziono ani żywego, ani martwego człowieka. Była tam tylko cuchnąca maź, a straszny fetor unosił się zewsząd. Rodzina Frye'ów przestała w Dunwich istnieć.

VII

Tymczasem za zamkniętymi drzwiami sali pełnej książek w Arkham rozegrała się spokojniejsza już, ale bardzo znamienna faza tej tragedii. Osobliwy manuskrypt albo pamiętnik Wilbura Whateleya, przekazany do Miskatonic University do przetłumaczenia, wywołał zamieszanie i sprawił niemało kłopotu ekspertom języków zarówno starożytnych, jak i nowożytnych; alfabet, choć wykazywał pewne podobieństwo do kreskowego alfabetu arabskiego używanego w Mezopotamii, był jednak nieznan nawet najwybitniejszym autorytetom w tej dziedzinie. W końcu lingwiści doszli do wniosku, że jest to alfabet wymyślony, sprawia wrażenie jakiegoś szyfru; jednakże żadna ze znanych kryptograficznych metod nie dostarczyła klucza, choć uwzględniono wszystkie języki, jakimi mógł się posługiwać autor tego manuskryptu. Stare książki zabrane z domu Whateleyów, choć wielce interesujące i w wielu przypadkach otwierające całkiem nowe perspektywy w przeprowadzonych przez filozofów i naukowców pracach badawczych, nie okazały się pomocne w rozszyfrowaniu manuskryptu. Jedna z książek, obszerne tomisko z żelazną klamrą, była także napisana w nieznanym alfabecie, ale zupełnie innym, przypominającym sanskryt. W końcu wszystko zostało oddane pod opiekę doktora Armitage'a, który wykazywał szczególne zainteresowanie sprawą Whateleyów, a poza tym był wybitnym lingwistą i posiadał szczególną umiejętność odczytywania mistycznych zapisów, zarówno starożytnych, jak i średniowiecznych.

Armitage uważał, że alfabet ten może mieć coś wspólnego z pewnymi zakazanymi kultami, potajemnie praktykowanymi, a które wywodzą się z bardzo odległych czasów i odziedziczyły wiele form i zwyczajów po saraceńskich czarownikach. Nie przywiązywał jednak do tego zbyt wielkiego

znaczenia; uznał, że nie jest konieczna znajomość pochodzenia tych symboli, skoro, jak podejrzewał, zostały zastosowane jako szyfr nowoczesnego języka. Biorąc pod uwagę wielką objętość manuskryptu, Armitage doszedł do wniosku, że jego autor nie zadawałby sobie trudu posługiwania się obcym językiem, że całość musi być napisana w języku, jakim mówił, oprócz może zawartych w nim pewnych formuł i zaklęć. Wobec tego zabrał się do odczytywania manuskryptu zgodnie z założeniem, że w większości został napisany po angielsku.

Po tylu nieudanych przedsięwzięciach kolegów zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z przypadkiem skomplikowanym i zagadkowym i że żadna prosta metoda nie wchodzi w rachubę. W drugiej połowie sierpnia gromadził bez przerwy najrozmaitsze źródła kryptograficzne; sięgał do wszystkich znajdujących się w bibliotece ksiąg i noc po nocy zagłębiał się w arkana takich dzieł jak: "Poligraphia" Trithemiusa, "De Furtivis Literarum Notis" Clambattlsta Porty, "Traite des Chiffres" De Vigenere'a, Falconera "Cryptomenysus Patefacta", osiemnastowieczne rozprawy Davy'ego i Thicknesse'a, odwołał się także do całkiem nowoczesnych autorytetów jak Blair, von Marten i rękopisu Klubera, jednakże wkrótce przekonał się, że ma do czynienia z jednym z najbardziej chytrych i pomysłowych kryptogramów, w którym kilka oddzielnych wykazów odpowiednich liter ułożonych zostało jak tabliczka mnożenia, a posłanie składa się ze słów-kluczy znanych tylko wtajemniczonym. Starsze autorytety okazały się bardziej pomocne niż współczesne, Armitage wywnioskował więc, że kod tego manuskryptu wywodzi się z zamierzchłych czasów, a przekazywany był z pokolenia na pokolenie przez tajemniczych eksperymentatorów. Kilkakrotnie już zdawało mu się, że jest blisko celu, ale zawsze wtedy napotykał na jakieś nieprzewidziane przeszkody. Na początku września chmury zaczęły się rozjaśniać. Udało mu się ustalić pewne litery w poszczególnych częściach rękopisu, co potwierdzało jego przypuszczenie, że tekst napisany jest w języku angielskim.

Drugiego września wieczorem ostatnia poważna zapora została pokonana i doktor Armitage przeczytał po raz pierwszy dłuższy fragment rękopisu Wilbura Whateleya. Był to rzeczywiście, jak wszyscy podejrzewali, pamiętnik, w którym ujawniała się okultystyczna erudycja i jednocześnie absolutna ciemnota dziwnej istoty, która to napisała. Już pierwszy długi fragment, który Armitage rozszyfrował, opatrzony datą 26 listopada 1916, wzbudzał niepokój i zdumienie. Został napisany przez trzy i półletnie dziecko, wyglądające na dwanaście albo trzynaście lat. Dzisiaj poznałem Aklo Sabaoth, który mi się nie podobał, bo odpowiadał ze wzgórza, a nie z powietrza. To na górze wyprzedza mnie bardziej, niż myślałem, ale nie wydaje mi się, żeby miała dużo ziemskiego rozumu. Zabiłem psa Elama Hutchinsa, bo chciał mnie ugryźć, i Elam mówi, że mnie zabije. Chyba jednak nie zabije. Dziadek kazał mi całą noc powtarzać zaklęcie Dho i wydaje mi się, że zobaczyłem podziemne miasto o dwóch biegunach magnetycznych. Wybiorę się na te bieguny, jak ziemia zostanie oczyszczona, jeśli nie dostanę się tam z pomocą zaklęcia Dho-Hna. Ci z powietrza powiedzieli mi podczas sabatu, że lata upłyną, nim oczyszczą ziemię, a dziadek chyba wtedy nie będzie żył, muszę wobec tego nauczyć się wszystkich kątów płaszczyzny i wszystkich formuł pomiędzy Yr i Nhhngr. Co z zewnątrz pomogą, ale nie mogą przybrać ciała bez ludzkiej krwi. Chyba ci na górze będą mieć właściwy kształt. Widzę to, kiedy robię znak Voorish albo rzucam proszek Ibn Gazi i jest wtedy blisko jak w Majowy Wieczór na wzgórzu. Inna twarz może się trochę zatrze. Ciekaw jestem, jak będę wyglądał, kiedy ziemia będzie oczyszczona i nie będzie na niej ludzi. Ten, co przybył z Aklo Sabaoth, mówił, że może zostanę przemieniony i stanę się taki jak ci z zewnątrz. Nastął ranek, a Armitage, zlany zimnym potem przerażenia, wciąż jeszcze siedział zatopiony w pracy. Całą noc ślęczał nad manuskryptem przy stole z elektryczną lampą i przewracał drżącymi rękami strony, w miarę jak odczytywał szyfr. Zadzwoił w nerwowym pośpiechu do żony, że nie wróci do domu, a kiedy przyniosła mu śniadanie, ledwie kęs

zdołał przełknąć. Przez cały dzień tylko czytał; robił przerwy jedynie wtedy, gdy musiał ponownie posługiwać się odkrytym przez siebie kluczem do szyfru. Przyniesiono mu obiad i kolację, ledwie jednak tknął jedzenie. W połowie następnej nocy zdrzemnął się w krześle, ale wkrótce zbudziły go zmory, równie potworne jak te wszystkie koszmary zagrażające ludzkości, które poznał przy odczytywaniu manuskryptu.

Czwartego września rano profesor Rice i doktor Morgan postanowili zobaczyć się z nim na chwilę, ale natychmiast wyszli, pobladli i zaniepokojeni. Tego dnia wieczorem Armitage położył się do łóżka, lecz nie mógł spać. Nazajutrz, we środę, znowu zasiadł do manuskryptu i zaczął przepisywać to, co na bieżąco odczytywał, i to, co już poprzednio odczytał. W ciągu nocy przespał się trochę w fotelu, ale nim nastał świt, już siedział przy pracy. Około południa odwiedził go lekarz, doktor Hartwell, i stanowczo zalecił mu przerwanie pracy. Odmówił twierdząc, że musi czytać pamiętnik, jest to sprawa niezwyklej wagi, a wyjaśni wszystko w odpowiednim czasie. Wieczorem, nim zapał zmrok, skończył i opadł w fotelu kompletnie wyczerpany. Kiedy żona przyniosła mu kolację, zastała go prawie nieprzytomnego; miał jeszcze świadomość na tyle, że zareagował krzykiem, gdy spojrzała na zrobione przez niego notatki. Z trudem się podniósł, zgarnął wszystko, włożył do koperty i po zaklejeniu schował ją do kieszeni marynarki. Starczyło mu sił, aby dojść do domu, ale natychmiast trzeba było wezwać doktora Hartwella. Kiedy doktor kładł go do łóżka, Armitage słabym głosem powtarzał wciąż te same słowa: "I cóż, na Boga, możemy zrobić?" Tej nocy spał, ale nazajutrz znowu był prawie nieprzytomny. Doktorowi Hartwellowi niczego nie wyjaśnił, jedynie w chwilach przebłysku świadomości domagał się spotkania z Ricem i Morganem. Jego majaki budziły przerażenie, błagał, żeby zniszczyć coś na zabitej deskami farmie, wspominał o jakimś planie zagłady rasy ludzkiej, zwierząt i roślin na całej ziemi przez jakieś okropne, straszne istoty z innego świata. Krzyczał, że ziemia jest w niebezpieczeństwie, ponieważ te istoty chcą ją oderwać od

systemu słonecznego i kosmosu materii i przyłączyć do jakiejś innej płaszczyzny czy też fazy istnienia, od której się niegdyś odłączyła, przed milionami wieków. Chwilami domagał się "Necronomicon" i "Daemonolatreia" Remiglusa, bo miał nadzieję odnaleźć w nich formułę, która by uchroniła ludzkość przed straszną zagładą.



- Powstrzymajcie je, powstrzymajcie! - wołał. - Whateleyowie chcieli je wpuścić, a najgorsze dopiero ma nastąpić! Powiedzcie Rice'owi i Morganowi, że musimy działać... to tajemnica, ale ja wiem, jak się robi proszek... to nie jadło od drugiego sierpnia, kiedy Wilbur znalazł tutaj śmierć, i w tej sytuacji...

Jednakże Armitage, mimo siedemdziesięciu trzech lat, miał dobrą kondycję i zapadł w głęboki sen. W piątek rano obudził się bez gorączki, całkiem przytomny, choć trapiiony lękiem i poczuciem ciężającej na nim odpowiedzialności. W sobotę po południu czuł się już na tyle dobrze, że mógł się wybrać do biblioteki i odbyć naradę z Rocem i Morganem. Aż do późnego wieczora łamali sobie głowę, zatopieni w różnych spekulacjach i desperackich rozważaniach. Wyciągnęli z załadowanych półek, a także z miejsc specjalnie strzeżonych najdziwniejsze księgi; w szaleńczym pośpiechu przepisami mnóstwo rozmaitych diagramów i formuł. O sceptycyzmie nie mogło być mowy. Wszyscy trzej widzieli ciało Wilbura Whateleya leżące na podłodze w tym budynku, nie mogli więc traktować tego pamiątnika jak bredzenia szaleńca.

Rozbieżność wyłoniła się dopiero w kwestii powiadomienia policji stanowej w Massachusetts, ale w końcu uznali, że nie miałyby to sensu. Jeśli ktoś nie zetknął się z tym osobiście i nie uczestniczył w dalszych badaniach,

nie był w stanie dać temu wiary. Późnym wieczorem skończono naradę bez ustalenia konkretnego planu działania. Armitage spędził jednak całą niedzielę nad porównywaniem różnych formuł i mieszaniem chemikaliów zdobytych w miejscowym laboratorium. Im dłużej zastanawiał się nad tym piekielnym pamiętnikiem, tym bardziej zaczynał wątpić w skuteczność zniszczenia za pomocą jakichkolwiek materialnych składników istoty pozostawionej przez Wilbura Whateleya - istoty zagrażającej ziemi, a nieznaney Armitage'owo, która za kilka godzin miała zaatakować świat i stać się symbolem pamiętnego dla Dunwich koszmaru. Paniedziałem upłynął mu w podobny sposób, gdyż zadanie, jakiego się podjął, wymagało nieskończenie długich badań i eksperymentów. Zaglądając do manuskryptu, co chwila wprowadzał zmiany w swoim planie, i wreszcie doszedł do wniosku, że skuteczność jego działania będzie budzić wątpliwości do samego końca. Do wtorku ustalił jednak konkretny plan i miał nadzieję, że w najbliższym tygodniu zdoła się wybrać do Dunwich. A we środę nastąpiło straszne zdarzenie. "Arkham Advertiser" zamieścił w niewidocznym miejscu w rogu żartobliwą notatkę, w której powiadamiano, że przemyt whisky w Dunwich zbudził potwora, który pobił wszelkie rekordy. Osłupiały Armitage natychmiast zatelefonował do Rice'a i Morgana. Zastanawiali się do późna w nocy nad dalszym działaniem, a następnego dnia wypełniły im gorączkowe przygotowania do podróży. Armitage zdawał sobie sprawę, że będzie miał do czynienia ze strasznymi mocami, ale nie widział innej możliwości zniweczenia o wiele poważniejszej i złowrogiej działalności podjętej przez jego poprzedników.

VIII

W piątek rano Armitage, Rice i Morgan wyruszyli samochodem do Dunwich, dokąd przybyli około pierwszej w południe. Dzień był ładny, ale nawet w najjaśniejszym słońcu zdawał się tu wisieć ponad kopulastymi górami i głębokimi, ciemnymi wąwozami nastrój jakby oczekiwanej grozy. Tu i ówdzie na szczytach gór rysowały się na tle nieba stojące w kręgu posępne kamienie. W sklepie Osborne'a panowało milczące przerażenie, zorientowali się więc, że musiało się stać coś strasznego. Okazało się, że rodzina Frye'ów i ich farma uległy całkowitej zagładzie. Przez całe popołudnie jeździli po Dunwich; wypytywali wieśniaków o wszystko, co się tutaj zdarzyło, z niepokojem i lekiem obejrzeni ruiny farmy Frye'ów z kałużami smolistej mazi, monstrualne ślady na podwórku, okaleczone bydło Seta Bishopa i ogromne pasma stratowanej roślinności w różnych miejscach. Ślad prowadzący na szczyt Sentinel Hill i z powrotem był dla Armitage'a kataklizmem, długo wpatrywał się w złowróżbną skałę, przypominającą ołtarz, na szczycie tej góry.

Ponieważ dowiedzieli się, że rano przybyli tutaj funkcjonariusze policji stanowej z Aylesbury na skutek telefonicznego zawiadomienia o tragedii Frye'ów, postanowili odszukać ich i omówić całą sprawę. Przyjechało pięciu funkcjonariuszy samochodem, który stał teraz pusty na podwórku zrujnowanej farmy Frye'ów. Wieśniacy, którzy z nimi rozmawiali, byli równie zaskoczeni jak Armitage i jego towarzysze. Nagle stary Sam Hutchins pobladł, trącił łokciem Freda Farra i wskazał ręką na przesiądknięty wilgocią głęboki wąwóz w pobliżu farmy.

- Boże! - zawołał ledwo dysząc. - Mówiłem, żeby nie schodzili do wąwozu. Nigdy bym nie przypuszczał, że ktoś może to zrobić. Przecież

widać te wielkie ślady, strasznie śmierdzi, a lelki kozodoje wrzeszczały tam w ciemności w samo południe...

Wszystkich przeszył zimny dreszcz, instynktownie i podświadomie zamienili się w słuch. Armitage, który teraz niemal namacalnie zetknął się z tą potwornością i jego zgubnymi skutkami, drżał pod ciężarem odpowiedzialności, do jakiej się poczuwał. Wkrótce miała już zapaść noc, a przecież właśnie wtedy ten piekielny olbrzym odbywał swoje wyprawy. *Negotium perambulans in tenebris...* Stary bibliotekarz powtarzał zapamiętaną formułę i zaciskał w ręku kartkę z drugą formułą, której się nie zdążył nauczyć. Sprawdził, czy dobrze działa jego latarka. Stojący obok Rice wyjął z walizki metalowy rozpylacz używany zazwyczaj do niszczenia insektów, natomiast Morgan przyszykował strzelbę myśliwską na dużą zwierzynę i w niej pokładał nadzieję, choć pozostali byli przekonani, że żadna broń nie może być skuteczna. Armitage, po przeczytaniu pamiętnika, zbyt dobrze zdawał sobie sprawę, czego można się spodziewać, ale nawet o tym nie napomknął i tak już mocno przerażonym mieszkańcom Dunwich. Miał nadzieję, że może zdoła pokonać potwora, nie odkrywając świata, jakiej potworności uniknął. Kiedy zaczął zapadać zmrok, wieśniacy zaczęli się rozpraszać. Wszyscy pragnęli się schronić w domu, choć byli świadomi, że żadne zamki ani zasuwki nie zabezpieczą ich przed siłą, która łamie drzewa i trąci domy. Z powątpiewaniem potrząsali głowami dowiedziawszy się, że trzech przybysze zamierzają stać na straży przy ruinach Frye'ów w pobliżu wąwozu. Co więcej, mieli wątpliwości, czy jeszcze kiedykolwiek ich zobaczą. Tej nocy ziemia pod wzgórzami grzmiała, a lelki złowieszczo krzyczały. Co jakiś czas powiew wiatru z głębi wąwozu Cold Spring przepelniał ciężkie powietrze nocy fetorem nie do zniesienia; takim samym, z jakim już Armitage i jego współtowarzysze zetknęli się stojąc nad umierającą istotą, która przez piętnaście i pół roku była uznawana za człowieka. Jednakże oczekiwany potwór się nie pojawił, czekał stosowniejszej chwili, zaś Armitage orzekł, że atakowanie go w nocnej ciemności byłoby

samobójstwem. Nastął już blady świt, odgłosy nocy umilkły. Dzień był ponury, popadywał drobny deszcz, a w kierunku północnozachodnim gromadziły się ponad górami coraz cięższe chmury. Trzej uczeni z Arkham byli niezdecydowani, jakie winni podjąć dalsze kroki. Schranili się przed nasilającym się deszczem w jednej z nie zniszczonych szop na farmie Frye'a zastanawiając się nad tym, co ma większy sens, czy czekać tutaj, czy też zejść na dół do wąwozu i tam zaatakować tego nieznanego, straszego potwora. Spadła ulewa, w dali, na horyzoncie, waliły pioruny. Niebo roziskrzyło się błyskawicami, a po chwili uderzył piorun, jakby prosta w ten przeklęty wąwóz. Niebo zrobiło się czarne; trzej przybysze żywili nadzieję, że tak silna burza szybko minie i wkrótce się przejaśni.

W godzinę później, kiedy wciąż jeszcze panowały ciemności, usłyszeli na drodze jakiś harmider. Po chwili wyłoniło się kilkanaście osób, a wszyscy pędzili krzycząc histerycznie. Ktoś, kto był na przedzie, wykrztusił z siebie jakieś słowa, a kiedy ich sens dotarł do świadomości trzech mężczyzn z Arkham, stanęli jak wrycie.

-Och, mój Boże, mój Boże! Znowu to idzie, nawet za dnia. Wyszło... posuwa się, w każdej chwili może tu być.

Mówiący te słowa umilkł, ale już zaczął następny:

- Jeszcze nie ma godziny, jak Zeb Whateley usłyszał telefon. To dzwoniła pani Corey, żona George'a, mieszka przy rozstaju dróg. Powiedziała, że jej chłopak najemny, Luther, właśnie spędzał z pastwiska krowy, po tym, jak uderzył piorun, i on to właśnie zobaczył, że wszystkie drzewa na brzegu wąwozu się pochylają i że śmierdzi tak samo jak w poniedziałek rano, kiedy znalazł ślady. Mówił też, że słyszał jakiś świst i chlupot, ale to nie były odgłosy tratowanych drzew i krzaków, a potem wszystkie drzewa przy drodze zostały odepchnięte i usłyszał ciężkie stąpanie i chlupot błota. Ale Luther niczego nie widział, tylko te stratowane drzewa i krzaki.

Potem, trochę dalej, tam gdzie Bishop's Brook płynie pod drogą, usłyszał straszne trzeszczenie i skrzypienie mostu, tak jakby rozszczepiało się drzewo.

Ale przez cały czas nie widział tej rzeczy, tylko tratowane drzewa. A kiedy świst się oddalił... w stronę Wizarada Whateleya i Sentinel Hill... Luther odważył się pójść tam, gdzie na początku usłyszał te odgłosy, i popatrzył na ziemię. Były tam tylko błota i woda, niebo zasłoniły jeszcze ciemne chmury, a deszcze szybko wymywał wszystkie ślady, ale na brzegu wąwozu jeszcze się nie starły te okropne ślady, wielkie jak beczka, takie same jak w poniedziałek.

Teraz włączył się człowiek, który mówił na początku:

- Ale to jeszcze nic strasznego, to dopiero początek. Zeb, który jest tutaj z nami, zwołał do siebie wszystkich i wszyscy słyszeli, jak zadzwonił Seth Bishop. Jego gospodyni, Sally, szalała z przerażenia, bo widziała, jak przewracają się drzewa przy drodze, i mówiła, że słyszy, jakby po błocie szedł słoń prosto na dom. Potem zawołała, że czuje okropny smród, a jej syn Chauncey krzyczał, że śmierdzi tak samo jak w poniedziałek na ruinach Whateleyów. A psy szczekały i wyły przeraźliwie.



A potem Sally zaczęła okropnie krzyżeć i wołać, że szopa koło drogi rozpadła się, jakby zdmuchnęła ją burza, tylko że nie było silnego wiatru. Wszystkim prawie dech zaparło. Ale już po chwili Sally krzyknęła, że zawalił się płot, choć nie widać od czego. Po chwili wszyscy usłyszeli krzyk Chaunceya i Seta Bishopa, a Sally zawołała, że coś ciężkiego uderzyło w dom, wcale nie piorun, i że to choć pcha dom, ale nic przez okna nie widać. Na twarzach wieśniaków malował się paniczny strach, zaś Armitage, wstrząśnięty do głębi, z trudem wy dobył dalsze informacje:

- A potem... Sally zaczęła wołać: "Ratunku, dom się wali!"... i przez telefon usłyszeliśmy straszny hałas i przeraźliwy krzyk... taki sam, jak wtedy,

gdy rozpadł się dom Elmera Frye'a, a może nawet jeszcze gorszy...

Mówiący te słowa urwał, a zaczął następny:

- I to już wszystko... a potem cisza w telefonie, nic nie było słycać. Wsiedliśmy w samochody i wozy, zebraliśmy się u Coreya, sami sprawni mężczyźni, a stamtąd przybyliśmy tutaj, żeby spytać, co robić dalej. Ja myślę, że to kara boża za nasze grzechy i że żaden śmiertelnik jej nie uniknie.

Armitage zrozumiał, że nadszedł czas działania, i przemówił zdecydowanym głosem do grupy przerażonych, miotanych wątpliwościami wieśniaków.

- Moi drodzy, musimy pójść za tym stworem - mówił starając się im dodać odwagi. - Jestem przekonany, że teraz właśnie jest dobra okazja, aby go unicestwić. Wiecie zapewne, że Whateleyowie byli czarownikami, a ten stwór jest wytworem czarów, więc musimy go takimi środkami pokonać. Przeczytałem pamiętnik Wilbura Whateleya i jeszcze parę starych ksiąg, które on czytywał, i wydaje mi się, że poznałem odpowiednie zaklęcie. Kiedy się je wyrecytuje, potwór powinien zniknąć. Nie mogę, oczywiście, dać gwarancji, ale chyba warto spróbować. Spodziewałem się tego, że jest niewidzialny, ale w tym rozpylaczu o dalekim zasięgu jest proszek, pod wpływem którego potwór ukaże się naszym oczom przez moment. Wypróbujemy go za chwilę. Wiem, że to straszne, ale byłoby jeszcze gorzej, gdyby Wilbur żył dłużej na tym świecie. Nie macie pojęcia, jak straszego losu uniknął świat. Teraz musimy zwalczyć tylko tego jednego potwora, nie może się on bowiem rozmnożyć. Ale może wyrządzić dużo krzywdy, więc się nie wahajmy, trzeba się go koniecznie pozbyć.

Pójdziemy za nim... a zaczniemy od miejsca, które właśnie zniszczył. Niech ktoś tam poprowadzi... nie znam waszych dróg, ale wyobrażam sobie, że można pójść na przełaj. Co o tym myślicie? Przez chwilę wieśniacy przestępowali z nogi na nogę, po czym odezwał się słabym głosem Earl Sawyer wyciągając brudny palec na deszcz, który stopniowo zaczął się zmniejszać.

- Najbliżej do Setha Bishopa przez tę łąkę, potem w bród przez strumień i znowu przez łąkę i lasek za farmą Carriero. Wychodzi się wtedy na drogę tuż koło Setha... trochę z boku.

Armitage, Rice i Morgan ruszyli we wskazanym kierunku, a za nimi wolniejszym krokiem, prawie wszyscy wieśniacy. Niebo się już przejaśniało, burza przesunęła się trochę dalej. Armitage zmylił drogę, wobec tego Joe Osborne przejął rolę przewodnika. Odwaga i wiara wstąpiła w członków wyprawy, choć zastały potem wystawiona na ciężką próbę, kiedy pod koniec drogi na skrót musieli się wspinać jak po drabinie na strome, zalesione wzgórze, pośród bardzo starych, o niemal fantastycznych kształtach drzew. W końcu wyszli na błotnistą drogę, a w tym momencie pojawiło się słońce. Było to tuż za farmą Setha Bishopa, ale powalone drzewa i ohydne ślady świadczyły dobitnie o tym, co się tutaj działo. Tuż za zakrętem drogi znajdowały się ruiny, ale nie zatrzymywali się tam długo. Wszystko wyglądało tak samo jak u Frye'ów, nie znaleziona ani żywych ludzi, ani martwych, ani żadnych zwierząt gospodarskich pośród szczątków domu i obory Setha Bishopa. Nikt nie miał ochoty dłużej przebywać w tym strasznym smrodzie i pośród smolistej, lepkiej mazi, wszyscy jakby instynktownie odwrócili się ku długiej linii strasznych śladów prowadzących w stronę zrujnowanej farmy Whateleyów i zbocza uwieńczonego ołtarzem Sentinel Hill. Kiedy mijali dawną siedzibę Wilbura Whateleya, widać było, że wszyscy zadrżeli i zawahali się przed dalszą drogą. To nie żarty tropić coś tak wielkiego jak dom, co jeszcze na domiar wszystkiego jest niewidzialne, a działa ze złośliwością straszego demona. U podnóża Sentinel Hill ślady zbaczały z drogi, znać było świeży zakręt i wklęsłości na szerokim pasie znaczącym wejście potwora na górę i zejście.

Armitage wyjął silnie powiększającą lunetę i zlustrował strome, zielone zbocze góry. Po chwili przekazał ją Morganowi, który miał lepszy wzrok, a który przyjrawszy się uważnie krzyknął i natychmiast oddał lunetę Earlowi Sawyerowi, wskazując palcem konkretne miejsce na zboczu. Sawyer, nie

mający doświadczenia w posługiwaniu się optycznym przyrządem, nie mógł sobie poradzić; z pomocą Armitage'a dopasował soczewki, ale wtedy krzyknął o wiele przeraźliwiej niż Morgan.

- Boże drogi, trawa i krzaki znowu się ruszają! Wchodzi... powoli... pełza... na sam szczyt, nie wiadomo po co!



Wszystkich ogarnęła panika. Co innego szukać nieznannej istoty, a co innego ją odnaleźć. Zakłęcie może być skuteczne... A jeśli okaże się nieskuteczne? Zaczęli wypytywać Armitage'a o wszystko, co jest mu wiadome, ale żadne słowa zdawały się ich nie zadowalać. Zdawali sobie sprawę, że znajdują się w obliczu zjawiska wykraczającego poza zasięg Natury i wiedzy dostępnej normalnemu człowiekowi.

IX

W końcu trzej mężczyźni z Arkham - stary, siwobrody doktor Armitage, krępy, szpakowaty profesor Rice i szczupły, młodzieńczy doktor Morgan - zaczęli się wspinać na wzgórze. Lunetę przekazali wystraszonemu ludziom, którzy pozostali na drodze, uprzednio wyjaśniewszy im cierpliwie, jak się mają nią posługiwać; w miarę jak wchodzili coraz wyżej, luneta przechodziła z rąk do rąk wśród oczekujących na dole ludzi. Wspinaczka nie była łatwa i nie raz trzeba było wspomóc doktora Armitage'a. Wysoko ponad nimi poruszało się szerokie pasmo drogi, po którym z rozwagą ślimaka przesuwiał się ten diabelski potwór. Stało się dla wszystkich jasne, że ścigający go uczeni zbliżają się do celu.

Curtis Whateley - z tych niezdegenerowanych Whateleyów - trzymał w ręku lunetę, kiedy ludzie z Arkham zoczyli z trasy, którą posuwał się potwór. Przypuszczał, że chcą się wspiąć na drugi, niższy szczyt, stamtąd bowiem lepiej widać szlak potwora i miejsce, na którym tratowana jest teraz cała roślinność. I tak rzeczywiście było. Uczni znaleźli się na niższym wzniesieniu w momencie, kiedy niewidzialny potwór właśnie je minął. Wtedy Wesley Corey, który ujął w swoje ręce lunetę, zawołał, że Armitage przygotowuje rozpylacz trzymany przez Rice'a i że chyba wkrótce coś się wydarzy. W tłumie zapanowało poruszenie, wszyscy bowiem przypomnieli sobie, że pod działaniem rozpylacza niewidzialny potwór stanie się na moment widoczny. Parę osób z wrażenia przymknęło oczy, zaś Curtis Whateley wyrwał lunetę Coreyowi i z wielką uwagą zaczął obserwować, co się dzieje na górze. Dojrzał, że Rice, zajmujący dogodną pozycję w stosunku do potwora, miał wspaniałą okazję rozpylenia magicznego proszku. Ci, którzy nie mieli dostępu do lunety, ujrzeli tylko nagłe pojawienie się szarej

chmury - wielkości sporego budynku - przy samym wierzchołku góry. Nagle Curtis krzyknął przeraźliwie i rzucił lunetę w błoto głębokie do kolan, zachwiał się i byłby upadł, gdyby go nie podtrzymali. Z wielkim trudem starał się coś z siebie wykrztusić:

- Wielki Boże... to... to...

Posypały się pytania i tylko Henry Wheeler okazał przytomność umysłu i wyjąwszy z błota lunetę, starannie ją oczyścił. Curtis wciąż dobywał z siebie tylko bezładne słowa.

- Większy niż obora... cały jakby z pozwijanych sznurów... ma kształt kurzego jajka, ale ogromny jak nie wiem co... ma kilkanaście nóg wielkich jak dno beczki, zginają się w pół, kiedy stąpa... nie ma nic stałego... wszystko jak galareta... składa się z oddzielnych poskręcanych lin ściągniętych razem... pełno na nim wielkich, wyłupiastych oczu... dziesięć albo dwadzieścia ust, a może trąb... sterczą wszędzie, wielkie jak rury od pieca, chwieją się, otwierają i zamykają... szare, na nich niebieskie i fioletowe pierścienie... a na górze... Boże drogi... pół twarzy!

To ostatnie wspomnienie było dla Curtisa nie do zniesienia. Już nic więcej nie powiedział, tylko osunął się na ziemię. Fred Farr i Will Hutchins, położyli go na mokrej trawie przy drodze. Henry Wheeler, drżąc z przerażenia, skierował lunetę na górę. Dostrzegł niezbyt wyraźnie trzy postacie biegnące w stronę szczytu, tak szybko, jak tylko pozwalało na to strome zbocze. Nic więcej nie było widać. Wtem rozległ się niespotykany o tej porze krzyk w głębi doliny za wzgórzem, a nawet wśród krzewów na samym wzgórzu. To odezwały się nieprzeliczone stada lelków kozodojów, a w ich chóralnym krzyku wyczuwało się pełne napięcia oczekiwanie. Teraz z kolei Earl Sawyer chwycił lunetę i oznajmił wszystkim, że trzy osoby stoją na samej krawędzi szczytu wierzchołka, dokładnie na poziomie skały-ołtarza, tylko że w znacznej odległości. Jedna podnosi co pewien czas rękę ponad głowę. W tym momencie tłum czekający na dole usłyszał ciche i melodyjne zawodzenie, tak jakby gestom rąk towarzyszył jakiś śpiew. Był to widok

niesamowity, groteskowy i przejmujący do głębi, nikt jednak nie był zdolny w owym czasie do odbierania jakichkolwiek wrażeń estetycznych. - On chyba wypowiada zakłęcie - szepnął Wheeler chwytając lunetę. Lelki krzyczały jak oszalałe, w jakimś szczególnym rytmie, nie dopasowanym do odprawianego obrzędu. Słońce przygasło, choć na niebie nie pojawiła się ani jedna nowa chmura. Dziwne to zjawisko zostało zauważone przez wszystkich. W głębi gór zaczęły się rozlegać grzmoty, którym towarzyszyły równocześnie pioruny rozdzierające niebo. Przecięła je też błyskawica, a oszołomiona gromada ludzi na próżno wypatrywała nadciągającej burzy. Teraz śpiew mężczyzn z Arkham słychać było wyraźnie, a Wheeler widział przez lunetę, jak wszyscy trzej wznoszą do góry ręce w rytm nuconych słów. Z jakiejś farmy dobiegło zajadłe szczekanie psów. Światło dnia uległo dziwnej zmianie, wieśniacy ze zdumieniem wpatrywali się w horyzont. Fioletowa ciemność, na skutek pogłębionej szarości nieba, spowiła huczące góry. Znowu przeszła niebo błyskawica, jeszcze silniejsza niż poprzednia, a wokół kamiennego ołtarza roztoczyła się chmura. W tym momencie nikt nie patrzył przez lunetę. Lelki kozodoje krzyczały bezustannie, a wieśniacy z Dunwich skupili się jeden przy drugim, aby w ten sposób stawić czoło niepojętej grozie, jaką nabrzmiało całe powietrze.

Niespodziewanie rozległ się donośny, ochryply głos, którego nikt spośród tych, co go słyszeli, nigdy w życiu nie zdołał zapomnieć. Nie mógł to być głos ludzki, żaden człowiek nie dobyłby z siebie tak odrażających dźwięków. Już prędzej można by rzec, że pochodził z piekła, gdyby nie był umiejscowiony tak wyraźnie przy ołtarzu ze skały na wzgórzu. Trudno to nawet nazwać dźwiękiem czy głosem, bo jego upiorny, basowy tembr poruszał struny świadomości i strachu, o wiele subtelniejsze niż ucho. Jednakże trzeba w końcu tak to określić, bo w gruncie rzeczy były to artykułowane, choć niezbyt zrozumiałe słowa. Były głośnie... a nawet głośniejsze od grzmotów podziemnych i rozdzierających niebo... ale wydawała je istota niewidzialna. A ponieważ wyobraźnia może podsuwać

najrozmaitsze przypuszczenia, jeśli chodzi o świat istot niewidzialnych, zgromadzeni u stóp wzgórza wieśniacy jeszcze ciaśniej się skupili, z drzeniem oczekując wymierzonego w nich ciosu.

- Ygnaiih... ygnaiih.. thfithkh'ngha... Yog-Sothoth... - rozległ się ochrypły głos. - Y'bthnk... h'ehye-n'grkdl'lh...

Głos ten zamilkł, jakby pod wpływem jakiejś walki psychicznej. Henry Wheeler wyteżył wzrok przez lunetę, ale zdołał dojrzeć tylko trzy groteskowe sylwetki ludzkie na szczycie, wykonujące rękoma szaleńcze gesty w kulminacyjnym momencie rzuconego zaklęcia. Z jakich to czarnych otchłani lęku albo namiętności, z jakich przepaści pozakosmicznej świadomości i mrocznego, z dawna skrywanego dziedzictwa wywodziły się te niezrozumiałe gromkie odgłosy? Nagle wystąpiła w nie siła i stały się lepiej zrozumiałe, jakby pod wpływem nabrzmiałej wściekłości.

Eh-ya-ya-yahaah-e'yayayayaaa... ngh'aaaaangh'aaa... h'yuh... h'yuh,, Na pomoc! Na pomoc!... oo-oo-oo... Ojczy! Ojczy! Yog-Sothoth!...

Zapadła cisza. Wieśniacy stojący na drodze przy wzgórzu pobledli, oszołomieni sylabami w języku angielskim, które dotarły do nich jak grom z przerażającej pustki wokół kamiennego ołtarza, ale już nigdy więcej nie mieli ich usłyszeć. Wtem podskoczyli gwałtownie, bo jakaś straszliwa eksplozja zdawała się rozdzierać góry; ogłuszający huk, dobywający się z ziemi albo z nieba, nie wiadomo skąd. Błyskawica przeszła fioletowy zenit i opadła na kamienny ołtarz, a wielka fala niewidzialnych mocy i nieopisanego fetoru spłynęła ze wzgórza i rozlała się po całej okolicy. Drzewa, trawa, krzewy przechylały się, jakby z wściekłością smagano je biczem; a przerażonych wieśniaków, którzy prawie dusili się od tego zabójczego smrodu, zupełnie ścięło z nów. Psy wyły bez przerwy, trawa i cała roślinność przywiędły, stały się żółtoszare, a pola i lasy zostały usiane martwymi lelkami. Smród ulotnił się wkrótce, ale roślinność już nigdy nie odżyła. Po dziś dzień wszystko, co rośnie na wzgórzu i w jego pobliżu, wygląda dziwnie i niesamowicie. Curtis Whateley właśnie odzyskał przytomność, kiedy uczeni z Arkham, w jasnych

promieniach słońca, zeszli na dół. Zachowywali powagę i spokój, choć wstrząśnięci byli wspomnieniem i refleksjami jeszcze straszniejszymi niż te, które zawładnęły wieśniakami i przeszły ich takim lękiem. W odpowiedzi na zalew pytań potrząsali głowami i mówili tylko o jednym istotnym fakcie.



- Potwór zniknął na zawsze - zapewnił Armitage. - Stał się tym, czym był niegdyś, i już nigdy więcej nie będzie istniał na ziemi. Był nienormalnym zjawiskiem w normalnym świecie. Miał w sobie tylko odrobinę materii w naszym pojęciu tego określenia. Był podobny do swego ojca... i powrócił do ojca, do jego królestwa albo nie znanych nam wymiarów znajdujących się poza zasięgiem materialnego wszechświata. Do jakiejś otchłani, z której mogły go wywołać i sprowadzić na pewien czas w góry tylko bluźniercze obrzędy.

Zapanowała krótka chwila ciszy, podczas której rozproszone myśli Curtisa Whateleya zaczęły się układać w jeden ciąg; objął głowę rękoma i wydawał z siebie jęki. Wracała mu pamięć, a koszmar, jaki pozbawił go świadomości, teraz znowu pojawił mu się przed oczami.

- Och, mój Boże, ta połowa twarzy... ta połowa twarzy na górze... z czerwonymi oczami albinosa i włosami jak szczecina, bez brody, całkiem jak u Whateleyów... ośmiornica, krocionóg, coś jakby pająk, ale na wierzchu połowa ludzkiej twarzy. Przypominała Wizarę Whateleya, tylko że była o wiele szersza.

Urwał wyczerpany, a cała grupa wieśniaków, wsłuchująca się w te koszmarnie słowa, patrzyła na niego z osłupieniem. Tylko stary Zebulon Whateley, który zawsze pamiętał różne wydarzenia z dalekiej przeszłości, a który dotychczas milczał, oznajmił donośnym głosem:

- Piętnaście lat temu słyszałem, jak Stary Whateley mówił, że któregoś dnia usłyszymy dziecko Lavinii wykrzykujące imię swego ojca na szczycie Sentinel Hill...

Jednakże przerwał mu Joe Osborn zwracając się z pytanie do uczonych z Arkham:

- Ale co to było i w jaki sposób Wizard Whateley to przywołał?

Armitage odparł, starannie dobierając słowa:

- Była to... no cóż, była to siła, która nie przynależy do znanej nam przestrzeni, siła, która działa, rośnie i kształtuje się wedle zupełnie innych praw, niż znane są w naszej przyrodzie. Nie powinniśmy czegoś takiego przywoływać stamtąd, robią to tylko nikczemni ludzie wyznający nikczemne kulty. Coś z tego było właśnie w Wilburze Whateleyu... co czyniło z niego diabła i potwora już od najmłodszych lat, a jego śmierć była strasznym widowiskiem. Spalę jego przeklęty pamiętnik, a wam radzę rozburzyć ten kamienny ołtarz i wszystkie stojące kręgiem kolumny na wzgórzach. To dzięki nim właśnie Whateleyowie z taką lubością przywoływali te istoty... które zamierzały zniszczyć całą rasę ludzką, a naszą ziemię zawlec w jakieś nieznane nam miejsce i w niewiadomym celu.

A jeśli chodzi konkretnie i tego potwora, którego właśnie się pozbyliśmy, to Whateleyowie chowali go dla jakiejś strasznej misji, która się dopiero potem miała wypełnić. Rozrastał się on w szybkim tempie z tej samej przyczyny, jak i Wilbur, który przecież rozwijał się o wiele szybciej niż ludzie, ale ten potwór pokonał pod tym względem Wilbura, bo było w nim więcej cech stamtąd. Nie ma potrzeby zastanawiać się, w jaki sposób go tutaj Wilbur przywołał, bo nie zrobił tego. Był to jego bliźniaczy brat, tylko że bardziej podobny był do ojca, aniżeli Wilbur.

Muzyka Ericha Zanna

Tłumaczenie:

Ryszarda Grzybowska

Przestudiowałem mapy tego miasta z największą uwagą, ale na żadnej nie odnalazłem Rue d'Auseil. Nie były to tylko nowoczesne mapy, bo przecież zdają sobie sprawę, że nazwy się zmieniają. Wręcz przeciwnie, zagłębiałem się we wszystkie najstarsze źródła i nawet osobiście przeszukałem każdą dzielnicę, bez względu na jej nazwę, która mogła by ewentualnie odpowiadać ulicy znanej mi jako Rue d'Auseil. Jest to dla mnie upokarzające, bo mimo wszystkich podjętych starań, nie mogę znaleźć domu, ulicy ani nawet przybliżonej lokalizacji miejsca, w którym, wiodąc ubogi żywot studenta metafizyki na uniwersytecie, słuchałem muzyki Ericha Zanna. Nie dziwię się, że pamięć moja uległa zakłóceniu, bo w okresie, kiedy mieszkałem na Rue d'Auseil, moje zdrowie, zarówno fizyczne, jak i psychiczne, mocno podupało. Przypominam też sobie, że nie utrzymywałem kontaktów z tymi kilkoma osobami, z którymi się zaznajomiłem. Ale żebym w ogóle nie mógł odnaleźć tego miejsca, to naprawdę zdumiewające i niespotykane; z uniwersytetu szło się na tę ulicę pół godziny, a poza tym odznaczała się tak szczególnymi cechami, że kto raz ją widział, nie mógł zapomnieć. Ale nie spotkałem nikogo, kto by widział Rue d'Auseil. Znajdowała się po drugiej stronie mrocznej rzeki, na brzegach której stromo wznosiły się zbudowane z cegły magazyny o zamazanych oknach, biegł też ponad nią ciężki most z ciemnego kamienia. Nad rzeką zawsze panował mrok, tak jakby dym z okolicznych fabryk nigdy nie dopuszczał tu słońca. Wody tej rzeki zionęły

straszny smrodem, z jakim jeszcze nigdy w życiu się nie zetknąłem, myślę jednak, że to okaże się pomocne i któregoś dnia ją odnajdę. Za mostem znajdowały się wąskie, brukowane uliczki z szynami, potem teren lekko się wznosił, ale gdy dochodziło się do Rue d'Auseil, wznosił się stromo. Nie spotkałem już nigdy więcej tak wąskiej i tak stromej ulicy jak Rue d'Auseil. Było to niemalże urwisko, niedostępne dla żadnych pojazdów. W kilku miejscach znajdowały się schody, a na końcu ulicy wysoki, obrośnięty bluszczem mur. Bruk był nierówny, składał się z kamiennych płytek i z okrągłych kamieni, a gdzieniegdzie przeświecała naga ziemia z zeschniętymi chwastami. Domy były tu wysokie, ze spadzistymi dachami, niewiarygodnie stare, przechylone albo do tyłu, albo do przodu, albo na boki. Zdarzało się, że stojące naprzeciwko domy pochyliły się do przodu i prawie stykały się ze sobą ponad ulicą tworząc łukowe sklepienie; było tu więc dość mroczno. Znajdowało się tu także kilka pomostów nad ulicą, łączących przeciwległe domy.

Tutejsi mieszkańcy wywierali na mnie szczególne wrażenie. Z początku przypisywałem to ich milczeniu i powściągliwości, potem doszedłem do wniosku, że przyczyna leży w czym innym - mianowicie w tym, że mieszkają tu wyłącznie starzy ludzie. Sam nie wiem, jak to się stało, że wynająłem pokój na tej ulicy, ale z chwilą, kiedy się tutaj zjawiłem, chyba przestałem być sobą. Mieszkałem w najrozmaitszych ubogich domach, z których mnie eksmitowano, gdyż nie miałem na zapłacenie komornego, aż wreszcie trafiłem na rozpadający się dom, w którym stróżował paralytyk Blandot. Był to trzeci dom od końca ulicy i najwyższy ze wszystkich. Pokój mój znajdował się na piątym piętrze, a był to jedyny zamieszkały pokój, cały bowiem dom prawie świecił pustkami. Jak tylko się sprowadziłem, już pierwszej nocy usłyszałem niezwykle dziwną muzykę dochodzącą z poddasza i nazajutrz spytałem o to Blandota. Wyjaśnił mi, że to gra pewien stary Niemiec, skrzypek, niemowa, który podpisuje się Erich Zann, a gra wieczorami w orkiestrze w jakimś tanim teatrzyku. Wynajął ten odosobniony

pokój wysoko na poddaszu, z jednym tylko oknem wychodzącym na ulicę, z którego roztaczał się widok ponad murem obrośniętym bluszczem na opadający w dół krajobraz - dlatego właśnie, że pragnął nocą grać na skrzypcach. Słyszałem jego grę każdej nocy i choć nie dawał mi spać, byłem zafascynowany tą niezwykłą muzyką. Właściwie wcale się na muzyce nie znałem, ale byłem przekonany, że dźwięki, dobywane przez niego ze skrzypiec, nie miały nic wspólnego z muzyką, jaką dotychczas zdarzyło mi się słyszeć. Uznałem, że jest to kompozytor o zupełnie niezwykłym talencie. Im dłużej się wsłuchiwałem, tym większe robiła na mnie wrażenie i po tygodniu postanowiłem zawrzeć znajomość z tym starym człowiekiem. Któregoś wieczoru, kiedy powracał z pracy, zatrzymałem go na korytarzu i powiedziałem, że pragnąłbym się z nim zaznajomić i posłuchać jego gry z bliska. Był niski, szczupły, biednie ubrany, prawie łysy, miał niebieskie oczy oraz groteskową twarz przypominającą satyra. Z początku zdawał się być oburzony i przerażony taką propozycją. Widząc jednak mój szczery, przyjacielski stosunek rozpogodził się i dał mi znak, abym poszedł za nim po ciemnych, skrzypiących i uginających się schodach na poddasze. Jego pokój, jeden z dwóch znajdujących się na starym poddaszu, mieścił się od strony zachodniej, a wychodził właśnie na mur stanowiący zakończenie tej ulicy. Był to ogromny pokój, ale wydawał się jeszcze większy przez to, że był nie urządzone i bardzo zaniedbane. Znajdowały się w nim tylko wąskie żelazne łóżko, obdrapana umywalka, mały stolik, spora szafa z książkami, żelazny pulpit do nut i trzy staroświeckie krzesła. Nuty leżały rozrzucone po całej podłodze. Ściany były z gołych desek, nigdy zapewne nieotynkowane; wydawało się, że nikt tu nie mieszka, wszędzie bowiem snuła się pajęczyna, a kurz leżał grubą warstwą. Świat piękna dla Ericha Zanna to niewątpliwie świat wyobraźni.

Gestem wskazał mi krzesło, a sam zamknął drzwi na wielką drewnianą zasuwę, po czym zapalił świece. Następnie wyjął skrzypce z podziurawionego przez mole pokrowca i usiadł na najmniej wygodnym

krześle. Nie skorzystał z nut i pulpitu, tylko zaczął grać z pamięci, przez godzinę racząc mnie muzyką, jakiej w życiu nie słyszałem; musiała to być raczej jego własna kompozycja. Niełatwo ją opisać, jeżeli się nie jest znawcą muzyki. Było to coś w rodzaju fugi z powtarzającymi się pasażami o brzmieniu wprost urzekającym, ale najbardziej zadziwiło mnie to, że nie słyszę tych dziwnych melodii, jakie dochodziły mnie w moim pokoju. Dobrze sobie zapamiętałem i nawet często nuciłem je i wygwizdywałem, toteż kiedy odłożył skrzypce, spytałem czyby nie zechciał ich zagrać. Na pomarszczonej twarzy satyra, tak spokojnej podczas gry, pojawił się wyraz gniewu i lęku, taki sam jak wtedy, gdy go zagadnąłem na schodach. Potraktowałem to lekko, jako kaprys starości, i usiłowałem go zachęcić zagwizdawszy urywki, jakie słyszałem ubiegłej nocy. Kiedy niemy muzyk rozpoznał melodię, twarz jego przybrała jakiś niesamowity wyraz, a długą, kościstą i zimną dłoń położył mi na ustach, żeby wyciszyć to niezbyt udane naśladownictwo. Potem zachował się jak zupełny dziwak, bo rzucił przerażone spojrzenie w stronę zasłoniętego okna, jakby się bał jakiegoś intruza - spojrzenie tym więcej absurdalne, ponieważ poddasze znajdowało się wysoko i było niedostępne, górowało bowiem nad wszystkimi przyległymi dachami, nie mówiąc już o tym, że tylko z tego jednego okna, jak powiedział dozorca, roztaczał się widok ponad murem na opadające wzgórze.

Spojrzenie tego starego człowieka przypomniało mi słowa Blandota i może to był kaprys, ale przyszła mi ochota, aby popatrzeć na rozległą i oszłamiającą panoramę spowitych blaskiem księżycy dachów i oświetlonego miasta za wzgórzem, której nikt z mieszkańców Rue d'Auseil poza tym dziwnym muzykiem nie miał możliwości oglądać. Podeszedłem do okna i już miałem odsunąć jakieś bardzo dziwne zasłony, gdy podskoczył do mnie niemy lokator tego pokoju z jeszcze większym gniewem i lękiem; tym razem głową wskazywał na drzwi i obiema rękami ciągnął mnie nerwowo w tym kierunku. Oburzyło mnie takie zachowanie gospodarza i stanowczo

zażądałem, aby mnie puścił, sam bowiem chętnie stąd wyjdę i to natychmiast. Zwolnił uścisk, a widząc, że jestem oburzony i dotknięty, wyraźnie się uspokoił. Znowu mnie mocno uchwycił, ale tym razem przyjacielsko, i kazał mi usiąść na krześle; z wyrazem zatroskania na twarzy podszedł do rozchwianego stołu i ołówkiem napisał kilka słów staranną francuszczyzną cudzoziemca. Kartka którą mi wręczył, zawierała prośbę o tolerancję i przebaczenie. Pisał, że jest stary, samotny, że jest rozkojarzony nerwowo i omotany różnymi lękami, co ma związek z jego muzyką i jeszcze innymi rzeczami. Miło, mu było, że słuchałem, jak grał, i ucieszy się, jeżeli go jeszcze kiedyś odwiedzę i nie będę zwracał uwagi na jego dziwactwa. Nie może on jednak grać tej tajemniczej melodii nikomu i nie może też słuchać jej w niczym wykonaniu; nie znosi również, aby dotykać czegokolwiek w jego pokoju. Nie miał pojęcia aż do naszej rozmowy na schodach przed chwilą, że słyhać jego grę w moim pokoju, toteż prosi, abym porozmawiał z Blandotem i wynajął pokój na niższym piętrze, gdzie nie będę mógł słuchać jego gry. Napisał też, że pokryje różnicę w opłacie za komorne. Kiedy siedząc odczytywałem tę niezręczną francuszczyznę, obudziło się we mnie współczucie dla tego starego człowieka. Był ofiarą fizycznego i nerwowego załamania, podobnie jak ja, a moje metafizyczne studia usposobiły mnie łagodnie do ludzi. Panującą ciszę zakłócił jakiś hałas od strony okna - to wiatr musiał poruszyć okiennicę, ja jednak nie wiadomo dlaczego podskoczyłem gwałtownie, podobnie zresztą jak i Erich Zann. Toteż zaraz, gdy skończyłem czytanie, uścisnąłem jego dłoń i wyszedłem w nastroju przyjacielskim.



Nazajutrz Blandot wyznaczył mi kosztowniejszy pokój na trzecim

piętrze, pomiędzy mieszkaniem starego lichwiarza i pokojem szacownego tapicera... Na czwartym piętrze nikt nie mieszkał. Wkrótce przekonałem się, że Zann wcale tak bardzo nie pragnął mojego towarzystwa, jak mi się zdawało tego dnia, kiedy to nakłaniał mnie do wyprowadzenia się z piątego piętra. Już nie poprosił, abym go odwiedził, a kiedy sam do niego przyszedłem, był skępowany i grał apatycznie. Grał zresztą zawsze tylko nocą, bo w dzień spał i nikogo do siebie nie wpuszczał. Nie darzyłem go zbyt dużą sympatią, choć pokój na poddaszu i tajemnicza muzyka wciąż mnie fascynowały. Marzyłem, żeby wyrzeć przez to okno ponad murem i zobaczyć niewidzialne zbocze wzgórza, a także oświetlone blaskiem księżyca dachy i wieżycy znajdującego się poniżej miasta. Pewnego razu wspinałem się tam po schodach, kiedy Zann był w teatrze, ale drzwi były zamknięte. Udało mi się jednak podsłuchiwać nocną grę tego niemego starca. Najpierw na palcach wchodziłem na moje dawne, piąte piętro, potem zabrawszy się na odwagę wspinałem się jak najciszej po skrzypiących schodach na poddasze. Tam w wąskim korytarzu wsłuchiwałem się poprzez zamknięte drzwi z zakrytą dziurką od klucza w dźwięki, które napełniały mnie dziwną grozą... grozą pomieszaną ze zdziwieniem i tajemniczą melancholią. Nie były to jakieś straszne dźwięki, bynajmniej, ale towarzyszyła im wibracja zupełnie niespotykana na naszym ziemskim globie, a w pewnych momentach wydawało się, że jest to symfonia wykonywana nie przez jednego muzyka. Doprawdy, ten Erich Zann to jakiś niespotykany geniusz. W miarę jak mijały tygodnie, grał z coraz większym zapamiętaniem, ale jednocześnie był wymizerowany i przemykał się ukradkiem, budził po prostu litość. Teraz już mnie w ogóle do siebie nie dopuszczał, a na schodach po prostu mnie nie dostrzegał. Pewnej nocy, kiedy stałem pod drzwiami, usłyszałem, że pisk skrzypiec przerodził się w chaotyczną kakofonię dźwięków; było to piekło; zwątpiłbym w moją własną poczytalność, gdybym nie miał pełnej świadomości, że odgłosy te dochodzą z zaryglowanego pokoju i że dzieje się tam coś strasznego - rozległ się przeraźliwy, nieartykułowany krzyk, jaki

tylko niemy człowiek może z siebie wydać, i to w chwilach największego przerażenia albo udręki. Zastukałem do drzwi, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Czekałem w ciemnym korytarzu drżąc z zimna i zdenerwowania, aż wreszcie usłyszałem, że biedny muzyk podnosi się z podłogi przytrzymując się krzesła. Przekonany, że musiał zemdleć i właśnie odzyskuje świadomość, znów zacząłem stukać do drzwi i zapewniać go, że to nie kto inny, tylko ja. Poczłapał do okna, zamknął okiennicę i opuścił szybę, po czym dotarł do drzwi, które z pewnym wahaniem w końcu otworzył i wpuścił mnie do środka. Tym razem widać było, że się naprawdę ucieszył na mój widok; chwycił mój płaszcz, jak dziecko chwyta się spódnicy matki, a na jego twarzy pojawiła się prawdziwa ulga.

Drżący z emocji starzec kazał usiąść mi na krześle, a sam opadł na drugie, obok którego leżały na podłodze skrzypce i smyczek. Przez moment siedział zupełnie biernie, kiwał tylko głową sprawiając paradoksalne wrażenie, że intensywnie czegoś nasłuchuje. Po chwili na jego twarzy odmalowało się zadowolenie; przeniósł się na krzesło przy stole i napisawszy na kartce kilka słów podał mi, po czym znowu wrócił do stołu, przy którym zaczął pisać szybko i nieprzerwanie. W liście błagał mnie, abym okazał miłosierdzie i choćby dla zaspokojenia własnej ciekawości, zaczekał, aż on opíše dokładnie w języku niemieckim wszystkie niepojęte zjawiska i lęki, jakie go trapią. Czekałem więc, a niemy starzec pisał. Po upływie godziny, kiedy wciąż jeszcze pisał układając kartki jedna na drugiej, a ja czekałem, Zann drgnął, jakby czymś przestraszony. Zaczął się wpatrywać w zasłonięte okno i nasłuchiwać w napięciu. Po chwili wydało mi się, że i ja coś słyszę; nie były to co prawda jakieś nieprzyjemne odgłosy, ale niezwykle subtelna, cicha, płynąca z niezmiernie dalekiej melodia. Można by pomyśleć, że jakiś muzyk jest w sąsiednim domu albo w jakimś mieszkaniu za wysokim murem, poza który nigdy jeszcze nie zdołałem spojrzeć. Na Zannie zrobiło to straszne wrażenie, rzucił pióro, podniósł się i chwyciwszy skrzypce wypełnił noc najbardziej szaloną muzyką, jaka kiedykolwiek dobywała się spod jego

smyczka. Na próżno by opisywać grę Ericha Zanna tej strasznej nocy. Jeszcze nigdy w życiu nie słyszałem takiej muzyki, a do tego wszystkiego widziałem wyraz jego twarzy, który świadczył dobitnie, że powodem tej gry jest paniczny lęk. Usiłował hałasować, coś odstraszyć albo odpędzić... ale co, nie miałem pojęcia, wyczuwałem jednak, że musi to być coś straszego. Gra była pełna fantazji, nieprzytomna, histeryczna, ale do samego końca nosiła znamiona najwyższego geniuszu, którym ten stary człowiek był obdarzony. Rozpoznałem melodię - był to taniec węgierski grywany często w teatrach. Nagle uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy słyszę, aby Zann wykonywał utwór innego kompozytora.

Coraz głośniejsze i głośniejsze, coraz bardziej szaleńcze piski i zawodzenia dobywały się ze zrozpaczonych skrzypiec. Muzyk ociekał potem, wykrzywił się jak małpa, cały czas wpatrując się w zasłonięte okno. Pod wpływem tej gry niemalże widziałem dziwnych satyrów i bachantki wirujące w oszalałym tańcu pośród kipiących otchłani chmur, dymu i błyskawic. Wtem wydało mi się, że słyszę przejmujący, jednostajny dźwięk, który nie mógł się dobywać ze skrzypiec; spokojny, świadomy, z określonym celem, szydery głoś z dali. Wtedy to zaczęły stukać okiennice, poruszane wyjąłym wiatrem nocy, który zerwał się jakby w odpowiedzi na niesamowitą muzykę rozlegającą się w pokoju. Nie miałem pojęcia, że skrzypce mogą dobywać z siebie takie dźwięki. Niedomknięte okiennice waliły w okno coraz głośniejsze, aż nagle szyba rozpadła się w drobne kawałki, a do pokoju wtargnął lodowaty wiatr, od którego zaczęły skwierczeć świece i zaszeleściły kartki na stole, na których Zann zaczął spisywać swoje tajemnice. Spojrzałem na Zanna, ale był jakby nieprzytomny, nic nie widział. Niebieskie oczy wychodziły mu z orbit, były szklane i niewidome, a jego zapamiętała gra przeszła w orgię niesamowitych dźwięków dobywających się jakby mechanicznie, których żadne pióro nie zdołałoby opisać. Nagły podmuch, silniejszy niż wszystkie dotychczasowe, porwał rękopis i poniósł w stronę okna. Chciałem złapać rozpędzone kartki, ale nim dopadłem stłuczonej

szyby, już uleciały na zewnątrz. Wtedy przypomniałem sobie, że już od tak dawna pragnąłem wyjrzeć przez to okno, jedyne na Rue d'Auseil, z którego roztacza się ponad murem widok na zbocze wzgórza i leżące niżej miasto. Było ciemno, ale przecież latarnie zawsze się pałą nocą, miałem więc nadzieję, że ujrzę ją mimo deszczu i wiatru. Kiedy jednak wyjrzałem z tego najwyżej umieszczonego okna na poddaszu, mając za sobą skwierczące świece i oszalałe dźwięki skrzypiec pomieszane z wyciem nocnej wichury, nie zobaczyłem miasta ani przyjaznych świateł zapamiętanych ulic, tylko czernią bezkresnej otchłani... niewyobrażalnej, wypełnionej tylko ruchem i muzyką, nie przypominającej niczego, co ma związek z ziemią. W tym momencie wiatr zdmuchnął świece i znalazłem się pośród dzikiej, nieprzeniknionej ciemności wypełnionej chaosem i piekłem, a także demonicznym szaleństwem wyjących nocą skrzypiec.



Cofnąłem się w mrok izby nie mając żadnych możliwości zapalenia światła, wpadłem na stół, przewróciłem krzesło, torując sobie drogę tam, gdzie rozlegały się dźwięki wstrząsającej muzyki. Postanowiłem za wszelką cenę uratować siebie i Ericha Zanna, bez względu na przeciwstawiające mi się siły. Wydawało mi się, że musnęło mnie coś lodowatego, krzyknąłem, ale straszny głos skrzypiec wszystko zagłuszał. Nagle uderzył mnie smyczek, a więc byłem już blisko Zanna. Dotknąłem jego włosów z tyłu głowy, a następnie potrząsnąłem go za ramię, aby go przywołać do świadomości. Nie zareagował na to, grał nadal, nie zwalniając tempa. Położyłem mu rękę na głowie, powstrzymując w ten sposób jej mechaniczny odruch kiwania, i wrzasnąłem mu w same ucho, że musimy uciekać przed nieznanymi istotami władającymi nocą. Nie zareagował, nie przerwał swojej opętanej gry, a

wiatr w najdziwniejszych porywach tańczył po całym poddaszu. Kiedy dotknąłem jego ucha, przeszył mnie dreszcz, nie wiedziałem dlaczego... dopóki nie dotknąłem jego twarzy... lodowatej, sztywnej, nieruchomej, której szklane oczy wpatrywały się bez celu w pustkę. Wtedy to jakimś cudem odnalazłem drzwi i wielką, drewnianą zasuwę i wyrwałem się z tej ciemności wypełnionej upiornym wyciem przeklętych skrzypiec, które jeszcze bardziej się nasiliło, kiedy znalazłem się na zewnątrz. Skacząc, zsuwając się, niemal w powietrzu zlatywałem z tych nieskończenie długich i ciemnych schodów; wpadłem na wąską, stromą starą ulicę, z chylącymi się do ruiny budynkami i pokonując schody oraz bruk znalazłem się wreszcie na niżej położonych ulicach, przy cuchnącej rzece płynącej w kanionie otoczonym wysokimi murami; pokonałem ciemny most i znalazłem się pośród szerszych i zdrowszych ulic oraz bulwarów; te straszne wrażenia pokutują we mnie do dzisiaj. Pamiętam też, że wcale nie było wiatru, że świecił księżyc i że całe miasto migotało w blasku latarni. Mimo usilnych poszukiwań i badań nie odnalazłem Rue d'Auseil. Ale nie jest mi z tego powodu przykro; nie żałuję też, że zginęły niepojęte głębie gęsto zapisanych kartek, które mogły wyjaśnić tajemnicę muzyki Ericha Zanna.